

De. II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 150.

— 22 —

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

SERYA V.

M a j.

TOM II. — ZESZYT II.

W A R S Z A W A.

Skład i Eksp. Głów. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

— 22 —

Ukończono druk dnia 7 maja 1878 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Dwa wspomnienia pośmiertne. Wiktor Emanuel jako król Włoch zjednoczonych.	173
II. Syn marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII-go wieku. Przez J. I. Kraszewskiego.	191
III. Imiona starodawne polskie. Przez Zygmunta Glogera.	211
IV. Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Ocenił Ernest Swieżawski.	223
V. Najnowsze objawy filozofii pesymistycznej w Niemczech. Filozofia wyzwolenia. Napisał Seweryn Smolikowski.	258
VI. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna: <i>La guerre de cent ans</i> : dramat wierszem pp. Franciszka Coppée i d'Artois.— <i>Historya Bertranda du Guesclin i jego czasów</i> , dzieło p. Luce.— <i>Dawid z Angers</i> p. Jonin. Listy Stanleya z Afryki Środkowej (1874—1877 r.).— <i>Balsamo</i> , dramat Aleksandra Dumasa.— <i>Brzegi Adryatyku i Czarnogórze</i> p. Iryarte.—Zmarły astronom Secchi.—Głowa wolności na wystawie, rzeźbiarza Bartholdego.—Panna Kamilla Morzkowska.	274
VII. Drogi żelazne w Królestwie Polskiem. Równowaga między interesem towarzystw prywatnych a interesem ogółu. Przez Antoniego Wrotnowskiego.	301
VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Sprawozdanie z obchodu jubileuszowego czterystoletniej rocznicy założenia Wszechnicy Upsalskiej, dnia 4, 5, 6 i 7 września 1877 r., Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu złożył w ofierze Wawrzeniec hr. Engeström (Poznań, 1877 r.). Przez Z.	311
Encyklopedia Kościelna, podług teologicznej Encyklopedyi Wetzera i Weltego, z licznymi dopełnieniami, przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób, wydana przez księdza Michała Nowodworskiego. Tom I, w Warszawie, 1873 r. Tom XI, 1878 r., w 8-ce. Przez R.	317
Fotografie społeczne, zebrane przez autora Kłopotów Starego Komendanta. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta (tomów 3, w 8-ce). Tom I str. 248: Kuprys panny Julii.—Sąd polubowny. Tom II: Przegrana sprawa.—Pan komornik.—Pani inspektorowa. Tom III str. 224: Mania Curaciosa.—Intromisja lekarza.—Zęby Warszawianki.—Naiwności szlacheckie. Przez Tadeusza Wójcickiego.	320
IX. Wiadomości białące, literackie, naukowe i artystyczne.	337
X. Nekrologia.	347



Dc. II 1

Dwa wspomnienia pośmiertne.

WIKTOR EMANUEL

JAKO KRÓL WŁOCH ZJEDNOCZONYCH.

II.

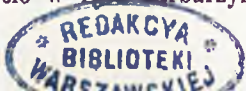
Zwolennicy geograficznego pochodzenia dziejów, poszukujący mianowicie związku między plastycznymi kształtami ziemskiej kulki pewnego narodu a jego charakterem, dołą i rolę w świecie, oddawna już zwrócili uwagę na fakt niezależnie w kilku punktach globu ziemskiego i w różnych czasach spełniający się. Z gór północy, niemal ze stoków Pireneów, z cieklin południowych tego granicznika Hiszpanii, wypłynęła restauracja chrześcijańskiego porządku rzeczy na tym półwyspie, po zaborze Maurów. Z Favilą i Pelajem (Pelahem) od północy zajaśniał brzask narodowości hiszpańskiej nad potopem semickim Muzy i Taryka.

Kotlina-to Sekwany, geograficznie i geologicznie zamknięta, na skraju ciała państwowego teraźniejszej Francji położona, stała się twórczynią jej organizmu obecnego, przyciągnęła i swym stępem odczowała mniej więcej sąsiednie różnorodne państwowe i etnograficzne elementa.

Dualizm dwu połów północnej i południowej (*langue d'oc*, *langue d'oïl*) niemal że równie ważny dla późniejszego charakteru Francji, jak walka stuletnia z Anglią o swą autonomię państwową i społeczną, jeszcze dziś w felibryzmie odżywa, choć krucjata Montforta i następców, dragonady Ludwika XIV-go, noyady rewolucyjnej i i., przesunęły swój strychulec po odrębnościach południa dość energicznie. Jaki dziś ta walka weźmie koniec, trudno powiedzieć, dość że walka trwa jeszcze, a niegdyś wypadła na korzyść Północy.

Spójrzmy na starożytną Italią a i tu gród na skraju obcych ziem rozsiadły, Roma, za najwyższego kapłana poczytująca pierwszego z budowniczych mostu, łączącego z obcym brzegiem, jej brzeg Tybru (*pontifex*); ta Roma północna przykuwa wszystkie pokrewne i obce sobie ludy południa do kupieckiego swego zrazu wozu.

W Grecji, z cnót dawnych wyzutęj, hegemonia wypadłszy z rąk Aten, przez krótki czas w dłoni Sparty, Teb, Achai i Etolii pozostawała; przechodzi wreszcie w ręce barbarzyńców, zgreczałych Macedo-



nów i ci to dawni cudzoziemcy, pod sztandarem niemal Persów idący w chwili narodzin Hellady, w końcu jej żywota nowym blaskiem chwały wieńczą jej zblakłe z nieszczęść skronie i roznoszą światło choćby gasnącej jej mądrości nieznanym Azji ludom.

Niemcom zindywidualizowanym aż do atomu, naraz na piaskach Braniborskich, które snąc hojnie rozlana krew Słowian zdołała zapłodzić, wschodzi gwiazda zjednoczenia. Wiekuisty spór północy,— wyrosłej na ziemi słowiańskiej—i południa,—latyńsko-celtyckiego przeważnie—, w którym krótki tryumf obchodził Henryk Welf pod Legnano nad Barbarosą, dziś kończy się na korzyść.... siły fizycznej, wzrost jej na gruzach słowiańskich, na północy obecnych Niemiec.

Po odnowieniu królestwa przez Przemysława Pogrobowca, bierze górę Polska nowa, Polska młodsza t. z. mała (*minor*) czyli chrobacka. Ona góruje dziejom Jagiełłów, aż do chwili gdy zaśpiewają za elekcyi Walezego *Mazuri*, *Sarmatiae muri* i stolica z Krakowa przeniesie się do grodu nadwiślańskiego. W rozwoju dziejów, z kolei Grodno zyskuje sławę, że zostało stolicą sejmów, aż wreszcie pozyska najsmutniejszą sławę rezydencyi niewolnika. W lasach z litewskich ołówek Rautenfelda wymaże jedno państwo z karty Europy, ale pióro Mickiewicza spróbuje wstrzymać pochód geograficzny i odwrotnym biegiem krzesząc wszędzie ognie romantyzmu, da hasło do nowego okresu życia....

W imię tej zasady geograficznej Serbia rości pretensye do owładnięcia półwyspem Bałkańskim, jako kraina północna. W dziejach Rusi, ten pochód ku północy, jeśli podaniu o Ruryku przypiszemy znaczenie więcej literacko-ogólne, jak szczegółowo-dziejowe, również da się wykazać, jakkolwiek tym wskazówkom nie przypisujemy znaczenia pewnika naukowego.

Bądźcobądź, na tle tych wskazówek, rola Piemontu i jego króla Wiktora Emanuela przestaje być wyjątkiem, wchodzi w poczet faktów, które może z różnorodnych przyczyn wzięły początek, ale w ostatecznej swjej formie zdają się składać na szereg zjawisk stale się powtarzający. Może być zasada *post hoc* nie jest tu identyczną z *propter hoc*, ale ma wszelkie jej pozory.

Królestwo, które ziściło jedność całego półwyspu włoskiego, w całej swjej historii przedstawia zjawisko lawiny. Z małej kotliny gór szwajcarskich wyszedłszy, w biegu czasu przez zdobycze, traktaty, małżeństwa przekracza góry, dzielące jego kolébkę od Włoch prawdziwych i tu zapuściwszy raz korzenie, w końcu całe zagarnia. Rzecz godna uwagi przytém, że posiadłszy półwysep cały, wyrzekają się swjej kolébki książęcjej, Sabaudyi.

Tradycya niesie, że Humbert Białołęki był założycielem późniejszego królestwa Sardynii. Ostatni król Burgundy transylwańskiej Rudolf III († 1032 r.) zapisał swe państwo mężowi swjej siostrzenicy Gizeli, cesarzowi Konradowi II. W liczbie doradców Rudolfa, noszącego przydomek gnuśnego (*faineaut*), czy też jego żony Irmengardy, był właśnie ów Humbert, naówczas hrabia Aosty (*Augusta Salassorum*)

i w r. 1034 poparł zbrojną Konrada intronizacją, aczkolwiek burgundzcy panowie, a na ich czele siostrzeniec zmarłego Eudes hr. Szampanii długo się temu wcieleniu do Niemiec opierali. Dopiero Henryk III cesarz zdołał stale wejść w posiadanie darowizny.

Humbert w nagrodę zyskał wąwozy alp: Kotyskich, Walijskich i Grajskich (*alpes Graiae*), tak, że przy śmierci prowincye: Maurienne, Sabaudya, część Tarantaise, Chablais i Aosta składały jego państwo.

Wnet to świeże hrabstwo znalazło współzawodnika w hrabiach Genewy (*Genevois*) posiadaczach Genewy i Annecy. Już syn Humberta Otto w posagu dostaje hrabstwo Turynu. Amadeusz II r. 1111 zostaje hrabią państwa niemieckiego. Jeden z jego następców Piotr jest współzawodnikiem rodzącęj się potęgi domu Habsburgów, a mianowicie jego fundatora w dziejach Rudolfa Habsburga. Piotr, ten siódmy syn Tomasza I Sabaudzkiego, urodziwszy się 1203 r. w Suzie, był zrazu proboszczem katedralnym w Aoście, Genewie i Lozannie; po zgonie ojca (1232 r.), opuściwszy stan duchowny, nosił zrazu skromny tytuł hrabiego Romont (od 1240 r.). Pod tę porę zawarty, na wzór Hanzy i związku Reńskiego, „sojusz burgundzki” miast: Bernu, Murten (Morat), Laupen i ziemian Hasli, wezwał na opiekuna swych sił młodzieńcych Piotra, przeciw swemu groźnemu sąsiadowi hr. Hartmanowi V z Kiburga. Piotr z chęcią przyjął wezwanie, któremu nadał siłę prawną, przez koncesyą od cesarza niemieckiego urzędowego tytułu „opiekuna Burgundyi.” Prawie cała romańska Helwecya uległa wówczas Sabaudyi; biskupi Genewy i Lozanny musieli podzielić się z Piotrem władzą świecką w swych dyecezyach. Hrabia Neuenburg Nidau został tegoż hołdownikiem (1265 r.). Podobnemuż losowi ulegli hrabiowie Greyercu i Genevois (Gruyères i Genewy). Rudolfhabsburski, jako spadkobierca (od 1264 r.) Małgorzaty sabaudzkiej, żony ostatniego hr. Kiburga, wystąpił w zawody z Piotrem o posiadanie romańskiej Burgundyi (Szwajcaryi). W ciągu téj wojny (1265—1267 r.) Wallis zostało rozdzielone między Piotra a biskupów z Wallis, Bern wy dostał się zpod opieki Piotra i dopiero pokój nad jeziorem Murten zawarty, położył kres wojnie z Rudolfem przez podział krajów pożądaných.

W walce téj popierały Piotra złoto i łucznicy jego zięcia po siostrzenicy, angielskiego Henryka III Plantagenata, którego miał pono wziąć sobie za wzór, tworząc parlament wspólnie z nim uchwalający statuta.

Piotr ten też miał uprosić procedurę, tortury zastąpić przez śledztwo, utworzyć urząd opieki bezpłatnej nad biednymi, który funkcjonuje pono jeszcze do téj pory.

Piotr nieprzebierał w środkach dla dojścia do celu, a zakończył żywot wśród przejażdżek po jeziorze lemańskim z ulubionego zamku Chillon, i przy śpiewach trubadura Ferrato (1268 r.).

Brat i następca Piotra, Filip, niemal wszystkie posiadłości jego utrzymał. Po powołaniu Rudolfa na tron cesarski (1273 r.), hrabia Neuenburga, Amadeusz i Bern wyzwolony pod koniec rządów Piotra,

znowu przyjęli patronat Sabaudyi, która teraz wśród walk z Niemcami, z pomocą Anglii weszła na drogę pewnego konstytucjonalizmu. Później w sto lat bezmała, pod Amadeuszem VI „hrabią zielonym“ (1343—1383 r.) pośpieszyła na pomoc Janowi Paleologowi przeciw Amuratowi I, i pobiła Turków, Amadeusz VII syn jego do 1391 r. rządzący, powiększył swe posiadłości przez hrabstwa Nizy i Vintimiglii, które oderwawszy się od hrabstwa Prowancyi dobrowolnie mu się poddały (1388 r.). Amadeusz VIII (1381—1454 r.) zyskuje tytuł księcia Sabaudyi od cesarza Zygmunta 1416 r., jak jego ojciec Amadeusz VII rozszerza swe państwo, zakłada stolicę w Turynie (1418 r.) nowonabytym, i po abdykacji z tronu książęcego, sięga po tyarę papieżką jako Feliks V (1440—1449, † 1451 r.). Ludwik syn jego ożenił się (1438) z królewną Cypru Anną de Lusignan, przez co Sabaudya nabyła niejakię prawa do tęg wyspy, jakie tęg potwierdził, z dodaniem praw do królestwa Jerozolimy zapis królowej Karoliny na rzecz Karola I (1482—1489 r.) prawnuka Amadeusza VIII. Jedną rękę Ludwik wyciągnął tak do Wschodu, drugą zaczepił się Francyi, żeniąc swą córkę Karolinę z Ludwikiem XI i wzywając jego pomocy przeciw własnemu synowi Filipowi (księciu Sabaudyi od 1489—1496). Wśród wypraw francuzkich do Włoch, zwłaszcza Karola VIII, księstwo sabaudzkie staje po stronie romańskich najeźdźców. Z Karolem III ¹⁾ spadają klęski na nowe państwo, za zerwanie związku z Francją, Franciszek I zabiera Sabaudyę i część Piemontu, Bern zaś Waatland, Chablais i rozszerza w nich reformacyę.

Z Emanuelem Filibertem „głową żelazną“ (1535—1580), rozpoczyna się drugi peryod polityki sabaudzkiej. Książę ten lawiruje między Hiszpanią a Francją, pierwszej przewodniczy w bitwie pod Saint Quentin i zwycięża drugą, od Francyi bierze żonę (Małgorzatę siostrę Henryka II), i od pokoju w Cateau Cambrais począwszy odzyskuje na drodze dyplomatycznej zabory francuzkie na Sabaudyi poczynione. Syn jego Karol-Emanuel I „Wielki“ (1580—1630 r.) uprawia tęg samę Schankel politik. Rad zyskać Mantę i Montferat, które spadły na księcia Nevers, wdaje się przeto w wojnę z Francją, w której zawiązuje znów stosunki z Niemcami, Hiszpanią i nareszcie traci Pignerol, zdobyty przez Ludwika XIII, wraz z Sabaudyą (1629 roku). Dopiero przez pokój w Cherasco (1631 roku), którego negocyatorem był Mazarini, odzyskał syn tego „wielkiego“ księcia, Wiktor Amadeusz I (1630—1637 r.), swe państwo. Zwrot francuzki widać w ożenieniu się tego księcia z Krystyną córką Henryka IV. Drugi syn Karola Emanuela Tomasz, książę Carignan, praojciec linii Carignan i trzeci kardynał Maurycy, po śmierci Wiktora Emanuela (1637 r.),

¹⁾ Po Amadeuszu VIII panowali: Ludwik (1451—1465 r.), syn jego Amadeusz IX 1465—1472 r. (po którym synowie jego Filibert I „Myśliwy“ i Karol I od 1482—1489 r.), Filip II syn Ludwika (1489—1496 r.), Filibert II mąż Małgorzaty austryackiej rządczyni Niderlandów (1497—1504) i Karol III (1504—1553 r.) synowie Filipa II.

zrazu starają się wydrzeć rejencyą Krystynie, z pomocą Hiszpanii, lecz trzy zwycięstwa francuzkie hr. d'Harcourt pod Casale, Turynem i Iwrea, zmusiły ich do uznania rejencyi i sojuszu z Francją (1640—1642 roku). Tomasz niezabawem (1654 r. jest w. mistrzem Francyi († 1656 roku). Syn jego Eugeniusz Maurycy żeni się z kochanką Ludwika XIV Olimpią Mancini i zostaje naczelnym wodzem wojsk Francyi († 1673). Jego synem jest słynny książę Eugeniusz (urodzony w Paryżu 1663 † 1736 r.) bohater wojny 30-letniej, i nowy dowód dwulicowości polityki sabaudzkiej nawet w bocznej linii, bo książę ten z Francyi przeszedł do Austrii, i tój przeciw tamtej służył, gdy jego przodkowie zfrancuzili się. Linia starsza panująca w osobie Karola Emanuela II (1638—1675) syna W. Amadeusza przygotowuje się przez centralizacyą władzy do nowych nabytków. Wiktor Amadeusz II (1675—1730 r.) i Karol-Emanuel III (1730—1773 r.), następcy i potomkowie kolejni tego centralizatora rozpoczynają dynastyą *króli* i ich politykę. Obaj łączą się to z Francją to z jej nieprzyjaciółami, i na przyjaźni zarabiają zwrot Sabaudyi, Pignerolu i hr. Nizy (1696 r.), a później po stracie Sycylii, Sardynią (1720 r.) na walce przy pomocy księcia Eugeniusza sabaudzkiego i pokoju utrechckiego, odzyskuje zabrane przez Francuzów państwo, wyspę Sycylią z tytułem króla, i jeśli nie Medyolan rakuski to część terytorium Pawii i t. d. (1748 r.). Za rządów Karola Emanuela III występuje na jaw polityka antykościelna. Mianowicie w odwet za zniesienie pewnych przywilei w obrębie nowego królestwa sardyńskiego, przez Klemensa XII (1731), król zaareztował wszystkie dochody papieżkie, a obejmując Sardynią 3,000 księży wygnął za wierność Rzymowi. Należy wyznać jednak, że to był duch czasu. Wielki książę tokański, syn Maryi Teresy, późniejszy cesarz Leopold zwołał sobór jansenistów w Pistoii, Wenecya trzymała księży w zupełnej zależności od woli świeckiej, w Neapolu minister Tanucci wprowadził małżeństwo cywilne, na króla włożył nominacyą biskupów w nowonabytej Sycylii i odmówił Rzymowi symbolu leunictwa, pewnej sumy pieniędzy na mulicy białej (od 1267 r.). Lombardia szła w trop za Józefem II, który z matką podniósł jej byt materyalny a chciał zaśluzić na miano liberalnego.

Dla uzupełnienia szkicu dodajmy, że też ten dobrobyt materyalny wyraża niemal całą treść duchową Włoch na schyłku XVIII wieku, a jeśli co więcej produkuje, to przypisuje opiece rakuskiej. Tak Lombardia ma autora „Występków i kar“ Beccaryą, i naczelnika obserwatorium w Brera medyolońskiej Oryaniego, którzy jawnie opiekę Austrii za pomyślną dla nauk uznają, lub jak ostatni wobec przymusowego wyznania nienawiści do monarchii, podają się do dymisji. Słynie Volta fizyk, wynalazca stosu elektrycznego, profesor medycyny Borsjeri, ale historyi Medyolanu napisanej przez hr. Verri rozchodzi się zaledwo egzemplarzy.... jeden. Toskania rakuskiego Leopolda widzi zniesione postępowanie tajenne (*processi di camera*) konfiskatę, karę śmierci. Karol

Burbon neapolitański a później hiszpański, wnuk Ludwika XIV podnosi byt materialny swego państwa, a w części zaprowadza reformy.

Co do stanu moralnego: to bilans jego wymowny. *Bravi*, najmici sztyletem zadość czyniący zemście tchórzliwej a prywatnej, swém nazwiskiem hańbią najwyższą cechę męzkości i wykazują jej brak w Włochach owoczesnych.

Przysłowie weneckie podaje treść zajęć codziennych może nietylko patrycyusza swój ziemi: co rano wino, po obiedzie faraon, co wieczór dziewczyna: (*Alla matina una messeta, allu pomeridiana una bassetta alla sera una donnetta*). *Sigisbeut*, ta dziwna instytucya osobnym warunkiem intercyzy ślubnej stypulowana, dająca kobięcie za towarzysza nie ojca jej dzieci, obdarzająca ją mężem duszy i ciała, powstała téż w tych czasach. Może to równie ciekawy objaw moralnego upadku Włoch, jak sami *bravi*. W Toskanii, *piagnonów* Savonaroli przeworthy donosiciele Leopolda.

Gdy Wiktor Amadeusz III (1773—1796) sprawował rządy królestwa Sardyńskiego, we Francyi dogorywała władza monarsza, której przedstawiciela Ludwika XVI za wzór, a jego rodzinę za wyłączną niemal dostarczycielkę mężów i żon dla swojej był sobie obrał król sardyński. Po upadku monarchii francuzkiej daje Wiktor Amadeusz przytułek emigrantom, i może przez to wywołuje oderwanie się Sabaudyi, (1792 r.), którą chce w ryzie utrzymać nową Bastylią wzniesioną na rynku Chambery. Pierwszy z monarchów po Emanuelu Filibercie odwiedziwszy (1775) zapomnianą tę prowincyą, utracił ją na rzecz Francyi (1792 r.) w drodze głosowania, a Niceę przez oręż poddowódców Montesquiou Anselma i Trugueta. Od 1793 walcząc w obronie monarchii, w trzy lata później musiał kapitulować przed Bonapartem, wodzem Rzplitej francuzkiej, którzy wbrew poleceniom swego dyrektoryatu podniecał naokoło ludność do powstania w imię zasad rewolucyi ¹⁾. Rzeź to Francuzów, wywołana przez Wenecyą niezdolną do jawnego oporu, sprowadza pozorną reorganizacyą zgrzybiałej Rzplitej a później jej podział między Austryą i Francyą, oraz urządzenie Rzplitej cyzalpińskiej, aczkolwiek wielkanocna rzeź Francuzów w Weronie przypada na dzień 17 kwietnia 1797 roku, zaś Napoleon dnia 27 maja wyjawił Wenecyi treść preliminarjów w Loeben z Austryą zawartych z 18 kwietnia (więc już nazajutrz po rzezi werońskiej) a dotyczących rozbioru Rzeczypospolitej Ś-go Marka. Profesor historii w Dijon, M. Gaffarel wykładając treść tych wypadków, po dwakroć zestawił ten rozbiór 1797 i 1801 roku z rozbiorem 1773 roku i podniósł stronę ich moralną i polityczną.

Istnieją listy Napoleona do Józefa i Berthiera zalecające powstrzymanie obioru nowego papieża i utworzenie Rzplitej rzymskiej, skorzystano téż z zabójstwa generała Duphota, by ją utworzyć. Ferdynand IV neapolitański, igraszka w ręku żony swój Maryi Karoliny, jej faworytów Actona ministra, oraz lady Hamilton ambasadorowej an-

gielskiej, która dla swęj królowęj *zdożyła* Nelsona, i jego spółdział, nadaremnie w chwilach rzadkich rozumu opierał się ich chęciom walczenia z Francją. Niezadługo trzeba było uciekać na Sycylię, a jeżeli wrócili do Neapolu po gruzach Rzplitej partenopejskiej, 1799 r., to z pomocą band rozbójniczych kardynała Ruffo, Fra-Diavola. Mamona Sciarpę. Uczestnicy powstania neapolitańskiego dr. Cirillo, ksiązę Caraccioli, Massa, Manthone, Caraffa zginęli haniebną śmiercią, ksiązę Caraccioli na maszcie statku Nelsona, z woli lady Hamilton. Anglia przez usta Foxa wyparła się tęg haniebnęj restauracyi w Neapolu, którą trzeba wyznać, lud prosty popierał. Gdy Bonaparte opuścił Włochy, w Lombardyi powstanie wybuchło, pod hasłem „niech żyje religia, niech żyje Austria, niech żyje Franciszek II.“ Nawet w Toskanii, duch niechęci do republikanów wymownie przemówił przez usta Alfierogo, niedawno na Gotów stękającego: „Spędziłem dwieście dni niewoli francuzkiej na wsi, i niechciałem wcześnięj wrócić do miasta jak 6 czerwca, który był dniem wyzwolin naszych (ustąpienia Francuzów). Teraz jestem napowrót na wsi, lecz wracam od czasu do czasu do Florencyi a zwłaszcza gdy przybywają żołnierze niemieccy, a to by przypatrzeć się radości, uniesieniom i wylewom serca całego ogółu dla swych oswoobodzicieli. Cała Toskania wolna od wojsk (francuzkich) i słońce znów świetnieje“ (*lettera all'abate di Caluso*) 27 luglio 1799).

Botto, historyk Włoch w peryodzie 1789—1814 roku, zachował urywek jakiegoś pamfletu z owych czasów, urywek anti-francuzki, o ówczesnym stanie umysłów tak się wyrażający: „Włoch, zraniony w miłości własnej, łzony i poniżony, nie zdoln poznać się czém jest i zorganizować, ani rozwinąć swego geniuszu i zdolności, odda się pierwszemu lepszemu zwycięzcy.“ To tęg z radością przyjmowano Suwarowa, — a na spotkanie Melasa rakuzkiego w Medyolanie (28 kwietnia 1799 r.) wyszło duchowieństwo za miasto (do Cressenzano), z arcybiskupem na czele; urządzono illuminacyę, tańce na ulicy, krzyki z okien i dachów. Na błoniach Novary niejaki Chivasso Branda podniecał ludność przeciw Francuzom, i dla obudzenia tęg większego zapatu, rozdawał wizerunki Trójcy Świętej w postaci trzech monarchów skoalizowanych.

Jeśli co rzady dyrektoryatów sprowadziły we Włoszech, to stowarzyszenie promienistych (*societa de'raggi*) w Bolonii, ktoremu dali początek generałowie cyzalpińscy: Pino, Lahoz i Teuillet, a którego celem była jedność Włoch bez Niemców i Francuzów. Późnięj w Neapolu złało się z *carbonarami*: Lahoz wzięty do niewoli przy oblężeniu Ankony przez Francuzów, choć „promienisty,“ nie lepsze złożył świadectwo swym rodakom. „Targ narodem w Campo Formio, ucisk agentów francuzkich w Cyzalpinii przekonał, że chodziło o sprzedanie Włoch, nie o ich wyzwolenie. Wówczas powziąłem zamiar oswoobodzenia męj ojczyzny zarówno od Niemców jak i Francuzów. ...Niczego się niespodziewam od Francuzów, nié mam żadnych złudzeń co do możności bytu Rzplitej włoskiej. Nawykli do jarzma od wieków, Włosi stracili moc

ducha przodków. Płoną... zabobnem, marzną... dla wolności. Lud myśli tylko o łupieży i zemście, panowie o swych interesach i gnuśności...”

I tredeci mesi, jak Włosi zowią trzynaste miesiące powtórnych rządów rakuzkich minęły, i 2 czerwca 1800 r. Bonapartego witały także same wiwaty w Medyolanie jak Melasa, a podstawą jednak nowego stanu rzeczy był ten sam traktat w Campo Formio. Piemont od 1796 r. przeszedłszy w ręce Karola Emanuela IV, pozostał w jego reakcyjnym ręku do 1798 r., w którym poszedł do Sardynii. W r. 1802 po chwilowej próbie odzyskania swego królestwa, Karol Emanuel abdykował na rzecz brata Wiktora Emanuela I, a sam wstąpił w Rzymie do Jezuitów († 1819). Tymczasem Piemont od 20 kwietnia i 11 września 1802 roku podzielono na sześć departamentów, wcielono do Francji, która tak zamienia się w cesarstwo, jak po chwilowej prezydenturze pierwszego konsula w Rzpłitej cyzalpińskiej, zjawiło się królestwo włoskie z wice-królem Eugeniuszem Beauharnais, a królem włoskim Napoleonem, obejmujące resztę tego we Włoszech, co niewcielono do Francji, i czemu był jaki taki odrębny zostawiono. Jak politycznie tak moralnie Włochy były zależne od cesarstwa. Monti, kolejno głoszący zwycięstwa republikańców francuzkich, tryumfy nad nimi Austryaków, teraz opiewa chwałę Napoleona I. Gianni, niegdy płatny poeta rakuzki, dziś pensją roczną 6,000 franków zachęcał swego pegaza do takichże produkcji. Petroni wydał Napoleoniadę; Giordani wróży „boskiemu Napoleonowi“ świątynie i ołtarze w każdym miejscu, a w r. 1825 pisząc do Leopardiego, wyrzeka na niecną próżność poetów, wychwalania tych, których stado ludzkie powinno tylko przeklinać. Ugo Foscolo, członek konsulty włoskiej obradującej w Lionie, która godność prezydenta Rzpłitej cyzalpińskiej ofiarowała Napoleonowi, porównał go do Marka Aureliusza i Tyberyusza, Leona X i Jowisza, i dopiero 1814 roku w Zurychu ogłosił swe *Didymi clerici hypercalypseos*, ostrą satyrę rządów Napoleońskich we Włoszech.

Jedynie wojsko, organizowane z pomocą przeklinanej konspiracyi, pielęgnowało uczucia szlachetne, patriotyczno-włoskie w *raggich* i *carbonarich*, było schronieniem ducha, który w odradzającym się dobrobycie materyalnym łącno jakoś zamierał na ziemi włoskiej.

W r. 1810 Rzym zostaje drugą stolicą cesarstwa, a tytuł jego króla bierze następcą tronu Napoleona, uszczuplono traktatem w Tolentino państwo kościelne dla królestwa włoskiego, wykrojono królestwo neapolitańskie dla Józefa i Murata lub Etruryi dla Murata i Elizy Bacciochi. Może więc słusznie skarży się Cantu, że wszystko robiono wówczas we Włoszech nie dla nich, jeżeli to będziemy rozumieć bezpośrednio. Inaczej się rzecz ma, rozważając rzecz pośrednio.

Jeżeli bowiem trzeba by zwięźle a wiernie ocenić działalność historyczną Napoleona, to to był raczej siewca idei rewolucyjnej francuzkiej i destruktor budowy średniowiecznych. Co jeszcze zostało z dawnych epok, to on przewracał, krajał, mieszał, niby gotował materyał na nowe organizacje, ale sam nic nie tworzył. Tak było z Niemcami, tak zrobił z Wło-

chami. Rozbijał dawne zlepki, niszczył dawne granice, prostował ścieżki XIX wiekowi, jego ideom o narodowościach (czy rasach?).

Mocarstwa skoalizowane nosiły się z planem konserwatywnym urzędzenia włoskiego półwyspu. Już 25 października 1804 r. Austrya z Rosyą układały się o jego niezależność. W r. 1865 Rosya proponowała utworzenie królestwa pod-alpejskiego z Piemontu, Genui, Lombardyi, Wenecyi, pod władzą domu sabaudzkiego. Królestwo to połączone być miało węzłem federalnym z królestwem obojga Sycylii, Etruryi, państwami Lukki, Raguzy, Malty i wysp Jońskich, oraz Państwem kościelném, którego zwierzchnik papież miał być kanclerzem téj konfederacyi, a kolejnymi zwierzchnikami królowie Piemontu i Neapolu.

W latach 1809 arcyksiążę Jan, podbudzający Tyrol przeciw Francuzom, obiecywał Włochom imieniem cesarza Franciszka I konstytucyą i wolność od cudzoziemców. W r. 1814 hrabia de Nugent, naczelnik wojsk austro-brytańskich, wzywał lud legacyi do powstania w obronie swój niezależności, podobnie jak Bellegarde, wódz austriacki, Lombardczyków; lord Wiliam Bentinck szedł z Livorno do Genui pod sztandarem: wolność, niepodległość włoska! Dnia 20 kwietnia 1814 r. wybuchła lud nienawiścią do Francuzów, biusta Napoleona i Eugeniusza idą w drzazgi. Prina, minister finansów, znieawidzony za podatki, zabity parasolami. Melzi (ks. Lodi), wice-prezydent niegdy Rzplitej cyzalpińskiej, dziś prezydent senatu, ledwo uszedł podobnego losu. Jak Silvio Pellico pisze w swych listach 1837 r., chciano tym sposobem zapobiedz elekcyi na króla Eugeniusza, tak dalece ufano obietnicom rakuzkim co do niepodległości włoskiej. Podczas gdy Eugeniusz musiał tajemnie uciekać, kobiety włoskie obsypywały całunkami Austryaków. Wolności spodziewano się od obcych. Jeszcze jedna odezwa do samopomocy Włochów się zjawia. Wydaje ją Murat, gdy po bitwie pod Lipskiem w układach z Bentinckem za swój tron, ofiarowawszy koalicji 30,000 wojska przeciw Napoleonowi, teraz poczuł wstyd za to odstępstwo, a raczej przekonał się, że jemu tylko Neapol zostawiono, i że lord Bentinck teraz tak rządzi Włochami w imię koalicji, jak niegdy Napoleon. Teraz z Rimini 30 marca 1815 roku Pelegrino Rossi, student boloński (minister z r. 1848), pisze odezwę Murata wzywającą Włochów do samodzielnej obrony i zdobycia swój niezależności. Promieniści i węglarze otaczają Murata w téj próbie krótkotrwałej, na której końcu 13 paźdz. 1815 r. czekały jej twórcę kule kalabryjskie, a Włochy... stan dawny.

W Państwie kościelném naczelnik reakcyi kardynał Pacca tak przywracał stan rzeczy przed-napoleoński starannie, że zniósł szczepienie ospy i oświetlanie ulic. Neapolitański Ferdynand IV (I) przez tajny traktat z Austryą z r. 1815 zobowiązał się nadać swemu nowo nazwanemu królestwu obojga Sycylii konstytucy liberalniejszej, jaką mieć mogła Lombardya. Cofnął téż Sycylii liberalną angielską konstytucyą lorda Bentincka z 1812 r., i tak się opiekował dobrze krajem, że w 1817 r. było już 30,000 rozbójników.

Parma, pod rządem Maryi Ludwiki, b. cesarzowej, a później hr. Neyperg, i Toskania pod berłem syna Leopolda Ferdynanda III, była wyjątkiem choć w części na tém tle reakcyi, która szczytu dosięgła w Piemontcie.

Wiktor Emanuel I z Sardynii wróciwszy do Turynu, za jednym zamachem wrócił do systemu z 1770 r., do tortur, podziału stanowego. Chciał zniszczyć most wzniesiony przez Napoleona, i sprowadzić upadek drogi symplońskiej, nie dając na nią pasportów, tak nienawidził Francyi. Nawet ogrodnik królewski, jako dobry konserwatysta, wyrwał rośliny francuzkiego sadzenia w ogrodzie botanicznym turyńskim.

Tak upływał czas do 1820 r. Na wieść rewolucyi Riego Rafaela z 1 stycznia w Hiszpanii, i ogłoszenia tam konstytucyi z 1812 r., wybuch 2 lipca 1820 r. powstanie w Neapolitańskim, i pod wodzą Morellego, de Concillies i Pepego, z barwami Carbonarich (czarny, różowy i niebieski), tryumfuje. Ferdynand IV, zmuszony przyjąć ustawę z r. 1812, pod wpływem kongresu w Lajbach odbytego, wraca do Neapolu z pomocą Austryaków, i przywraca od dnia 9 maja 1821 r. dawny stan rzeczy z należytą energią.

W Turynie, hrabiowie: Santa Rosa, Balbo, ks. Karol Albert Carignan, oddawna nosili się z myślami o Włochach jednolitych, liberalnych. Miano zacząć od utworzenia królestwa północno-włoskiego. W ostatniej chwili ks. Carignan zawahał się, i powstanie wybuchło 10 marca 1821 r. pod wodzą Ansaldego i hr. Palmy, oraz Carbonarich, po abdykacyi króla na rzecz brata Karola Feliksa, i wobec dwuznacznej polityki Karola Alberta, skończyło się 11 maja austryacką okupacją i reakcją. Wzgardzony od wszech, Karol Albert uszedł do Francyi, i z ks. Angoulême na półwyspie Trocadero pod Kadyksem 1823 r. walczył z rewolucjonistami hiszpańskimi. Balbo uciekł do Francyi, Silvio Pellico i innych 40-stu uwięziono w Spielbergu i Lublanie. Systemat rządów nowego króla Piemontu Karola Feliksa (1821—1831) streścił się w zdaniu: „nie na to jestem królem, bym się tém (lub owém) trapił.“ Na nim wygasła mężka linia Sabaudzka.

Karol-Albert, od 1824 roku mieszkający w Turynie, a od roku 1829 wice-król Sardynii, od wstąpienia swego na tron zaczął powoli zmieniać system rządów. Czynił to bardzo powoli, ulegając dwu sprzecznym wpływom hr. Solar de la Margueritte ministra od 1833—1847 r., konserwatysty, oraz de la Vilamaryny, który w ministeryum uchodził za liberalnego, nadto jeszcze niektórych osób prywatnych (margrabia Alfieri, d'Azeglio, Petitti i i.).

Powoli król ustanowił radę stanu, skodyfikował prawa, powiększył Uniwersytet Turyński, cenzurę złagodził; choć pod nazwą historii wojennej Włoch, dozwolił od 1845 r. wykładów historii społecznej, potwierdził utworzone przez Cavoura Towarzystwo rolnicze (*società agraria*) z sejmikami, wydawnictwem i rzecz niesłychana!—z czytelnikami. Rogatki Genui (1846 r.) roztwarły się dla zjazdu naukowo-ekonomicznego. W r. 1844 ustanowił Karol-Albert medal, którego jedno pole

przedstawiało orła w lwa szponach, a na drugiem popiersie jego otoczyło dewizą: *czekam mój gwiazdy*. Gdy w 1833 r. chciano go zmusić do szybszego i wyraźniejszego działania, silną ręką zdławił znowę.

W liczbie wygnańców znalazł się Gioberti, kapelan królewski, późniejszy autor tezy takiego przodownictwa Włoch politycznego i moralnego (*Il primato civile e morale degli Italiani* 1842 r.) w całym w świecie katolickim, jak same Włochy miały się zjednoczyć pod supremacją papieża. W dwa lata później pojawiły się *Speranze* Balba (w Paryżu), które ofiarowane Giobertemu zauważały przeciw niemu, że chcąc pierwszeństwa, trzeba najprzód mieć równouprawnienie, a Włochom tego brak, brak autonomii. I wychodząc z tej zasady, szuka Balbo formy autonomicznej dla Włoch, wyswobodzonych od cudzoziemców. Nie zgadza się na jednolitość Machiavela monarchiczną, bo widzi dla niej przeszkodę w wybitnym indywidualizmie włoskich prowincyi, oraz w niemożności pogodzenia z tą formą bytu papieża. Tym mniej drobne rzeczpospolite miejskie średnich wieków zdają się Balbiemu odpowiednic. Zostaje federacya, dla której znajduje dowody za Grzegorza W., Grzegorza II, nawet VII-go i Aleksandra III. Przypomina za Wawrzyńca Medici związek Florencyi, Neapolu, Medyolanu. Lecz przede wszystkim precz z cudzoziemcami, a tu ani na chwilę nie waha się z wyborem środka. Przytacza, jak spiski Niemiec przeciw Napoleonowi, Hiszpanii przeciw Ferdynandowi VII nie udały się. Owszem, wręcz Balbo twierdzi, że Włochy spiskować nie umieją i raz nazawsze, jak Dante potępia sztylet Brutusa i Lorenzina Medici.

Pozostaje interwencya obca. Tak też ciągle było w dziejach włoskich. Jednych *barbari* wypędzano przez drugich; to też właściwie zmieniano panów. Balbo jeszcze jeden znajduje środek. Niech państwa włoskie (jak król Albert) czekają sposobności, a tymczasem kształcą żołnierzy i żeglarzy; niech związek celny będzie początkiem związku narodowo-politycznego; niech młodzież porzuci *wenty*, kędy zbrodnia nie wolność, lęgnie się w cieniu; niech wszędzie lud przyucza się objawiać miłość ojczyzny nie przez krzyki i inne zamieszki. Niech wszystkim celem będzie autonomia, a środkiem cnota obywatelska. A ową sposobnością, z której miały Włochy skorzystać, jest, zdaniem Balba, kwestya wschodnia. Umarł w epoce jej podniesienia (1853 r.). Inaczej mówiąc, Balbo powtórzył hasło arcyksięcia Jana i innych. Włosi, od waszej pracy i waszej cnoty, zależy wasza przyszłość. Z cudzej ręki nic nie dostaniecie. Działalność Karola-Alberta zdaje się w tym duchu rozwijać.

Nadchodzą wypadki 1846—1848 r. Marzenia Cantu zdawały się ziszczać. Papież, ów *pontifex maximus* Romy pogańskiej, zastępca znikłej nazawsze władzy cesarzów rzymskich, choć ich potem odtworzył na gruncie im obcym; papież Pius IX głosił erę swobód dla Włoch sfederalizowanych. Wszyscy monarchowie półwyspu abdykowali na rzecz swobody. Karol-Albert śmiało wystąpił do czynu. Obelga Raddeckiego w przedpokoju arcyksięcia Rajnera, rzucona wchodzącemu

księciu Carignan (z 1821 r.): „Oto przyszedł król włoski,“ miała się zamienić w rzeczywistość kosztem samego Radeckiego (w bitwie pod Goito)). Wszakże naprzeciw monarchii konstytucyjnej powstaje rzeczpospolita demokratyczna, wyhodowana po części przez konstytucję z 1812 r. Wenecya z Moninem, Florencya z Guerazzim, niedługo i Rzym z Mazzinim i Mickiewiczem dopełnią dzieła rozdziału, który rozpoczął niedawny głosiciel nowej ery.

Dnia 29 kwietnia 1848 r. wychodzi encyklika papieżka, która wedle słów d'Azeglia, sama wystarczyła do rozpędzenia wojska Włoch powstających. Jeszcze raz 1849 r. rozpoczynają walkę Włochy; generał Chrzanowski pomaga Karolowi-Albertowi, Gioberti, ultra-demokrata, obejmuje ster rządów w Piemencie, chce restaurować Leopolda i Piusa IX wojskami Piemonckimi. Wywołuje to powszechny w Europie popłoch. Klęski wojenne spadają na Piemont.

Znępany Karol-Albert ucieka do Oporto, gdzie umiera w klasztorze. Syn jego Wiktor Emanuel, spadłą koronę podejmuje, pod warunkiem zapłaty 7,500,000 indemnizacyi. Związek małżeński z księżniczką austriacką, zdawał się być rękojmią konserwatywnych pojęć nowego króla Sardynii. W reszcie Włoch znów restauracya kwitnęła. Karol III parmeński uczyniwszy ministrem swego angielskiego stajennego (Ward) a faworytem naczelnika żandarmeryi (hr. Anviti) tak dobrze rządził, że zginął (1854 r.) z ulubieńcem (1859 r.) zamordowany na otwartej drodze. Ferdynand II „król Bomba“ przez lud tak zwany, napełniał więzienia i galery; głuchym go znalazły trzęsienie ziemi z 1857 r. i powstanie barona Ventivenga oraz pułkownika Pisacane; nie wstrząsł go też zamach żołnierza Milano. W Rzymie było 13,000 więźni politycznych i 19,000 emigrantów. W Lombardo-Wenecyi wygnania i konfiskaty były na porządku dziennym. Zbiegowie z Piemontu protestowali. Amnestya i zniesienie sekwestrów za bytności cesarstwa obojga w 1856 r. w Medyolanie, mało rozdrażnieniu zapobiegło. Toskania jak wprzód była despotycznie, łagodnie, najłagodniej, najlepiej rządzoną. Piemont tymczasem z wolna dokonywa rewolucyi, za przykładem samego Giobertego, który zacząwszy od *Primato* kończył na *Jesuito moderno*. Cavour, w rzeczy walki z Austryą, jak na teraz płonniej, zgodny z Balbem; w sprawach innych rozchodzi się z nim. Sekularyzacya owoczesna, że tak powiem, Piemontu, przypomina czasy Piotra Sabaudzkiego i Karola Emanuela III. Próżno Balbo walczył w obronie konkordatu 1841 r.; za wpływem Cavoura coraz więcej znaczącego w ministeryum Massimo d'Azeglia, czynniejszego od samego prezydenta, zostają przyjęte w r. 1850 nowe prawa Siccarda, znoszące odrębne forum sądowe dla duchowieństwa. Jeszcze w tym samym roku Cavour objął ministeryum handlu i rolnictwa, potem marynarki, a w 1851 r. po Nigrze finansów i z prawicy przeszedł do prawego środka. Tu, jak 1849 r. związek zrazu handlowy a potem polityczny z obcymi monarchiami i wydobyte przez to Piemontu z osamotnienia stały się dla Cavoura hasłem polityki. Z niej wynikły handlowe traktaty

z celnym związkiem Niemiec, Anglią, Francją i Belgią wbrew opozycji protekcyjnej. Po zamachu Napoleona III, by nie razić liberalizmem monarchie, wniósł Cavour prawo ścieśnienia wolności pracy. Opór obu stronnictw wywołał projekt połączenia obu środków prawego (Cavoura) i lewego (Ratazzego) w jedną większość samodzielną, a w skutek tego i dymisją Cavoura (maj 1852 r.). Podróż do Anglii i Francji utwierdziła byłego ministra w dotychczasowej polityce. Już w listopadzie 1852 r. prawo o ślubach cywilnych nieprzyjęte przez kurę rzymską, obaliło ministerium, które był opuścił Cavour i teraz król polecił mu utworzyć nowe.

Skarb, handel i rolnictwo, od 1855 r. sprawy zewnętrzne są wydziałem Cavour'a. Bo chodzi mu przedewszystkiem o podniesienie ekonomicznego bytu królestwa Sardynii, by na tej zasadzie materialnej, silniej się dźwignęły pretensye moralne, w tamtych te znalazły grunt racjonalny. Chcą, bo mogą. Z Austryą nawet po powstaniu Mazziniego 1853 r. z pomocą mocarstw wschodnich, na których głównie się opierał, Cavour utrzymał zgodę, bo wypadało czekać pory odpowiedniej. Wojna wschodnia, uważana przez Balbą za taką, była nią i dla Cavoura. Piemont teraz, jak za „hrabiego zielonego,“ lubo po innej stronie walczy na Wschodzie, skromnemi siłami w istocie, ale zyskuje prawo zabrania głosu w układach paryżkich 1856 r. Już Włochy, choć pod przybraną mową Sardynii, decydują o losach Europy. Zaczyna się też i walka z Austryą. Prasa Piemontu przemawiać zaczyna ostro o Austrii, składki lombardzkie popiera Sardynia, lub zbiera swoje w Lombardyi. Nareszcie 1857 r. zerwane są stosunki dyplomatyczne. Orsini napróżno stara się zdrajczego Carbonara z 1831 r. zamordować (14 stycznia 1858 r.) w myśl stronnictwa Mazziniego, ale zato ze szczytu rusztowania rzuca Napoleonowi słowa: „Oswobodź mą ojczyznę, a 25 milionów rodaków będzie cię błogosławić.”

Na zjeździe w Plombières (czerw. 1858 r.) Cavoura z Napoleonem III, myśl zjednoczenia Włoch, przyjęta przez ostatniego za cenę Nizy i Sabaudyi. Mowy Wiktora Emanuela i Napoleona III, miane w 1859 r., zapowiadają mniejwięcej wyraźnie koalicją państw romańskich przeciw Germanom we Włoszech.

Ślub Klotyldy, córki Wiktora Emanuela z ks. Napoleonem (d. 23 stycznia 1859 r.) dodaje węzły rodzinne do sojuszu politycznego. Po pojednawczem wdaniu się Anglii i Rosyi i ultimatum posła austriackiego, zaczyna się wojna o niepodległość Włoch przejściem Ticina przez Austryaków (29 kwietnia), 28 maja armiafrancuzko-sardyjska zaczęła bój wstępny. Dnia 4 czerwca zwycięstwo pod Magenta odniesione przez sprzymierzonych, wywołało odwrót Austryaków; bitwa pod Solferino dnia 24 czerwca otworzyła wewnątrz czworoboku twierdz (Peschiera, Mantua, Weron, Legnano), flota francuzka stanęła przed Wenecją. Naraz w Villafranca zawarto 8—11 czerwca rozejm i preliminarya pokojowe między Francją i Austryą.

Trudność prowadzenia dalszej wojny nakazywała Francyi zaspo-koić się glorią dwu zwycięstw. Nad zjednoczenie całych Włoch pod zwierzchnictwem Sardynii, Napoleon przekładał konfederacyą włoską pod hegemonią papieża. Wenecya zostawała przy Austrii choć w konfederacyi; zdobycze na niej dokonane, cesarz Francuzów odstępował Sardynii; w dalszej przyszłości Napoleon chciał różne trony włoskie oddać Muratowi i ks. Napoleonowi. Zgodził się na konfederacyą Franciszek Józef tém chętniej, że Prusy przystawały na poparcie Austrii we Włoszech, ale nie jako państwo podrzędne, lecz spółzawodniczące. Przypomniął zatem sobie cesarz austriacki zdanie z 1741 r.: „Lepiej wszystkie włoskie posiadłości odstąpić Sardynii, jak stopę ziemi Prusom.”

Cavour podał się do dymisyi, choć wpływ austriacki przez pokój zurychski 10 listopada 1859 r. został we Włoszech zniesiony. Ratazzi i Lamarmora objęli ster ministeryum (w 1861 r.), choć nie w innym duchu. Zgromadzenie narodowe w Bolonii 8 września 1859 r. zażądało przyłączenia Emilii do Sardynii. Wiktor Emanuel przyjął żądanie, Napoleon zalecił papieżowi zgodzenie się, ale Pius IX odrzucił tę propozycyą. Nadaremnie, bo Napoleon w broszurze: *La Guerronier* a pod tytułem *Le pape et le congres*, już idąc za wypadkami, rozwijał teorią, że papież tém bardziej będzie sobą, im będzie miał mniej państwa świeckiego. W r. 1860 powszechne głosowanie wyrzekło przyłączenie Toskanii, Modeny i Parmy do Sardynii, już za ministeryum Cavoura, który układając z La Fariną, prezydentem *societa nazionale*, plan dalszych rewolucyi, dał mu wolność działania na swą rękę, ale i oświadczył, że go wyprze się w izbach. Podobnie Garibaldi'ego, gdy ten płynął z Genui do Sycylii wyparł się Cavour, i zalecił admirałowi Persano niby wstrzymać go, a istotnie zasłonić go od floty neapolitańskiej. Dnia 11 maja 1860 r. Garibaldi wylądował w Marsali, i ogłosił się dyktatorem Sycylii w imieniu króla Włoch Wiktora Emanuela. D. 7 września był już w Neapolu. Franciszek II, syn Ferdynanda II, schronił się w Gaecie, a Napoleon objeżdżając nowo nabytą Sabaudyą, dał znać Wiktorowi Emanuelowi, żeby zabrał Marchię i Umbryą, położył kres dyktaturze Garibaldi'ego w Neapolu, ale oszczędził *Patrimonium S. Petri*.

Dnia 9 paźd. 1860 r. Wiktor Emanuel przybył do Ankony, przyjął dowództwo nad wojskiem Cialdiniego, a w Neapolu dymisyą Garibaldi'ego, (który wrócił na Caprerę), i 13 lutego 1861 r. zawładnął Gaetą po trzech miesiącach oblężenia. Franciszek II z żoną udał się do Rzymu, ztamąd próżno opłacając awanturników obiecujących mu odzyskanie straconej korony, a w pięć zaś dni później, 18 lutego 1861 r. pierwszy parlament włoski otworzony w Turynie przez Wiktora Emanuela, powitał go jako króla włoskiego. Dnia 27 marca Rzym uznano za stolicę jego.

Chęci Amadeusza VIII, sięgającego *jako papież* po Rzym, spełniły się na drodze świeckiej.

Teraz praca wewnętrznej unifikacyi rozpoczęła się. Cavour podjął dawne zadanie wolnego kościoła w wolnym państwie, które od cza-

sów chrześcijańskiego papieżstwa a pogańskiego cesarstwa w Rzymie próżno dotąd starano się rozwiązać.

Uległ pod ciężarem zadania Cavour (umarł z wyniszczenia 6-go czerwca 1861 r.). Ricasoli i Ratazzi po roku ledwo kierują nawą włoską, darmo chcąc zmusić Rzym do ustępstw. Stracił zmysły Farina (1863—1866). Rok rządzi Minghetti (1864). Dwa lata przetrzymał Lamarmora (do 1866). Tymczasem *Italianissimi* wołali o Rzym i Wenecję: więc Garibaldi wylądował w Kalabrii, ale rząd włoski na rozkaz Napoleona, uznał wyprawę za karygodną, i Cialdini pod Aspromonte uwięził niedawnego towarzysza broni (28 sierpnia 1862 roku). Nareszcie Francya zawiera konwencyą wrześniową (1864), ograniczającą okupacyą francuzką Rzym do lat dwu, zastrzegając nietykalność reszty *Patrimonium S. Petri* i stolicę Włoch we Florencyi. W rok później, Prusy gotując sobie sprzymierzeńca do przyszłych wojen, zawierają w końcu 1865 rok traktat handlowy z Włochami, a 10 marca i 10 kwietnia 1866 r. włoski generał Govone zawarł w Berlinie traktat przeciw Austrii, warujący Włochom Wenecyą. Trentina odmówiono Lamarmorze. Ale 17 czerwca hr. Usedom, pełnomocnik pruski, zakomunikował mu pismo, w którym, wbrew naukom Napoleona, wojna z Austryą uznana za poważną; zalecono wtargnąć Włochom aż pod Wiedeń, i tam złączyć się z Prusakami, gdy inny oddział włoski miał poruszyć Węgrów, i na Szlaku z węgiersko-pruskim oddziałem się zetknąć. Tymczasem Austrya zobowiązała się Napoleonowi w wojnie z Włochami nieprzekraczać granic Wenecyi. D. 20 czerwca Wiktor Emanuel wypowiedział wojnę Austrii, a w cztery dni potem, w rocznicę bitwy pod Solferino, i w ośmnaście lat po pierwszej klęsce, Włosi ponieśli drugą pod Custozzą, poczem zawarto rozejm dwutygodniowy. W ciągu niego, zwycięstwo pod Königratzen (3 lipca), spowodziło odstąpienie Wenecyi (5 lipca) Napoleonowi, który ją przekazał Włochom. D. 17 lipca Persano z flotą włoską udał się ku wyspie Lisie, dla jej zdobycia, lecz tu 20-go został pokonany, a jednocześnie Cialdini zdobył przyczółek mostu na Padwie, Borgoforte, bez dalszych korzyści. Garibaldi zraniony 3 lipca w Tyrolu, pochodowi dalszemu musiał dać pokój. Generał Medici wysłany pod Trybeut, 24 lipca był już o dwie mile od niego, gdy zawieszenie broni w Nikolsburgu zawarte, położyło kres tej wojnie, której wobec zgodnej woli Prus, Austrii i Francyi, Wiktor Emanuel nie odważył się sam przedłużyć. Po rozejmie cztero tygodniowym, 3 paźd. wydała Austrya koronę żelazną Włochom, 9-go opuściła czworobok, wysadziwszy go w powietrze, 16-go wyszła z Wenecyi, którą 18-go Leboeuf w imieniu Francyi zajął, 21 i 22-go plebiscyt ogłosił wcielenie do Włoch, a 7 lutego Wiktor Emanuel wjechał do Wenecyi, nabytą raczej przez politykę zagraniczną, niż mocą własnych powodzeń. Wówczas w grudniu 1866 roku nastąpiło wykonanie konwencyi wrześniowej przez Francuzów, i w 1867 r. tylko sam Rzym był nie włoskim. Powtórna przegrana pod Mentaną przypłacił Garibaldi (3 listopada) zamach na tę wysepkę jeszcze obcą, i sprowadził

okupacją francuską Civita Vecchia. Nowa wojna Francyi z Prusami, dozwoliła zagarnąć Rzym opuszczony, i rozpocząć szereg aktów, z których ostatnim było otwarcie w Rzymie włoskiego parlamentu 27 lutego 1871 r. przez Wiktora Emanuela.

Odtąd Włochy zajęła praca może mniej świetna na zewnątrz, ale za to niemal ważniejsza od dotychczasowej. Teraz wypadło, osiągnięty cel pożądaný, najprzód spajać cząstki różnorodne, zlać dawne całości historyczne posiadające indywidualność dość jeszcze żywą, przyczem antyteza Piemontu wykształconego konstytucyjnie, monarchicznego do Neapolu i w ogóle Południa więcej bezładnego—republikanckiego nieraz się uwydatniła. Dalej wyłknięcie śladów długiej niewoli i jej skutków zajmowało tworzący się naród: więc najprzód rozbójnictwo w Kalabrii i Sycylii (*mafia*), na które najsrozsza wojskowa represya niemogła dotąd znaleźć dość energicznego środka wyłknięcia. Prawdopodobnie właściwe lekarstwo leżało w podniesieniu stopnia ogólnej oświaty, o którą troska wraz z pragnieniem dojścia do *pareggio* (równowagi budżetowej) zajmowała każde ministerium. Co prawda *pareggio* zagłuszało najczęściej inne kwestye. W ciągu prac nad jego osiągnięciem, (dodajmy), Minghetti wznowił niejako podatek od mlewa (*macinato*), i dał powód do niechęci między ludem tylko stopniem słabszej od téj jaką wywołał podobnym jeśli nie tym samym środkiem finansowym Prina minister skarbu Eugeniusza wice króla. Kwestya sekularyzacyi dóbr kościelnych a teraz kwestya kolei żelaznych równie są paląciami dla Włoch jak owe *pareggio* i rozbójnictwo.

Rozwijające się silnie uczucie republikańskie, jak i z drugiej strony pragnienia dalszego rozwoju granic włoskich, (czy to w Tyrolu włoskim, czy na półwyspie Bałkańskim, czy może w duchu tytułów byłego króla sardyńskiego, w Jerozolimie i Cyprze), i przyjaźń dość ścisła świeckich Włoch z świeckimi Prusami, cechować się zdaje ostateczne kierunki polityki wewnętrznej Włoch, przed śmiercią Wiktora Emanuela, który w rozwoju dziejowym Piemontu stanął na tym ich punkcie, gdzie poczęły być Włochami i już dokonaną przynajmniej z gruba budowę przekazał *drugiemu* królowi włoskiemu. Słusznie téż na pogrzebie Wiktora Emanuela niesiono koronę żelazną Lombardów, choć jej nigdy z uroczystym namaszczeniem niewdziak na głowę. Słusznie niesiono, bo ziścił ideę do jej posiadania się wiążącą. Słusznie ją tylko zniesiono, bo zbyt często była symbolem nie jedności wolnych ale niewoli niezgodnych Włochów na obcej głowie.

A teraz odpowiemy na pytanie, które bezwątpienia czytelnikowi nieraz się nasuwało: lecz to dzieje są włoskiego jednoczenia za sprawą Piemontu, którego edukacya do téj roli zeszkicowana na wstępie. Czytamy imiona i czyny Cavoura, Garibaldięgo, Lamarmory, i tylu innych jeszcze ministrów, a nie czytamy wskazówek działalności samego Wiktora Emanuela II? Jeżeli to pytanie zdołaliśmy wywołać w umyśle czytelnika; jeżeli ten rodzaj chwilowego zawodu powstał

w jego duszy, skoro doczytał do końca nasz szkic: to tym sposobem zmusiliśmy go do złożenia bezwiednie najwyższego hołdu dziejowej pamięci i zasługom monarchy, którego skreślić mieliśmy wspomnienie.

Mówią że szczęśliwe ludy, które historii nie mają. Jeszcze słuszniej rzec można, że szczęśliwy kraj konstytucyjny, o którego monarsze w jego dziejach tak mało wypada zrobić wzmianek, jak to uczyniliśmy w historii Włoch za Wiktora Emanuela. To właśnie jest najcenniejszą pochwałą jego, że osobistość jego, osobiste jego czyny, myśli i uczucia tak zlały się z podobnemi objawami ogółu, iż gdyby nie miłość, jaka otaczała tego *króla*, nawet ze strony *republikanów*, gdyby nie żałość którą byli przejęci jego nieprzyjaciele polityczni na wieść o jego zgonie, to mogłoby się здаwać że nic z włoskiego ustroju z dniem jego śmierci 9 stycznia 1878 r. nie ubyło. Wiktor Emanuel posiadał tę sztukę konstytucyjną pracowania przez kraj dla kraju.

Odkąd dnia 23 marca 1849 r. w wieczór kłęski pod Nowarą, młody wojownik już pod Goito przelewający krew za Włochy, wdział koronę królewską, odtąd nie zboczył na chwilę z drogi wierno konstytucyjnej, i po niej wywiódł Piemont z wązów Alpejskich na Kapitol. Twierdzą że dwie okoliczności szczęśliwe na ten rezultat złożyły się, iż z najwyższego poniżenia mogły Włochy za Wiktora Emanuela dojść do takiego świetnego rezultatu. Za jedną podaje Mazade system parlamentarny, który ostał się w Turynie wśród ruin rozpoczętego królestwa włoskiego. Z tém narzędziem w rękę można było dalej pracować. Wszakże najlepsza konstytucya, nie przez cztery ale przez setki lat układana, w niwecz pójdzie, jeśli ludzi niema. Znamy państwa, które z najliberalniejszymi ustawami upadały, gdy litera przestała być duchem, gdy do *obowiązków* nie dorastali ludzie, zdolni jednocześnie do *bohaterstwa*. Piemont miał na szczęście ten drugi warunek odrodzenia się, że ludzie, przygnębieni kłęską nowarską, nie stracili nadziei, postanowili rąk nie opuszczać, i co najważniejsza *umieli* pracować dla przyszłości. D'Azeglio, La Marmora, Cavour wzięli się do ciężkiego trudu, z świadomością celu i środków, z umiejętnością ich użycia. Czy duch czasu, sprzyjający formacyom geograficzno-etnograficznie zwartym, nie był trzecią dźwignią téj epopei zjednoczenia nie jest wróżbą na przyszłość dla innych, nie roztrząsamy, tylko rzucamy jako znak zapytania.

Wszakże ani konstytucya, ani ministrowie nie dokonaliby nic, jak słusznie w końcu zauważa Mazade, gdyby w pałacu turyńskim 1849 r. nie znalazł się rekonwalescent z śmiertelną w r. 1878 choroby, zdolny dynastyczny krzyż swój spowić nazawsze w fałdach włoskiej chorągwi, zdolny zerwać z absolutyzmem tak możliwym przy pomocy swego teścia i sąsiada arcyksięcia Rajnera i swych krewnych w Wiedniu, zdolny wstąpić na drogę, która znikła na przestrzeni między Gaetą a Rzymem, a która zwalając w gruncie rzeczy największą robotę i poświęcenie na króla, zasuwą go w dziejach w cień konstytucyi i ministrów odpowiedzialnych.

Faktem jest, że tylko na początku rządów, Wiktor Emanuel od zasad konstytucyjnych stale mu przewodniczących, odstąpił — po dwakroć, raz po raz odwołując się do narodu po to, by uzyskać parlament zgodny z jego wolą i dobrem narodu, przychylny zawarciu pokoju z Austryą zwyciężką. Od tej pory był powolnym sługą większości parlamentarną. Nawet gdy Nicotera nieprzyjazny monarchicznej władzy, tym sposobem legalnie mógł być ministrem, Wiktor Emanuel przyjął jego ministeryum. W walce o niepodległość i jedność zewnętrzną, mniej wypadło mu czynić ofiar z przekonań osobistych dla woli narodowej, ale też, jak to wynika i z naszego rysu, zasługi osobiste króla konstytucyjnego i to niezaprzeczone, znikają w obec jawnego działania jego ministrów. A jednak gdyby nie instynkt Wiktora Emanuela odkrywania i użycia ludzi odpowiednich w drodze konstytucyjnej: Cavour nie znalazłby poparcia dla swych rozległych projektów, nie zdołałby przeprowadzić Sardynii przez Krym do Europy. Gdyby nie wybór króla konstytucyjnego, La Marmora nie dokonałby reorganizacji wojska. Toć i Karol X wybierał ministrów jak Wiktor Emanuel, a jednak dziwny choć właściwy dla cnoty i zasługi największej sąd ludzki, pierwszy zostaje wciąż pod pręgierzem dziejów, a od drugiego głośniejszy jego wybraniec Cavour, lub pomocnik Garibaldi. W dziesiątku lat 1850—1860 wszystka zasługa spada na niewidzialnego Wiktora Emanuela, że umiał odrazu zostać królem konstytucyjnym; i tak zrobiwszy co do niego należy, dozwolił swobodnie urzeczywistnić się zasadzie ojca: *Italia fara da se*.

Chwała Wiktorowi Emanuelowi, że umiał zniknąć jako osoba, a potrafił działać jako duch, jako inicjatywa, zespolony z samym narodem, że jak poeta wziął naród włoski w siebie, sam w jego woli i dążeniach rozpląnąwszy się.

A gdy teraz spojrzymy na dwie postacie, z tak daleka w Rzymie się spotykające pod grobowym kamieniem, na końcu tak jednakowo zaczętej dla Włoch pracy, a tak różnie bo dla różnych idei skończonych; przychodzi na myśl zapytanie, w czémby ten papież, artysta cnoty, obdarzony niemal niewieścim darem zyskiwania serc wszystkich, był podobny do owego łowcy namiętnego, tego wojownika, wroga etykiety, który krew lał pod Goito, a pod Palestriną zyskał tytuł kaprała za osobistą odwagę i narażanie się, tego króla, który tęskni do obozu lub kniei, wzdrzyga się na samą walkę z Kościołem, a potrafi być dyplomata godnym zaufania miłości swego narodu, godnym podziwu mistrzów osiwiających w tej sztuce?

W czém eteryczna postać ewangelicznego miłośnika podobna być może do tego realnego zlepku przebiegłości i siły, zapału i wyrachowania, jowialności i umiesić szorstkich? Pytamy się, co może uprawniać paralelę Piusa IX i Wiktora Emanuela, których dzieje rozdzieliły, choć osobiste uczucia łączyły?

Podobno nie omylimy się, że tą wspólną podstawą, na której w dziejach i uczuciach osobistych zeszyły się te postacie, jest nieegoistyczne ukochanie idei wyższych, dla których swe życie poświęcili. Jednemu

kraj własny, drugiemu Kościół były celem; kaźden z nich w swym obrębie dla nich spełnił to, co sądził być swym obowiązkiem, a spokojny w swém sumieniu, że zadość uczynił pewnej od Boga danej do wykonania misyi, mógł ukochać nawet przeciwnika za to właśnie, że spełnił po swojemu pojęte swe zadanie.

SYN MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII-go WIEKU *).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

VI.

Sześciu palestrantów, zuchów wielkich, którzy u Seliga Pecztanera wzięli tak do serca kpiny znajomego im tylko z hulatyki pana Wincentego, że go porabali, i zobaczywszy we krwi pławiącego, uciekli, miało kilka dni potém niespokojnych. Następstw się obawiali, gdyby, broń Boże, ów pan Wincenty był zabity. Jeden z winowajców, śmielszej nieco natury, nazajutrz poszedł na zwiady, i od Mordka, posługującego u Seliga, który na dywaniku nosił porąbanego, dowiedział się za pół tynfa, że p. Wincenty żył i leżał u doktora.

Gdyby umarł, mieliby dużo kłopotu, ale gdy się okazało, że żył, i to dawało do myślenia. Znali go z poprzednich hulatyk wspólnych, że był okrutnie śmiały i w szable mocny. Czuli, że gdyby ich nie było sześciu, nigdyby mu rady nie dali.

Następnych dni jakoś się ten niepokój zmniejszył, a w ostatku nie widząc p. Wincentego, zupełnie ochłonęli ze strachu.

Aż tu w dni kilkanaście, jeden z obżałowanych zjawił się z ogromnym plastrem na twarzy. Był szpetnie cięty, i, do czego się nie

*) Dalszy ciąg — patrz zeszyt za kwiecień r. b.

przyznał, wyplazowany tak, że go dni trzy, leżącego na żołądku, żyd smarował, nim mu plecy dobrze podgoił... Gdy go o przyczynę plastra pytali towarzysze, zbył ich ni tém, ni owém, nie wzmiankując o p. Wincentym, któremu, salwując życie, zmuszony był dać słowo szlacheckie, że kolegom nie powie nic.

W parę dni, drugi z téj szajki, ukazał się z ręką na temblaku. I ten składał to na jakiś przypadek. Tylko pierwszy z drugim spojrzeli sobie w oczy i—musieli się zrozumieć, ale zmilczeli.

Wprędce téż przyszła kolej na trzeciego, który palce postradał. Czwarty miał ucho tak dobrze jak obcięte: wątpiono, czy przyrośnie. Piąty w łóżku lizał się trzy miesiące, a szósty znikł bez śladu.

P. Wincenty ukazywał się na ulicach z dawną swą butą, i po winiarniach gościł, a burszował i wyrabiał dziwy. Mówiono, że ko- goś, urazę doń mając, zmusił sześć razy przez kij skakać, i wyplazował, kilku niewinnych poobcinał. Bano się go powszechnie i z drogi mu schodzono. Ale przytém hojny był: poił, przegrywał, karmił, i w wesoly humor wpadłszy, śmiech z sobą przynosił, że się ściany trzęsły. Co robił w mieście nikt nie mógł odgadnąć. Zjawiał się, znikał, kilka dni wszędzie go było pełno, potem tydzień ani zobaczyć. W garkuchniach i winiarniach to płacił długi, to zaciągał nowe,— pańsko się znajdował i żydzi mu, mimo jego impetów, gniewów, zrzu- cania jarmułek, pieniędzy pożyczali.

Chodziła wieść, że to był syn marnotrawny wielkiego magnata, ukrywający swe nazwisko... Żydkiwie pocichu jednak to nazwisko sobie do ucha podawali.

Niektórzy z nich w chwalebny zamiarze wyśledzenia zatrudnień i stosunków zagadkowego młodzieńca, starali się kroki jego badać. Wiedzieli, że codzień wychodził na Winiary, i tam znikał. U Seliga Pesztanera jednak od owéj nocy pamiętnéj nigdy go nie widziano.

Mocniej interesowany w téj sprawie Fajwel, wiedział, że bywał i przesiadywał często u pani Strańskiej, i jakoś ramionami ruszał na to, jakby mu się to bardzo dziwném wydawało.

Pani Strańska, imieniem Balbina, zowiąca się wdową, mająca małą pięcioletnią córeczkę, była osobą jeszcze młodą, i dosyć nawet przystojną. Mieszkała we dworku kupionym na jéj imię przez wielkiego dygnitarza koronnego, którego miała być jakąś krewną, nie wiadomo—po mieczu, czy po kądzieli. O mężu swoim, ś. p. Strańskim, ani ona nigdy nic nie mówiła, ani ktokolwiek wiedział, co był za jeden. Pełnomocnik dygnitarza wypłacał jéj dosyć nieregularnie pensyą, która przy dworku, całę porządny, starczyła na życie.

Pani Strańska zresztą była nadzwyczaj surowej moralności osobą, niesłychanie pobożną, z pewną ostentacją nawet, i nie czyniła wstydu dygnitarzowi, który się nią opiekował. Poświęcała się wychowaniu pięcioletniej swéj Helusi, praktykom religijnym bardzo ostrym i cokolwieczek téż zbieraniu gawęd i plotek ulicznych, bez których tru-

dnoż bo wyżyć cnotliwej osobie, gdy sama z pola zszedłszy, nieprawości ludzkich zostanie spektatorką.

Powierzchność pani Strańskiej ze wszech miar była dystygowaną.

Niemozna było powiedzieć, ażeby się stroić lubiła lub za modami nowemi ubiegała, jednak zawsze wychodziła tak do twarzy, pięknie przyodzianą, tak starannie przybraną, ufryzowaną, zakwefioną, że miło na nią było popatrzeć.

Twarz miała jeszcze bardzo piękną, choć się musiała zbliżać ku czterdziestce; właśnie rozkwitała tą drugą młodością, niewieścią, która czasem ma niemal świeżość pierwszjej, a niebezpieczniejszą jest od niej. Chodziła z oczyma spuszczone, z ustami uszurowanemi, drobnemi kroczkami, unikając wejrzeń śmiałych, stroniąc od mężczyzn; ale gdy wejrzenie jej padło na którego z nich, parzyło, powiadali, jak ogień.

Dostąpić do niej było nadzwyczaj trudno: młodzież próbowała, i nieudawało się jej. Starsi duchowni, osoby poważne, niewiasty podziły: stanowiły jej towarzystwo.

Jakaś choroba, na którą była zapadła, a którą Mellini nazywał, śmiejąc się, imaginacją, zbliżyła starego eskulapa do miłej jeszcze wdówki. Musiał z powodu choroby tej bywać u sąsiadki, a że nadzwyczaj dlań była uprzejmą, niemal nadskakującą, jak gdyby go za serce chwycić chciała, Mellini, mimo swego sceptycyzmu i nieosobliwych wyobrażeń o kobietach, polubił pochlebnicę.

Najlepszą kawką i śmietanką z kozuszkami, najsmaczniejszemi sucharkami go przyjmowała. Posyłała mu przysmaczki, i poznawszy w nim słabość tę, że jeść lubił, — karmiła go tak skutecznie, że w końcu przepadał za nią.

Być może, iż pani Strańska miała względem starego inne jeszcze projekta, okazywała mu bowiem czułość nadzwyczajną i upewniała, że starszych mężczyzn przenosiła nad młodych, zaręczała zarazem, że się jej wydawał w samej sile wieku. Patrzała nań czasami tak, że można ją było posądzić o czulszy sentyment dla łysego i opastego Włocha. Mellini w tym dosyć smakował, ale dalej się nie posuwał, i podobno w ostatnich czasach dał wdowie do zrozumienia, że miałby za głupca człowieka, któryby się w jego wieku żenił.

Z tego powodu zwawą mieli kontrowersyą z sobą: Mellini się jednak nie dał przekonać. Przez dni kilka chłodno go traktowała wdowa, i na tym się skończyło. Wrócili do dawniej konfidency. Dogadzało to doktorowi, że osobę tak przyjemną, pobożną, surowych zasad, miał dla towarzystwa Pepity; zdawało mu się bowiem, że ta odrobina zalotności, jaką jemu okazywała, była oczywiście tylko dla niego. Stary wiedział, że się przecież dowcipem swym mógł podobać, a powierzchność miał nie odrażającą. Że wdówka mogła chcieć się wydać za niego, nic w tym zdrożnego nie znajdował.

Pepita niemal codziennie chodziła do sąsiadki, z dziecinną swą prostotą podzielała zabawy pięcioletniej Helusi, a w rozmowach z panią Strańską czerpała wiele ciekawych wiadomości.

Wdowa, przy Mellinim nadzwyczaj ostrożna i nie wygadująca się, z przyjaciółką stawiała się gadatliwą, i najczęściej tak się składało, że mowa o mężczyznach była.

Pani Strańska zdawała się przejętą niebezpieczeństwem, jakie groziły pięknym twarzyczkom na świecie: opowiadała historie rozmaite budujące, a czasem tak się w nich plątała, że Pepita mogła sądzić, iż z własnego życia czerpała. Niejeden raz zamiast powiedzieć: — ten ją pocałował! — wyrwało się ję: — a ten mnie pocałował. Ale natychmiast się poprawiała: — co ja gadam!

Niemniej mnożąc te opowiadania z życia przyjaciółek nosiły na sobie takie piętno prawdy, że Pepita myślała niekiedy: — ale czyżby ona mogła mieć tyle romansów!

Nie było to dla młodego dziewczęcia najlepsze towarzystwo, bo gdy się sam na sam zostały, a Helusię z lalką odprawiono do kąta, mówiono o zdradziectwach mężczyzn, o ponętach miłości, o rozmaitych szwankach istot niewinnych, co Pepicie dużo do myślenia dawało. Wprawdzie historia każda kończyła się morałem surowym, tylko że zakończenia te jak przyszyte i przyfastrzygowane niezręcznie wydawały się słuchającym.

Każdego dnia regularnie pani Strańska udawała się do kościoła, i lubiła być w nim widzianą. Znano ją z gorliwości tej i była w wielkich łaskach u duchowieństwa. Procesya się żadna bez niej nie obezła, i nigdy przed zupełną konkluzją nabożeństwa nie wysunęła się z kościoła. Nazywano pobożność jej budującą.

W istocie tak się z nią urządziła, że biła w oczy. Umiiała zdobyć pierwsze miejsce lub przynajmniej najwydatniejsze. Chociaż miała i kościoły swe i kaplice i ołtarze uprzywilejowane, jednakże przy większych odpustach wszędzie jej pełno było. Szczególnie zaś lubiła modlić się do relikwii dominikańskich, jak wiadomo, na cały świat sławnych. Tu ją zastać było najczęściej można, nawet na niesporach. Tu też jednego wieczora, u święconej wody na wychodnym, spotkał ją jakiś młodzieniec, który modą zagraniczną, nie tylko jej ofiarował wodę, ale jej przy wyjściu towarzyszył. Panicz był całą gębą i piękny tak, ale tak, że surowa nader w zabieraniu znajomości pani Strańska uległa czarowi tej fizyognomii, nie tylko go nie odstręczyła, a na zapytanie odpowiedziała, i wcale nieopatrznie dała mu z sobą zawiązać rozmowę. Była sama, w ulicy jakoś nie było nikogo, młodzieniec się jej wydał ekstra-dystyngowany, a był nadzwyczaj przystojny.

Przystąpiwszy zrazu do wdówki z respektem i niby nieśmiało, w bardzo krótkim czasie zmienił ton ów nieznamy. Przysunął się jej do ucha i począł.

— Paniunciu, dobrodziejko najłaskawsza, jest tego nader pilna potrzeba, daj mi z sobą pomówić na osobności.

Oburzyła się i tonem i poufałością, niezmiernie pani Strańska, najeżyła, nasrożyła, i miała już na ustach: a cóż to jest? czy coś podobnego, gdy młodzieniec jej przerwał:

— *Panno Balbino!*

Jak piorunem rażona stanęła, zbladłszy mocno wdowa.

— *Panno Balbino*, ja *Miecznika* doskonale znam, historią waszą wiem; bądźmy przyjaciółmi, bo mogę mieć język długi: będziemy przyjaciółmi, a będzie nam z tém obojgu dobrze.

Nikogo jakoś w ulicy nie było, młodzieniec bez ceremonii ją ujął w pół: wyrwała mu się zaraz, ale koniec końców poszedł z nią do jęj dworku. A że niewiadomo dlaczego ulicą iść do niego nie chciał czy on czy ona, poszli ogrodami i ścieżką z tyłu.

Młodzieniec ten, nie kto inny jak *Wicek Szarzak*, zwany wojewodzicem, przybywszy do dworku z panią *Strańską*, zamknął się z nią na konferencyą i siedział dwie godziny.

Gdy wyszedł, byli z sobą w jak najpiękniejszej zgodzie, przed służącą go nazwała kuzynem, szeptali coś, śmieli się... i... nazajutrz odwiedziny w innéj porze się powtórzyły. Do zupełnego przyszli wiadać porozumienia, gdyż pani *Strańska* nawet odwiedziła, wracając z nabożeństwa, swojego kuzyna, mając mu coś ważnego do zakomunikowania.

Tegoż dnia wieczór, albo raczej pod wieczór, *Pepita* była zaproszona na kawkę do przyjaciółki. Zaczęły z sobą zwykłą rozmowę o przeniewierstwach mężkich.

— A ja powiadam—wtrąciła w nią *Strańska*—że jak która z nas umie sobie radę dać, to niema takiego mężczyzny, z którymby nie zrobiła co chciała. Jak *Boga* kocham, jak mamę kocham!

Strańska to zaklanianie się lubiła.

— Tylko na to jednéj rzeczy potrzeba—dodała—na co nieraz oczy moje patrzyły. Żadnemu nie wierzyć, a choćby się go kochało, nigdy mu tego nie pokazywać!

Pepita słuchała. Nagle *Strańska* się obejrzawszy dokoła, przysiadła ku niéj.

— Serce moje, przyznaj ty się mnie, jak mamę kocham, nie wydam z sekretu; prawda, że tobie po główce chodzi ten śliczny chłopak coś to mu życie ocaliła?

Pepita się zarumieniła okrutnie i chciała zaprzeczyć.

— Już ty mi tego nie mów, ja się na tém znam; ty jak o nim wspomnisz, inaczej ci oczy pobłyskują. A ja ci tylko powiem, że ja czuję, przeczuję, jak mamę kocham, że ten wojewodziec za tobą szaleje.

Uśmiechnęła się figlarnie bardzo. *Pepicie* słów zabrakło, była pomieszana niezmiernie. Aby zrozumieć co nastąpiło, trzeba wiedzieć, że poufne rozmowy ściśle i serdeczną przyjaźnią połączyły panią *Strańską* z *Pepitą*. Umiała ją sobie pozyskać. Miała całe jęj zaufanie: była pewną że dziewczę prawdę jęj powie.

W chwili jednak gdy to wyznanie miało się wyrwać z ust włoszki, zawstydzona się, sił jęj niestało, główkę ukryła w dłoniach.

— Ale czego się to wstydzić! czego? przedemną, przyjaciółką, co ciebie kocha nad życie: taić! To jest rzecz naturalna, że wy się kochacie, bo wyście dla siebie stworzeni.

Pepita się przelekła.

— A zkądże ty, Balbisiu, nieznając go, sądzić o tém możesz?

— No... tak... widzisz... przeczuwam—rzekła Strańska tajemniczo—a może ja coś i wiem, może ja, może ja go kiedy widziałam...

Dziewczę się zerwało i padło jój na szyję z takim porywem gwałtownym, że wdowa aż się nieco zmieszła z kolei.

— Balbisiu! — zawołała Pepita odstępując nieco od niój — nie budź we mnie téj miłości, którój ja się sama boję. O! obraz tego człowieka, gdy tam leżał, a! jaki on był piękny... a ten pocałunek na mojem czole, za który się gniewam... pali mnie dotąd. On mi się śni... ty....

I nie mogła dokończyć. Strańska poczęła ją tulić i ścisnąć.

— Ale to taka miłość niebaczna—dodała ciszej Pepita—która musi marnie w mém sercu zginąć, wyjadłszy mi je. Wuj go niecierpi, a potem to jakiś wielki pan, i mówią wszyscy że wniwecz popsuty, pijak, burda!

— Co znowu! co znowu!—przerwała Strańska. Pijak! burda! a od czegoż młodość? a który z nich inny? ale to się potem tak zmienia że ani poznać. Położy łapki przed tobą, ani go będzie poznać. Co ma do tego że wielki pan? Jak go rozkochasz, to się ożeni!

Pepita usta jój zatuliła. Tajemnie żywione uczucie, wzmożone nagle tym wybuchem przerażało ją.

— Nie mów—zawołała—nie, zawracaj mi głowy! oszaleję. Po co mam się rozmarzać daremnie.

— Wcale nie daremnie—przerwała Strańska—tylko mnie słuchaj, a ja ci ręczę że będziesz go miała...

Pepita schwyciła ją za ręce, i z naiwnością dziecka, poczęła je całować.

— Balbisiu nie mów! oszaleję!

Strańska się rozśmiała.

— Jak ty mu to pokażesz odrazu że go tak kochasz, no! toś przepadła. On nad tobą, nie ty nad nim będziesz panować.

— Ale gdzież, jak ja mu to mogę pokazać, kiedy ja go już w życiu nie zobaczę może.

Wdowa się na chwilę zamyśliła, podeszła ku niój i szepnęła:

— Przysiąż mi że wujowi ani słowa!

Pepita się zlekła trochę i zawahała. Kryć się przed tym dobrym wujem, który ją tak kochał, sumienie niedopuszczało; ale miłość biła w sercu tak gwałtowna. Włoska krew się w niój odzywała. Opuściła główkę zadumana.

— Nie bój się—szepnęła Strańska—Mellini się później na wszystko zgodzi, będzie rad, ale teraz on nic wiedzieć niepowinien.

Pepita oczy czarne na nią podniosła.

— Ty go znasz?

Strańska głową dała znak potwierdzający.

— On tu jest?...

— Dla ciebie tylko się tu został—szepnęła kusicielka. Głowę mu zawróciłaś, szaleje; na kolanach błaga aby się mógł widzieć i zbliżyć.

— A! nie! nie! to nie może być!—zakrzyknęła Pepita—jest gwałtowny, napastliwy... Ja go kocham, ale ja się go boję.

— Przecież ja na krok od was nie odstąpię—dodała Strańska.

Nastąpiło milczenie, Włoszka rzuciła się na szyję przyjaciółce, objęła ją rękami i nie mówiąc okrywała pocałunkami.

Zaczęły pocichu szeptać z sobą. Pepita zasiadła się u niej tak długo dnia tego, że Gawłowska po nią przyjść musiała, przypominając wieszczkę. Rozstały się szepcząc jeszcze i Pepita dwa razy z sieni wracała.

Doktor, który już u stołu siedział, zdziwił się, widząc wchodzącą siostrzenicę jakąś pomieszana, z wypieczonemi rumieńcami na twarzy. Zapewniła go Pepita, że się tak z Helunią bawiły. Niestety! już kłamać musiała, a myśl o tém zalała jej twarz nowym rumieńcem.

Mellini był w wybornym humorze, dopytywał się o wdowę, żartował z niej trochę; siostrzenica milczała.

Rola Strańskiej, do której groźbą niepoczciwego Wicka została zmuszona, nie bardzo jej była na rękę, w chwili gdy właśnie inną odegrywała. Obawiała się jej skutków, lecz zawczasu waząc wszystko, spodziewała się swe pośrednictwo w tej sprawie zatrzeć i zataić. Dalej, zdawało się jej, że gdy Mellini zagniewany na wychowankę, osamotniony pozostanie, któż wie, czy się nie da uwikłać i związać stulą?

Mówiła więc sobie, że byle rozumnie, może wyjść wcale dobrze na swém przyjacielskiem dopomaganiu dwom sercom rozgorzałym. Następstwa dalsze niewiele ją obchodziły. Jeśli mogła pewna panna Balbina być przez pana miecznika skompromitowaną, dlaczegóżby jakaś tam Włoszka lepszą od niej być miała? Jak wszystkie upadłe istoty, znajdowała w tém niemal przyjemność, że inne jej los dzieliły. Ze względu jednak na Melliniego potrzeba było nadzwyczajnej ostrożności. Starzec chwilami był przenikliwy, niedowierzający, a Pepita, dziecko nieostrożne. Ale miłość tak rychło kłamać uczy!

Po wyjściu Włoszki, Strańska długo rozmyślała i uspokojona poszła zasnąć, kazawszy się nazajutrz tak obudzić, aby na prymaryą do Dominikanów trafiła.

Jakoż nim książd wyszedł i zasygnowano, już była w ławce.

Wicus stał pod ścianą i czekał, zeszli się w progu kruchty.

— A co? najśodsza dobrodziejko moja, mój ty pączku z konfiturami słodczy pełny!—zapytał wisusowato się do niej garnąc wojewodzie.

— Jak się waćpanu zda?

— Z oczów ci patrzy, żeś dokazała!

Kiwnęła głową.

— Nie wprzódy, jak o mroku i to od ogrodów.

Zbliżyła się do niego.

— Tylko proszę nie straszyć jój i mitygować się.

Pogroziła paluszką tłustym.

— U waćpana w sercu prawdziwej miłości ani za grosz, tylko rozpusta, a to dziewczę jak łał to aniołek!

Westchnęła.

— Ja kłamać ci nie będę—zawołał śmiejąc się wojewodzie—moja miłość nie jest czysta, ale zato dyabelnie gorąca... Już to trudno, kochana Balbisiu, każdy tylko tém służyć może, co ma.

Wachlarzykiem, przy którym wisiął różaniec, p. Strańska klapsa mu dała.

— Paskudnik!—szepnęła.

Wojewodzie węża pokręcił.

Poszli małą uliczką razem kroków kilkanaście i Wicek się zawrócił biegiem do domu.

Wieczorem nim mrok padł, już Wicek siedział w pokoju sypialnym pani Strańskiej, gdyż obawiała się niespodzianego najścia doktora, który czasem i wieczór do niej zachodził.

Pepity długo nie było. W chwili stanowczej zabrakło jój mężstwa, przelękła się, chciała się cofnąć; potem przemówiło serce; obraz téj twarzy zbolałej stanął przed jój oczyma, żal się jój zrobiło rojonego szczęścia, choć przeczuwała, że je drogo opłacić może: rzuciła się biegiem prawie ku dworkowi Strańskiej.

O niewiele chodziło, że uratowaną być mogła. Właśnie gdy tylnymi drzwiami wpadła do dworku, od ulicy wchodził doń doktor. Strańska, oczekująca na nią w saloniku, ujrzała razem z jednej strony z wesołą miną wsuwającego się doktora, z drugiej strwożoną Pepitę.

Przestraszyła się mocno i zagadała głośno, lękając się, żeby wojewodzie nie wypadł ze swój kryjówki; głos donośny a wesoły doktora jakoś go wstrzymał. Pepita, napół omdlała, padła na krzesło.

Mellini powracał z miasta. Zagaił rozmowę, usiadłszy, o deszczu i pogodzie; potem o burmistrzu, który nogę był złamał: naostatek ni z tego ni z owego, o owym nicponiu, łotrze, którego z ran wyleczył, a który się po mieście dotąd włóczył i ludziom uszy obcinał. Słuchający poddrzwiami wojewodzie, kłaniał się za niemi doktorowi, ironicznie przyjmując dawane sobie pochwały. Przepowiadał potem Mellini, że się zuchwalec doigra wreszcie, że go drugi raz palestranci naprawdę dobiją.

Wojewodzie pokiwał na to głową. Nie obchodziło go wiele, że doktor się o nim tak złośliwie wyrażał; niecierpliwit się, że zadługo siedział.

Pepita czerwieniła się, słuchając, i mięła chusteczkę w rękach, wdowa pokaszliwała, aby głosu Melliniego nie dopuścić do uszu ukrytego wojewodzica. Jakby na złość doktor zasiedział się dłużej niż

zwykle, nareszcie za łaskę wzięwszy pożegnał gospodynią, zalecając siostrzenicy, aby i ona nie bawiąc, wracała do domu.

Mamyż opisywać scenę, która nastąpiła po wyjściu doktora?

Wedle umowy, wojewodzie powinien być pozostać w gabinecie aż mu otworzą i wezwą go; ale nie wytrzymał i nie posłuchał, wyrwał się natychmiast, biegnąc do przestraszonej Pepity.

Pierwszy, ów gwałtem wzięty pocałunek, mógł już dać miarę, jak się gorączkowy młodzieniec będzie z ukochaną obchodził. Miłość to była wojewodzica dla mieszczańki, przybrała więc ówczesne formy poufałe i napastliwe; ale na pierwszym kroku piękna Włoszka odtrąciła natręta i zmusiła go do przyzwoitszego zachowania się z sobą. Pogroziła, że ani chwili nie zostanie dłużej, stała się dumną i gniewną prawie: piękny Wicek musiał się stać polityczniejszym nieco. Pomimo to i ręce gwałtem pocałunkami okrywał i przysiadł się zbyt blisko i odrazu tak poufałe ją zwał swą najdroższą Pepi, że mu się trudno było obronić. Włoszka była seryo i prawie łzawa, on wesół i roztrzepany. Nim się do pewnej harmonii jakiegś nastroił, upłynęło pół godzimy. Pepita wstała i zapowiedziała, że odchodzić musi. Napróżno było błaganie. Na stronie zaś na ucho oświadczyła wdowie, że nazajutrz nie przyjdzie, jeżeli wojewodzie słowa nie da, że będzie przyzwoitszym.

Wicek słowo dawał na wszystko, czego po nim wymagano, z mocnym postanowieniem niedotrzymywania.

Przypomnieć sobie trzeba, że to była chwila tak dziwnego obyczaju, iż w salonie wojewodzicowej Mściśławskiej, matki księcia, francuz Mehee, widział młodego generała nieznanome panie całującego publicznie w ramiona. Młodzież bujna, do której należał właśnie wojewodzie, pozwalała sobie nad miarę. Nie mógł więc pojąć zepsuty Wicek, ażeby to, co w salonach uchodziło, w dworku miało być mu wzbronionem.

Po wyjściu ślicznej Pepity, nagrodził sobie zuchwałem obejściem się z wdówką, która wprawdzie krzyczała zcicha, ale za złe, poufałości ładnego chłopca nie brała.

— Niech sobie to pan wojewodzie powie — odezwała się w końcu — że to jest pieśczone dziecko, które wymaga, ażeby padać przed niem i szanować je! Pan tu tak obcesowo nic nie wskórasz....

— Rozumiem — rzekł Wicek — potrzeba chytrłości węża, zawracania oczów, westchnień, słów jedwabnych: no! to i to potrafię, bo szalenie ją kocham!...

To mówiąc pocałował wdowę, która krzyknęła i rozśmiała się i wybiegła.

O kilkanaście kroków od dworku spotkał jednego z tych sześciu, którym dał naukę, stojącego jakby na posterunku.

Był to niejaki Pusterski, urwisa kawał, który dostawszy od wojewodzica tęgie płazy, chociaż mu palec na palec założywszy przysięgał, że on go nie rąbał, przywiązał się dziwnym sposobem do niego.

Zbity i złajany przeprosił wojewodzica, pocałował go w rękę i prosił tylko o pozwolenie, aby mógł mu służyć i dowieść, jak go weneruje. Wicek, jak wszyscy ludzie jego temperamentu, lubiał się otaczać takimi służkami. Poił go, drwił z niego, posyłał, posługiwał się nim, dawał mu czerpać z swojej kieszeni, a gdy był sam, tęsknił za tym cieniem, do którego przywykł, że się za nim wszędzie włóczył. Spozstrzegłszy go wojewodzic uśmiechnął się i pomyślał, że ani pudel nie mógłby służyć mu wierniej. Poszli tedy razem do miasta.

Pusterski nie ważył się nigdy iść obok wojewodzica, towarzyszył mu z lewej strony, o pół kroku idąc za nim, słuchając, śmiejąc się i potakując.

— Słuchaj ty trutniu! Pusterko!—rzekł mu Wicek—kiedy ja tu chodzę, na Winiary, nie potrzebujesz mi następować na pięty! rozumiesz! Zobaczy cię kto że tu stoisz i czekasz, a widują cię ze mną, zaraz zwachają, że ja tu też być muszę.

— A! prawda!—odezwał się Pusterski—jak Boga kocham. A pan nie chce, żeby ludzie wiedzieli, że do tej dewotki chodzi!

Zaczął poprychiwać.

— Tę Strańską, proszę jaśnie wojewodzica, to tu caluśkie miaso zna, a myślą wszyscy, że do niej ani się zbliżyć, tak świętościami obłożona, a tu! cha! cha!...

— Nie pléże i ty! a gębę stul!—dodał Wicek.

— El to się rozumie! tylko ja to sobie myślę, komu tu już na świecie wierzyć!—rzekł Pusterski.

Wojewodzic go klasnął po ramieniu, aż się ugiął, zaświstał... poszli dalej.

Pepita wróciła do wuja, pomimo całej mocy nad sobą, nie mogąc po widzeniu się z wojewodzicem ochłonać jeszcze. Znalazła go innym niż chciała. Było w nim, jakby dwu ludzi: jeden, który jej był nad wyraz wszelki miłym i drogim, ten, którego widziała raz pierwszy, wpół umarłym i jakiś drugi, który ją przerażał i niemal się stał wstrętnym. Z tych dwu, który miał zwyciężyć? który był prawdziwym, a który kłamliwym? pytała sama siebie i odpowiedzieć nie mogła.

Gdy po chwili spoczynku w swoim pokoiku, po staranném przejrzeniu się w lusterku, wyszła Pepita do wieczery, doktor nawykły czytał w jej twarzy, znalazł na niej ślady przejścia jakiegoś gwałtownego wzruszenia, choć się starała być spokojną.

— Ta twoja przyjaciółka Strańska—odezwał się popatrzwszy na siostrzenicę—choć niby kobiecisko dobre, ale koniec końców, ona ci musi nie wiedzieć czém głowę zawracać, bo to taka święta prawda, co mówi nasza poczciwa mądrość narodowa: *Le donne son sante in chiesa, angede in strada, diavolo in casa, eivelle alla sinistra, e garze alla porta* (kobiety są w kościele święte, na ulicy anioły, w domu szatany, w oknie sowy, a na progu sroczki).

Machnął ręką.

- Ile razy wracasz od Strańskiej, zawsze masz trochę gorączki.
 — Ja! co to się wujowi przewiduje!
 — Doktorowi się nie może przewidywać. Albo się nadto męczy z jej swawolną Helusią, albo ci ona androny prawil!
 — Czyż mi się już zabawić nie godzi?—szepnęła Pepita.
 — A! dziecko moje? baw się pókiś młoda—zawołał doktor—baw się, szalój, byle po dziecinnemu, i lepiej z Helusią niż z jej matką. Strańska poczciwa kobieta, *ma gazza* (ale sroka) nietylko we drzwiach, ale i za drzwiami. Może ci głupstwami głowę nabita...

Spojrzał na rumieniącą się i pożałowawszy wnet surowości swój i podejrzeń, ucałował odwracając rozmowę.

Dziwna przenikliwość wuja smutkiem oblała twarz Pepity, uległa się tych oczów, które jej aż do głębi duszy zaglądały.

VII.

Pan Pusterski był rodzajem dependenta przy sławnym w owe czasy, nie tylko w Lublinie, ale i w stolicy mecenasie, prawniku, pełnomocniku wielu magnatów, przyjacielu niektórych, panu Hermanie z Daliborza Daliborskim.

Daliborski właściwie mecenasem nie był, ale więcej niż nim, i wszyscy, starzy nawet wielce go szanowali. Kim był w istocie, trudno się da określić: podobnych ludzi dziś już niéma; rodziła ich epoka i stosunki, z nią razem i z niemi znikli. Typ to był właściwy końcowi XVIII wieku. A najprzód omyliłby się, ktoby go sobie wystawiał podobnym do jednego z tych jurystów, których wizerunek nam pozostał ówówek Norblina.

Pan Herman z Daliborza Daliborski był młodzieńcem (miał zaledwie lat trzydzieści kilka) najlepszego towarzystwa, przyjmowanym poufale w najpierwszych domach, dobrze widzianym i znanym na dworze, przyjacielem wielu królewskich sekretarzy i szambelanów. Książę Ghighiotti kochał go i protegował, lubił go Trembecki, całował w twarz Węgierski, najlepsze stosunki łączyły go z generałem Komarzewskim, z Kickim. Bywał na pokojach u pani Krakowskiej, przyjaźnił się z wojewodą Mokronowskim, w stolicy miał stosunki rozliczne i ogromne.

Spojrząwszy nań, niktby w nim człowieka do interesów nie domyślał się: elegant był po swojemu, w mieście jeździł kareta, dawał obiady, wieczory z barytkami ostryg, pił z hetmanem kto lepiej, strzelał z pistoletu wysmienicie i najdzikszego konia dosiadał.

W rozmowie jego głośniejsze słowa nigdy o interesach nie było, ale o kobietach, zabawach, przejażdżkach, grze i ucztach.

Tymczasem w trybunale bez Daliborskiego nikt nie stąpił. Trzeba było pozyskać prezesa deputatów, potajemnie rejestr podpędzić lub ociągnąć, przez nikogo się to nie dało zrobić, tylko przez niego. Robił albo darmo dla przyjaźni, albo za grube pieniądze, których

nigdy nie brał dla siebie. Na migi pokazywał że wszędzie coś musiał wtykać.

Człowiek był dowcipny, najmiłszy w świecie, zawsze wesół, zdający się wiecznie próżnować, w ciągłych przejazdach, lataniu, na stu miejscach jednego dnia nie znużony. Czasem grywał faraona do czwartej rano, gdy o dziesiątej miał w sprawie głównej przed kratkami stawać.

Nie było prawie praktyki ażeby się Daliborskiemu co nie powiodło. Cisnęli się też doń wszyscy, a kto go miał, mógł spać spokojnie. Zkąd ten geniusz uniwersalny, który wszystko umiał i znał się na wszystkim, wyszedł, gdzie się uczył, dochodziły o tém głuche podania, pewności nie było. Daliborski nie mówił o swój przeszłości, zdawał się ją chceć zataić.

Na ucho szeptano że był dzieckiem naturalnym jednego z dostojników wielkich, męża znaczenia niezmiernego w Rzplitej, jednego z najrozumniejszych ludzi w kraju, który mu dał wychowanie i wprowadził go w świat. W istocie bardzo młodo miał sobie powierzone interesa księcia kanclerza, ale to nic nie dowodziło, i plotka mogła być bajką.

Ów Daliborz z którego się pisał Daliborski był maleńką wioszczyzną na Podlasiu, z której wyżyć nawet ubogiemu szlachetce byłoby trudno. O rodzicach głucho było zupełnie. Zjawił się w Lublinie z silną protekcją, a z nierównie większą zręcznością; w przeciągu roku potrafił się wśrubować wszędzie, a lat kilka starczyły mu do zajęcia stanowiska przeważnego.

Wszystkich starych w kął zapędził. Służyli mu, kłaniali się, radzili; pomagał chętnie, ale w razie potrzeby trzeba też było być na jego rozkazy.

Przed kratkami miał Daliborski wymowę łatwą, świetną, porywającą. Gdy się odezwać zapowiedział, tłumnie cisnął się do sali kto mógł. Mecenasi między sobą, pocichu, krytykowali jego znajomość prawa niedostateczną, wykręty niezręczne, pewne *lapsus linguae*, które mu się trafiały; ale, mimo to, słuchając go, czuli się zachwyceni: przekonywał, głużył, podbijał. Więcej w tém było zręczności niż nauki i logiki, więcej może kuglarstwa i komedyi niż wymowy poważnej, ale to cudownie skutkowało. Replika jego gruchotała nieprzyjaciela i ścierała na miazgę.

Daliborski mówił tylko w ekstraordynaryjnych wypadkach, kosztowało go to; nie lubił stawać: polem jego było potajemne krzątanie się około interesu. Sprawa około której chodził, była wygraną nim przysła przed kratki: dekret miał zawsze przed terminem w kieszeni.

Zresztą choć czasu sądów przesiadywał przy trybunale, pole jego działalności daleko się szerzej rozciągało; tu zdawał się być tylko dlatego, aby z ludźmi spotkać łatwiej.

Niekoniecznie prawne spory go same zabawiały: sprzedawał i kupował majątki, frymark dobrami prowadził na wielką skalę.

W potrzebie traktował o ustąpienie urzędów, o zrzeczenie się starostw, o kupno stopni w regimentach, nawet o order świętego Stanisława...

Nie był obcy rozwodom i podejmował się ich w Rzymie i w konsystorzach; kleił małżeństwa, godził rodziny, niekiedy je waśnił. Słowem, człowiek był do wszystkiego.

Najdziwniejszém zaś było to, że w kraju na kilka stronnictw politycznych i familijnych rozdzielonym namiętnie, on był ze wszystkimi dobrze, nie źle, znośnie, wyśmienicie, doskonale, jako tako. Z nikim i nigdy na noże. Miał wstęp wszędzie, a gdzie go nie zyskał jeszcze, jutro się wcisnął: ktoś go podparł, ktoś wprowadził.

Nie można było wejść do salonu wielkimi wschodami, umiał znaleźć ciemne schodki, i przedpokój lub buduar.

Zapomnieliśmy niemal na to główną zwrócić uwagę, że był bardzo pięknym mężczyzną, i że głównie przez kobiety robił interes.

W salonach ówczesnych jednego wieczora czasem widzieć go było można u księżnej marszałkowej, u wojewodzicowej mściławskiej, u Czartoryskich, u Tomatysów, u Teppera, u pani Krakowskiej i u kasztelanowej Kamińskiej: księżna Dessau miała słabość do niego.

Mówiono że Ryx do króla puszczał, gdy sala audyencyonalna była pełna oczekujących, przez garderobę.

Zadna ważniejsza sprawa nie odegrała się bez niego, w każdej umoczył rękę, ale w wielu tak, że nikt go tam ani widział, ani odgadł.

Więcej mu może chodziło aby być na wielkim świecie dobrze widzianym i traktowanym na stopie przyjacielskiej, niż o reputacją prawnika.

Godzili się wszyscy że był najmiłszy, najlepszy, ale co do zasad jego i surowej cnoty, o tém milczano. Człowiek co tytuł panom do tytuł spraw służyć był zmuszony, zbyt surowych zasad mieć nie mógł. To pewna że przyjmował do wyrobku najbrzydsze interesa i umiał wynaleźć stronę jakąś, z której się one wydawały usprawiedliwione. Charakterystyczném i to było, że dla ubogich i maluczkich, brudnych sprawy się nigdy nie podjął i w ogóle lada z kim się wdawać nie lubił; to zaś co z kół magnackich i arystokratycznych płynęło, przez samo swe źródło było oczyszczoném. Brał z zamkniętymi oczyma. Z powierzchowności mecenas, któremu dawano tytuł starosty, otrzymał był bowiem jakiś kawałek ziemi, do którego ta kwalifikacya przyczepić się dała, z powierzchowności był imponująco pięknym. Słusznego wzrostu, nadzwyczaj kształtnój ciała budowy, twarzy rysów arystokratycznych, ruchów nieco wyszukanych lecz pełnych dystynkcyi, w salonie miał minę wielkiego pana. Ubierał się tylko oryginalnie. Nosił niby jeszcze strój polski, ale jakby w stanie przejścia do nowomodnego... Przy kontuszu i żupanie, który już na kamizelkę długą zakrawał, kładł modny ówczesny muślinowy ogromny krawat, grubo

około szyi obwiązany. Na głowę nie wdział jeszcze peruki, ale miał włosy w tył zaczesane i zebrane z tyłu w woreczek związany wstęgą. W ręku nosił zwykle laskę grubą i krótką, jakiej używali eleganci. Na palcach mnóstwo miał pierścieni, a zegarek na modnym brylantowym łańcuszku. Wszystkie części tego stroju pół-francuzkiego były nadzwyczaj wytworne, pięknie zrobione i z kosztownego materiału.

Z twarzy jego mądryby był ktoś co wyczytał. Śmiała się jednostajną uprzejmością dla wszystkich, nawet dla tych, których najbardziej nienawidził. Było w niej coś zimno-dumnego, każącego się domyślać, iż ludzi w ogóle niewiele sobie ważył.

Takt w obejściu się z niemi miał przedziwny. Dosyć mu było pół godziny, aby zbadać z kim miał do czynienia, i umieć sobie z nim tak radzić, aby go prowadzić jak na pasku.

Już w chwili gdy się to opowiadanie poczyna, miano pana starostę Daliborskiego za bardzo majątnego człowieka, chociaż nie miał nic widocznego, oprócz téj lichéj wioszczyzny Daliborza; wnosząc jednak z życia wystawnego, można się było dochodów wielkich domyślać.

Nie jeździł w podróż bez dwu powozów, lokaja, kucharza i wyrostka. W Lublinie miał całe piętro domu naprzeciw trybunału, konie i karete. Niekiedy zapraszał po pięćdziesiąt osób. Zbytek był ogromny, gra straszna. W kancelaryi pracowało najmniej trzech skrybentów i sekretarz jegomości, stary, milczący, szaraczkowo ubrany, posłuszny, sam przez się kroku nie mogący stąpić, Małdrzykowski.

Jednym z tych, co wisieli w kancelaryi, był Pusterski; ale żeby wiele pisał i pracował, nie można było powiedzieć. Miał zawsze jakieś zlecenia w mieście: nosił raporty, chodził gdzieś i rozkazy od pana odbierał we cztery oczy.

Trzeba było tak zręcznego mistrza, żeby z tak niebezpiecznym narzędziem, bez uszkodzenia, dać sobie radę. Pusterski pił, grał, łąjdaczył, i pomiędzy swoimi uchodził za ostatniego nicponia. Widać jednak, że to, do czego używanym był, właśnie takiego wymagało instrumentu; bo Daliborski był z niego kontent, i nieźle mu się działo. W kancelaryi go niecierpiano: on sobie z tego drwił.

Blady, ospowaty, z oczyma, których powieki zawsze były poobwodzone czerwono, bez zarostu na twarzy, z włosami konopiatemi i prostemi jak druty, chudy, drągłowaty, patrzący zawsze z ukosa, Pusterski miał układ lisowaty, pokorny, trzymał się nieco przygarbiony, i zdawał się wiecznie obawiać czegoś, bo się ciągle mieszał i kulił.

Lada zamachnięcie ręką napełniało go trwogą, jakby dla niego było przeznaczone; ale gdy się upił, burdy wszczynął wściekłe, jakby swe tchórzostwo trzeźwe chciał ludziom z pamięci wybić.

Od godziny już siedział Pusterski w kancelaryi za stołem, towarzysze jego pisali, stary Małdrzykowski przy oknie coś czytał, a przybyły dependent, niemając co robić, po studencku coś wyrzynał na pamiatkę scyzorykiem na stole, gdy jak wichur wpaść Daliborski... Twarz

miał zarumienioną, oczy błyszczące, usta jeszcze drgające: czy od śmiechu, czy od gadania...

Oczyma rzucił po izbie. Małdrzykowski z ukłonem szedł już ku niemu. Skrybenci żywo bardzo smarowali po papierze. Pusterski wstał, ręką zakrywając na stole wyrzeźbioną literę.

— A! Pusterski! ja cię kilka dni nie widziałem!—zawołał starosta.—Chodź sam tu!

Wolnym krokiem zbliżał się powołany. Tymczasem zniżonym głosem szybko bardzo począł dawać Małdrzykowskiemu rozkazy pan starosta, i skinąwszy na Pusterskiego aby za nim szedł, opuścił kancelaryą.

Przez korytarz tylko był pokój, jeden z tych, w których Daliborski klientów przyjmował. Stanęli tu. Odwrocił się mecenas do skrybenta.

— Cóżś robił?

— A co jaśnie pan starosta przykazał.

— Masz co do powiedzenia?

— Jużci się znajdzie.

Poszli razem do okna, aby ich u drzwi nie podsłuchano. Pusterski cichym głosem począł:

— Jak się wylizał, proszę jaśnie starosty!

— Toś już mówił.

— Ale ja nie o tém powiem co dawniej. Był księżę generał...

— Wiem.

— Ciągłe z sobą chodzili cały czas. U doktora jakąś awanturę zrobili, bo doktor ze swoją panną z domu uciekł, i nie wrócił aż na-
zajutrz. Księżę pojechał, a on się został. Pieniędzy mu Fajwel dał na skrypt księcia.

Mecenas głową pokiwał.

— No, cóż więcej?

— A teraz bałamuci wdowę tę, co pan wie, co ona nie wdowa, tylko co pana miecznika...

Rozśmiał się pogardliwie Daliborski i popatrzał na raportującego, który głowę i oczy spuścił.

— To nie może być — odezwał się żywo — tam innego coś być musi. Tyś ślepy.

Pusterski usta otworzył.

— No, to się okaże—szepnął.

— Ma pieniądze?—spytał mecenas.

— Jeszcze tam coś jest; ano, widać że na coś mu potrzebne, bo chowa i skapi, nie tak jak bywało.

Tu przerwawszy sobie mowę, dotknięty zarzutem ślepoty, Pusterski odezwał się:

— Kiedy ja go widziałem, jak się z wdową u Dominikanów schodzili. Raz ją przeprowadzał uliczką, a ja za słupem stał. To ją schwycił wpół i plasnął, aż krzyknęła.

Mecenas się śmiał słuchając.

— To niéma nic—rzekł—tam się musi co innego święcić. Dawno on tam chodzi?

Pusterski dnie wyliczył.

— Pilnuj-że mi go i z oka nie spuszczaaj — dodał patrząc na zegarek mecenas.—Śledź, patrz, a jeśli co będzie ciekawego, zaraz mi przynoś.

— Słucham jaśnie starosty.

Daliborski chciał odchodzić, gdy Pusterski zamruczał:

— Ale u mnie już i dydka niéma.

— Aj! ty! ty! więcej zjész i przepijesz niż przyniesiesz!—zamruczał rzucając mu talara Daliborski.—Idź mi zaraz!

Nie zachodząc już nawet do kancelaryi dla pożegnania się z kolegami, dependent z korytarza wprost puścił się na ulicę i znikł. Piszący zobaczyli go wybiegającego i coś szeptać zaczęli między sobą.

Upłynęło dni parę, a Pusterski się nie pokazywał wcale.

Jednego dnia, gdy mecenas był w gabinecie zajęty z trzema nowo przybyłymi panami, cichym szeptem o jakimś zapewne bardzo ważnym interesie, bo mu każdy z nich w końcu rulon dukatów na stole położył, służący wszedł do gabinetu, niosąc na talerzu kartę.

Był to pachnący stolicą wizytowy bilet, wkoło otoczony niebieską z kwiatów i wstęg girlandą, na którym stało wydrukowane nazwisko. Z drugiej jego strony bujnym charakterem niewieścim kilka słów dopisano.

Obejrawszy kartę, uśmiechnął się mecenas, schował ją do kieszeni, i powiedział służącemu:

— Natychmiast tam się stawię.

Usłyszawszy to, szlachta poczęła ścisnąć go i żegnać, zalecając mu sprawę.

— Proszę być spokojnym, kochany rotmistrzu; niech pan starosta ufa mi, pan strukczaszy zawierzył! Wszystko będzie dobrze!

— Co daj Boże, amen!—rozśmiał się najstarszy.

Mecenas odprowadził ich aż do sieni; wrócił po rulony, które we właściwém im schronieniu w biurku ulokował, i zabrał się wychodzić z domu.

Pora była poobiednia i zachód słońca blisko, czas piękny, i zapewne dlatego Daliborski wybrał się z domu pieszo. Każdemu innemu uszłoby to, ale jemu ulica była niebezpieczną. Chwytano go co chwila po drodze, różnego stanu ludzie napastowali i zatrzymywali. Wsiadano z powozów, porywano pod ręce: Daliborski ledwie się mógł pozbyć natrętów.

Straciwszy dużo czasu, znalazł się wreszcie za kościołkiem Ś-go Ducha w gospodzie, na której progu stał służący w liberyi, jakby go na czatach umieszczono. Znikł zaraz zobaczywszy mecenasa.

Wrota gospody były zamknięte: w środku stały ekwipaże pańskie i cicho kręciła się służba. Z jednych drzwi wybiegła zręczna

subretka i z uśmiechem wprowadziła Daliborskiego do gościnnych pokojów.

W pierwszym z nich nie było nikogo, tłomoki tylko, węzłki i owe mnóstwo paczek, torebek, szkatuleczek, które pięknym paniom zwykły towarzyszyć w podróży.

Subretka wskazała na drzwi pół-otwarte do drugiego pokoju.

Daliborski przybrawszy postawę jeszcze bardziej salonową, popatrzywszy na swe ubranie, musnąwszy się po głowie, wszedł.

Na kanapie za stołem wpół leżała, wpół siedziała młoda i bardzo piękna kobieta, ubrana po podróżnemu, ale wytwornie i ze staraniem modnisi i elegantki.

Była to brunetka z oczyma szafirowemi, przymrużonemi sentymentalnie, choć cała twarzyczka jęj uderzała wyrazem ostrym, przykrym, strasznym jakimś. Piękność to była, której najwybredniejszy znawca niewieścich wdzięków nie mógł nic ująć, ani jęj zaprzeczyć; piękność tak regularnych rysów, tak harmonijnie stworzona przez naturę, że w nięj najmniejszy dysonans nie raził. Lecz szczodra natura obdarzając nią tę kobietę, zapomniała o tém, co sympatyą wzbudzić mogło; fizyognomia ta, przynajmniej w chwili gdy mecenas wchodził, była przerażająca jakby tajonemi gniewy do całego świata, jakby bolami tajemnemi.

Dlatego może maseczka ta gniewna mrużyła oczy i usta skrzywiła do uśmiechu rezygnacyi.

Daliborski zbliżał się z uszanowaniem wielkiem, ona niecierpliwie poprawiała coś w ubraniu. Wyciągnęła piękną, białą, trochę tylko chudą rączkę, okrytą mnóstwem pierścieni, ku podchodzącemu, i szepnęła głosem pieśczoneym, jakby dziecinnym:

— *Cher Staroste!*

— Jakże się ma pani wojewodzina? To prawdziwa dla mnie i szczęśliwa nad wyraz siurpryza:

Oczy z wyrazem omdlenia jakiegoś zwróciły się ku mecenasowi.

— Siadaj—rzekła wskazując krzesło.—Jestem tu przypadkiem, jadę do Warszawy, na sejm. Wojewoda mnie poprzedził... Chciałam cię zobaczyć.

Cię poufale było wyszepnięte bardzo cicho, ale musiało bardzo uszczęśliwić mecenasa, bo pochwycił nanowo rączkę pierścieniami okrytą i gorąco ją całować zaczął, aż mu ją wyrwać musiano.

Wojewodzina znowu napół się położyła na kanapce, sparta na rączce i główkę podniosła ku Daliborskiemu, wlepiając w niego wejżenie tęskne, jakby nięm badać chciała człowieka.

— Nic mi nie powiesz?—szepnęła.

— Ważnego, nic—odparł cicho mecenas.—Stare dzieje zawsze.

— Jest tu?

— Jest i prowadzi życie zwykłe. O mało, mało nie zostaliśmy od niego uwolnieni. Przypuśćmy, że to był przypadek—dodał z pół uśmiechem mecenas—ale trafiło się, że u winiarza było kilku rębaczy,

z którymi się zwaśnił. Posiekali go tak, że za umarłego go porzucili, ale, nieszczęściem trafiła się córka doktora, która go zobaczyła i krzyknęła, a doktor co go wyleczył!

Wojewodzina załamała rękę.

— Szalone szczęście!—szepnęła.— A, póki ten człowiek na świecie, ja ani pokoju, ani szczęścia mieć nie mogę! Znasz historią moją... wiesz....

Tu słów zabrakło, spuściła oczy.

— Między nim a mną, walka o śmierć lub życie...

Poruszona wielce, mówić nie mogła. Mecenaz ze współczuciem w milczeniu czekał na słowo.

— Niema potwarzy, którąby się nie mścił nademną—dodała—wiesz... To fałsz... Musiałam wyjść za jego ojca, matka moja wymagała tego, interesa jój. Poświęciłam się dla niej.

Uczył mnie poczwarą jakąś! To zbrodniarz...

— Niechże się pani nie irytuje—wtrącił mecenaz.

— Wspomnieć nie mogę o nim żeby się zółć nie zburzyła we mnie, dokończyła wojewodzina.

Zamilkła znów na chwilę.

— Potrafiłam się go pozbyć z domu, tak! przekonałam starego że tę zmięę odtrącić powinien. Ustąpił mnie: wyrzekł się go... Zdawało się wszystko skończonem... Al nic! nic, słaby, zniewieściały, bez charakteru, tęskni za nim, płacze po nim, choć się z temi łażami kryje... A pozbyć się go raz niepodobna!

— Trochę cierpliwości—począł rękę znowu szukając, którą mu wyciągniono, Daliborski, i przyciskając ją do ust—trochę cierpliwości. On się sam zgubi; niepotrzeba nawet szukać środków.

— Ale ja w tój trwodze ciągłej żyć nie mogę—zawoła kobieta—zbliżenie się jego do ojca, grozi mi...

Spuściła oczy.

— Ojciec tęskni po nim. Jeśli się znowu spotkają, ja, ja jestem zgubiona!

I twarz zakryła rękami.

— Ta potwora gotowa znaleźć na mnie, nie dowody, bo ich niema, ale potwarze... Ja nie wiem.

Nagle wstała rzucając ten ton rozpaczliwy, spojrzała ostro na Daliborskiego, chwyciła go za rękę.

— Ty to możesz jeden uczynić, aby go z serca ojca na zawsze wytrącić; ty, ja ufam...

Sparła się znowu na łokciu w melancholicznej postawie i zadumała.

— Posłuchaj mnie—rzekła—ojciec się go wyparł, wydziedziczył... Uczynił to w świecie najsprawiedliwiej, bo zmarnował we dwójnasób tyle co mu się mogło należeć. Nic mu nie należało, nic! Ale po matce, prawnie, do schedy spadającej nań, może mieć preten-

syą. Nie chciał ojca pozywać i zdaje mi się że tém jeszcze serce jego sobie pozyskał.

Stary jest skąpy!

Mój drogi — dodała chwytając za rękę Daliborskiego i głos zmieniając na suchy i złośliwy — mój drogi, ty możesz to zrobić, namówić go... wymóźdz aby ojca pozwał.

Kończąc te wyrazy piękna wojewodzina starała się oczyma oczarować, spętać, ująć sobie mecenasa. W tych oczach mieniących wyraz było tysiąc obietnic; usta szeptać się je zdawały.

— Mecenasie! możesz być moim zbawcą!

Daliborski milczał zamyślony, jak gdyby się drożył z sobą. Wojewodzina coraz mocniej stawała nalegająco. Szeptala pocichu nie dosłyszane wyrazy, zbliżała się, opanowywała starostę, który dawał się prosić, może by większej ceny stała się obietnica.

Nareszcie, jakby wychodząc z zadumy zawołał:

— Zrobię wszystko co mogę, daję słowo. Oprzeć się gdy te śliczne usta proszą, któżby był w stanie? A pani wiesz, zem ja oddawna niewolnikiem jęj wdzięków... Dla pani w ogień i w wodę.

— Moja wdzięczność będzie bez granic — odezwała się wojewodzina — bez granic.

I podała mu rękę.

— Przyznam się pani — rzekł mecenas po chwili cichój bardzo rozmowy — że zbliżenie się do niego dość jest dla mnie wstrętliwe, ale, cóż robić, próbuję.

To wiem, że jaki on jest, to jest, ojca kocha, i że skłonić go do wytoczenia mu procesu, będzie rzeczą bardzo trudną.

— Trudną! dla ciebie! zapominając się i coraz większą okazując poufałość, jakby z dawnych pozostała stosunków, wojewodzina. Trudną! z takim opojem, który pół dnia jest nieprzytomnym i podpisuje niepatrząc co mu podstawią. Trudną, dla Daliborskiego!

— Wszystko to prawda — odrzekł mecenas — podpisuje z zaufaniem, ale téż zdradzony tak łatwo zabić może... To go nic nie kosztuje! Pogardliwą minkę zrobiła wojewodzina.

— Żebyś ty, na niego, nie znalazł sposobu!

— Ja nie mówię ażebym go nie miał znaleźć, ale wskazuję trudności!

— Aby mnie do wdzięczności pobudzić! — śmiejąc się sucho, dodała, wojewodzina — nie bój się, mówiłam, powtarzam, wdzięczność bez granic!

Mecenas wziął ją za rączkę i długo trzymał przy ustach, patrząc jęj w oczy. Kobięta czuła że zwyciężyła... Pogroziła mu trochę, przysunęła się i szeptała długo.

— Niepotrzeba nawet procesu — dokończyła — dość będzie najmniejszego dowodu że o nim myślał, że zamierzał. Ojciec tęskni, ojciec go kocha, wierzy w jego poprawę. Próbował mnie dla niego przebłagać. Chciał już przebaczyć synowi marnotrawnemu...

Oczy się jój zaiskrzyły.

— O! póki ja żyję! nie dopuszczę! nie! Albo on, albo ja...

Uspokoiła się nieco.

— Znasz wojewodę—ciągnęła dalej—zestarzał bardziej jeszcze, słaby jest, mam nad nim władzę; ale pomimo moich starań, tego pierworodnego swojego zapomnieć nie może.

Kto wie jak wojewoda długo pociągnie—dodała z przerażającym chłodem—tacy ludzie żyją czasem bardzo długo. Póki on i syn są na świecie, ja na nim spokojną chwili jednę być nie mogę. Mogą się zbliżyć! Są usłudni przyjaciele! o! znam ich! są starzy domu rezydenci, służba...

Lecę co najspieszniej do Warszawy, lękając się starego pod wpływem obcym zostawić.

— O! o wpływ żaden lękać się pani nie możesz—wyrzekł mecenas—jeden jój uśmieszek, a mieć go będziesz u nóg swoich.

Kobieta się wzdrygała i ręce załamała.

— A! to życie moje! ta męka, to obrzydzenie które mi ono sprawuje!

Mecenas głową potrząsnął.

Jako człowiek praktyczny wtrącił pocichu:

— A zapisy, porobione?

— O te się moja matka przy intercyzie starała—poczęła głosem zimnym wojewodzina—ale naówczas nie wypadało ani jój ani mnie nalegać na nic więcej oprócz zwykłej oprawy. Ludzie i tak wołali że mnie oddają mu dla pieniędzy. Ale cóż to jest ta mizerna oprawa! Ja muszę na nim wymódz zapisy całego majątku! Cała ta fortuna nieopłaci tego co ja doświadczyłam z nimi!

Wstrząsła się. Daliborski wtrącił:

— Jabym się pani mojej i do tego mógł przydać z czasem. Użyłbym wpływów. To trzeba robić przez uboczne drogi, pani nic o tém wiedzieć nie powinnaś.

— Tak, ale najprzód z tą żmiją, z tym zbrodniarzem skończyć potrzeba!—krzyknęła wojewodzina. Że go ci nie zabili! że go nie zabili!

Wymówiła to tak jak gdyby w wyrazach mieszczańskich śmierć w sobie, nie było nic ani strasznego ani wstrętnego. Daliborski popatrzał na nią z rodzajem podziwu i zdumienia.

— Proszę mnie nie obwiniać o okrucieństwo—dodała wojewodzina—ja się bronię. Tu o moje też idzie życie. Jedno jego słowo potwarcze, a jestem zgubiona!

— Niechże się pani wojewodzina nie irytuje—powtórnie odczytał się mecenas—Wszystko się zrobi wedle jój rozkazów. Mamy do czynienia z człowiekiem, który jest samego siebie największym nieprzyjacielem, a dla nas najlepszym przewodnikiem.

Jakby znużona i upokorzona tą rozmową, wojewodzina głowę spuściła i oczy; zadumała się, wyciągnęła rączkę Daliborskiemu i pozwoliła, jakby dla pociechy, okrywać pocałunkami...

Nazajutrz do dnia pięknej pani już w mieście nie było.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

I M I O N A STARODAWNE POLSKIE.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Każdy naród posiada pewną liczbę imion uprzywilejowanych, które rozdaje najliczniej synom swoim. Imiona takie o ile płyną z ducha i języka rodzimego, o tyle są imionami narodowemi. Co do nas, to posiadamy tyle starodawnych imion polsko-słowiańskich, imion płynących ze skarbnicy starożytnej i pięknej mowy polskiej, imion wykolyśanych niegdyś echem zacnych czynów wśród jezior wielkopolskich, łąnów i puszczy mazowieckich, gór i dolin chrobackich, że nie każdy z ludów, skarbem podobnym pochwalić się może. Imiona te tworzone często z wyrazów wyższego znaczenia (np. *ślawia, święty, mir, bóg, bój*), nosili zarówno króle, książęta i wiejscy pasterze, wojewodowie i kmiecie, biskupi i święci polscy.

Wiadomo, że nazwiska rodowe, t. j. dziedziczne, wspólne całej rodzinie i z ojca na synów, z dziada na wnuków przechodzące, prawie nieznanne były w dawnych wiekach. Starożytni Grecy nazwisk podobnych nie używali; tylko rody wybitniejsze w Atenach i w Sparcie nosiły wspólne nazwisko od protoplasty np. Eumolpidowie od Eumolpa króla Tracyi. Rzymianie, oprócz nazwiska rodowego (*nomen gentile*) kończącego się zwykle na *ius* (np. Tullius, Jullius), mieli także przydomek (*cognomen*), jak np. Scipio, Cicero. Na zachodzie Europy nazwiska dziedziczne weszły w powszechne użycie dopiero w wieku XV. Przedtém szlachcic wymieniał tylko przy osobistém imieniu włość, na której dziedziczył a mieszczanin miasto, z którego pochodził. Nazwiska rodowe formowały się bądź od tych włości lub miast, bądź od przymiotów szczególnych i rodzaju zajęcia różnych ludzi, bądź od imienia ojca z dodaniem w narodach germańskich zakończenia *sohn, son*,

sen. u Hiszpanów *ez*, u Normandów *fitz* (na początku imienia), u Irlandczyków *o' (Or)* lub *Mac*, u Arabów i Hebrajczyków *ben* (np. Dawid *ben* Salomon Dawid syn Salomona), u nas *wicz*.

Starożytni Polacy, którzy również nazwisk dziedzicznych nie znali, dodawali do imienia bądź przydomek, bądź herb czyli znak rycerski, do którego należeli, bądź włość, na której dziedziczyli lub miesce urodzenia. Wedle Długosza, dopiero za czasów Władysława Jagiełły nastawał zwyczaj tworzenia od posiadłości nazwisk, kończących się na *ski, cki*. Zwyczaj ten upowszechnił się pod koniec XV-go wieku, najprzód między uboższą szlachtą, możniejsza zaś pisała się: Łukasz z Górki, Jan z Tęczyna lub na Tęczynie i t. p. Nazwiska atoli z końcówką *ski* i *cki*, tworzone od wiosek dziedzicznych, miały w XV wieku znaczenie o tyle tylko sukcesyjne, o ile syn dziedziczył po ojcu tę samą wioskę, od której wzięte było nazwisko. Były to więc niejako tylko przymiotniki dodawane do imienia i herbu dziedzica, przymiotniki, które zmieniano w razie zmiany dziedzictwa. Tak np. Marcin Bielski (urodzony w r. 1495, pierwszy z Polaków, który pisał w języku ojczystym dzieje powszechnie i łączył je z geografją) nazywał się po ojcu Wolskim od wsi Woli, ale odziedziczywszy Białą począł się pisać Bielskim. Zdarzało się, że każdy z kilku braci rodzonych przybierał inne nazwisko w ten sposób, od różnych wiosek, które posiadali. To też wielkie z tego powodu miał wówczas znaczenie wspólny herb i silniejszym był węzłem, niż nazwisko, będące czasowym przymiotnikiem. Jeszcze Stanisław Orzechowski nazywa Mikołaja Reja swym stryjem, dlatego, że mieli wspólny herb Oksza. Gdy jednak w XVI wieku, bądź nazwiska, kończące się na *wicz, ski* i *cki* nabrały dzisiejszego znaczenia, bądź niektóre przydomki stały się nazwiskami rodów, gdy herb jeszcze dawniej przestał być hasłem nawoływania rycerskiego do wspólnej chorągwi i gdy udzielanie swego herbu przez panów ludziom rozmaitym stało się dość powszechném, odtąd kładzenie herbu przy nazwisku dziedziczném straciło swoją dawną logiczną konieczność i przyczynę.

W czasach, kiedy nazwisk dziedzicznych nie znano, tém większe miały znaczenie imiona, o których mówiliśmy na początku i do których wracamy obecnie. Oprócz pewnej liczby tych imion starożytnych polsko-słowiańskich, przyjętych i utrzymanych dotąd w kalendarzu kościoła wschodnio-katolickiego, nie zdarzyło nam się nigdzie spotkać z wyczerpującym mniejwięcej ich spisem. Spis taki zresztą był już dlatego samego do zrobienia prawie niemożliwym, że w ogłoszanych nieznanym średniowiecznych dokumentach, przybywa coraz nowy materiał. Już przed parą laty napisaliśmy gdzieindziej słów kilka w przedmiocie starych owych imion; gdy atoli od owego czasu notatki nasze wzrosły wielokroć, uważaliśmy za stosowne owoc tych poszukiwań t. j. najzupełniejszy, jaki mogliśmy zrobić spis prastarych imion i ich skrótów, przesać do waszego pisma. Źródłami, z których czerpaliśmy ten materiał były bądź kroniki i latopisy nasze, bądź drukowane zbiory dy-

plomatów i dokumenta jeszcze nieogłoszone, także dzieło Helcla *Starodawne prawa polskiego pomniki* i praca p. Baudoina de Courtenay o staropolskim języku do XIV stulecia.

Imię własne człowieka jest jego najwierniejszym towarzyszem od kolebki do grobu, wyrazem tak często w rodzinie wymawianym, pełnym uroku dla kochanki, pełnym uczucia najgłębszej miłości dla matki, jest wreszcie monogramem i pieczęcią osoby, powierzchowną cechą narodowości, echem pewnych idei lub sympatyj.

Już słynny językoznawca niemiecki Karol Wilhelm Humboldt powiedział, iż w imionach osób i nazwiskach miejsc, kryją się najstarsze pomniki każdego narodu. Uczony filolog Miklosicz w dziele *Die Bildung der Ortsnamen aus Personennamen im Slavischen* (Wiedeń, 1864) podał zbiór nazwisk miejsc, pochodzących od imion własnych.

I u nas też, jak to ku końcowi tej pracy wykażemy, od starodawnych imion polsko-słowiańskich, wzięty początek liczne nazwy starożytnych wiosek polskich. Imiona zebrane znad stariej Wisły, Warty i Buga podajemy tu w szeregu alfabetycznym, dołączając liczne skrócenia i przemiany, zwykle w mowie potocznej i dokumentach używane (gdy np. zwyczaj pozwalał pisać urzędownie Bronisz zamiast Bronisław, Spytek zamiast Spicymir i t. d.). Wymieniamy przytém bądź lata, pod którymi stare imiona znajdują się już w źródłach zapisane, bądź niektórych ludzi, co je ongi nosili.

Ponieważ żaden rzeczownik czysto-polski ani imię własne polsko-słowiańskie nie zaczyna się od samogłoski *A*, rozpoczynamy przeto spis niniejszy od litery *B*.

B. Bacz, imię zapewne skrócone, którego nie znamy w innej formie.

Będzigost, Biernat, Biesiekierz i Błogoszcz. Niema pewności, czy to były pierwotnie imiona, czy przydomki.

Bogusław (r. 1220), Bogusz, Bohusz, Bogusza, Boguta lub Bogut, Boguń, Bogusław r. 1242 kasztelan inowrocławski, Bogusław herbu Pilawa r. 1256 kasztelan sandomierski, Bogusław książę pomorski a od 1386—1392 r. biskup kamiński, Bogusz r. 1241 wojewoda łęczycy, Bogusz herbu Pułkożic r. 1242 kasztelan krakowski, Bogusz tegoż herbu sędzia pomorski, mianowany przez Władysława Łokietka starostą gdańskim, bronił Gdańsk przed znacznymi siłami margrabiów pomorskich, Bogusza r. 1239 kasztelan wieluński, Boguta herbu Dąbrowa r. 1228 wojewoda mazowiecki.

Bogumił, Bogomił. Bogumił r. 1231 kasztelan bniński, Bogumił r. 1240 wojewoda poznański, Bogumił r. 1330 kasztelan kujawski.

Boguchwał, Boguch. Boguchwał herbu Poraj, drugi tego imienia biskup poznański, autor cennej kroniki polskiej, zmarły r. 1253.

Bochdan, Bohdan, Bogodan (r. 1175), Bogdal, Bogdasz; znaczy to samo co Teodor, Bogdan r. 1237 podkomorzy księcia Bolesława Wstydliwego.

Bojan (r. 1222); Bodzanta; Bojomir; Bolesław, Bolek, Bolko. Imię to nosiło 33 panujących książąt krwi Piasta.

Bolibor; Bonisław, może skrócone imię Bronisław.

Borysław, Borosław, Borys, Boruta. Borysław arcybiskup gnieźnieński za czasów Władysława Łokietka. Borys syn Włodzimierza I wielkiego księcia kijowskiego, policzony w poczet męczenników, świętych i patronów Rusi.

Bożymir, zwykle Borzym; Bożysław, Borzysław, (r. 1220); Bożydar, Bochdar. Dymitr Bożydar r. 1368 podskarbi wiel. koronny.

Bożywój, Borzywój, Bożej (r. 1237). Borzywój r. 1332 r. wojewoda łęczycki.

Bronimir, Bronimierz, Bromierz; Bronisław, Bromysław, Bronisz czyli Broniś. Bronisz herbu Wieniawa r. 1173 był kasztelanem gnieźnieńskim, inny Bronisz r. 1234 był gnieźnieńskim wojewodą. Imię to w owych czasach bardzo często używane.

Broniwoj; Bratumik, Bratuń, Bratosław, Bratysław, Braclaw, Bratosz; Bronibor, Branibor, Brodzisław, Brodzisz (r. 1153); Budzisław, Busław, Budzisz, Budko; Budziwoj (r. 1220).

C. Chęst nie wiemy napewno, czy to było imię skrócone czy przydomek.

Chocimierz, Chocimir, Chocim; Chlebosław, Chleb, Hleb. Wojewoda wileński Monwid, wywodzący się od Gedymina, zostawił kilku synów, z których Chleb wojewoda smoleński około r. 1475 dał początek znanemu na Litwie domowi Chlebowiczów. Imię Chleb nosiło wielu książąt ruskich, pierwszy z nich uznany za świętego, syn Włodzimierza, brat Borysa.

Chwalibóg, Falibóg, Faliborz; Chwalimierz, Chwalmierz, Chwalimir, Falimierz, Falmierz, Falimir, Almierz; Chwalisław, Chwalisz, Falisław, Falisz. Chwalisław r. 1278 kasztelan płocki, Falisław podkomorzy sandomierski r. 1249.

Cichobór, Cichobórz, Cichorz, Cichost, Cibor, Cicibor; Cichosław, Ciechosław, Ciecisz; Cieszymysł, Cieszym, Ciesz; Cydebur wspominany przez kronikarzów, brat Mieczysława I.

Czach jest to prawdopodobnie imię skrócone Czachosław, Czechosław, Cestaw, Czesław, Czastaw (r. 1101) imię może przerobione z Czechosław lub Czachosław a prędzej Cześćcław, w skróceniu Czesz, Cześ. Błogosławiony Czesław (ur. 1180 † 1242) syn Eustachego Odrowąża pana na Końskich, synowiec Iwona biskupa krakowskiego, brat św. Jacka. Błogosławiony ten wstąpiwszy z bratem swoim Jackiem do zakonu Dominikanów (przez ich krewnego Iwona Odrowąża do Polski a mianowicie Krakowa sprowadzonego) od pierwszej chwili zapewnili mu w całej ojczyźnie więźność i przewagę nad innymi zakonami. Czesław ten fundował w Pradze Czeskiej klasztor Dominikański pod tytułem św. Klemensa, we Wrocławiu kościół św. Wojciecha, oraz wiele innych na Szlązku i Morawii.

Częstobór, Częstobórz, Czastobór.

D. Dadzibóg, Dadźbóg, Daczbóg imię jedno z pospolitszych w swoim czasie. Dadzibóg wojewoda płocki r. 1359. Dadźbóg, Daźd-
boh miał być bogiem szczęścia u Słowian; Nestor powiada że Włodzimierz oddawał mu ofiary na górach kijowskich. Bożyszczę to wspomniane jest także w poemacie *Wyprawa Igora na Polowców*.

Darostaw; Dalibor, Dalebór, Dolech, Delibor; Dersław ob. Dzierzysław; Długobór, Długoborz; Długomił; Długostaw, Długosz; Dmoch, nie wiemy czy to przydomek, czy skrócenie imienia Domostaw; Dobiesław, Dobiesz, Dobek, Dobiesław r. 1222 kasztelan małopolski, Dobiesław r. 1251 podkanclerzy. Imię bardzo pospolite w w. XIII i XIV.

Dobrostaw, Dobrosz, Dobroch. Dobrostaw r. 1277 podkanclerzy koronny; Dobrostaw kasztelan krakowski, który r. 1387 z królową Jadwigą oraz innymi panami należał do wyprawy na Ruś halicką, którą usiłowano oderwać od Węgier, a która na mocy układów zawartych z pełnomocnikami ruskimi w Gródku, wróciła wtedy do Polski.

Dobiegniew; Dobrogniew; Dobronog, Dobronieg, Dobroń, może również Dobroch; Dobromił; Dobromysł, Dobromyśl; Dobromir, Dobromierz, Dobremir. Dobremirem przez nieporozumienie, nazywają niektórzy Bolesława, jednego z synów Bolesława Chrobrego.

Dobrowid, Dobrowit; Dobrowoj; Dobrogost, Dobrogoszcz (r. 1065), Dobrogost z Szamotuł r. 1126 wojewoda poznański; Dobrogost herbu Grzymała r. 1302 kasztelan wiślicki; Dobrogost herbu Nałęcz, znany arcybiskup gnieźnieński za Władysława Jagiełły, urodził się na Mazowszu z ojca dziedzica wsi Nowogodworu położonej przy ujściu Narwi do Wisły.

Domarat, Domarad, Domorad, Domerat, Domrat. Domarat roku 1234 kasztelan uściski; Domarat biskup poznański r. 1311; Domarat wojowniczy kasztelan poznański i starosta wielkopolski w w. XIV.

Domamir, Domomir; Domostaw, Domastaw, Domasz, Domestaw, Domiesław, Domistaw, Doman; Drogomir, Drogomił i Drogomysł, trzy imiona prawdopodobnie oddzielne.

Drogostaw, Drogosz (r. 1284); Drogostaw imię i herb.

„Dysław” wspomniany jako Polak w zakonie krzyżowym w wieku XIII, umęczony przez pogan pruskich, i policzony ztąd do męczenników. Prawdopodobnie był to Władysław. Zginął razem ze Stosławem a według legendy, zwłoki jednego z nich w ogień wrzucone, przemieniwszy się w osobę dziwnie ślicznej pani, w obec pogan, płomienie roztrzając uleciały w otwarte niebo. Drugiego zaś ciało w drzewo rozszczerzone zamknięte i palone, przez ptaka dziwniej piękności, ku niebu miało być uniesione.

Dzierżykraj, Dzirżykraj (r. 1153). Dzierżykraj z Czołpy miał być pierwszym wojewodą poznańskim w początku XII wieku. Dzierżykraj herbu Nałęcz był także wojewodą poznańskim r. 1235. Imię to często używane za Piastów.

Dzierzysław, Dzirzysław, Dżersław, Dzierzek, Dersław. Dersław brat biskupa Wita, założył w XII wieku w Busku w Sandomierskiem, klasztor Premonstratensów czyli Norbertanów.

F. Faliborz ob. Chwalibóg, Falimierz ob. Chwalimierz, Faliśław ob. Chwalisław, Fulko ob. Pełka.

G. Gierśław, Gierostaw, Hierosław; Gniewomir. Gniewomir za czasów Bolesława Krzywoustego kniazik na Czarnkowie w okolicach rzeki Noteci. Gniewomir sędzia poznański r. 1288.

Gniewosław, Gniewosz, Gniewek, Gniew. Gniewosz z Dalewic podkomorzy krakowski, powiernik królowej Jadwigi, później znany jej oszczerca, który swą potwarz odszczekiwać pod ławą musiał.

Godzimir; Godzistaw, Godzisz; Gorzysław, Gorysz, Górka; Gościwuj, Gościrad (r. 1189), Gozd, Gost, Gostoń, Gostyń, Gastek. Gostko archidyakon płocki r. 1288.

Gościśław, Gościsz, Gostesław (r. 1155) Gostsław, Goćław; Gosław jest może skróceniem Godzistawa. Gosław kanonik płocki roku 1207.

Gowor, Gawor, Goworek, Gaworek, Goworyk, Goworko. Goworek wojewoda sandomierski jeszcze przed r. 1194, później przyjaciel Leszka Białego.

Grodosław; Grozimir, Grozimir, Grozim; Grzymisław, Grzmiśław, Grzymisz, Grzymek; Gulisław, Gulimir.

H. Hierosław, ob. Gierśław; Hleb, ob. Chlebostaw.

I. Idzistaw, Izisław; Imisław. Imisław, kasztelan wizki z roku 1297.

J. Jarogniew (r. 1218), Jaromir, imię pospolite u Czechów, było używane niekiedy i przez Polaków.

Jaromił, Jaropełk, imię pospolite u książąt ruskich, napotykanie czasem i w Polsce.

Jarosław, Jaryśław, Jarosz, Jaroch, Jarost, Jarota. Jarosław, sędzia kaliski r. 1242; Jarosław, wojewoda kujawski r. 1286; Jarosław Bogorya, za Kazimierza Wielkiego świętobliwy arcybiskup gnieźnieński, który kościoły wznosił w Gnieźnie, Opatowie i dziedzicznymi włości w Sandomierskim Skotnikach, a wiele innych opatrzył i naprawił. Jarosz, kasztelan poznański r. 1232; Jarosław było imię powszechnie używane w Polsce i przez książąt na Rusi. Staropolskie imię Jarosz znaczy to samo co Hieronim.

Jaret, Jarant, Jarcz. „Jarand z Grabie“ wojewoda poznański r. 1432.

Jaskoła, prawdopodobnie przydomek.

Janisław, Janisz, Janusz. Janisław (Jan, Janik) Swoboda, herbu Gryff, pobożny i zasłużony arcybiskup gnieźnieński w połowie XII wieku.

Jasław (czy to nie jest skrócenie Janisława?).

K. Katosław (r. 1267); Kazimierz, Kaźmirz, Kazuch. W historii naszej często spotyka się to imię. Nosili je królowie, książęta, święci i świętobliwi. Pierwszym na tronie był wnuk Chrobrego, urodzony roku 1016, a pierwszym wśród błogosławionych był Kazimierz franciszkanin, męczennik zawichostki. Dalej, oprócz św. Kazimierza

krolewicza polskiego, wnuka Jagiełły, znani są czterej „świętobliwi“ mężowie w XVII wieku: Kazimierz Jeżewski, Kazimierz Szczawiński, Kazimierz Ujejski i Kazimierz Korsak. Ten ostatni, rycerz i pan wielkich włości na Litwie, zaparłszy się siebie, spędził żywot na służbie u cłopa we własnej wiosce, poznany dopiero przez spowiednika przy zgonie.

Klimunt, Klimont, Klimasz, Klim, Klimek. Klimunt, kasztelan krakowski, który jako dziewostęb Bolesława Wstydliwego jeździł prosić o rękę królowny węgierskiej Kingi (Kunegundy).

Krzesimierz, Krzesimir, Krzesim, Krzesław (r. 1222), Krzesz, czyli Krześ; było także imię Okrzesław.

Kownat? Krusz?

L. Lassota (r. 1245); Lech, Leszek, Leszko, Lestko. Lech pierwszy, władca w pierwotnych dziejach Polski. Później znani są: Leszek Biały, Leszek Czarny, Leszek książę inowrocławski, Leszek książę raciborski i inni.

Lubomił; Lubomir, Lubomierz, Lubor; Lubomysł, Lubomyśl; Lubosław, Lubosz, Luboch, Lubiesz, Lubasz, Lubach; Lubart, Lubar; Ludomir, Ludmierz, Ludzimierz; Lutomir, Lutomierz; Ludomił, Lutomił; Lutostaw; Lutobór; Lutogniew.

Ł. Łukomir, Łukomierz. Nie wiadomo, czy było to imię, czy przydomek.

Ładystaw, Ładzistaw, Dysław (skrótowiec z Władystaw). Błogosławiony Ładystaw z Gielniowa, ob. Władystaw.

Łogistaw?

M. Małomir, Małomierz, Małosz; Maślaw. Mazur Maślaw, podczaszy Mieczysława II, w r. 1040 przywódca buntu na Mazowszu.

Męcimir, Męcimierz, Męcmierz, Męcisz; Mieczysław, Mieczsław, Mieszek, Mieszko; Miłorad; Miłostaw (r. 1220), Miłosz, Miłoch; Miłogost, Miłost, Miłota; Miłowój, Miłój (r. 1222). Milej, dziekan wrocławski r. 1290.

Mirostaw (r. 1233), Mirosz, Mirost, Mirczko. Mirosław, sędzia krakowski r. 1278; Mirosław, podkomorzy gnieźnieński r. 1288.

Mirogniew; Miścieszaw (r. 1270). Czy to nie będzie Mściszaw?

Młodziej, Młodosz, może było imię Młodostaw?

Modlibor, imię lub przydomek.

Mojstaw, Monestaw (wiek XIII), Mroczesław, Mroczek, Mroczko; Mściszaw, Mścisz, Mściś, Mściszko; Mścibor, Ścibor, Siebor, Ściebor; Mścigniew. Kasztelan radomski Mścigniew r. 1337.

Mściwoj, Mściwuj; Myślborz, Myślbor (r. 1251); Myślisław, Myśław; Myślimir (r. 1278).

N. Nadbor, Nabor; Nasiegniew (r. 1278); Nasław (r. 1200), może Maślaw.

Nawój; Naczestaw, Naciestaw, Nacestaw, Naczestaw, Naczesz (czyli Nacześ); Niemir, Niechmir, Niemiera, Niemierza, Niemirka; Nie-

gosław, Niegosz; Niebor; Niemomysł, Niemsta; Ninomysł; (1222), Ninogniew, Ninota.

O. Obieśław, może od Sobieśław.

Odośław (wiek XIII); Okrzestaw, Ościsław, Ocieśław, może od Rościsław.

Ostromir, Ojrzan, imię skrócone lub przydomek.

P. Pakosław, Pakosz, Pachosław (1153). Pakosław, wojewoda krakowski r. 1212; Pakosław, wojewoda sandomierski roku 1228; Pakosław, wojewoda, zginął śmiercią walecznych w bitwie z Mongołami pod Chmielnikiem r. 1241.

Pankosz (1212), Pąkosław, Pękosław, Pękosz, może to samo co Pakosław.

Pączesław, Pączaw, Pęśław (1251), Pęcław; Pilich i Poniat imiona skrócone lub przydomki.

Pełka albo Fulko. Pełka, herbu Lis, niepospolitych przymiotów biskup krakowski od r. 1186—1207; Pełka, arcybiskup gnieźnieński od r. 1232—1258.

Pobysław, Pobisław, Pobysz; Polemir; Pożrymir; Przedesław, Przedstaw (1153), Pzesław, Przeclaw, Przęclaw, Prząclaw. Przeclaw kasztelan poznański r. 1352; Przeclaw z Pogorzelca (lub Pogorzelecki), herbu Grzymała, biskup wrocławski od r. 1341, ostatni Polak na tej katedrze przed szeregiem Niemców, zmarły r. 1376.

Prandota; Przedborz. Starosta kujawski Przedbór r. 1359.

Przedpełk, Przedpełko, Przedpołk. Przedpełko, wojewoda poznański r. 1267.

Przedwoj (1153); Przemysław, Przemyśl, Przemko. Do mężów „świętobliwych“ zaliczany jest Przemyśl, książę mazowiecki, i Przemysław Rudnicki, jezuita, zmarły w Przemyślu r. 1660.

Przybygniew (1234); Przybyrad; Przybysław (1177), Przebysław, Przybysz, Przybko, Przybek; Przybywoj (1015). Przybywoj, brat przyrodni czy też stryjeczny Bolesława Chrobrego.

R. Racibor (1120). Racibor, książę panujący z ramienia królów polskich na Pomorzu, po obu brzegach Odry, ożeniony z Przybysławą, podobno córką Bolesława Krzywoustego.

Racimir (1149), Radzimir, Radzim, Radzym, Radzyn; Radosław, Radosz, Radzśław, Raczśław, Raclaw, Raśław (1222); Radzistaw, Radzisz, Radzićj; Radogost, Radogoszcz, Radgost, Radost (1136); Radomyśl, Radom, może od Radomysław?

Radomił, Radomir, Radowoj, Radowit, Radowid (r. 1136), Roliśław; Rościsław, Rośław, Rościsz, Rostek, Rastko; Rusław.

S. Sambor, Szymbor; Sędzimir, Sędziwoj, Sędziwuj, Świdwa, Sadek, Sandek. Sędziwuj, zwany Sandalius, herbu Korab, do mężów „świętobliwych“ zaliczony, słynny profesor Akademii Krakowskiej w XV wieku, miłośnik ojczyzny i przyjaciel długoletni Długosza.

Sędzistaw, Sędzisz, Sandko, Senistaw, Sęczygniew, Sieciesław, Sieciech, Siecićj. Sieciech, wojewoda krakowski, słynna postać w dziejach naszych w XI wieku.

Sierosław, Sirośław, Syrosław, Siesław, Sierosz, Sierzch, Sieradz; Ścibor od Mścibor. Ścibor Szarlej Mikołaj r. 1457 wojewoda inowrocławski.

Skarbimierz, Skarbimir, Szkalbmierz, Stalmierz, Skarbiesz, Skarbosz, Skarbisz, Skarbek. Skarbimir, powiernik i wojewoda Bolesława Krzywoustego, a później przywódzca buntu.

Skarysław, Skarysz, Skarsz; Skarogost, Skorosz; Sławosław, Sławosz, Sławek, Sław, Sławęta; Sławobój, Sławoj; Słabomierz, Słabomir, Słabosz; Sławibor; Sobiesław, Sobosław, Sobiesz, Sobiech, Sobek, Sobimysł, Spicygniew.

Spycimir, Spycimierz, Spicisz, Spytek, imie swojego czasu bardzo rozpowszechnione.

Stanimir, Stanisław, Stanisz, Stańczyk, Stasz (czyli Staś), Stach, Staszko, Stańko, (w r. 1241 mamy już zapisane „Stasch,“ co zapewne współcześni czytali Staś). Imię jedno z najpopularniejszych po wsze czasy w Polsce. Św. Stanisław biskup krakowski syn Wielisława i Bogny w wieku XI. Stanisław błogosławiony, męczennik zawichoski w wieku XIII. Stanisław Kostka św., w wieku XVI. Do mężów „świętobliwych“ zaliczani są: Stanisław Hozyusz, Stanisław Karnkowski arcybiskup gnieźnieński i Stanisław Leszczyński król.

Strachosław, Strach, Strachota, Strasz; Stręgobór, Stręgoborz, Stręg, Stręg; Stradomir, Stradom; Strzegosław, Strzegorz; Strzegomir, Strzegom; Stoigniew, Stójgniew; Stoimir, Stójmir; Stoisław, Stójśław, Stosław. Stosław Polak w Zakonie krzyżowym, umęczony w XIII wieku podczas nawracania pogan pruskich. Legendę tego męczennictwa przytoczyliśmy pod imieniem Dysław.

Stredziwoj; Sulibor, Sulbor, Sulborz; Sulimir, Sulimierz, Sulim (r. 1065), Sulima; Suligost, Sulgost i Surgost, może warianty jednego imienia? Sulirad, Surad; Sulistryj, Sulěj; Sulisław, Sulisz, Sułosz, Sulik, Sułko, imię równie jak Stanisław arcypospolite w dawnych wiekach. Sulisław, kanonik krakowski r. 1236. Sulisław, rycerz zginął w walce z Mongołami pod Chmielnikiem r. 1241.

Świętobój; Świętomir. Świętomir kasztelan na Biechowie r. 1298.

Świętobór, Świętobór. Imię takie nosił jeden z krewnych Bolesława Krzywoustego.

Świętosław, Święcislaw, Świętosz, Światosz, Świętoch, Świętek (r. 1221), imię często spotykane. Świętosław z Wojcieszyna uczonego prawnik ksiądz mazowiecki w XV wieku. Świętosław błogosławiony urodzony w Sławkowie a zmarły r. 1489.

Świętopełk, Światopłk. Świętopełk jeden z braci Bolesława Chrobrego. Światopłk wielki książę kijowski, teść Bolesława Krzywoustego. Świętopełk, książę na Nakle, powinowaty Bolesława Krzywoustego i z ramienia jego namiestnik na Pomorzu nadnoteckim. Świętopełk książę pomorski w wieku XIII. Świętopełk wojewoda krakowski r. 1291.

Szczęsław (r. 1259), Szczęsbój.

T. Tęgomir; Tolimir, Tomir, Tumisław, Tomisz, Tomik. Tomisław z Szamotuł r. 1300 wojewoda poznański. Tomisław sędzia kaliski r. 1366. Tomisław kasztelan sandomierski r. 1408.

Trojden, Trojan (r. 1220). Trojden wielki ksiązę Litwy od 1272—1282 r. Trojden ksiązę czerski od 1313—1341 r. Trojan kanonik krakowski r. 1236.

Trzebiesław, Trzebierz, Trzebuch. Trzebiesław ze Zbąszyna kasztelan r. 1246.

Trzebomysł, Trzebiebysł (r. 1286); Tulisław, Tolisław, Tulisz, Turzjan? Twardosław (r. 1218), Twardzisław (r. 1230); Tworzymir, Tworek; Tworzysław, Tworzysz.

U. Ubisław, Ubysław Ubysz. Ubysław kasztelan kaliski r. 1301.

Unisław, Uniesław, Unisz, Uniesz, Uniej; Uniewit; Unimir; Uścisław, Uścisz.

W. Walimir, Walimierz, Warcisław, Warcisz, Warsz, Wars. Warcisław ksiązę pomorski, który w r. 1124 z ramienia Bolesława Krzywoustego panował na Pomorzu średniem i po obu brzegach Odry dolnej.

Węcemił; Wielimir (r. 1239); Wiarosław (r. 1256); Wielisław, Wielisz. Wielisław ojciec św. Stanisława w XI wieku.

Walisław, Walisz; Wielebor; Wieńczysław, Winczesław, Wiczesław, Węcęsław, Więćław, Węcław, Więćek, Wacław, Wach. Imię bardzo pospolite. Więćław jeden z trzech braci „świętobliwych“ w XIII wieku (byli nimi: Więćław, Wisław i Władysław).

Wirchosław (r. 1279); Wiślimir, Wisław, imię dość powszechnie używane, może skrócone z Wiścisław lub Wielisław. Wisław (Piękny), ksiązę na Wiślicy, kochanek Helgundy, postać osnuta legendą, z dziejów bójecznych Polski. Błogosławiony Wisław męczennik zawichoski. Wisław jeden z trzech braci „świętobliwych.“ Wisław dziekan r. 1207 i biskup krakowski. Wisław biskup kujawski w XIII wieku.

Witosław, Witosz, Witost (wiek XIII); Władysław, Włodzisław, Ładysław, Ładzisław, Dysław; Włodek. Czterech królów polskich i wielu ksiąząt nosiło to imię. Pierwszy z królów tego imienia Władysław Herman, prawnuk Chrobrego urodził się r. 1043. Władysław jeden z trzech braci „świętobliwych“ w XIII wieku. Ładysław z Gielniowa, błogosławiony (urodzony 1440 † 1505 r.), jeden z patronów ziemi polskiej, był synem mieszczanina z Gielniowa w Opoczyńskim.

Władywoj, Włodowoj; Włodzimierz, Włodzimir; Włóściborz, Włóścibor, Włostobor, Włostobór, Włoszyborz, Włost; Wojan; Wojbór; Wojczesław, Wojciech, Wojmir, Wojsław, Ojsław, Wojsz, Wojsznar, Wojsnar, Wonesław? Winiesław; Wrocisław, Wrocław, Wrocisz, Wroch, Wrochon, Wszewłod, Wszerad, Wszebor (r. 1200) imię jedno z pospolitych; Wyszomir, Wyszymir, Wyszemir, Wizimir, Wszemir, Wysz, Wyszek, Wyszko.

Z. Zasław czyli Izasław, Zawisz, Zawisza, imie skrócone. Zbigniew, Zbijgniew. Zbigniew syn Władysława Hermana, urodzony około r. 1070.

Zbożny; Zboisław (r. 1222), Zbroisław, Zbrośław, Zbrosz; Zbilut, Zbylut, Zbijlud. Szlachcic polski Zbylut fundował jeden z klasztorów cysterskich w XII wieku w Polsce. Zbilud (r. 1221) łowczy księcia Konrada mazowieckiego.

Zbysław, Zbijstaw, Zbysz; Zdasław, może Zdzisław? Zdzisław (r. 1220), Zdzesław, Zdiesz, Zdieszko, Zdzisz czyli Zdziś, Zdziech; Zdziwoj; Zdzigod; Zdzimir; Żechostaw; Żelistaw, Żelisz, Żelech; Żerostaw, Żyrostaw (r. 1120), Żysław Żyro; Ziemirad; Ziemomysł, Ziemomysław, Ziemisław, Ziemimysł, Ziemostaw, Ziemak i Ziemięta. Są to warianty jednego lub dwu imion starożytnych. Ziemomysł książę polski w X wieku, ojciec Mieczysława I. Ziemomysław książę kujawski (1261—1288).

Ziemowit, Ziemowid. Ziemowit syn Piasta i Rzepichy, właściwy założyciel dynastji Piastowój. Na jego też może pamiątkę sześciu książąt mazowieckich z rodziny Piasta nosiło imie Ziemowit.

Złotosław (wieku XIII); Zwinisław, (Zvinezlaus) p. Baudoin de Courtenay czyta to imie: Świniestaw.

Żytomir, Żytomierz.

Imiona niewieście tworzone ze wszystkich męzkich, przez dodanie końcówki *a*, np. Bogustawa czyli Bogusza. Bronisława błogosławiona z zakonu św. Norberta, urodzona w domu Odrowążów, † 1259 r. Bronisława z Sandomierza i Busława z Łowicza, męczenniczki zawichosckie, o których w ogóle pisze ongi książd Jaroszewicz: „Teć to są przeszłicne röße z ogrodu Serafickiego zakonu, które jako cały kościół Boży zdobia, tak miasta i różne domy polskie w których się niegdy porodziły.“ Bogna, Boguchna, Bogdanna (Teodora), imie które nosiła matka św. Stanisława. Czechna, Dobiesława czyli Dobiechna. Dobroslawa, Dobrogniewa królowa polska, żona Kazimierza I Odnowiciela. Derstawa, Grzymisława błogosławiona księżna polska, żona Leszka Białego, matka Bolesława Wstydliwego i błogosławionej Salomei, zmarła r. 1242 jako zakonnica w Zawichosćie i tam pogrzebiona. Gorysława czyli Górka, żona Ziemomysła a matka Mieczysława I. Jarostawa, Jaromiła z Warszawy, męczenniczka zawichoscka jak również Ludmiła z Krakowa i Monesława z Zakrocymia. Małusza, Mścisława czyli Mścichna. Nawojka (od imienia męzkiego Nawoj) Oporowska dziedziczka miasta Staszowa w XVI wieku. Odestawa z Warki męczenniczka zawichoscka. Przybysława, podobno córka Bolesława Krzywoustego. Przybka. Piechna. Radogosta czyli Radosta (r. 1222); Radosława czyli Raclawa. Swatawa siostra Bolesława Śmiałego, prawnuka Chrobrego wyszła r. 1063 za Wratysława panującego w Czechach. Świętosława czyli „Świętocha,“ Świętka z Melsztyna i Stanisława czyli Stachna z Opoczna błogosławione męczenniczki zawichosckie. Tolimira, Tomira. Wanda, imię legendowe do

którego odpowiedniego nie znamy. Warszka czyli Warcisława. Wojsława. Wśród męczenniczek zawichoskich znajdują się: błogosławiona Wisława, Witosława z Buska (w mowie potocznej mówiono Wichna, Witusza, Witusia), Wiścisława z Leżajska, Welisława z Lublina, Wyszomira z Łowicza i Złotostawa z Proszowic. W dokumentach średniowiecznych znajdujemy także imie Zdzisława (r. 1236) czyli Zdziesza, Zdzichna (r. 1193). Zbysława, Zbichna Światopełkówna była pierwszą żoną Bolesława Krzywoustego, Zuchna i t. d.

Już wspomnieliśmy na początku, że od starodawnych imion polskosłowiańskich, wzięły początek liczne nazwy starożytnych wiosek polskich. Nazwy te zkadinaż zagadkowe i niezrozumiałe łatwo potrafimy wytkłomaczyć, gdy wiemy np., że istniał Bożywoj czyli Bożej a ztąd ziemię lub sadybę jego nazwano Bożejewo; od synów lub kmieci Raclawa powstała nazwa Raclawice; był Budzislaw czyli Budzisz, więc mamy Budziszewo. I w ten sposób tłomaczyć należy od Chocimierza, Chocima—Chocim; od Czesława, Czesza—Czeszewo; Dobrocha—Dobrochy; od Dobiesława, Dobiesza, Dobka—Dobiesławice, Dobieszowo i Dobki; od Radzislawa, Radzieja—Radziejowo; od Skarysława, Skarysza—Skaryszów! od Unisława, Unisza—Uniszowice; od Warcisława czyli Warszawy—Warszawa; od Walisława, Walisza—Waliszewo; od Wrocisława—Wrocław; od Żelisława, Żelisz, Żelicha—Żelisławice, Żeliszew i Żelechów i t. p. Imię Sulisław czyli Sulisz, Sułosz, Sulik i Sułko, musiało w swoim czasie być bardzo rozpowszechnione, bo od tych odmian mamy aż kilkadziesiąt nazw miejscowości np.: Suliszów, Suliszowice, Sulisławice, Sulkowo, Sulików, Sulki, Sułkowo, Sułkowice, Sułoszowa, Sułoszyn, Sułów i Sułówek. Niektóre z nich powtarzają się wielokrotnie w różnych okolicach.

Do XVI wieku używano u nas przeważnie imion polskich. Z hebrajskich spotykamy także kilka wyszłych dziś z użycia jak: Abraham i Aaron. Wszystkie zaś przyjęte od cudzoziemców starano się spolszczyć. Zacharyasz mówiono; Zach; Ignacy—Żegota; Jakób—Jakusz, Jak; Tymoteusz—Tyszka; Andrzej—Jędrzej; Adalbert—Wojciech; Mikołaj—Mikosz, Mikłosz, Mikłasz; Daniel—Daszko; Laurentius—Wawrzyniec; Eleazar—Olizar; Feliks—Szczęsny; Marya—Marusza; Benedykt—Bieniasz, Biesiko; Eustachy—Ostasz; Teodor—Bogdan; Gotlib—Bogumił; Hieronim—Jarosz i t. d. W wieku XVI do imion najpopularniejszych mężkich należał: Maciej, Jan, Stanisław i Sebastyan, którego pisano „Sobestyan,” jak dotąd wymawia często lud. Z imion żeńskich ulubiona była Jadwiga czyli Hedwiga. Tak więc już w powyższem stuleciu imiona cudzoziemskie wzięły górę, a w następnych wiekach zapomniano je bezmyślnie, z wyjątkiem niewielkiej liczby. Piękne imiona sięgające zamierzchłych czasów kolébki narodu polskiego, używane przez setki pokoleń, płynące wprost z dźwięcznej mowy naszej i związane z dziejami każdej skiby i siota, poszły prawie wszystkie na wygnanie. Imiona praojców walecznych, mężów świątobliwych i zacnych prababek ustępowały częstokroć przed imionami zagranicznych opryszków lub wszetecznic pogańskiego Rzymu. Za tak zwanych czasów

pruskich chętnie a śmiesznie dodawano do nazwisk polskich niemieckie *von*, a i dziś można spotykać jeszcze francuzkie *de*. Zato o imionach polskich ogół nasz ma wiadomości bardzo skąpe. Łatwiej u nas o wyborny akcent paryzki, niż o jakotaką znajomość dawnéj polszczyzny.

Jeżeli wydają się dziś niektóre z imion powyższych nieco szorstkie lub oryginalne, to tylko z powodu nieprzyzwyczajenia naszego ucha. Wszak imiona Kazimierz, Zdzisław lub Władysław nie są piękniejsze od wszystkich innych imion polskich, a jednak uważamy je za dźwięczne i sympatyczne. Jeżeli nosimy imiona świętych patronów, których kolébką były inne narody i kraje, czemuż nie mamy równie uczcić pamięci tych wszystkich mężów wielkiego serca, męczenników i błogosławionych, których wykarmiły nasze niwy, których słowa i czyny były pokarmem ducha ojców naszych i których prochy są wśród nas.

PIĘĆ USTĘPÓW Z CYKLU
POWIEŚCI HISTORYCZNYCH *)

J. I. KRASZEWSKIEGO.

OCENIŁ

Ernest Swiężawski.

III.

Ogólna charakterystyka epizodów. Rozbiór wedle nich *Staréj Baśni*. Dwie w niej zasadnicze myśli: starcie Słowiańszczyzny z Germanizacją i pogaństwa z wiarą Chrystusową. Odnośne cytaty z następnych powieści, uwydatniające główną jakby cechę trzech pierwszych *Powieści historycznych* w rozwinięciu owych dwu myśli. Hypotetyczna osnowa *Staréj Baśni*, jako powieści wstępnej. Rozbiór *Luboni* i *Braci Zmarłychwstańców* wedle schematu *Staréj Baśni*.

Rozpatrując budowę każdej powieści szczegółowo, spostrzegamy, jak to powiedzieliśmy wyżej, że każda rozpada się na kilka samodzielnych ustępów czyli epizodów. Są to owe ramiona i łachy, na które rozdziela się powódź fantazyi autora, aby tém większą przestrzeń fak-

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za luty r. b.

tów czy legend historycznych z danego przez myśl zasadniczą powieści obrębu, objąć, zagarnąć, związać. Związać... nie, nie jest to ściśle powiedziane, jest to dobry zwrot, jeśli pamiętać będziemy ciągle o metaforze powodzi, o wód wylewie, który dla oka tylko wyrównywa chropowatości gruntu, więc łączy tylko pozornie najwyższe jego szczyty... kosztem rzeczywistej łączności.

Epizody bowiem powieści Kraszewskiego, nawet w *Starój Baśni*, kędyby najłatwiej mogły przestać istnieć, z korzyścią dla jedności estetycznej a niesprzecznie z legendową, owszem tam nawet izolują się umyślnie, zdają się jakby umyślnie akcentować niechęć autora do skorzystania z następczących się ciągle sposobności związania *wszech* fabuł ubocznych w artystycznie zróżnicowaną jedność. Właśnie ta powieść, najwięcej zalet mająca ze względu na związek swych epizodów doznała zarzutu, że nie posiada żadnej wyższej idei, a jej części łączą się jedynie chronologiczną nicią następujących po sobie wypadków ¹⁾.

Cóż dopiero mówić o następnych powieściach historycznych, w których mniejwięcej skromnie manifestuje się organiczna konieczność związku epizodów z sobą. Znaki tego umyślnego niemal rozsypania gmachu każdej z powieści w mnóstwo drobniejszych budynków i przystawek, są podobno łatwe do spostrzeżenia i określenia. I tak bardzo często.

1. Epizod każdy rozwija tezę odrębną, uzupełniającą może niekiedy bardzo dobrze wątek główny, za który trzeba uważać chyba fakt podniesiony w tytule powieści. Niekiedy jednak dopiero po zajęciu przez czytelnika stanowiska, niewskazanego ani przez fakt tytułodawczy, ani przez autora w jego obrobieniu,—stanowiska więc wynioślejszego; wówczas dopiero zbiegają się w soczewce tak z góry patrzącego promienie wszystkich, wprzód odległych od siebie i niezależnych ognisk.

2. Daléj autor wyraźnie zamierza z góry roztrzącać powieści swe na serye kunsztownych ale wyosobionych zawsze obrazków, skoro już nie przez odrębność, ale przez powtarzanie tych samych bajek z wariantami, lub szczegółów mniej więcej ważnych, w jednej i téj samej powieści, ale w różnych epizodach, pozbawił się tak łatwego źródła osiągnięcia jedności artystycznej. Paralelizm intryg, dwoistość, troistość i t. d. tych samych faktów, katastrof, które właśnie tracą, w skutek powtarzania swój charakter „zwrotowy:” gasi jedność, interes, zapał, utrudza złudzenie.

3. Wykonawcy, działacze (*träger*) fabuł podrzędnych czyli epizodów, rzadko biorą udział taki w bajkach innych, by go niemal nie można podać w wątpliwość. Obsada, że tak powiem, każdej nowej akcji, tak widocznie jest nowym osobom powierzana, że nawet cierpi na tém zupełność charakterystyki osób ważniejszych, bardzo naturalnie dająca się oddać przez kumulacją ról w różnych akcjach jednej

¹⁾ Niwa, 1877 nr. 42, str. 453. Reconnzya Chmielowskiego.

powieści. Często wręcz temu, rysy pewnych osób, które występują w kilku epizodach, tak się rozkładają, że co epizod, to nowy rys rozdwa ja lub roztraja jedną postać na typy nowe. Ze mnogość ta osób zaciera wybitne kontury i barwy własnych ich postaci, że często strąca jedne do roli komparsów, usuwanych bez szkody chwilowo lub stale w środku lub nawet na początku powieści, drugie zaś ze szkodą jedno ści estetycznej wynosi do rzędu pierwszych bohaterów i kierowników akcji: o tém niemal zbytecznie mówić.

Wedle tych zasad wyróżnijmy teraz epizody znanych nam powie ści historycznych. A przedewszystkiem weźmy pod uwagę *Starą Baśń* i badajmy skład jęj zupełnie bez względu na to, że jest powieścią wstępną, prologiem, że więc wątek główny sam przez się do nięj się nastreczył, że nim było określenie ogólno-dziejowe stanowiska pań stwa Piastów (Piastów)¹⁾ i czynników wyrabiających takowe. Dla ja sności, odrazu będziem charakteryzować epizody nazwami działaczy i dążności bajki.

Tych epizodów w *Staręj Baśni* jest trzy: *Hengo-Wisz*, *Dziwa-Do man* i *Piastun*. Pierwszy antytezę dwu cywilizacji, drugi miłość i re ligią, trzeci samą katastrofę dziejową ma, zdaje się przedstawiać.

Pierwszym co do miejsca jest epizod *Henga i Wisza*, w którym lu bo niewyłącznie, jednak przeważnie ujawnia się stosunek dwu cywilizacji: germańskiej i słowiańskiej (względnie nadgoplańskiej i nadwar ckiej). Z powodu, że niektóre także rysy tego ustępu zjawiają się i później w dwu drugih epizodach, zbieramy je w jedną wiązkę odra zu. Ów Hengo wysłaniec z Turyngii od ojca „Pepełkowej” (Popielo wej) żony „Brunehildy” (nazwa fikcyjna), szpieg i kupiec zarazem, któ ry ginie z akcji swego epizodu już w pierwszym tomie (str. 118), a ja wi się znów w trzecim dopiero (str. 34, por. 124—141) i w inném zu pełnie kółku (o czém niżej) nie jest jedynym (jak chce Chmielowski, str. 453) reprezentantem *Kulturkampfu* i *Drang'u nach Osten* w owęj epoce Brunehilda, żona Pepełka, sam Pepełek—Chwostek, jego dwaj sy nowie, „Smerda” (niby marszałek Pepełka), „Dobek,” „Gerda” syn Henga ze słowianki, nawet „Znosek” (znoszący wiadomości) szpieg i błazen Pe pełków, że już pomimę wuja Pepełkowiczów Klodwiga, (który jest tylko nową formą samego Pepełka i wraz z jego synami w dalszych czę ściach *Staręj Baśni* gra jego rolę); to są różne objawy tego samego *Kulturträgerstwa*, bądź woryginale, bądź w naśladownictwie i zastosowa niu miejscowém. Hengo najwięcej bije w oczy, najbardziej narzuca się czytelnikowi, bo i ekspozycya bardzo długa, uwydatnia go i jesto łącznik kolonii niemieckiej wśród Polan, forpczty *Vaterlandu* z sa mem *Vaterlandem*. Obraz handlarskiej funkcji Henga, powtórzony

1) Zastrzegamy sobie raz nazawsze wolność używania w własnych uwagach nad powieściami Kraszewskiego imion własnych w tej formie, którą ostatecznie wydania krytyczne rękopisów źródłowych i rutyna dotychczasowa (w nawiasie) wprowadzają w użycie.

dwakroć (u Wisza i na „stołbie”—zamku? Pepekka) bo u kmiecia jest niby kupiecką osłoną szpiegostwa, a u knezia dyplomatycznej akcji, szczęśliwie odtwarza dwulicą niby cywilizatorską, a istotnie zaborczą tylko politykę Niemców. Wnet następuje, już niewymotywowane równie słusznie, powtórzenie uczy otrucia raz starszyny, drugi raz stryjów (I, str. 96—99 por. II, str. 98—104), przyczém co gorsza zaginęła podaniowa, w duchu pogańskim oddana u Kadłubka zbrodniczość, świętokradzkość otrucia stryjów, bo dokonanego na stypie. Zdaje nam się, że to, jak również powtórzenie przestrachu Henga i Smerdy starszego na widok potrutych w gościnie, nie popychają skutecznie akcji, lecz ją niekorzystnie przewlekają. Raz bowiem w skutek tego groza tragiczna i katastrofa legendowa giną, a zdaje się iż fikcyja autora, wedle której śmierć Pepekki, nie owo otrucie stryjów (jak w tradycyi) lecz ledwie niedługo decyzye wieców sprowadzają w powieści, nie jest lepszą estetycznie. Powyższe uwagi akcent złożony w przestrachu Henga przez rozdwojenie się tego objawu psychicznego na dwie osoby przy dwu identycznych faktach, przez reduplikacyą tę nie potęguje się ale słabnie. Przestrach Henga co prawda na widok śladów dzikości Pepekki wyraźnie w myśli autora ma znaczenie ogólnodziejowe, filozoficzne. Jestto przestrach Kulturträgera zapóźny i egoistyczny nad owocami własnych doświadczeń *in anima vili* polańskiej. To odwet praktyki niemoralnej na teorii, odwet praktyki użytecznej na razie, ale budzącej czy wyrzut sumienia, czy też obawę, aby to, co uczeń robi na spółziomkach teraz, nie zaprawiło go do podobnych robót na nauczycielach. Tej podstawy psychicznej jednak niema w przestrachu starszego Smerdy. W nim chyba budziłby się żal, rzekłbym patryotyczny; to w wychowanku germańskim byłoby drgnięcie swojskiej duszy. Nie lepijże jednak było te odcienia wydać w jednym typie, zamiast w kilku (Smerda, Kos, Gerda, Dobek), przypuściwszy, że nasz wykład prawdziwy. Bo trzeba jeszcze w dodatku pamiętać, że Smerda, sługus kneziowski, znęca się sam nad kmieciami, a chyba w nim niema różnicy rodowej, lub innej, mogącej uprawnić go do stosunku pana względem kmieci, która sama jedna tylko mogłaby wytkomaczyć stoicyzm jego w mordzie względem kmieci a sympatya dla stryjów Pepekki.

Brunehilda to inny typ germańskiego cywilizatorstwa. Błada ta, spowita w chusty, milcząca, ale zato energiczna, myśląca i działająca świadomie kobieta, żona takiego Pepekki, to myśl ożywiająca, kłoc tamten, to tryumf (choć jaki!) ducha nad ciałem. Smutna to a błędna charakterystyka Słowiańszczyzny bezmyślniej i jej stosunku do dającego jej tę myśl Germaństwa (w duchu teorii W. A. Maciejowskiego i K. Szajnochy) gdy odzywa się Chwostek (II, str. 80) do niej: „Ty masz rozum niemiecki, ja tylko bić się umiem,” a Brunehilda odpowiada: „u ciebie więcej siły w ręku niż w głowie.” Hado niemiec, ładny, ulubieniec Brunehildy (II str. 69) i kaszuba „Mucha” (II str. 82) rywal jego w łaskach u białej pani, nareszcie Znosek, to dwór Brunehildy, zwłaszcza w dwu ostatnich postaciach, wyobrażający jej wpływ erotyczny na Słowian inteligentnych, wpływ, choćby w duchu

Platona, wyśmiewany przez nią, ale spożytkowywany. Quasimodo-Znosek i piękny Kaszuba z jednej strony, a z drugiej Pepełek, tyran głupi, waryat wściekły, zbrodniarz nowicyusz, bo dwa razy jedno (uczta) lub raz robiący bez korzyści ¹⁾ to świetna antyteza obiektów wpływu Niemkini. Pepełko zwłaszcza to już nie przykład tego magnetycznego świadomego wpływu inteligencji na ciała, jak to z Muchą lub Znoskiem się dzieje, ale to pono wskazówka powieściowa, jakie są produkta choćby wyższej (!?) kultury... szczepione na dzikim gruncie; czém jest pokost zewnętrzny przy braku moralnego wnętrza, przy jego niedostrojeniu się do powierzchownej glazury?

Wypada tu jeszcze zaznaczyć, że autor logicznie w duchu słynnej sceny trucia przez żonę stryjów Popiela (którą podaje Kadłubek w swój kronice), odtwarzając charakter tego księcia, zresztą zupełnie odstąpił od tradycyi kronikarskiej. W kronice owęj zmysłowość Popiela, choć dowolnie domyślona, przecie jako cecha charakterystyczna księżęcia w tradycyi ustaloną została, i nawet w późniejszych kronikach jest powodem sfałszowania jego nazwy. Przeniesiono bowiem imię ojca Pasztowego Choszyszko na „Pumpila” (Popiela) nadając téj nowéj nazwie jego, znaczenie „miotły” lub wogóle wszetecznika ²⁾. Zrazu postać Pepełka zarysowuje się w *Staréj Baśni*, jako typ rozpustnika nieznającego żadnego hamulca, nawet w przepisach religii pogańskiej. Nadany mu przez Kraszewskiego odcień niewiary, rys jakiegós chwiania się między dawną wiarą a formami chrześcijaństwa (t. II str. 63) wprowadza nawet czytelnika *Staréj Baśni* w niejaką wątpliwość co do tendencji autora, gdy nam przedstawia Pepełka (t. III str. 55—65) przebywającego na wyspę Lednicę, do świątyni, Ni-joły (sic) i Znicza (sic). Mniemaćby narazie można, że gwałtowne wystąpienie tego księcia w miejscu czci powszechnej, wywoła przez to skandal wśród zgromadzonych pątników i zamach na życie Pepełka, że ten wypadek nowostworzony ma zastąpić obraz tradycyjnej uczty pogrzebowej (stypy) i zbezczeszczenie tego świętego obrzędu, przez użycie go za narzędzie mordu stryjów. Świętokradztwo leżące na dnie obu tych faktów, dopuszczałoby podobnego zastępstwa, tém łatwiej, że już raz, jak powiedzieliśmy scena otrucia gości na „stołbie kneziowskim” została przez Kraszewskiego spożytkowana, bez nadania jéj funkcji węzła tragicznego, roli punktu zwrotowego, od którego akcja zmierza szybko do rozwiązania, jak to ma miejsce w kronice Kadłubka. Owszem szanowny autor może osłabił doniosłość sceny otrucia wbrew tradycyi i potrzebie artystycznej, przenosząc ją na inne osoby, a zabicie stryjów rozdzielając między Pepełka i jego synów. Zmiana ta nakazywałaby zrobić przypuszczenie, że ją uczyniono nie bez zamia-

¹⁾ Oślepienie lub zabicie synów stryja Miłosza, zabicie kmieci, otrucie stryjów, oraz „załogi stołba” w ostatniej walce.

²⁾ Por. *Vinzent Kadłubek von Linde*, str. 314, *Mon. Pol. Hist.*, Białowski t. I, str. 396, t. II, str. 271 i 478.

ru. Wiedząc, że Dziwa, bohaterka drugiego ustępu (*Doman-Dziwa*) uciekła przed niemiłym amantem Domanem na Lednicę, przychodzi zrazu na myśl, czy Kraszewski nie sprowadził Pepetka po to do miejsca schronienia zbiegłej, aby ją uczynić ofiarą chuci książećcia.

Świętokradztwo to, przewidziane nawet w powieści *Stara Baśń* przez kapłana lednickiego, a przypominające porwanie Biruty przez Kiejstuta, nader byłoby pożyteczne dla jedności fabuły, boby związało silniej pierwszy ustęp *Starój Baśni* z drugimi. Pojawienie się Pepetka na Lednicy miałoby racją, której obecnie mu brak i ta racja leżałaby podaniowo i konsekwentnie w charakterze lubieżnym tego książećcia. Następnie obraz stanu społeczeństwa ówczesnego zyskałby rys wielożeństwa zaledwie ubocznie później zarysowany w *Starój Baśni* (t. I, str. 145, t. II, str. 185), potem podniesiony niepotrzebnie, bo za silnie w *Luboniach* (t. I, str. 106—111), znów tylko zeszkicowany w *Zuni z Masława* (t. I, str. 127—139).

Wielożeństwo to, dające zgodnie z istotą swoją powód do zajęć natury czysto haremowej, między żonami lub między synami z różnych osób Chrobrego lub Mieszka (*Bracia Zmartwychwstańcy*, t. I, str. 203 t. II, str. 55, 116, 119 i 201) w skutek intryg kobiet dworskich, tak ma ło jest akcentowane w *Starój Baśni*, że późniejsze owe jego obrazy rzązą brakiem praw proporcjonalności do pierwszych jego objawów, są błędne pod względem ustosunkowania siły. Zamiast z postępem czasu blaknąć, zacierać się w obrazach odnośnych *Starój Baśni*, *Luboni*, *Braci Zmartwychwstańców*, owszem one rosną w potęgę, mają bieg odwrotny właściwemu porządkowi rzeczy. A jak to łatwo można było już w *Starój Baśni* odmalować *in actu* wielożeństwo pogańskich czasów w całej jego szorstkości: najprzód przez umotywowanie (dajmy nam to) przybycia Pepetka na Lednicę, (teraz w *Starój Baśni*), nie bardzo racjonalnego, tym zamiarem by porwać już poświęcającą się bogom kapłankę Dziwę; dalej w późniejszych zatargach Brunehildy z tą nową żoną Pepetka, w kłótniach wreszcie ich dzieci i t. p., co autor przeniósł błędnie do późniejszych czasów! Rysy te skupione w pierwszej części *Starój Baśni* i skombinowane z sceną na Lednicy i z Piastunem wydałyby obrazy Hogartowskiej siły.

„Piastun” (Paszt, Piast) będący w trzeciej części odbiciem Wisza z pierwszej, jako typ gościnności, z tą różnicą że przyjmuje nie Henga lecz Pepetka, tyrana uciekającego przed powstańcami, (t. II, str. 135), mógł być bezpiecznie zlać się z swym wzorem, a tym sposobem wpływny w gwałt lednicki wystąpić w roli, która śmiało stanąć mogła obok roli Don Ruiza w *Ernanim*. Ojciec obrażony, poddany gnębiony, choć wierny ale dotknięty w swęj czei i gospodarz pomny swęj roli nawet w obec sprawcy tylu obraz; to postać chyba dostatecznie tragiczna. Wszakże w tym razie wypadaloby wyrzec się Kraszewskiemu jednej z zasad budowania obecnych powieści; to jest zamiast pomnażać liczbę osób przy jednej niemal akcji, musiałby ją zmniejszać, a przez to koncentrować ruch i wrażenia; zamiast dwiema lub więcej barwami malować

te same osoby, i tworzyć z nich jakby maryonетки, musiałyby z nich robić istoty żywe, działające pod wpływem istotnych przyczyn, w ich naturze lub otoczeniu leżących.

Na Pepekku już się to okazuje. W pierwszym ustępie jest on tyranem bezmyślnym, w drugim bierze na się postać niedowiarka, wygląda chwilami na rozpustnika. Gdyby te rysy uwydatniły się zaraz, gdyby konsekwentnie rozwijały się i tworzyły punkt grawitacyjny rozlicznych fabuł podrzędnych, nieraziłoby to tyle, co teraz gdy ta zmiana charakteru jednej osoby przypada współcześnie z wyprowadzeniem nowych komparsów do akcji.

Nieudał się więc autorowi Pepekko i jako spółdziałacz ustępu: *Doman i Dziwa*. Jeszcze raz jawi się Pepekko w ustępie Piastuna, jak wskazano, lecz już w barwach pierwotnych tyrana i tchórza. Nie ma więc co mówić o nim.

Zaznaczamy tylko jeszcze że zmiana charakteru Pepekka, nierozwinięcie skutków oburzenia na niego ludu na Lednicy, usunięcie miłości ze sceny spotkania Pepekka z Dziwą zdają się leżeć w obawie skończenia powieści przed czasem.

Do osób *Staréj Baśni*, na których autor skutki wpływu germanizacyjnego chciał przedstawić, prócz już wskazanych, należą dwaj Pepekowicze oraz Dobek i Gerda. Pierwsi, mówiąc nawiasem, są wbrew tradycji wskrzeszeni przez autora, bo mieli zginąć wraz z rodzicami. Historycznie tedy są błędni, co do dążeń i charakteru, ogólnie biorąc, są powtórzeniem swego ojca i dlatego także artystycznie błędni. Wuj ich Klodwig względem nich, to Brunehilda względem ich ojca, to Hengo w stosunku do Dobka, kierownika oporu przeciw Pepekowiczom. Zabójstwo Miłosza dziada swego jakoby na pomstę ojca; wezwanie Pomorców i Niemców na Polskę: to znane już fakta w nowéj postaci. Jedyny szczegół pedagogiczny zapewnia im byt samodzielny w powieści i tylko żałować wypada, że zatonął on w morzu reminiscencji.

Jest to fikcja autora, że Pepekowicze chowali się na obczyźnie, w Turyngii. Rys to w wysokim stopniu szczęśliwy, pełen filozoficznej myśli, czy to w stosunku Pepekowiczów do rodziców, czy też ich samych do ogółu rodzimego rozpatrzoney. Ojciec ich wynaturzył się w kraju swoim, ale bo też to jest bezmyślne ciało, jak go zrazu autor przedstawia. W taką glinę tchnąć ducha, taką Galatę ożywić, nie trzeba wzniosłego Pigmaliona. Jest to typ niestety bardzo pospolity u nas, typ używający dnia dzisiejszego bez pamięci o jutrze, typ mówiący z Ludwikiem XV *après nous le deluge* „i cóż na to poradzimy? Jakoś to będzie!“ Pepekowicze to dzieci tych bezmyślnych obywateli kraju, którzy *je dla kształcenia się* wysyłają na obczyznę, obcym duchem każą się im karcić wtedy, kiedy nic swojskiego samowiednie w nich nie żyje, gdy nawet umysł nie umie nic użyć jak się należy i co potrzeba. Pepekowicze to także ludzie, bawiący za granicą, a niepomni że ich miejsce u siebie, siebie bronić nie reprezentować. W tych ideach jedynie tkwi wychowawczo-filozoficzna do-

niosłość kreacyi Pepekowiczów. Szkoda tylko, iż estetycznie błędnym jest obraz przenaarodowiania się przez edukacją, jak Pepekko przez ambicyą i słabość charakteru w małżeństwie, na polity cudzoziemskim.

A Dobek? to antyteza prawie zupełna Pepekka, jak Gerda Pepekowiczów. Dobka opłatał gładkimi słowami Hengo i Klodwig, niezabawem jednak ta szlachetna natura budzi się, roztwiera oczy na przewrotność Niemców, i pracę cywilizatora kończy całopaleniem jego osoby. Ambicya nieobca jest tej duszy jak jest ona właściwą może i Pepekowi; ale gdy w ostatnim nie wzdryga się przed zdradą kraju, Dobko poświęca swą pychę na ołtarzu dobra ogólnego... choćby na ołtarzu nienawiści plemienną. Postać ta jednak (z trzeciego ustępu) dopiero występuje po zgonie Pepekka. Gerda należy do pierwszego epizodu i stanowiąc antytezę do synów „knezia,” zastępuje zarazem Dobka. Któż to jest ten Gerda? To syn Henga i Słowianki, któremu ten szpieg niemiecki a cywilizator Słowian rozmawiać z współplemieńcami zakazuje, czyni go *niemową*. Symbol to znakomity tych metysów, co dwoistą krew w żyłach mając, lub obcą naukę powziawszy, dla kraju ojczystego *niemieją*. Wszakże gdy Pepekowicze zatracili w obczyźnie wszystko co swojskie, i tylko srogość dla współbraci zachowali, jako jedyny wyraz swych uczuć po krwi; Gerda tymczasem więcej wystraszonej jak oduczony metys, uczuwa w danej chwili polską duszę w ciele półniemieckim. *Niemy* przemawia na widok okrucieństw Pepekka. To nie dosyć, że przemawia. Myśl autora głębiej weszła w położenie rzeczy, nadała całemu epizodowi Gerdy znaczenie tego symbolu, jakiego treść podaliśmy w zakończeniu pierwszej części niniejszego. Gerda, oniemiały z rozkazu Niemca, budzi się z uśpienia, zrzuca przybraną szatę obcego, czuje się bratem mordowanych. Ale te wszystkie uczucia przez usta dobywają mu się dopiero... wobec kobiety. „Dziwa,” to typ słowiańskiej dziewicy (jak ją pojął autor) córka Wisza, a ukochana Domana—jest wskrzesicielką narodowości Gerdy, powierniczką jego oburzenia, jego zwierzeń patryotycznych. Dziewica ta, piastunka czci bogów rodzimych, kapłanka tradycyi ojczystej, dokonywa dzieła rozpoczętego przez strach i oburzenie. Wziąwszy do pomocy w wyjaśnieniu tej kwestyi, stosunek Brunehildy do męża i dzieci, znajdziemy grunt, na którym wyrasta treść filozoficzno-praktyczna kreacyi Dziwy w *Starój Basni*. Co Brunehilda psuje, to Dziwa odrabia; co jedna kobieta kazi, to druga ratuje. Dziewica, córka, matka, żona: to wedle Kraszewskiego kapłanki zbawcze tępioną narodowości pogańskiej, to stróże gasnącego ogniska samoistności, które, choćby krwią serdeczną—nawet z popiołu wydobędą płomień na nowy jasny ogień. To myśl *Rezurekturych*, to niejasna, z powodu dodatków, myśl końcowa *Lilli Wenedy*. Gdyby też nie te myśli, nie wieleby się dało powiedzieć dodatniego o przekształceniu i rozwinięciu wątku tradycyjnego w *Starój Basni*. Trzebaby tylko podziwiać siłę wyobraźni Kraszewskiego, iż nawet w tak odrębnym szkicowaniu, w tak z wielu względów chybionym tworze, dał świadectwo prawdziwie przysłowia *ex ungue leonem*.

Nawet przy zaniedbaniu znać mistrza, czerpiącego z rozrzutnością Monte Christa w nieprzebranych skarbach swego ducha twórczego; sygnęcego niedbale perły najczystszej wody na spłowiałe makaty i weretę.

Typy słowiańskie, charakteryzować mające cywilizacją rodzimą, jak tamte obca, napływowa, już w części poznaliśmy. Wisz i Piastun to ojcowie rodzin, dziwnie podobni do siebie; przez co się wyłączający wzajem artystycznie, przeważnie występują w roli kapłanów gościnności. Inne rysy społeczeństwa są mniej wydatne, i w ogóle ich reprezentacją powierzono zupełnie nowym figurom, po to chyba jedynie wymyślonym, by uniknąć kumulacji czynności. Ze względu, że podnoszą one fakta należące do organizacji państwowej lub społecznej ówczesnej Polski, rozpatrzmy je dla nierozzerwania całości w jednym ogólnym obrazie z okazji teorii téjże natury rozwiniętej najszerzej w *Maslawie* i *Boleszyczach*. Przechodzimy do typów żeńskich w *Starój Baśni*, którym Kraszewski powierzył rolę charakteryzowania Polski pogańskiej, etnograficznej. „Jaga“ żona Wisza z „Jaruchą“ sumują rysy kobiet wiekowych w dobie przedchrześcijańskiej praoojców naszych, w części jedynie wierne. Mianowicie Jaga, płonąca na stosie męża, jak i cały obraz pogrzebu Wisza, stanowią piękny rozdział w *Starój Baśni*. Wszakże na tym kończy się prawda historyczna w malowidle Kraszewskiego kobiet pogańsko-polańskich. Już bowiem co do imienia zachodzą pewne wątpliwości. Jeśli „Jaga“ jest utworzona na wzór głośnego w naszej literaturze ludowej typu: „baba Jaga“, „jędza baba“, „jenży baba“, to zachodzi tu silny dysonans między charakterem ludzkim postaci powieściowej a prototypem natury mytologicznej (por. Trzaskowskiego etymologiczny wywód w *Głoskowni* jędza od *indh* sanskryckiego „palić“, także charakter jędzy podaniowy, raczej pożerającej jak pożeranę przez ogień). Jagi wystąpienie jedyne niejako, w scenie samopalenia się, nasuwałoby domysł, że Kraszewskiemu może nawet i powyższe wywody służyły za przewodnią nić w téj kreacji. Otóż jeśli to tak jest, to podobne symbolizowanie akcji i charakteru osób (a potem miejsc) bądź ich imieniem bądź pochodzeniem (np. w *Maslawie*: Spytkowa), będące jakby stałym systemem szanownego autora, może nie jest szczęśliwe, do schematycznych nieraz wiedzy charakterystyk (por. niżej Dziwa-godna podziwu, Mila-miła) ze szkodą praw estetycznego tworzenia.

Z drugiej strony jeżeli „Jaga“ jest skróconą „Jagienką“, błąd jest tém silniejszy, bo imion chrześcijańskich w dobie *Starój Baśni* u pogan polañskich, zwłaszcza w rodzinie Wisza, być nie mogło.

Druą kobietą wiekowa w *Starój Baśni* już w nazwie czy jędrność (Jara) czy koczowniczą naturę swą po jarach (mowa ukraińska!) okazująca, słowem „Jarucha“ jest kreacją chybioną: 1) ze względu na perspektywę całości, na harmonię i stosunek raz dany aktorów do siebie. Wada to niemal wszystkich postaci *Powieści historycznych*. Jarucha tułając się zrazu po tylnych planach powieści; będąc jedynie nowoczesną cyganką wróżącą miłość dziewczętom, idącym jakby na

teraźniesz odpust, (w scenie poprzedzającej „koladę“) będzie potem znahorką, lekarką, (w scenie pielęgnowania zranionego przez Dziwę Domana, a Znoska na szpiegowaniu). W końcu wystrzela na postać kierowniczą trzeciego epizodu. Dość powiedzieć, że ona sprowadza Piastuna obranego do ludu. Zaznaczamy, że i teraz jeszcze ma charakter znahorki i wróżbitki, (w scenie spotkania się z Pepekkiem uciekającym przed Myszkami, a znajdującym wreszcie przytułek u Piastuna jak o tém już wspomiano). 2) Jest Jarucha chybiona ze względu na stosunek swój hierarchiczny do Wizuna kapłana, o czém będziemy mówić w ustępie o tle historycznym, o akcesoryach ogólnych malujących epokę. 3) Jest nareszcie Jarucha postacią fałszywą ze względu na swój stosunek do drugiej stariej Jagi i do Dziwy młodej kobiety pogańskiego obrazu *Stariej Baśni*. Chcąc racją byta obu ustalić, rzeczy należało, że Jaga miała być typem matrony, matki i małżonki polańsko-pogańskiej, kobiety statycznej, że tak powiem, działającej przez wpływ uboczny, przez obecność jako tajemna podstawa rodziny i społeczeństwa, ale niebezpośrednio. W tym razie postać Jagi zdaje się być prawdziwie w idei zasadniczej ujętą choć niedokładnie, bo jedynie z jednej strony narysowaną, i chyba stanowić miała w myśli autora antytezę do germańskiej Brunehildy, dającą się krótko scharakteryzować: Jaga to Kochanowskiego „korona męzowska.“ Brunehilda, to kobieta ze stadła małżeńskiego, w którym „krowa wołu bodzie“ i „donica rządzi.“ Wówczas staje się zrozumiałym powód nadania Pepekowej miana Brunehildy, słynnej z wdzięków, ambicyi i zbrodni królowej frankońskiej. Jedynie możnaby wówczas się spytać, czy antyteza powieściowa odpowiada różnicom narodowym, czy nie jest jedynie różnicą ludzką, więc właściwą wszem narodowościom?

Obok takiej Jagi, Jarucha występuje, jako chyba obraz stariej panny pogańskiej, która bez naturalnej sfery działania w rodzinie, poświęca się ludzkości owoczesnej. Nie stroi się co prawda ani bawi na korzyść kalek, nie oddaje się dewocyi, literaturze, plotkom, sesyi nie zakłada, ale za to wróży, leczy, intryguje, zajmuje się polityką. Jest to więc pogańska polanka (wedle pojęć autora) dynamiczna, typ emancypantki działającej w warunkach owoczesnych jedynie możliwych. Pomijając co w tém należy do prawdziwej charakterystyki dziejowej a co jest karykaturą obecnego stanu rzeczy, zwrócimy jedynie uwagę na stosunek takiej Jaruchy stariej do Dziwy młodej.

Ta córka Wisza jawi się u Kraszewskiego w zgodzie z etymologią dotychczasową (dziew-ica porów. dziw-ić się, po-dziw, *deus, divinus*, po sanskr. *dīv* błyszczeć), jako cząstka bóstwa wcielonego, jako kapłanka z tytułu dziewictwa. Tu właśnie téż zjawia się punkt styczności Dziwy z Jaruchą, powtórzenie się typu jednego w dwu osobach różnego jedynie wieku. Racja wszakże bytu tych postaci opiera się li na domyśle *późniejszych* systematyków naszej mitologii, nie są więc echem prawdziwym, obrazem rzeczywistym, a jako reduplikacya, są wadą estetyczną. Niedość na tém, że Dziwa część rysów bierze od Jaruchy; obok

tę jest antytezą widoczną do Mily w innym zakresie. Jest przeto dla obu rodzajem *repoussoir*, jest typem złożonym z kontrastów dwu innych typów. Jarucha, stara kapłanka, Dziwa, młoda kapłanka, i jednocześnie Dziwa, kochanka oporna, energiczna, broniąca się nożem od obrzędowego porwania przez nie lubionego miłośnika, i Milla, wdzięczna, kochająca odrazu, poddająca się bez oporu: oto krótki wykaz stosunku tych trzech postaci. Dziwa (powiedziałbym) to brunetka, Milla niemal blondynka, dwa więc odrębne charaktery kobiet młodych w stosunkach miłosnych (jak dwa stany kobiet starych są w Jadze i Jarusze). Dla uwydatnienia widać tego schematycznego założenia, autor wprowadził obrząd Kolady, w czasie którego Doman porywa niechętną sobie Dziwę, i od niej zostaje raniony, oraz opis wesela ¹⁾ Domana z Millą, córką garncarza Miorsza, połączony z szeroko skreślonym obrazem jego zajęć i sceną napadu Pepelkowiczów na pograniczu. Trudno tym epizodom odmówić szczęśliwych rysów pojedynczych; do takich należą pieśni utworu Kraszewskiego o chmielu (III, 51—53), dwie pieśni Słowana na „źmijowém uroczysku” (I, 198—200), bajka o królownie (III, 79—87). Najstarszym jest utwór, osnuty na pieśniach ze zbioru Werkowicza od gór Rodope (I, 73—80). Nie rozbiegamy pytania, czy ustęp o garncarzu, skopiowany z dzisiejszych garncarzy i kupujących świętościami pod miejscami odpustnemi, nie jest zbyt nowoczesny, czy wreszcie nie daje pola do nowój ekspozycji sobowrotów znanėj antytezy: Słowian i Germanów? Zapytamy się jedynie, czy taka troskliwość wyczerpania wszech rysów typu kobiecego w jednej powieści, nie spowodowała przeciążenia tój, nie wywołała powtórzeń w następnych? Dalej godzi się zauważyć, że jeżeli Doman jest „szpitalnym kochankiem“, jak go słusznie zowie Chmielowski, gdyż przez ciągłe rany dobija się serca Dziwy, — to też z tego tytułu staje się odblaskiem *Janusza Korczaka*, z powieści Kraszewskiego o nim i o pięknej *Miecznikównie*. Charakter Domana jest zgoła niezgodny z duchem epoki, na której tle go przedstawiono, niezgodny z prawdą dziejową, a może psychologiczną. Taki Doman jest niemożliwy w czasach, gdy etymologia wyrazu *żona* (od pierwiastku widocznego w słowie żon-ąc, pędzić, gonić), była faktem, dotąd wyczytać się dającym z zabytków literatury ludowej. Miłość i przemoc, to są synonimy, jak to dobrze maluje epizod Kolady u Kraszewskiego. Ani też późniój pomyślna, lecz szpitalna miłość Domana, ani témbar dziej czułe całowanie szaty ukochanej, jak to czyni Sambor, wychowanek Wisza i towarzysz Dziwy (II, str. 161), i reszta jego platonicznych nousensów ²⁾, nie są na miejscu w *Starėj Baśni* ani dziejowo, ani este-

¹⁾ Już tu zwracamy uwagę na niewyjaśnienie stosunku Kolady (sic! zamiast sobótka) do wesela właściwego, porwania na pierwszej do porwania na drugim. Fakt to tój samėj natury, co zauważony w stosunku Jaruchy do Wizuna i t. p.

²⁾ Broni ją na Koladzie od Domana (II, str. 13—21) potem z nim za kulisami chyba powieści godzi się, bo (III, 150—161) odwiozłszy Dziwę na

tycznie. Taki Siebel w owoczesnej pogańszczyźnie równym zdaje się być *lapsus calami* Kraszewskiego, jak kuracya (na sposób nowoczesny) Domana z miłości do Dziwy przez miłość dla Mili, zalecona Domano-
wi przez kapłana Wizuna.

Są to zresztą reduplikacje zbyteczne, fałszywy obraz miłości pogańskiej dające w osobnikach mężkich. Nie trudno bowiem odkryć, że i tu jest schemat na dnie tych postaci. Siebel-Sambor to niby drugi rodzaj kochanka, antyteza Domana, podobny z charakteru do Mili, jak ostatni do Dziwy. Może jest prawdą, że w naturach silnych, energicznych, objawy słabości mają dziwny czar w sobie; potęgują działanie czynnika, który jest jego sprawcą. Co do Domana jednak, to on nie z miłości słabnie, ale z ran. Powtóre, w takim razie prawo kontrastów, nie obce miłości, nakazywałyby łączyć raczej silną Dziwę z Samborem, Domana z wdzięczną Milą.

Miłość i jej różne objawy, oraz szkie religijnych właściwości Słowian połańskich, nie wyczerpuje jeszcze treści epizodów Dziwy i Domana, oraz Piastuna. Są to jedynie akcesorya, wśród których przewija się dalsza część legendy o Pumpilu i Paszcie, o ile maluje detronizacją pierwszego, elekcyą (sic) drugiego, i powody obu tych czynności. Powiedzieliśmy już raz, że wizyta Pepełka na Lednicy już jeden wskazywała powód ruchu ludowego przeciw niemu, i mogła dać materiał dość zgodny z tradycją, do zakończenia powieści. Obok tego, pobór młodzieży do drużyny Pepełka, a w jej liczbie i Sambora, tego i Kosa (innego rekruta) szpiegowska rola na stołbie księcia, jakoby zapowiadały wybuch. On też następuje, ale nie w granicach spodziewanych, nie rozwiązuje logicznie i estetycznie, już na końcu pierwszego epizodu, intrygi *Starłej Baśni*. Myśl zwołania wiecu, podjęta przez Wisza, wiecu, na którymby załatwiono pretensye do Pepełka, sprowadza napad Smerdów (drużyny (razem imię własne i pospolite!) na dom Wisza, jego śmierć i pogrzeb. Opór nie przechodzi granicy niezadowolnienia i obrony cząstkowych. Jest to niechęć zaścianku. Może to miało w powieści odpowiadać stopniowemu (jak to dzieje się w życiu) wzrostowi niechęci, lokalnemu i chronologicznemu rozwojowi powstania przeciw Pepełkowi. Ale estetycznie nie zawsze to pięknem jest, co jest prawdą.

Ze zgonem Wisza, a nawet nieco wcześniej, nowa ekspozycja zaczyna się, pod najfałszywszym pozorem, i nowa zupełnie, ale także przeciw Pepełkowi, akcja z nowemi figurami. Wisz powiada: „nim roześlemy wici, pojedziemy po dworach nie mówiąc nic, aby języka powziąć“ (I, str. 128). Otóż objazd taki czyni zbytecznym, w gruncie rzeczy zebranie się wiecu na „zmijowém uroczysku“ (I, str. 181), a słu-

Lednicę, przed Domaniem ją chroniąc; co jest wielką ofiarą, gdyż Dziwa zostaje kapłanką, więc straconą i dla niego i dla rywala (II, str. 29); w końcu wiezio ten sam Sambor ranionego Domana (III, str. 161), i sprowadza ostateczną konkluzją tej szpitalnej miłości. Równie ckliwy jest Władysław w *Boleszyczkach* (mgłoję, t. II, str. 22, 24, rumioni się t. I, str. 201, jak Kazimierz w *Musławie* przy wzmiance o kobiecie).

ży jedynie do wprowadzenia nowych postaci lub dawnych w nowej roli: Domana niby przywódco, Miłosza, stryja Pepełkowego (dzikiego jak on), Piastuna—Kunktatora i t. p. Zjawia się i Znosek, szpieg książęcy, kopia Henga, śledzący zjeżdżających się na wiece. Potępienie estetycznej potrzeby wiecu na żmijowém uroczysku, prócz w objeździe Wisza i Domana mieści się także i w fakcie, że akcja zaczyna się dopiero z „wiecem lednickim” (II, str. 112—120), kędy rej wiecie, już ani Wisz, ani Doman (już odtąd gruchający jak synogarlica), ale to Bujmir, to Wizun kapłan, szukający rady po całej Słowiańszczyźnie, to znowu Myszo „krwawa szyja“, który téż zostaje obrany wojewodą (II, str. 157, 193—4). Tu nowy koniec powieści byby powinien, bo wedle określeń stosunku kneziów do gromady (I, str. 18—19; III, 38 por. I, str. 147 i 193; III, 9—10), kneź był tylko wodzem wojska, zaczęm zdawaćby się mogło, że Myszo, nie Piastun, jest następcą Pepełka. Okazuje się niebawem, że choć nawet potem Dobek, samowolny dowódca wojsk walczących z Pepełkowiczami (III, str. 24, por. 39), mógł sięgnąć po władzę kneziowską (i jest przykładem jeszcze jednej zmiany kierownika ruchu), przecie knezia jeszcze nie było i Piastun (III, str. 142—3) za sprawą Jaruchy zostaje nim obrany, i potem stanowi... wojewodów. Pomijając niejasność kwestyi: kto i dla czego był kneziem lub wojewodą, widoczném jest, że tę niekonsekwencyą wywołała chęć trzymania się tradycyi... ale najdziwniejszój, bo wedle Gallusa, nigdy Paszt nie był księciem, tylko syn jego.

Aczkolwiek estetycznie inaczej fabuła kazała, *Stara Baśń* prze-wleka się, a raczej zaczyna na nowo z epizodem Dobka i Piastuna. Nowa rola Jaruchy, sprowadzającej Piastuna do wyborców, stosunek Dobka i narodu do Pepełkowiczów i Klodwiga (germanizatorów), jak-by wzięty z pierwszej części, przyczém Wisza zastąpił Piastun (a i Hengo się odnalazł),—jużby nakazywała tę część powieści uważać za nowy samodzielny ustęp całego cyklu. Obok tego przybywa nowy element, zaledwie leciutko naszkicowany w obrazie pojawienia się Pepełka na Lednicy, a który z racyi Piastuna coraz silniejszymi barwami przedstawiany, zupełnie nowy rys społeczeństwa, całkiem nowy, wyraża. Autor mianowicie wprowadził dzieje zaszczerpienia rozwoju chrześciaństwa w Polsce przed epoką Mieszka I. Nad tym punktem musimy się szerzej zastanowić, zbierając szczegóły z innych powieści, aby wykazać nienormalny rozwój téj idei historyozoficznej w *powieściach historycznych*.

Już w części drugiej II t. *Starój Baśni* (str. 143—165) mamy skreślony obraz pojawienia się dwu wędrowców u Piastuna, który, ku niemałemu naszemu zdziwieniu, „wędrując niegdyś po świecie i wędrownych spotykając braci, poznał mowę używaną przez Serbów, Morawian i Czechów“ (II, str. 145). Dalej czytamy, że ci dwaj wędrowcy byli apostołami chrześciaństwa, „nowego Boga“ z Czech i Moraw (str. 149), oraz że ta religia niebyła obcą w Lechii, że do niej (już za Pepełka?) ze wszech stron się wciskała, i miała być ogniwem unii politycz-

nój Polan z Morawcami i Czechami ¹⁾. Już więc sam Piastun zdaje się być obeznany, choć powierzchownie, choćby tylko z faktem innéj, nie pogańskiej wiary. To nam tłumaczy, czemu tak obojętnie traktują kapłani ledniccy kwestyą ślubu jednéj ze swych towarzyszek (Dziwy), przysięgających na czystość i kapłaństwo, lub téj porwanie przez kneziów (III, str. 167); czemu Pepełek jest dwulicy; czemu „Ziemowida chrzczy jawnie” (str. 161—2)? Rozumiemy już teraz i ten błąd istnienia dwu kultów: oficjalnego (Wizun) i ludowego (Jarucha i Sławan), wynikły z pomieszania kultu oficjalnego z chrześcijaństwem, a ludowego z pogaństwem.

Wszystko to są rzeczy dające się z pewnego punktu widzenia wyjaśnić; przytoczone fakta logicznie z sobą się wiążą, ale w takim razie pytanie, czy przez to nieosłabiono interesu artystycznego *Luboni* ze szkoda jednostki duchowej *Staréj Baśni*? Lecz idźmy dalej. Autor zaznaczywszy, że z chwilą ujęcia za oręż ludu gęślarzy, cała budowa religii Słowian „może od Indów jeszcze zapożyczona w ziarnie, a rozwinięta duchem własnym“ (str. 151), zachwiana została; że przez wtargnięcie obcych *żywiolów*, zgoda natury i ludzi słowiańskiego świata „potężnie“ się wstrzęsła; oświadcza dalej, że chóru postrzyżynowego, bardzo starego, „już *teraz* pokolenia młode nie bardzo zrozumieć mogły; wspominała bowiem o bóstwach *zapomnianych* i o ofiarach, których *już czynić nie umiano*“ (str. 163). Są to rysy nie związane z ową apostołką wysłańców Metodego genetycznie, ale razem je wzięwszy z innemi szczegółami, przychodzi się do takiego na ich zasadzie poglądu na charakter symboliczny *Staréj baśni*, jakiego dwa pierwsze jej epizody nie wyrobiły. Jakaś katastrofa polityczno-społeczna wytworzenia kneziów (wodzów wojennych), mianowicie rozkładu społeczeństwa na stan drużynny nowy i dawniej wyłącznie rolny, oraz wpływ sąsiedniego chrześcijaństwa: oto dwa elementa upadku pogaństwa, występujące na jaw dopiero w legendowym epizodzie *Staréj baśni*, zgoda prawie, że nie przeczuwane w akcyi poprzednich. Hengo nie chrześcianina nie objawia, toż Brunehilda i inni. Ci kulturträgerzy zgoda nie mają zaumion rzekomych głosicieli „dobrej nowiny“ a sprawców „złej rzeczywistości;“ to nie są fałszywi prorocy krzyża, lecz poganie, a przynajmniej... bezwyznaniowcy. To téż autor był zmuszony w *Luboniach* znów potęgować rysy, głębiej cieniować kontury już zeszkicowanego chrześcijaństwa u Polan, nadawać mu odcień świadomości, ale i pełnego wielkiej obawy kunktatorstwa, i zarazem dawać obraz niemczyzny Ottonów, silniej różniącego się od germanizmu Henga, Brunehildy, Klodwiga... jak endosmoza nieświadoma końcowych rozdziałów *Staréj baśni* i apostołka podwójna *Luboni*. Już więc w dwu powieściach wypadło trzy, jeżeli nie cztery fazy kreślić rozwoju duchowego Słowian

¹⁾ Tom II, str. 150 i 153. Pomysł to Ossolińskiego był wzorem tu Kraszewskiemu, który niedawno skreślił obraz pogańszczyzny niemal poważecnéj.

polańskich. Wisz-Hengo samą pogańszczyznę maluje, niemal że obustronną: niemiecką i polańską. W Dziwie—Domanie, już pojedyncze nuty chrześcijaństwa mętnego brzmią choć raz tylko z racyi Pepekka. Książę ten wedle autora (II, str. 63) szepce „modlitwę do Peruna i krzyżyka, który miał na piersi. Stary zabobon i nowa wiara stały w nim na równi, kłaniał się nowemu Bogu, lękając się jeszcze tych, których nieśmiał porzucić.”

To powiedzmy otwarcie typ „Odolaja” z *Boleszyczów* i Mieszka z *Luboni*. Dziejowa legenda *Starój Baśni* już wyraźnie apostołkę spojną, insynuacye polityczne na tle religii stawia.

Epizod Mieszka-Dubrawki będzie tę ostatnią tezę rozwijał w *Luboniach*, a pogaństwo z chrześcijaństwem utrzyma zupełnie na tej stopie kunktatorstwa, niejasnego lęku krzyża a pogardy trwożnej dawnych bogów, jaki już objawił przelotnie Pepekko. Jest pewien wprawdzie odcień, między Pepekkiem a Mieszkiem w stosunku do nowej wiary (już oczywiście pominąwszy psychiczne różnice). Niereligijność Pepekka nie przyczynia się do uraz narodu, prawie że wybryk jego uważają za rzecz pospolitą. Oburzenie na Mieszka za odstępstwo religijne jest ciągle; autor wciąż zaznacza przygotowania zмовy ludu i ofiarników (*Lubonie* t. II, str. 173, t. I, str. 142—145, 226). Jestto akcent, którego zupełnie brak w *Starój Baśni*, który tam byłby na miejscu, jako w zgodzie z kolorytem wielce żywotnym pogaństwa. W *Luboniach* jest on tembardziej spóźniony, że równie silnie jak te zachcenia gniewu religijnego, autor maluje i obawę ludu przed kneziem (t. II, str. 110). Raz porywają się, ale tylko *jednostki* do zabicia Mieszka (*Lubonie* t. I, str. 187—191). Wszakże nawet przy porwaniu ofiarnika herszta zmów (t. II, str. 140) i przy rozwaleniu świątyni (t. II, str. 185—186) niema oporu jawnego, kończy się wszystko szepem, odgróźką, łzami; Mieszko nawet może wystąpić na „uroczysku lelowém” (t. II, str. 233) w roli Ludwika XIV za rejtpejczą w botfortach rozpędzającego parlament. Ten *coup d'état*, jednak nie ani na jedną, ani na drugą stronę nie przeważa. Z schwytanym w innym razie ofiarnikiem-hersztem pozwala „robić co chcieć,” co wygląda albo na objaw najwyższego lekceważenia bezwładnych istotnie, albo za dowód braku stanowczości w kierunku działania.

Myliłby się jednak grubo ten, coby sądził ztąd, że nawet w *Luboniach* autor wyczerpuje kwestyą tryumfu, zwycięstwa „kościółka” nad „sobotą,” krzyża nad pogaństwem; że w następnęj powieści tego pierwszastku nie znajdziemy. *Bracia Zmartwychwstańcy* przynoszą nam dotykalne dowody w bajce i zaręczeniu bezpośredniem autora, że kraj za Bolesława I, jest napół pogański (t. I, str. 129). Ojciec bohaterów téj powieści, stary „Jaksa” po chrześcijańskim pogrzebie jest spalony, „a duchowieństwo dowiedziawszy się co się stało, *przez palce patrzeć na to było zmuszone*” (t. I, str. 5). Stryj ich „Janko” podobnie jak „Domosul Starża” (t. I, str. 34—35, t. II, str. 137—159) przedstawiają typy zatwardziałych pogan, a z ust Domosula dowiadujemy się, że

wprawdzie ochrzczili cały naród, ale „pójdźcie na kąpiel w lasy, zajądźcie do chat, jaki tam Bóg panuje. Tam czekają tylko, aby do starego powrócić” (t. II, str. 156), „a ubogiego narodu, co trzyma z nim i z takimi, jak on, *dużo jest*.” Nawet o złudnym przyjęciu chrześcijaństwa na dworze samego króla, nieraz słyszymy od autora (t. I, str. 143, t. II, str. 75—76—176). Drużyna rycerska Chrobrego wręcz oświadcza, że jeżeli Mieszkowi II sił niestanie, *my wszyscy poginąć musimy* (t. II, str. 230) w potopie pogaństwa ludowym.

Ten stan rzeczy *latent* przechodzi (dopiero) w *Masławie* w akcją. Symbola pogaństwa w Płocku są jawne (t. I, str. 113), wszakże wskazano to tylko raz, a obawa rycerstwa przed pospólstwem „chłopami” nieraz i dobitnie zaznaczona (t. I, str. 176—213, t. II, str. 38). W *Boleszczycach* czytamy, (I, str. 49 że „lud zbierał się nocami na uroczyska, pieśni śpiewał i obrzędy pogańskie odprawiał.” Charakterystyka duchowa praojca Boleszczyców wyraża się tak: „wiera jego z dwojga niemal wiar połączonych się składała” (t. I, str. 156). „W mieszkaniu zaś jego bystrzejsze oko mogłoby być w ciemnych zakątkach za belkami dostrzedz pochowanych bałwanów, których wyrzucić *przez, nie śmiano*” (t. I, str. 159). Na pogrzebie Odolaja idą „płaczki”, najęte obok „dwu duchownych” (t. II, str. 187), a choć idą pod kościół katolicki, zaznacza autor, że „nie było naówczas najuboższego pogrzebu bez stypy, którą po sobie *pogański* jeszcze zostawił obyczaj” (t. II, str. 191). Nieraz czytamy, że lud był napół pogański (t. II, str. 11, por. o księżach, I, str. 15). Przypuszczamy nawet, że *Masław* autora, *Masław* poganin z polityki da się wyjaśnić genetycznym rozwojem rzeczy, nieuniknionym zwątlaniem dawnych zasad w starciu z nowymi. Ale podobnego wytlómaczenia nie można dać faktom w *Staréj Baśni* przedstawionym, gdzie nietylko z racji ogólno-słowiańskich powinno oburzenie pogan wybuchnąć, ale musi stanowić prawie osnowę rewolucji miejscowej. Nie może mieć wytlómaczenia takiego obraz dwu religii w *Luboniach*, gdzie kunkatorstwo Mieszka najlepiej uwydatnia siłę dawnéj wiary, jeszcze groźną; nie może mieć w *Braciach Zmartwychwstańcach*, w których kraj cały jak maska komedyanta klasycznego, z jednéj strony marszczy się gniewem, a z drugiéj parska śmiechem, jak pas szlachcica polskiego lśni bogatą osnową i kwieciami haftów po wierzchu, a za podszewkę ma kir żałobny i łyzy srebrne. Nawet w *Boleszczycach* nowa wiara działa przez tajemniczość, niezrozumiałość form swoich, jak to sam autor zaznacza. Naprzykład wyklęcie króla działa więcéj przez zagadkę, formę zmysłową, ponurą, jak przez zrozumienie istoty rzeczy (II, str. 73, por. 25—26). Jesteśmy więc co najmniej wobec ciągłego *status quo* na punkcie przewrotu religijnego, co nie jest w zgodzie z prawdą, ani nie wychodzi na korzyść strony artystycznój całej pracy tu rozbieganéj!

Na zakończenie tego rozbioru *Staréj Baśni* zwracamy uwagę na jéj charakter powieści wstępnéj i zobaczymy o ile treść jéj obecna odpowiada temu charakterowi, a o ile trzymając się wierniej rezultatów nauki oraz podań, takowemuby zadość uczyniła. W *Staréj Baśni*

niema tła ogólnego, odpowiadamy krótko, a w skutek tego rozmija się ona ze swém założeniem.

Ani żaden naród ani żadno plemię w oderwaniu nie istnieje, w próżni nie rozwinęły się. Kreśląc dzieje naszego początku musimy prócz o nas, mówić o naszych sąsiadach słowiańskich i obcych, którzy bądźco bądź stanowią drugi element czynny ludzki obok własnej naszej energii, w wytworzeniu nas w autonomiczną całość. W każdym razie zawsze będzie jeden rezultat dla oceny treści *Starój Baśni*, czy z Lelewelem będziemy mówili o dobrowolnej federacji ludów nad Wisłą i Wartą mieszkających, czy przierzucimy się na stronę zwolenników władzy nieograniczonej pierwszych Pasztów, i wonczas w ich polityce organizującej będziemy widzieli z Kraszewskim jedynie złowrogie prawo oręża i przemocy. Zaś w ich rządach nic niespostrzeżemy prócz krwi, pożogi i niewoli mas z jednej a swywoli jednostki z drugiej strony. Przechodząc tak nawet z jednej skrajnej alternatywy do drugiej, dla patrzącego ze stanowiska każdej, zostanie faktem zawsze dla Polski pierwotnej tło nie ogólno-słowiańskie, ale tło etnograficzne ściślejsze, zawarunkowane kotliną i systematem wodnym rzek wspomnionych a następnie proces chemicznego niejako zlewania się czy materyalnego amalgamowania etnograficznych atomów przyszłego ciała. Pierwiastki te pokoleniowe w tyle wieków później jeszcze w wieku XIV i XV przez wyrazy: Mazowszanie, Krakowiacy, Polanie i t. d. i odrębne statuta tak jaskrawo w łonie już państwa jednolitego występują. Terminem *obcy*, który nadawały sobie wzajem, gdy chodziło o oznaczenie bawiących w gościnie, strzegą swęj samodzielności. To dowodzi najwymowniej, jak tylko na mocy prostej dedukcyi z faktów XIV i XV wieku, wysnuty obraz pokoleniowej organizacyi i międzypokoleniowych stosunków w VIII i IX wieku musiały być silny w *Starój Baśni*. Już na zasadzie dedukcyi, te pierwiastki domagały się uwydątnienia we wstępnym tomie do cyklu powieści z dziejów polskich, jeszcze z większém prawem, gdy teoria „knezów” niby książąt pokoleniowych zmedyatyzowanych, już występuje choć mgławo w wizerunku Jurka, z *Braci Zmartwychwstańców* (mieni się kneziem, bo Jakso u Serbow panował, t. I, str. 36 u Kraszewskiego). Owi też książęta znani w dziejach ziem później polskich, jak Pumpil (tak go zwie Gallus) książę guieźnieński, Wisław i wnuk jego Michał Wyszewit z r. 884 (książęta wisłańscy w starodawnęj Wiślicy nad Nidą rządzący) Madżek czyli Muziok książę wołyński, niby na Pozbruczu tylko 593 władający, a będący istotnie zwierzchnikiem takiej monarchii, jak być miała wedle Kadłubka, Popiela II, a w dziejach Słowian nadelbańskich Dragwita była rzeczywistość; oto wprawdzie różnoczesny, różnomiejscowy, ale zato historycznie pewny, materyał przygotowawczy dla późniejszej budowy politycznej Pasztów. Potwierdzenie faktyczne hipotezy medyatyzacyi takich książąt leży w podaniu Bogufały. „O tyle Semowit nie mógł synów i wnuków (po otrutych stryjach Popiela idących) przymusić do uległości sobie, ani wojennemi napady, ani groźby, ani dary

i do czasów Wielkiego Bolesława, ile stać ich było opierali się" ¹⁾. W takim razie związła i niepozorna owa wieść Dytmara oślepieniu dwu *familiares* przez tego Bolesława I, to jest Odylena ²⁾ i Prybuwoja, w celu przywłaszczenia sobie ich dzielnic, nabiera w zestawieniu z pierwszą tradycją Bogufały pewnego kolorytu.

Poślubienie dalej córki *seniora* (magnata pokoleniowego) Dobremira imieniem, przez tegoż Bolesława (i oddanie *jego* wnukom, *swojakom*, korony, wbrew najstarszemu z *węgierki* spłodzonemu); owe narady Bolesława z panami swymi u łoża śmiertelnego co do wyboru następcy (wedle Gallusa); zwłaszcza porównane z wzmianką Dytmara, że Bolesław I w zatargach z cesarzem 1014 r. poddawał się sądowi *swoich* panów nie cesarskich: dają wiele do myślenia rozpatrzone razem. Każą się chyba domyślać innej natury pierwiastków politycznych, jak zwykle dotąd znajdowane w monarchii rzekomego autokraty Bolesława Wielkiego. Wyraźnie tam są jakieś władze pokoleniowe, z którymi liczyć mu się wypada. Wygnanie blizkie Ryksy, a potem rzekomego autokraty Bolesława II, rozdzielone pojawieniem się książąt elekcyjnych prowincjonalnych: na Mazowszu, Mesta (czyli Mastawa) i Zemzila na Pomorzu (znanego z roku 1046) również świadczą o bycie „emulów” panującego, zdolnych go wypędzić. Podobnie za Władysława Hermana istnienie *ducatus* w Wrocławiu (Krzywoustego i Magnusa), rządy komesa Magnusa na Szlązku i Mazowszu, jakby wielkorządzy, każą przypuszczać byt licznych jakichciś praw autonomicznych po prowincjach i orszak energicznych tych praw piastunów i obrońców. Takie to tło ruchliwe, pełne księstw pokoleniowych, że pozbawionych urzędniczej hierarchii, więc zwanéj przez bizatyńskiego z VI wieku pisarza Prokopa demokracją; tło, które bardziej i szczegółowiej jeszcze cieniuje się przez wiadomości źródeł greckich o VI wieku Słowianach—otrzynać można było łatwo do obrazu plemion z VI wieku, mających wejść w skład przyszłej Polski z X wieku. Pewne źródła greckie dane o iście indyjskich podstępach Słowian napadniętych przez silniejszego, przy analogiach z odpowiedniej doby u innych plemion aryjskich, oraz wskazówkach najazdów Ligiów (t. j. Lechów), Wendów na Dunaj i rzymsko-greckie prowincje, dawały jedyną sposobność odmalowania życia psychicznego Słowian, *respective* Polan, w sposób autentyczny, a zgoła niepodobny do idylicznych rojeń krótkowidzących komentatorów powieści Teofanosa o słowianach lutnistach, nieznających żelaza (powieści lechitów będącej nowym dowodem indyjskich ich podstępów).

¹⁾ Mon. Biel. t. II, str. 479.

²⁾ Ten Odylen w nazwie bardzo przypomina Wdalego (udałoj) Waltera z Tyńca, zwanego przez Bogufałą Popielowicem (jak Wisław decorus). Kraszewski sięgnął nawet do oryginału niemieckiego Waltariusa (*Bracia Zmartwychwstańcy* t. III, str. 12—30), ale zdaje się bez korzyści dla estetycznej budowy powieści i co gorsza bez uwzględnienia motywów czysto słowiańskich naszego Waltera Wdalego.

A teraz rozważmy, jakieby były rozdziały tej uwertury do dziejów polskich. Odkrycie posągu Swantewita w 1846 r. nad Zbruczem, *wal Trajana* poblizki, przygody Mużoka (Madzeka) napadniętego przez wojska bizantyńskie: skupiają w jednym punkcie tradycje religii pogańskiej Słowian, oraz wspomnienia stosunków Lęchów z Rzymianami i żywe fakta zatargów z Grekami Bizancyum. Powstaje sam przez się temat świetny zobrazowania treści i starcia tyłu różnych cywilizacji, do których możnaby dodać wspomnienia huńskie i awarskie, temat może trudny do oddania dla potrzebnej tu zwięzłości i dosadności rysów, przecie godny ręki mistrza. Byłby to obraz wpływów świata otaczającego i stanu słowiańszczyzny w VI wieku. Drugi czepia się emigracji Michała Wyszewita z Wiślicy przed propagandą Metodego i Świętopęka Wielkonorawskiego, niemal współczesny przybyciu Sasów (wedle Gallusa) znad Elby do Prus (nad Niemen), fundacyom Ruryka w Nowogrodzie, oraz walkom księcia Derewlańskiego Małeho z Olgą (Heleną). Wkoło tej wiązki wskazówek społeczeństwa imigracji obcego elementu do słowiańszczyzny i różnych przenosin znad Wisły na Dunaj (już w dobie dziejowo-pewnej, bo w IX wieku), grupuje się antyteza cywilizacji normandzkiej, germańskiej z epoki Arnolfa i Ludwika.— Dziecko dalej Słowiańskiej dwuliciej (w wielkich Morawach oraz Wiślańskiej), inaczej jak nad Zbrucka charakteryzującej się. W głębi huczy nawała węgierska. Jestto wiek IX równie wielki zdarzeniami twórczymi pierwszej potęgi dla rozwoju Polski, jak wyżej zanotowane z VI wieku.

Dwu tych chwil żadną miarą nie można było pomijać w prologu do *Powieści historycznych*, jeśli miało się zamiar tak krok za krokiem motać fantazją powieściową na wątek rozwoju dziejowego i tyle tworzyć powieści postanowiono, ile było w tym rozwoju stadyów pojedynczych. Nie można pomijać dlatego, bo w VI stuleciu zjawia się agregat pokoleniowy, będący niejako protoplazmą następnych organizacji państwowych, a w wieku IX już części przyszłej Polski obierały kierunki swęj chrześcijańskiej cywilizacji.

Na tém to tle szerokiém ale ogólnie europejskiem czy w osobne powieści ulaném, czy w epizody artystyczne ujętém; katastrofa Pumpila gnieźnińskiego nabiera innego znaczenia, lubo rozegrana „za obrębem kraju“ jego, po wygnaniu, choćby (wedle pierwotnej tradycji Gallusa) zgoła niezwiązana przyczynowo z uczcą cudowną przy postrzyżynach syna Paszta, a tém mniej wymotywowana jak w Kadłubku gwoli za miarom stronnictw XII wieku (wedle sądu Gutschmidta). Choćbyśmy nawet nie przyjęli hipotezy euhemerystycznej Ossolińskiego, że dwaj cudotwornicy postrzygacze „Semowitaja (zwanego Semowit)“ syna Paszta i Repki a wnuka Choszyszka ¹⁾ są wysłańcami Metodego. Choćbyśmy i odrzucili teorię Bandtkiego i Szajnochy, wedle której myszami byli to mieszkańcy wsi, poblizkiej Kruszewicy, zwanęj Myszy, to znowu My-

¹⁾ Formy nazwisk w najlepszych rękopismach, brzmiące w tradycji Ziemowit (u Kraszewskiego Ziemowid) Piasta (u Kraszewskiego Piastuna).

singi czyli korsarze normandzcy, pozbawiający tronu i życia ród Pumpila gnieźnińskiego (dwie pierwsze przyjął Kraszewski): to już sama wzmianka Gallusa, że za sprawą „Króla-króli, i księcia-książąt” (więc Boga) wybrany był zgodnie Semowitaj po wygnaniu Pumpila, dozwala się domyślać katastrofy nową dynastją w Gnieźnie osadzającą. Ten fakt co prawda ostanie się bez powyższych wyjaśnień historycznych z VI i IX wieku, ale stracimy poczucie jego właściwych wymiarów, genetyczną jego że tak powiem perspektywę. To co jest katastrofą prowincjonalną, nie pierwszą i nie ostatnią; przez brak tych antecedensów urośnie na powszechną, jedyną. A przy tem wszystkiem nie zapominajmy o jednem kryterjum katastrofy owęj w podaniu o Pumpilu i Paszcie opisywanęj. Nie poruszamy nawet strony mytycznej zjawiska, już nie przez jednego znawcę badanej; zwróćmy tylko uwagę na fakt powszechny u Słowian, a właściwy elekcyi ich panujących, w Karyntyi istniejący do XV wieku ¹⁾. Fakt ten mianowicie jest ten, że przyszły rządca występując w szatach ubogich, wiejskich, a potem dopięro wdziewa strój odpowiednio nowęj swęj godności. Fakt ten maskarady niejako koronacyjnej, w pewnej części daje klucz do błędnej teoryi owego niskiego pochodzenia tak dawniejszych Lestków, jak Paszta ²⁾, tak Przemysława z legendy czeskiej jak Masława z dziejów naszych, oraz podobnych z dziejów czeskich oraz karyneckich, historycznych zupełnie. Możliwość takiego klucza do całej elekcyi Paszta (*rustici ducis*) wieśniaka książęcego, po wygnaniu księcia na jego miejsce, wstrząsa do pewnego stopnia hipotezją przewrotu socyalnego lub etnograficznego, jaką tę elekcyą wyłącznie dotąd kuszo no się objaśnić. Stypa pogrzebna żywego jeszcze Pumpila i otrucie na nięj stryjów jego, są pono w Kadłubku niedołącznym zlepkim satyry na Władysława II i jego dążenia polityczne, oraz komentarza motywującego i łączącego *disiecta membra poetae* u Gallusa. Późniejszém téż dziełem Bogufały jest antyteza moralna Pumpila i Paszta, w gruncie rzeczy oparta na uwagach Gallusa, ale doprawiona Kadłubka wersją i przeróbką imienia ojca Pasztowego Choszyszka na obelżywy przydomek Pumpila Chwostek (miotła). W końcu dodamy spostrzeżenie, że cudowna uczta postrzyżyn Samowitaja wprowadzając mnożenie się prosiątka i napitku ze szkodą piwnicy Pumpila zaproszonego w gościnę, stawia się w stosunku anegdotycznego (bardzo źle później wyzyskanego) komentarza do imienia Paszt, w charakterze objaśnienia, że to jest żywiciel (porównaj Puszan przydomek Indry indyjskiego to jest, blasku „ognia”). W każdym razie na tę etymologią Paszta wpadł już ks. F. Ks. Malinowski. Obecność dwu zagadkowych pielgrzymów, tak nagradzających gościnność biedaka ze szkodą

¹⁾ Krótki zbiór odnośnych szczegółów zamknęliśmy w szkicu pod tytułem: *Wieśniak na tronie*.

²⁾ Później u Bogufały i innych wyzyskanego tendencyjnie, w celach stanowych.

srogiego (ale *tylko* co do gościnności) księżęcia, zostało przez W. A. Maciejowskiego szczęśliwie porównaną z mytem o podobnej wędrowce starożytnych Jowisza i Merkurego. Można by zresztą dodać, że taż sama myśl, którą rozwinęli Gallus i Kadłubek i późniejsi przedstawiając coraz jaskrawiej karę niegościnności: uwydatnia się w dwu np. takich podaniach ludowych. Wedle jednej, kryjący się przed gościem pod ławą skąpiec, daje początek żółtowiwi; w drugiej mierzenie płótna i noszenie ciągle wody przez dzień cały, w nagrodę dobrowolnej i umyślniej gościnności zjawiają się. Prosiątko i miód pomnożony u gościnnego Paszta, a wyschnięcie napoju u skąpego Pumpila, też samą antytezę u Galusa dają. Myszy już należą do innego cyklu pojęć, rzekłbym kujawskiego ¹⁾.

Bądź jak bądź zresztą, terazniejsze u Kraszewskiego przedstawienie legendy o „Pepelku i Piastunie“ jest, o ile nam się zdaje, prze-róbką chybną historycznie, a że nic na tém nie zyskuje powieść, pod względem artystycznym lub tradycyjnym, zmiana ta więc, jeśli się nie mylimy, jest nieusprawiedliwioną. Tak więc, zapytasz czytelniku, *Stara Baśń*, i jako dzieje, jako powieść, są błędne? Musimy odpowiedzieć tak jest, a jednak, co to jest potęga geniuszu! Nawet w tak chybnym z różnych względów utworze, w pracy, do której na jej potępienie stósowaliśmy jedynie kryterium przyjęte przez samego autora; Kraszewski stworzył arcydzieło małe, które okupuje wady całości tém łatwiej, że stojąc na początku, łagodząco działa na dalszy sąd. Mówimy tu o uwerturze (Wisz-Hengo) *Starój Baśni*. Pod jej urokiem zostając, niema się odwagi złożyć książki, choć nie jedno w niej razi. Zamkniesz ją, może z niechęcią... a wspomnienie pierwszego ustępu zmusi cię otworzyć ją napowrót i rozkoszować się ową perłą uryańską.

Lubonie tak samo jak *Stara Baśń* przedstawiają w swjej treści kilka epizodów, z których pierwszy wyczerpuje właściwe założenie całości (apostolstwo), sam jest powtórzeniem jednego tematu ostatniej części *Starój Baśni* w nowej formie, i cały niemal tom drugi *Luboni* (od t. II, str. 18 do końca) czyni jeżeli nie bezpotrzebnym, to przynajmniej w nowej przeróbce dawną rzecz wprowadzającym dodatkiem. Kraszewski w *Luboniach* a nawet w *Zmartwychwstańcach* kreśli dzieje szczenia się chrześcijaństwa u nas, raczej drogą przekonania z dołu jak przemocy oficjalnej, wpływu z góry. Co więcej, nieraz te dzieje pod piórem zasłużonego jubilata mają więcej podobieństwa do maszyneryi wprowadzonej w ruch bezwiedny a beładny ręką zapominającego się nieraz sztukmistrza, aniżeli do procesu organicznie w łonie społeczeństwa i jednostek rozwijającego się. Autor kreśli w *Luboniach* niejako dwoiste przykłady propagandy chrześcijańskich w Polsce.

¹⁾ Kujawy u Kadłubka *Campestrium provinciola* (Mon. Biel. t. II, str. 406 wiersz 13—14) zwane, to jest polany. Tu podanie o Mieszku zjedzonym przez myszy (błyskawica). Pumpil jest wygnany, a zjedzony przez myszy w obczyźnie, więc może na Kujawach (Kyu-wana ziemia błyskawic)?

Jedna odbywa się niejako prywatnie, przez dobrowolne zabiegi misjonarza i jego znajomych, i w gronie tychże najbliższej rodziny. Tu główną rolę spełnia „O. Matja” ¹⁾ nawrócony przez Niemców i wychowany przez nich syn „Lubonia.” Lubo działalność jego kończy się z początkiem II tomu, (str. 26), i odtąd zupełnie przekształca się w inną (dyplomatyczną) a on sam ustępuje przed innymi bohaterami z dotychczasowych drugich planów *Luboni* (co nie jest estetyczną zaletą tej powieści), przecie okazuje się z biegu całości, że propaganda Matyi jest ważniejszą artystycznie, i owocodajniejszą, niżeli apostołstwo dziejowe i urzędowe Mieszka I. Na Matyi skupia się cały interes i zadanie powieści *Luboni*, pojętych jako apostołstwo. Ojciec na łożu śmierci, siostra, szwagier, dalej sąsiedzi przyjmują chrzest z rąk prywatnego misjonarza. On nawet sprowadza jednego urzędowego apostoła „O. Jordana,” uwalnia drugiego „O. Gabryela” z pęt „Sydbora,” (Cydebora) brata Mieszkowego. On to nawet licznymi opowiadaniem pobudza wachającego się księcia do obejrzenia ogniska kultury germańskiej w Kwedlimburgu, oraz do wizyty romantycznej w Pradze czeskiej. Zatrzymujemy uwagę czytelnika na tej wizycie, by zaznaczyć w zasadniczej jej idei reminiscencyą tego, co już było poddawane w *Stariej Baśni* przez apostołów Piastunowi. Mianowicie w *Luboniach* co prawda stosowniej jak w zagrodzie pogańskiego Paszta, wynurza się (szkoda że już poraz *wtóry*) myśl polityczno-cywilizacyjna, by użyć religii za środek do zyskania autonomii politycznej ²⁾. Co najgorsza jest pewna chwila, że *Lubonie* obeszliby się bez Dąbrówki, to jest urzędowej apostołki, królowej. Gdyż wśród mnóstwa romansów mniej więcej trwałych, które zgodnie z etymologią tytułu tej powieści (*Lubonie* lubość) jakby niesiane, na kamieniu wschodzą ³⁾, a równie bujnie rosną i na niwie *Braci Zmartwychwstańców* i *Maslawa*; znajdujemy epizod miłości Hoży córki Lubonia do Mieszka, nie bez wzajemności tego księcia (*Lubonie* t. I, str. 13, 44, 50, 70, porównaj uczucia Mieszka 56, 57—62, 63). Rzecz tak się układa, że przy wpływie silnym Własta (O. Matya) na siostrę; nawrócenie Mieszka przez Hożę byłoby do przewidzenia. To oczywiście wykluczałoby Dąbrówkę z *Luboni*, znaną z historii w tej roli apostołującej małżonki. Trwogi Słomki i Lubonia o swe córki, usprawiedliwiają fakt owej miłości pogańskiej wielożennego Mieszka. Aż tu naraz na jednej i tej samej stronie po-

1) Sic! Czém ta forma niby łacińsko-polska, niby obca!

2) Przyjacielem Własta (O. Matja) dlatego pewno czyni Kraszewski „Dobrosława Wiotkiego” pierwszego wysłańca dyplomatycznego Mieszka I do Pragi.

3) Włast (O. Matya) ma być żoniony ze Słomki, przyjaciela ojcowego, córką Mładą, („prześladowanie” go za bezczeństwo błędem wobec *Boleszczyców*, t. I, str. 15) Jarmierz kocha się w siostrze Własta Hoży, Hoża w Wojślawie koniusznym; zdrajoy Mieszka, i z kochankiem ucieka (t. II, str. 6); Mieszko kocha się w Hoży, Sydebor (tak przezwiał dowolnie Kraszewski Cydebura), w ozułych stosunkach platonicznych zostaje z Górką (sio! właściwie Adelajdą Białą knehiną t. II, str. 73).

wieści, dowiadujemy się o nagłej miłości Hoży do Wojsława i z nim jej ucieczce (t. II, str. 6) i o równie nagłym uprowadzeniu do babinca kneziowego, zamiast Hoży i Młady, jakiejś Lubaszki (t. I, str. 212). Raptowna ta katastrofa wyjaśnia się jedynie rozpatrzeniem autora w własnej kreacji, że konsekwentny rozwój stosunku Hoży i Mieszka usuwa racją bytu podróży romantycznej polskiej Ludwika XIV po hiszpańską infantkę (t. I, str. 146—191), uniemożliwia miłość (z dyplomacyi i z ciała) do Dubrawki, oraz jej znaczenie ustalone w tradycyi przez dzieje. Dlatego śnać została usunięta Hoża, dlatego i Włast od nawrócenia ojca na łożu śmiertelnym, co stanowi punkt kulminacyjny jego apostołstwa głównie biernego, męczenniczego, przechodzi w środku *Luboni* w sferę dyplomatyczną, zaznajamia nas z kulturą germańską przez wizytę u Gozberta, jak Mieszko przez wizytę w Kwendlimburgu (dwakroć jeden rys). Charakter więc nowy a osoba dawna jawi się w Właście po to, by z Dubrawką i Mieszkiem mogła się snuć nowa edycya apostołstwa i miłości. Nie wychodzi to na korzyść estetycznej budowy *Luboni* i czytelnik z trudnością dawny wątek chwyta działań Własta (t. II, str. 208) roztoczony znów przed epilogiem i w epilogu (t. II, str. 217—221) w większy obraz, i przelotnie wyżej zaznaczony (t. II, str. 172—174). Wszakże sam ten powrót do dawnej charakterystyki Własta dowodzi, że autor uważał ją za pierwotną najwłaściwszą. Zgodnie z tą uwagą naszą Kraszewski w *Braciach Zmartwychwstańcach* powiada wyraźnie przez usta pustelnika, Ojca Antoniego z Trzemeszna, że więcej niż apostołstwo samo, (czynne) nawracał żywot świętych zakonników (t. I, str. 191). Wyrzeczenie się fizyczne, wzniosłość myśli chrześcian, to są czynniki, których podniesienie w praktyce w *Luboniach*, a po części w akcji własnymi słowami autora w *Braciach Zmartwychwstańcach* wyjaśnia nam, czytelnikom powieści—nieskuteczność, chwiejność działań Mieszkowych, ale też i rodzi w nas pytanie estetycznej natury, czemu autor tak rzecz rozumiejąc, koniecznie dwie waryacje (w *Luboniach*) dał na jeden temat, nie zjawisk jednej idei w duchu widzianej przez się w nich różnicy niecechując?

To pytanie uogólnia się, rozszerza na całą charakterystykę pogaństwa w *powieściach historycznych* Kraszewskiego; formułuje w zarzut, że stopniowania w jego upadku nie zachowano, że tyle razy przedstawiając onego obraz w różnych warunkach, po pewnych przerwach czasu, przy innych działaczach: ma go się prawie niezmiennym. Rozkład dawnej cywilizacji w kierunku religijnym został przyjęty już w *Starój Baśni* w zasadzie, gdy była mowa o zmianie społecznej. Ta zmiana przybiera coraz większe rozmiary, autor ją cieniuje wedle możliwości czy zamiaru jasnego. Tymczasem pierwiastek ginący mimo tych cieniowań, mimo rzekomych modyfikacji, w istocie począwszy od *Starój Baśni* a skończywszy na *Boleszyczkach*, jeżeli nie objawia większej koncentracji, jeżeli niema coraz wydatniejszej formy pierwiastku uciskanego ale żywotnego, to przynajmniej wciąż jest *in statu quo*.

Ten brak stopniowania w kolorycie pogaństwa, a może raczej ten jakiś kolisty, gzygagowaty bieg jego, tu i owdzie gwałtowne wybuchy, i znowu szybkie unicestwienie samej jego zasady w *Maslawie*, i bezbarwność religijna jego towarzyszy powieściowych, oraz zupełne pominięcie strony pogańskiej w akcji (jeśli nie w teorii) *Boleszczyców*, rażą w wysokim stopniu, gdy porównamy zwłaszcza stosowne odcienia, w jakie pod ręką mistrza mieni się germańska kultura za każdą powieścią. Gdy w *Starłej Basni* germanizm sam ma barwy pogańskie, a przynajmniej chrześcijańskich nie ujawnia, tymczasem w *Luboniach*, daleko bardzo sięgającym zamachem, autor nas rzuca na łono średniowiecznego cesarstwa i niemieccyzny. Co tam było handlem, szpiegostwem, działaniem przez wpływ, tu przechodzi w zetknięcie bezpośrednie. Łupieztwa, gwałt, rozbój na Słowianach, choćby z pomocą Słowian-pogan, pod pokrywką religijną występują jako specjalne cechy terażniejszych kulturträgerów prywatnych Gozberta i Wigmana (II, str. 28—59, 150—171). Przepych cesarski, wewnętrzne jego rany, stosunek cesarza do neofitów lub pogan wschodnich, maluje się tak w obrazie Kwedlimburga (II, str. 103—130), jak w szkicu życia pragskiego (I, 146—191) chciano dać rys dworu neofickiego, jakby przeczcucie dworu gnieźnieńskiego. Szczęśliwe te jednak po większej części rysy, przeciążają budowę estetyczną *Luboni*, już i tak zachwianą dwoistością akcji o jednym celu, oraz epilogiem (II, 209—216). Życie na zamku Gozberta, obraz Kwedlimburga i Pragi, stanowią więcęj jak czwartą część całości, a z powodu oddalenia geograficznego swęj treści, za mało genetycznego związku, za jawnie ród swój nawiasowy, komentatorski, wykazują.

Postawienie to *Luboniów* przez owe wizyty na tle powszechno-dziejowém, byłoby stosowniejsze w *Braciach Zmartwychwstańcach*, kędy wizyta Ottona III w Gnieźnie, odjęłaby Kraszewskiego Chrobremu postać lwa bez pazurów; nadarzyła sposobność, dziejowo i chyba artystycznie dobrą, zestawienia niemal równoważnych dyplomatycznie (wedle legendy) dwu światów na gruncie polskim. Tym sposobem nawet zyskałaby uzupełnienie walka z Wigmanem w *Luboniach*, która maluje nam Polskę w zapasach bojowych z Niemcami. Jeśli nawet chodziło o obrazek kultury germańskiej w *Luboniach*, to była ze wszech miar odpowiedniejszą po temu znana z Dytmara wizyta Mieszka u margrabiego Ottona, którego potem „pycha teutońska gryzła ziemię“, gdy „uciekał z podartemi (przez Polan) sztandarami.“ Ta wizyta byłaby bliżęj związana z samą powieścią, z dziejami, charakterystyczniejsza dla uwydatnienia zaniedbanych przez Kraszewskiego różnic stanowiska Mieszka I i jego syna względem Niemców.

Co do pragskiej wizyty, tak romantycznej, jak kwedlimburska jest awanturniczą: to rozważny charakter Mieszka nie zdaje się z nią godzić. Okoliczność, że już Piastun podróżuje i zna Czechy i Morawy, nie dozwala przypuszczać, by tak głęboka niewiadomość o Niem-

cach i Czechach owoczesnych panowała na dworze Mieszka, by jego wizyty dały się tłómaczyć ciekawością nieopatrzną dziecka, które chwyta płomień świecy paluszkami, chcąc go przez dotykane poznać.

Mieszka miłość do Dąbrówki, dająca w części powód do tój *escapade amoureuse* podtatusiałego żonkosia, mnoży tylko już i tak wielką liczbę zaczętych, a niepodokończanych epizodów erotycznych, o których wspomnieliśmy dla zwięzłości w odsyłaczu.

Bracia Zmartwychwstańcy nowe barwy kładą na *Drang nach Osten* w Polsce. Nie spierając się w zasadzie o tego rodzaju germanizacyjne sztuczki, jak Ody zaloty do starego Bolesława I, w celu usunięcia polskiej Emnildy (Hermenegildy) z tronu na korzyść tój gorącej patriotki niemieckiej ¹⁾, mamy jednak prawo zapytać się, w obec faktu, że w takich *powieściach* jak *historyczne*, wszystko ma znaczenie symbolu, czy lubieżność godziło się brać za znamię kulturkampfu w epoce *Braci Zmartwychwstańców*? Dytmar i Gallus nie odmawiają Chrobremu tój wady, *ale* podobnie jak Nestor Włodzimierzowi Wielkiemu. Wszakże pomijając już tę okoliczność, jak i to, że dziejowo Oda przed ślubem w Polsce nie była, więc i kusić starego Dawida nie mogła: to wypada podobno się zgodzić, że symbolistyka ta wpływów owoczesnych Niemców na Polskę, jest niedostateczną, za ciasną, bo opartą na jednostronnym rzeczy wykładzie, na poglądzie dzisiejszym na tamtoczesne stosunki dwu płci miłosne. Dość rozpatrzeć większą ilość takich faktów, z większego obszaru chronologicznego, a przekonamy się, że tak zwana lubieżność nie może uchodzić za cechę indywidualną Chrobrego, ale jest znamieniem specyficzném samych Niemców (por. samego Dytmara), nietylko Polski. Porwania Ody zakonnicy z klasztoru w Kalau przez Mieszka I w X-ym wieku, za dowód lubieżności jego nie poczytywano; i owszem, pobłażliwym był biskup Hillwald na ten gwałt neofity.... *ad majorem bonum ecclesiae patriaeque*. Pewną swobodę w kwestyi matrymonialnej w Polsce Gallus uważa za rzecz wytłómaczoną przez *ruditatem fidei*. Małżeństwo duchownych jeszcze w wieku XIII—XV-go wzbraniane (przed reformacją), o czém autor w obrazie Własta w *Luboniach* zapomniał, choć sprzecznie z sobą wspomniął w *Boleszczycach*, oraz nazwa „mnich“ z czasem dana *jednożennemu* Kazimierzowi Karolowi i cała legenda klasztoru doń przypięta, a stojąca w ścisłym związku z faktem wielożenstwa pierwszych Pasztów, wzajem się uzupełniają i wyjaśniają, że szybkie rozwody Chrobrego nie mogą uchodzić za dowód prostej lubieżności, z której Niemcy mogliby korzystać, lecz za ślad wielożenstwa i formy jego zawierania, praktykującego się dość powszechnie, bardzo długo nawet u chrześcijańskich już Polan. „Cierpliwe znoszenie do obecnego czasu (do r. 1423) zwyczaju, że panujący i rycerstwo (polskie) *bez zapowiedzi* śluby zawierali“ przez ustawy synodu arcybiskupa Wojciecha Jastrzemba ²⁾, najlepszym są

1) Por. II, str. 181; I, 123—124.

2) Starod. pom. pr. pol., V, str. 74.

dowodem stałego trwania formy obrzędowej ślubów (przez porwanie, gwałt?) jeszcze w XV wieku. Bo pono nikt nie weźmie za rys lubieżności owoczesnych panujących (*principes*) i rycerstwa tego, co jest prawdopodobnie zabytkiem powszechnego niegdyś obyczaju legalnego.

To jeden взгляд. A teraz spojrzmy jaką reputacją mają Niemki przybyłe do Polski, w epoce bliższej Chrobrego czasom, w epoce *Braci Zmartwychwstańców*. Ryksy Niemki zgoła o lubieżność nieposądzano; na żonę Władysława II dopiero w późniejszych legendach podejrzenie to padło, a trzecia żona Władysława I już ustaloną na Węgrzech przez się reputacją swoją wniosła do Polski. Legendowa żona Pumpila jest uznana za trucicielkę *ambitną*, ale o jej zalotności nic nie słyszymy, choć ją później i Niemkinią nazwano. Ambicją zrazu i Oda wedle autora się powoduje; bo zdaje się, że tylko w politycznym celu w powieści Kraszewskiego, Oda z początku ujmuje się za Bezbrymem, wstrętnym nawet co do imienia ojcu (II, str. 19), i właściwe stanowisko królowica wyjednywa mu u Chrobrego (II, str. 206). Szczęśliwy to pomysł mnożenia pretendentów do tronu, powiększania dzielnic; przyznaje się też Oda (II, str. 191), że walczy z Emnildą, Mieszkiem i Ryksą (jego żoną), i wszystkimi, co jej na drodze do tronu stoją. Podniesienie Bezbryma tej myśli daje praktyczny dowód. Przeto Oda jak poprzedniczki jest ambitną. Widzieliśmy już, że nie sam Chrobry jest lubieżny, że to cecha wieku.

Z tych dwu więc już względów niewłaściwy rys *Drang'u nach Osten* w kokieterii Niemek za Chrobrego wskazany (o którą raczej Rusinki posądzano w XV wieku, co i podniósł Kraszewski w postaci Marty Spytkowej z *Maslawa*), jest i z trzeciej racji naganny. Zabiegi Ody są tak jaskrawe, a tak różne osoby mają na celu, bo i ojca i synów Bolesława i Bezbryma i Mieszka ¹⁾, że najlepiej ją autor przez usta Bolesława maluje (III, str. 50—52), jako jest chciwą czépca.... i by ją *upilnować*.... trzebaby łańcucha! Rys to tak jaskrawy, że zacierza pobudki dyplomatyczne tej kampanii erotycznej nowej lady Hamilton, i że prócz zarzutu sfalszowania charakteru osoby historycznej i złego oddania barwy przechodniej objawów pewnej ogólnej idei (germanizacji), jeszcze jeden do krytyki punkt widzenia, to jest wychowawczy następcza się. Jest-li, mianowicie, na miejscu, bez potrzeby i racji

¹⁾ Najdawniejszy ślad kuszenia jest w *Br. Zm.*, II, 119—120; dają się całować Chrobremu (II, str. 200), opowiada o tém (str. 124); kiwa na króla znacząco (II, 74—75), czego jednak dalszego ciągu na szczęście autor nie przedstawił. Pokazanie przez Odę królowi kolca matki Bezbrymowej, ofiarowanego sobie przez Bezbryma (II, str. 201), podobnie jak wyjazd Ody (III, str. 62): wyglądają na budzenie zazdrości w Bolesławie. Ale w sprzeczności z tém stoją owoczesne rumieńce żegnających się Bezbryma i Ody. Na dobitkę kochliwa Niemka zastępuje Mieszkowi Ryksę (III, str. 71), i przy uczcie koronacyjnej rzuca mu uśmiechy (III, 190). To już jest chyba temperament nie polityka!

dawać w książce zastępującej miejsce powieści i zarazem historii, w książce przystępnej wszem płciom i wiekom, obraz wzięty może z rzeczywistości życia kawalerskiego, lecz terazniejszego, prawdziwego... w obecnych zalotnicach, ale niezgodny nawet z bezpośredniością uczuć i czynu, jaka dotąd ma miejsce u ludów natury, a objawiać się mogła w XI wieku, istniejąc w czasach Jadwigi. Bezpośredniość ta *in actu* może estetyczne nasze uczucie urazić, może być niemoralną... z punktu widzenia naszego, ale na paletrze kunsztmistrza powinny się znaleźć barwy, a na obrazie światła i cienie, nadające prawdzie wyraz jej nieobcy, a i prawom dwu innych zasad piękna i dobra niewłaścizający. Słowem, może się mylić, ale w Odzie jest chyba za dużo La-
is, i ze względu na symbolikę germanizacji za Chrobrego, i ze względu na jego temperament, i ze względu na postać dziejową Ody, i ze względu na pedagogią. Poniżej zobaczymy jeszcze jeden zarzut.

Rys drogi kulturträgerów niemieckich za Bolesława I jest zato trafniejszy. Jest nią dyplomacya, prawie że chodząca drogami szpiegostwa, w postaci ks. pisarza Petrka (III, str. 167), po części Ody, Guncelina (III, str. 116—124, 184, 188, 192—195) i znajdująca odpór w podobnym działaniu opata Aarona. Pierwszy objaw tego działania dyplomatycznego mamy w zabiegach Petrka, by korzystając z utraty piękności przez Emnildę i z chuci jej męża Bolesława I, osadzić Odę, która przychylna Niemcom jako ich rodaczka bawi w Gnieźnie, na tronie polskim. Oskarżenie Emnildy o zachowanie od kary ofiar słusznego gniewu króla, wykazanie, że go już wszyscy mają za niedołęgę: oto środki dojścia do celu. Przedstawienie jednak rzeczy jest niejasne, zwłaszcza z tego powodu że często się zwraca do punktu wyjścia. Inicytywa i pierwsze oskarżenie wychodzi od Petrka (I, str. 123—4), ale wypowiada je także do niego Oda jakby samodzielnie, bo nakazując powiernikowi co do nich milczenie (I, str. 147, 148). Niezabawem Petrek namawia Odę do oskarżenia królowej przed Bolesławem (II, str. 113), skoro sam to już uczynił bezskutecznie (II, str. 74—80). Godna uwagi, że choć słowa Ody wpłynęły na zmianę losu Bezbryma (II, str. 206 por. 19), są przecie bezwładne, podobnie jak Petrkowe, gdy chodzi o zgubienie królowej w oczach, niby lubieżnego tylko, jej męża. Mimowoli wysuwające się zpod pióra Kraszewskiego rysy czci Bolesława dla cnót nawet nie pięknej Emnildy: są zgodne z tradycją, ale też zdają się być tamą do uprawdopodobnienia roli, jaką Oda spełniać ma w powieści, oraz charakteru Bolesława.

Zauważmy dalej jak inicytywa w oczernianiu królowej chwieje się między Odą i Petrkiem. Upór w podszeptach, jak wpływ na dół Bezbryma, okazywałyby może, że autor chciał główną sprężynę akcji zrobić z Ody, ale temu przeczy rola Panichy rajfurki, w końcu trującej z własnej woli Emnildę, by oczyścić miejsce dla Ody. Panicha to Jarucha z *Starój Baśni*, to trzeci aktor do jednej roli. Można by zapytać wreszcie, czemu trwałość insynuacji na królowę, przy dowodach czci dla niej ze strony króla, nie oburza go na podszeptowaczy, nie wy-

wołają śledztwa, konfrontacji oskarżonej z Odą i Petrkiem, jakiegoś naocznego stawiennictwa dwu obozów? Byłoby to doprowadziło konsekwentnie do rozwiązania *Braci Zmartwychwstańców* w duchu anegdoty Gallusa, na której euhemerystycznie powieść osnuta, i zgodnie z natrąconą dyplomatyczną intrygą niemieckiego stronnictwa w Polsce.

Autor wszakże tak rychło nie chciał skończyć powieści swój. Nim jednak wskażemy, co ją przedłuża zbyt znacznie dla dotychczas poznanej osnowy, musimy stanąć w obronie naganionej przez krytyków charakterystyki drugiego rysu epizodu Ody i Petrka. Zarzucono w tym błąd Kraszewskiemu, że wszystkie dyplomatyczne kroki Petrka co do przeszkodzenia koronacyi są na wyłot przeniknione przez Polaków. Fakt to tymczasem znany z kroniki Dytmara, że polska dyplomacya bardzo dobrze znała transzee i miny przeciwniej polityki, i że tą samą drogą chodziła. Niedziwimy się przeto uzmysłowieniu tego faktu w stosunku powieściowym Petrka i Aarona, choć to czyni Chmielowski (*Niwa* zeszyt 51 tom XI, str. 212) i zgoła za stosowne niemożemy uważać zarzutów tegoż co do niedostateczności motywów Kraszewskiego, czemu opat Aaron wiedząc o zdradach Petrka trzyma go przy sobie. Autor przez usta Aarona podaje że dlatego tolerował Petrka, że już zna jego przebiegi, gdy nieznanemu musiałby obawiać się bez możności obrony. Chmielowski pyta jakie Niemcy prawo mieli narzucać sekretarzyi Polsce? czyż opat Aaron nie mógł sobie dobrać piśmiennego człowieka, któremu mógłby najzupełniej zaufać? Aczkolwiek wiele razy musimy tak, jak szanowny krytyk, zaznaczać takie rwanie się intrygi zaczętej, że istotnie wygląda ono na zapóźne trochę zorientowanie się autora, iż w jej dalszém rozwinięciu znalazłby przeszkodę do zażycia motywów pewnych dziejowych i t. p.; to jednak przeczy my, by Kraszewski „nieobmyślił należycie roli *każdej* z wprowadzonych osób i że przebiegłości przedstawiać nie umie.“ Krytyk bowiem zapomina, że u Dytmara są nieustanne ślady i dowody wzajemnego szpiegostwa, zdrady czy otwartości, dowodzące nie błędu Kraszewskiego w ich oddaniu, ale raczej niewykształcenia się jeszcze dyplomacyi do dzisiejszej doskonałości w oszustwie. Arcybiskup Tagino i inni nieznani dostojnicy, dalej rocznikarze pojedynczy niemieccy (nietylko krewni Bolesława) albo nie tajnie wyrażają na piśmie swe sympatyje dla niego, albo też zostają z nim w takich stosunkach na niekorzyść Niemiec, jakie mamy dane w obrazie Petrka na dworze gnieźnieńskim z jego rodakami. W Dytmarze poseł Bolesława Stoigniew za to jest właśnie przewany od Niemców *nugigerulus* (za istotnego błazna przez Moraczewskiego pożytywany), że jednocześnie burzy szwagrów Henryka II a z nim samym niby o zgodę traktuje. A Niemcy to widzą i przyjmuja go. Już ta okoliczność broni stosowności pomysłu o szpiegostwie Petrka i o znośzeniu go mimo to w Polsce.

Raczejby wypadało zarzucić co innego autorowi *Braci Zmartwychwstańców* w tym obrazie dyplomatycznych intryg. Zapewne wiadomém

jest szanownemu krytykowi, że jedna rozprawa Zeissberga (*Die öffentliche Meinung in Deutschland im X Jahr.*) właśnie tym stanem stosunków Polski i Niemiec zajmuje się, i w nim widzi objaw istnienia pewnego stronnictwa przychylnego autonomii Polski wbrew teoryom Henryka II. Otóż podniesienie tego faktu bardzo byłoby na miejscu w *Braciach Zmartwychwstańcach*, dla zupełności barw stosunków Polski z Niemcami.

Zarzut czy Niemcy mieli prawo narzucać jakich sekretarzy, zbija się uwagą krytykującego taki ich wybór Aarona. Wyraźnie zresztą zapomniał krytyk, że duchowieństwo jeszcze w przeważnej części było obce, że sztuka piśmienna i kompozytorska nie była udziałem wieku, i w skutek tego nakazywała nieraz w wielu względach pobłażać pisarzowi. Wreszcie choćby godząc się i na to, że użyte przez Polaków środki nie są zdolne otumanic Niemców, musimy jednak obronić kreacją dyplomatów Petrka i Aarona. Bez nich niema rysu ówczesnej dyplomacyi, choć estetycznie przez wprowadzenie nie współczesne dwu celi dla polityki Petrka (ożenek Ody, przeszkodzenie koronacy Bolesława) rozszczepia się jedność pierwszego epizodu, a powtarzanie się autora niszczy wszelki efekt. To powtarzanie nieraz jest nużące, bo sceny donosicielstwa powtarzają akcją, a system ekspozycyi np. dworu Emnihildy zużytkowany dla wystawienia szpiegostwa Petrkowego w akcji, lubo zatracą o różne osoby, ruchu nie przyczynia (porównaj t. I, str. 136—162, t. II, str. 70—72, 217—229). Dodajmy że użycie przez Petrka wyrzutów sumienia bratobójcy na środek dyplomatyczny, rozmyślnie zrobienie kającego się grzesznika—*za pokutę*—donosicielem oplugawia nie niemieckie pochodzenie, nie niemiecką przewrotność, ale samą suknią, i środek religijny. Mniemamy, że to jest podobna nieostrożność wychowawcza, jak opis wręczenia pierścienia Aaronowi (mimo jego oporu i odmówień) przez królowę w nagrodę niejako uspokojenia jej skrupułów moralnych (*Br. Zm.* t. I, str. 70), albo wyznaczenie roli szpiegowskiej Włastowi w *Luboniach* (t. I, str. 207, porównaj t. II, str. 25).

Nietylko rozwlekłość i powtarzanie się, płońność różnych prób autora zawiązania intrygi niweczy żywy bieg akcji, zaciera koloryt w tém malowidle germańskiego *Drangu* dyplomatycznego. Pomijamy, że wizyta Petrka w Magdeburgu, aczkolwiek daje rys postępowy (względnie do Gozberta) cywilizacyi niemieckiej; wszakże grzeszy estetycznie, bo wprowadza nowych specjalnych aktorów a właśnie pożytecznego i typowego motywu Mieszka brata Bolesławowego nie rozwija dalej. Chodzi właśnie o to, że lubo Kraszewski wkoło dwu głównych kierowników polityki i dyplomacyi germańskiej w Polsce, Ody i Petrka, i jakby genetycznie wiąże szczegóły wzięte nietylko z legendy ale z *opracowań naukowych* (to jest z kombinacyi badawczych), to przecie nie zużytkowyywa ich jakby wypadalo z założenia i z natury poruszonych motywów. Są to szczegóły bowiem bardzo nadające się z jednej strony do uwydatnienia zrzęczości Niemców w korzystaniu

z typowych cech stroju polańskiego, a z drugiej do oddania tych cech jako *pendant* obrazków cywilizacji niemieckiej. I tak postać brata Chrobrego (Mieszka) w kaplicy mniejszej, wydobyta w części z badań Lelewela, w części z Bielowskiego. lecz już samodzielnie nazwana przez Kraszewskiego, pojawia się tak sporadycznie, tak jest nieokreślona w dążeniu, tak wreszcie znika bez śladu, że kilkakrotne jej zetknięcie z Petrkiem, w Gnieźnie i w Magdeburgu i wysoce podnoszone w opowiadaniu autora, ale błahe w akcji, spotkanie się Mieszka w tumie gnieźnieńskim z uzurpatorem i bratem Bolesławem I, nie zostawiają w umyśle czytelnika jasnego pojęcia ani o stosunkach wydziedziczonego brata króla Polan do intryg germańskich, ani o popieranych przez też intrygi zamiarów intronizacyjnych samego Mieszka (t. I, str. 111—135, t. II, str. 7—8, 23—30, 166—167, 174—185). Podobnie rzecz się ma z Bezbrynem, którego autor zawdzięcza Moraczewskiemu, Lelewelowi i innym. Najprzód maluje nam go autor opuszczonym w dawnym babeńcu Mieszka I, z jednym swym sługą piastunem Ghezą jakby pod strażą. Poniżenie jego jest tak wielkie, że na Mieszka Chrobrowica rozkaz, wyrzucają go służebnicy z łaźni na śnieg podwórzo- wy (str. 203). Smutny ten a nieprawdopodobny, chyba tylko w Turcyi epizod, służyć ma wyraźnie zdaniem autora do okazania „męztwa“, Chrobrowica, jak potem sam ojciec jego zdumiały z uciechą to wyraża i z wątpliwością, „miały Mieszko taką duszę i dzielność okazać.“ (*Bracia Zmartwychwstańcy* t. II, str. 55 i 116). Rzecz szczególniejsza jak obok takiego rysu mógł się znaleźć następny. Król nakazuje zgodę braciom (t. II, str. 206), Mieszko daje dłoń bratu, a Bezbrym w uścisku krew z pod paznogi Mieszka dobywa. Dzika to może, ale dobrze pomyślana scena odwetu. Szkoda, że ginie w natłoku bezbarwnych.

Raz zawiązany stosunek z Odą rozwija się dalej, jak wspomnieliśmy, i spodziewaćby się można że na jego mocy dalsze powikłania spotkają następstwo na tron Mieszka II, ile że tenże objawił swą niechęć udania się w charakterze „starosty brańskiego“ po Odę (t. III, str. 128—133) a natomiast jedzie Bezbrym zawiązujący się z drugą sprężyną *Drangu* w Polsce to jest z Petrkiem. Wszystkie te jednak nadzieje nas zawodzą, bo nawet w ubocznych dopowiedzeniach *Braci Zmartwychwstańców* (lub *Maslawie*) Bezbrym, Chrobrowic jak Mieszko Mieszkowic znikają bez śladu w dziejach Mieszka II. Tym sposobem szczęśliwie podniesione właściwości rządu w Polsce, rządu na spółrządztwie synów opartego, oraz z wielożeństwa wynikające—emulacja synów żon różnych, wyzyskiwane przez Niemców dziejowo i właśnie dające rys nowego zwrotu *Drangu nach Osten* w Polsce, zaszkicowany wyraźnie, nieznajduje należytego zużycia w dalszej opowieści Kraszewskiego. Ledwie są zaznaczone, a przecie tak postać Sydbora (Cydebura) w *Luboniach*, jak pięknie pomyślane sceny ślepea Odylena w *Braciach Zmartwychwstańcach* (tom I, str. 217—220, tom III str. 191) oraz

Dobremira ¹⁾ wskazują, że choć nie najnowsze studia, ale w każdym razie opracowania znał autor, i na ich osnowie mógł kwestyą tych spólrządzców dobitniej przedstawić, wyrazić nawet w stopniach różnych i odmianach. Wszystko to jednak ledwo się rysuje w ulotnych konturach, robi oskome czytelnikowi, wprowadza w oczekiwanie scen wielkich... i zawodzi, dając zaledwie przeczuć, coby być mogło, gdyby autor był zechciał te szkice rozwinąć.

Widzieliśmy już że tak spełzła na niczem katastrofa Ody i Petrika skarżących królowę przed Chrobrym. Podobnie inarniej wskazówki rywalizacyi innych spólrządzców! Taki Odylen np. (t. I, str. 217—220, t. III, str. 191) ślepiec przeczuwający na kilka dni wprzód wężchem uzurpatora, i we wrotach Gniezna żywą wymówką mu stający, nie jestże postacią pierwotną, o zmysłach przenikliwych na wzór Indian lub pionierów amerykańskich? A owa śmierć jego nagła w dzień koronacyi uzurpatora, Chrobrego, i zetknięcie się z jego trupem, równie zawiedzionych w swych zamiarach przez to: Petrika i Guncelina (także postać znana co do pokrewieństwa Kraszewskiemu z Lelewela). Jest to przykład mały (mówiąc nawiasem) jak nieraz autor *Braci Zmartwychwstańców* nie bez głębszego zamiaru pewne obrazy kreśli, jak niektóre rysy są u niego symboliczne. Lecz jak powtarzamy, często są to tylko kontury. Na dowód, jeszcze jeden trzeci typ mamy, prócz Ody i Petrika, polityki germanizacyjnej, Ryksę żonę Mieszka II; w *Masławie* przedstawiona jest ona jako nieszczęśliwa, dobra pani, tylko przez tytułową osobę powieści, przez jej intrygi i t. d., wypędzoną z Polski. W *Braciach Zmartwychwstańcach* jest to postać niema zupełnie, prawie komparsowa i fałszywie pojęta. Autor wbrew dziejom zmienia charakter Ryksy, bo niemal ją przeciwstawi niemieckim zamiarom Ody, i całą charakterystykę ogranicza na dumie cesarskiej. Byłać to taka duma w dziejach, ale i pogarda dla polszczyzny wyrażała się nietylko milczeniem, które wprawdzie podobną do Brunehildy, ale o ileż słabszą czyni Ryksę! Autor o starciach jej z Odą wspomina... lecz w rozwoju akcji ogólnej objawów tego starcia niema. Rywalizacya z władzą ma tu grunt stanowić... lecz tło w tym względzie szczęśliwie zamalowane stoi pustkami... W stosunku Ryksy do męża, również autor skąpi barw i ruch obezwładnia. Tak np. raz Ryksa wyraźnie chce mówić z Mieszkiem (pierwsze obu pojawienie się w powieści) ale Chrobrowic znika w rozbieralni!

W oddaleniu znów geograficzném znika arcybiskup magdeburgski Gero i inni księża za suto wypowiadający uboczny motyw wizyty Petrika i Mieszka w Magdeburgu. Jestto wprawdzie ładna mozaika podań Dytmara i innych źródeł... ale tło za duży a treść za obojętna dla

¹⁾ Tak autor błędnie zowie Ottona (t. I, str. 66—67); że to syn trzeci, por. t. II, str. 41, t. III, str. 189—190, myli się więc Chmielowski (*Niwa* t. XI, str. 213, nr. 51) robiąc zarzut Kraszewskiemu, że zna tylko dwu Chrobrowiców.

główniej akcji. Nareszcie jest Gwido Szwaba źródło nieszczęść Jaksów *Braci Zmartwychwstańców* (t. I, str. 7—33), ucząc ich rozbójnictwa. Gwoli chyba tylko temu usymbolizowaniu nauk niemieckich wymysłony, niezadługo ginie z akcji, uprowadzając z niej przynajmniej jeszcze drugą zawalidrogę (Antonią, t. I, str. 26, 143).

Tak przejrzawszy pobieżnie reprezentantów germańskiego *kulturkampf* w Polsce Chrobrowej, zobaczymy konterfakta przedstawicieli Polski z tej doby w *Braciach Zmartwychwstańcach*. Epizodyczna metoda Kraszewskiego i tu ujawia się jako raz nazawsze powzięty sposób obrabiania materiału dziejowego i fantazyjnego. Gdy już poznane motywa wystarczyłyby na powieść, mamy jeszcze prócz tego kilka innych fabuł z odrębnymi aktorami, które stają obok tamtych, ale nie splatają się; robią raczej wrażenie kół siecznych i stycznych nie spółśrodkowych. Najprzód wytacza się w duchu kronik opowiedziana sprawa Jaksów, skazanych na śmierć przez Bolesława, a usuniętych do czasu przez królową. Ze Kraszewski, po „*Łażni Chrobrowej*” Szajnoch, tak pojął tę anegdotę obrzędową Gallusa, że wyrozumiał ją w duchu faktu historycznego niemamy mu tego za złe. Chodziło tylko o to, by w powieści zmiana imion królowej, (z Judyty, jak ją zowie tradycja na Emnildę) oraz jej roli okazała się pożyteczną dla całej powieści. W gruncie rzeczy te przemiany potrzebnymi są jedynie dla ustępu Ody i królowej. W ustępie Jaksów, dających tytuł powieści, Kraszewski już porzuca Emnildę, usuwa legendowy udział tej królowej i dwunastu par rajców żeńskich i męzkich Bolesława w całej sprawie *Zmartwychwstańców* i zastępuje go zupełnie innemi motywami. Intryga już w innym toczy się kierunku.

Wedle hipotezy Kraszewskiego dwaj Jaksowie są namówieni w swym upadku finansowym nieprzedstawiającym żadnego innego punktu wyjścia, przez Gwidona Szwaba dworusa swego do naśladowania rozbójników niemieckich (*raubritterów*). Zaczém zabijają kupca, który z Kijowa do Gniezna do Bolesława I jedzie. Po chwilowem upojeniu skrucza w Jaksach następuje i poddają się losowi. Odtąd są bierni, a opiekę nad nimi rozciągają w zupełnie różnym duchu, dającym byt nowym epizodom w tym nowym ustępie powieści (ubocznie królowa) Teodora córka Sieciecha ochmistrza Bolesławowego i opat Aaron. Opieką Teodory ma sobie zgóry nadaną barwę dziwną. Autor oświadcza: „Nie wiadomo czemu śluby (z nią) Jurga Jaks bogaty, zwlekał od dnia do dnia” (tom I, str. 6). Pomijamy względ estetyczny, że autor powieści nie może niewiedzieć przyczyny spisowanych przez się faktów. Pytamy raczej na co wzmianka ta dwuznaczna w jednym romansie czyniąca go podobnym wielce do innego romansu między drugim Jaksą Andruszką z jego niewolnicą Antonią; który po bardzo romantycznych perypetiach, bardzo luźno łączących się z główną treścią, przez co męczą tylko uwagę czytelnika i czynią tylko powieść jeszcze drastyczniejszą¹⁾;

¹⁾ Antonia niby gospodynią jest na dworze dwu braci kawalerów. Porywa ją, uciekający szwab „gwałtem” (t. I, str. 26). *Zapewne* (bo autor mil-

kończy się jak Teodory przykładnem zaprężeniem dwu birbantów w jarmozę przyzwoitości małżeńskiej. Moralność i romans Teodory nie inny ma charakter w skutek wzmianki o owej zagadkowej zwłoce ślubu. Teodora, dodajmy, wedle autora (t. I, str. 61—67) wstawia się za skazanym do królowej i mgleje w jej przedpokoju... ze wzruszenia (!). Ona poddaje królowej i ojcu myśl ukrycia Jaksów i oszukania Chrobrego fałszywą wieścią o wykonaniu na nich kary (t. I, str. 65, 123). Ona téż składa romantyczną wizytę, choć pod skrzydłem ojcowskiem, uwięzionemu kochankowi, który nie chce się z nią żenić (t. I, str. 67—88). Wreszcie nawiasowo dowiadujemy się o ślubie téj osoby, która równie wytrwale i jednocześnie jak gospodyni Andruszki dobija się celu (t. III, str. 177). Może to odpowiadało chęciom autora taki ustęp żeńskich łowów na mężczyzn w XI wieku przedstawić. Wszakże po Odzie, Teodora i Antonia już są plagiatami i co gorsza zatracają podniesioną przez autora rzekomą różnicę etnograficzno-psychologiczną między niemkami i polkami, niweczą racyą bytu Ody, jako romantycznej formy *Drangu nach Osten* za Chrobrego. Nie pytamy się już czy zwłoka ślubu albo wizyta narzeczonej u narzeczonego były możliwą w XI wieku. Pomijamy wzgląd pedagogiczny. Chcemy tylko wiedzieć, co epizod intryg Petrika i Ody, sam zdolny wyczerpać treść *Łazni*, zyskuje prawdopodobieństwa lub artyzmu na tych scenach przygód kawalerskich z totumfackim, gospodynią i panną, radą się wydać *coûte que coûte*? Emnilda (jak niegdy Dąbrowka) staje się bezpotrzebną w ustępie o Jaksach, będąc zastąpioną zupełnie w inicjatywie ich ratowania przez Teodorę. Niedosć na tém. Owa inicjatywa daje broń w rękę intrygantom, dążącym do usunięcia Emnildy z tronu, a mimo to, jak już to zauważyliśmy, właściwego rozwiązania epizod Ody i królowej nie otrzymuje we właściwem miejscu, a Teodora tak ważna postać w powieści, jej ós niejako w jednym epizodzie, ginie w natłoku innych figurantów i znika jak Antonia z akcji już w ciągu epizodu hulaków. Tak marnieje drugi ustęp Dumasowski w *Braciach Zmartwychwstańcach* jak już zginął pierwszy o Odzie.

Już nową powieścią jest opieka Aarona nad Jaksami i łączące się z nią starania o koronę. Zrazu pierwszy tylko motyw *Braci Zmartwychwstańców* t. j. Jaksów śmierć, zajmuje Chrobrego (t. I, 1—92). Z téj niemal racyi król wyjeżdża na łowy i zuów w myśli ponure wtrąca go zagadkowa czerwona plama na śniegu w miejscu (nieodbytej)

czy) po jego karze, Antonią poznajemy w przedpokoju Emnildy, w scenie prześpiegów Petrika (t. I, str. 143). Przebrana za mężczyznę idzie szukać Andruszkę (t. II, str. 229), zdradziwszy tém przed Petrikiem tajemnicę ukrycia żywych Jaksów. Szukanego znajduje w Tyńcu (t. III, str. 32—34); w powrocie z nim pieszo, znika zagadkowo przed dojściem do Krakowa (t. III, str. 39) i równie zagadkowo wita wolnych w nowoodbudowanym ich dworcu (t. III, str. 180). W końcu czytamy, że w dwa lata po ślubie (sic) z Andruszką, *πολυτροπη* Antonia umiera (t. III, st. 213).

kaźni Jaksów. Ztąd wysnuwa się wprawdzie cudny epizod już wyżej cytowany puszczy leśnej i pustelnika w niej, Ojca Antoniego, ale zbyteczny; dalej następują odwiedziny na łowach u Tomka Jaksy, który chce królowi symboliczną misę krwi zastawić. Na tenże motyw gniewu do króla za Jaksów niżą się sceny opuszczenia dworu Chrobrego przez rajców, spokrewnionych ze skazańcami, oraz ustęp starego Jurka (t. I, str. 33—43), który wreszcie trupa swego konno na wstawienictwo za krewniakami każe zawieźć królowi. Rys ten przypomina jeden z romansów o Cydze. Wedle niego trup zbrojny bohatera zwycięża swoim widokiem Maurów. Są to szczegóły już fantazyi Kraszewskiego byt zawdzięczające, a w połączeniu z innemi nieobliczonej wagi w charakterystyce kolejnego rozwoju społeczeństwa polskiego, coby Bobrzyński zaliczył słusznie do wychowawczych celów powieści Kraszewskiego. Wykazuje bowiem potęgę olbrzymią władków, kiedy mogli myśleć o takim wpływie swych zasług na Chrobrego, jak Cyd swego mężwa na muzułmanach. Żałować w takim razie przychodzi, czemu usunięto scenę przy biesiadzie, w której już (pomijając królowę) wpływ dwunastu dostojników przybocznych króla tę charakterystykę uwydatniłby stanowczo.

W te to epizody, związane przynajmniej myślą śmierci Jaksów i żalu za nimi, wplóły się nawet dobre obrazki życia Benedyktynów na Tyńcu ¹⁾, oraz Domosula Starzy (t. II, str. 137 — 159) ten dawną, a tamten nową cywilizacją malujące w Polsce. Lecz zato jednolitą powieść Jaksów już na inne tory, ze szkodą dotychczasowych motywów wyprowadza jeden frazes Chrobrego w rozpatrywaniu śmierci Jaksów. Chce on korony, lecz obnyślenie środków i wykonanie tego zamiaru zdaje Chrobry na Aarona (t. I, str. 96). Tak na drugi plan i to już z świadomością autora, cofający się Chrobry ²⁾ okazuje nawet nieprzebaczoną słabość w takim bohaterze, bardzo niekiedy podobną do objawu pewnego zdziecinnienia, o czém wspomniano już, cytując ustęp puszczy leśnej w drugiej części niniejszego. Abdykacya ta Chrobrego moralna, zupełnie fałszywa, jest też fałszywie wymotywowana przesunięciem starań koronacyjnych z 1004 r. w ostatnie lata rządów jego. Te starania, dając nową opiekę Jaksom, jak powiedzieliśmy, na nowy szwank artystyczny narażają już i tak niejednokrotnie wstrząśnioną budowę powieści. Nowe bowiem wiążą pobudki działania do dawniej akcyi, nowe przeznaczenie dają dawnym czynnikom.

Myśl użycia Jaksów do starań o koronę, zajmuje Chrobrego w pierwszym tomie, bez wpływu na koleje życia Jaksów. W połowie drugiego tomu powieści naraz się wynurza, aczkolwiek trzeba przyznać nierychło i niejasno przychodzi Aaronowi „z pewnym wahaniem się“

¹⁾ Tom III, str. 1—12, z zaobszernym wstępem o Walgierze Wdałym, mającym miłą dokładności kronikarskiej, ale nie artyzmu (str. 12—30).

²⁾ Pierwszy raz ustępowanie objawom gniewu krewnych skazańców bez ukarania.

(II, str. 64). Przy posyłaniu ich do Tyńca, zaleca im gotować się do podróży „daleko.... kto wie? do Rzymu może, do samego Ojca Świętego (por. str. 134). Kwestya zaraz uczenia się języka potrzebnego w podróży i dostania tłumacza, są trochę z sobą sprzeczne (II, str. 90, 100; III, str. 103, 115). Stanowczo poselstwo Jaksów dopiero w trzecim tomie formułuje się (III, str. 45—46), ale już w podrzędnym charakterze (ubocznie nawiasowo str. 74 i nast., str. 82 pod koniec, str. 92 z góry). Z czasem znów wypływają ze sprawą korony na wierzch Jaksowie (III, str. 103—128, 150 i nast., 299), ale widać w prowadzeniu ich sprawy pewną niestałość zamiaru ¹⁾, i możnaby się zgodzić z Chmielowskim, że sama wyprawa włoska Jaksów, mogąca wedle dotychczasowej praktyki ²⁾ Kraszewskiego dać dosyć materiału do epizodów barwnych w akcji, zbyt kronikarsko, zbyt sucho jest opowiedziana, i powstała doraźnie w ciągu pisania (*Niwa*, str. 208, 209, 211). Jak wreszcie autora sprawa korony niewiele zajmuje, świadczy podanie pobieżne istotnej racyi łowów, to jest narady o to, czy się koronować, i pominięcie opisu téj narady (II, str. 23, 74). Smutek po Jaksach, opowieść młodych lat pustelnikowi, opis samej puszczy Tomek, Odolaj: oto co najwięcej w drugim tomie obrobione.

Zamykając *Braci Zmartwychwstańców*, niewynosimy z nich zadowolenia estetycznego; dusza często rozłakomiona pokazaną sobie ideą pedagogiczną (rozwojową dziejów przeszłości), wprędce musi się wytrzeźwiać ze złudzenia. Nakoniec, mimo znanych postaci i faktów, nie zyskujemy z ich obrazu żadnego ideału, żadnej postaci miłej, godnej szacunku. Zdawałoby się nawet, że miałyby słuszność jaskrawa charakterystyka typów powieściowych, dana przez Chmielowskiego, w której zakończeniu pyta: „Czy to są istotnie obrazy z dziejów naszego narodu, czy istotnie byliśmy tak nieudolni do życia politycznego w samém zaraniu naszego państwowego bytu? czy istotnie przez trzy wieki mieliśmy królów niedołęgów lub okrutnych rozpustników?“ ...Co prawda, autor odpowiada przez usta jednego z komparsów (I, str. 65): „Co nam wszystkim z Piastów. Ród to nasz własny; nie od dziś ich znamy: albo się z nich rodzą bohaterzy lub znoski i poczwarzy.“ Chmielowski na to ciągnie dalej: „Czyż nie było Mieszka I, Bolesława Chrobrego, Kazimierza I, Bolesława Szczędrego, nie takich, jakimi są w powieściach Kraszewskiego, ale wielkich, potężnych, mądrych, nie bez słabości, nie bez wad, choć nie bez zbrodni nawet niekiedy, ale zawsze obdarzonych myślą i wolą niepopolitąj mocy i znaczenia.“ Prawda,— że zagadkowym jest zwłaszcza pomysł wystawienia „króla wróżebnego“, jak zowie Bolesława I Szajnocha; króla, który słupami i trąbami w rzekach grającemi sławę jego

¹⁾ Oto ustępy o nich: I, roz. 1—3, str. 1—80, roz. 6, str. 169—170, 172, 174, 190—191, 203—204; II, 56—108, 119, 120, 136—159; III, 1—61, 74—77.

²⁾ Por. opis podróży do Tyńca Jaksów, uczyniony wbrew obietnicy: „że niebędzie jój opisywał“ (II, str. 85—87).

u Baltyku, Sali, Dunaju i Dnieprze znaczy wedle podań granice państwa, przez swych następców najdalszych dopiero, stale lecz nie wszędzie posiężone; wystawienie takiego króla w postaci Iwa bez zębów i pazurów, Dawida z Abigail, Ludwika XI z Franciszkiem à Paulo.

Jednakże wyjaśnienie tego szczególnego zjawiska nie sądzimy by się udało sz. recenzentowi *powieści historycznych w Nivie*. Chmielowski „ani na chwilę nie przypuszcza, żeby Kraszewski umyślnie chciał krzywdzić przeszłość“ i „nie wesołe wrażenie, jakie się odnosi z czytania jego powieści, musi przypisać brakowi planu i pośpiechowi tworzenia.“ Mniemam, że i ta hipoteza sz. krytyka jest także skutkiem pośpiechu tworzenia, albowiem faktu niedoświetlania lub okrutnej zniewieściatości bohaterów powieści Kraszewskiego nie wytłómaczyła. Pośpiech artystyczny, choćby największy, daje klucz tylko do błędów stylowych, do wad kompozycyi estetycznej. Barwa etyczna, jaka z charakterystyki sumarycznej bohaterów Kraszewskiego u recenzenta wynika, stoi chyba raczej w związku z innymi czynnikami psychologicznymi autora *powieści historycznych*.

(Dokończenie nastąpi).

NAJNOWSZE OBJAWY FILOZOFII PESYMISTYCZNEJ W NIEMCZECH.

FILOZOFIA WYZWOLENIA ¹⁾.

NAPISAŁ

Seweryn Smolikowski.

Filozofia nicestwa, wskazująca *nirwanę* za cel całemu stworzeniu a głównie rozumnym jego przedstawicielom—ludziom, znajduje w Niemczech coraz to nowych szermierzy, śmiało rzucających rękawicę zarówno samolubnemu optymizmowi praktycznych materyalistów i epikurejczyków współczesnych, jak i utłudnemu optymizmowi dumnych ich współrodaków, upojonych obecnem politycznem znaczeniem Germanii, rzekomą jej wielkością.

Długo nieznany, a raczej z umysłu ignorowany filozof Schopenhauer, pod koniec życia dopiero (1860 r.) ujrzał swą chwałę, chwałę wyrosłą w apoteozę mistrza wśród szkoły jego i znajdującą coraz większy zastęp głosicieli i obrońców. Filozof ten wystąpił snąc zawcześnie, bo go zrazu nierozumiano; wyprzedził on pesymistyczny wieku kieru-

¹⁾ *Die Philosophie der Erlösung* von Philipp Mainländer. Berlin 1876, str. VIII, 623.

nek, który dopiero po śmierci jego z taką siłą owładnął umysłami Niemców, iż stał się jednym z najwybitniejszych pośród innych prądów współczesnej nam filozofii.

Wypuszczony z rąk Schopenhauera stér pesymizmu ujął silną dłoń Hartmann, a rozwijając dalej, lubo w odmiennéj szacie, modny ten kierunek filozofii współczesnej, przyczynia się téż niemało do zwracania coraz to większej uwagi i na swego duchowego protoplastę, choćby z tego już względu, że go krytykuje, że zmuszonym jest co chwila rachować się z tém, co ów mizantrop z Frankfurtu wygłosił.

Słowem nowoczesny pesymizm germański stworzył szkołę, szkołę rozrastającą się w różne strony a nawet są już w pośród niej i odstępstwa, scysye i odszczepieństwa. Dwa jednak wybitne dają się tam dopatrzeć kierunki, dwa główne konary z jednego pnia wyrastające, dominujące innym, są niemi *Schopenhaueryanizm* i *Hartmannizm*.

Tak jest, nazwy te, lubo rażą ucho polskiego czytelnika, utarły się jednak w filozofii niemieckiej; jak dawniej Kantyzm i Heglizm, tak obecnie dwa wyżej wymienione kierunki tworzą osobne szkoły, mają swych coraz to nowych popularyzatorów, dopełniaczy i wyjaśniaczy, zyskały téż i nazwy odpowiednie, w nauce usankcyonowane.

Systemata filozoficzne Schopenhauera i Hartmanna tworzą obecnie już całe biblioteczki z dzieł i broszur im poświęconych. Oryginalności jednak nie wiele spotykamy na tém polu, wszyscy niemal należą albo do obozu Schopenhauera albo Hartmanna, albo wreszcie do ich przeciwników. I zastęp tych ostatnich niemały; każdy bowiem z wybitniejszych myślicieli współczesnych czuje się w obowiązku choćby przed samym sobą zdać sprawę z tego wszystko ogarniającego prądu obecnej ćwierci wieku naszego. Przyrodnicy rozpatrują doniosłość i wierność dowodów z ich zakresu branych na poparcie pesymizmu; filozofowie głównie biorą na uwagę metafizyczne jego podstawy; teologowie i moralisci wreszcie wykazują zgubny wpływ téj filozofii na moralność i szczęście ludzkości.

Nie chcemy obciążać artykułu niniejszego katalogiem literatury pesymistycznej, odsyłamy przeto ciekawszych czytelników do ostatniego wydania „Filozofii Nieświadomego” Hartmanna (*Philosophie des Unbewussten*, Berlin 1876, t. II) oraz do najnowszej pracy jego: *Neukantianismus, Schopenhauerianismus und Hegelianismus in ihrer Stellung zu den philosophischen Aufgaben der Gegenwart*, Berlin, 1877. Autor, ułatwiając czytelnikom swym zapoznanie się z dziejami własnego swego systematu filozoficznego, sam zebrał skrzętnie wszystkie wiadomości bibliograficzne, odnoszące się do tego przedmiotu ¹⁾.

¹⁾ W chwili gdy to piszemy odbieramy wiadomość, że niezadługo opuści prasę ósme wydanie *Filozofii nieświadomego*. Otóż w przedmowie do tego najnowszego wydania a która już wydrukowaną została, *Hartmann*, przedstawiając w dalszym ciągu spis dzieł, broszur lub większych rozpraw, w różnych językach i w różnych krajach w ciągu ostatnich siedmiu lat wydanych, a poświęconych wyłącznie najnowszej filozofii pesymistycznej, —doprowadza tę listę do pokaznej liczby 101 prac przeważnie naukowych.

Jednak wśród tój powodzi dzieł, broszur i artykułów, mało spotykamy rzeczy wybitnych, a wcale nie znajdujemy oryginalnych pracowników na polu pesymizmu. Ostatniemi czasy dopiero (w końcu 1876 r.) zjawiła się książka, która zarówno rozmiarem swoim, jak i doniosłością przedmiotu, oraz erudycją autora, a przytém potoczystą i pełną formą, zajmie pewno wydatniejsze stanowisko w dziejach pesymizmu germańskiego.

Autor jój, p. Filip Mainländer, uznaje Schopenhauera za swego mistrza, co mu nie przeszkadza jednak do rehabilitowania Kanta, którego Schopenhauer w wielu punktach pokonać usiłował. Otóż wsparty na studyach Kanta, Mainländer pragnie dopełnić filozofię Schopenhauera, a tym sposobem wznieść budowę swego pesymizmu na trwałszych podstawach niż to uczynili poprzednicy jego.

Widząc niedokładności zarówno u mistrza swego, jak i u innych przedstawicieli pesymizmu, Mainländer zapragnął pogodzić te sprzeczności, stwarzając jednolitą, systematyczną filozofią pesymizmu, rozpatrującą z jednego punktu widzenia wszystkie działy wiedzy ludzkiej, i wiążącą je w całość, jedną myślą przewodnią przenikniętą.

Inna rzecz o ile autor celu swego dopiął, o ile udało mu się stworzyć to, co stanowi nieziszczone dotąd marzenie całej szkoły. W każdym razie książka jego jest ciekawą, a przytém i nauczającym zjawiskiem w nowszej niemieckiej literaturze filozoficznej; a lubo podstawy jój słabe, lubo nie mieści w sobie silniejszych argumentów, niż dotychczasowe dzieła, argumentów, posłużyć mogących na poparcie filozofii pesymistycznej, to jednakże zakresem swoim, erudycją autora, usiłowaniem jego stać ciągle na stanowisku naukowym, a ztąd uwzględnianiem przyrodoznawstwa, zyskuje ona tytuł do zajęcia wybitniejszego, a przynajmniej nader popularnego stanowiska w bieżącej literaturze pesymizmu. Co więc, formalne przymioty tój książki, piękna jój forma, potoczystość języka, młodzieńczy ogień i zapał przekonania, wiejący z każdej jój stronnicy, czynią z nięj dzielną acz niebezpieczną orędowniczkę pesymizmu, tak, że dla umysłów mniej krytycznych, dla nieobeznanych dokładnie z naukami przyrodniczymi, książka ta wydać się może nader przekonywającą i nader gruntowną.

Dla tych to przyczyn uważamy za rzecz pożyteczną zaznajomić czytelników Biblioteki Warszawskiej z treścią nowęj tój filozofii, a zarazem wykazać jój wartość, wskazując na niektóre błędne jój podstawy, ukrywające się wśród nawału danych przyrodniczych; błędy, które z łatwością przeoczone być mogą, a wtedy smutne, rozpaczliwe wyniki tój filozofii niechybnie zyskałyby sankcją każdego niekrytycznego czytelnika.

Otóż w pierwszój części pracy naszęj podamy treść i osnowę tój nowęj filozofii, filozofii, noszącej u jój autora miano ni mniej ni więcęj, jak „filozofii wyzwolenia“ (*die Philosophie der Erlösung*), występującęj przeto pod nader pełną godłem. Z różnych działów tój książki, traktującęj oddzielnie i obszernie: *analizę ludzkiego poznawania, fizykę,*

estetykę, etykę, politykę i metafizykę, utworzymy całość syntetyczną, wiążąc oddzielne części w jeden systemat filozoficzny, a to dla tém łatwiejszego ocenienia jój wartości, tym sposobem bowiem luki naukowe i przeskokki logiczne bardziej uwydatnią się czytelnikowi. W drugiej części pracy naszej podamy krótką charakterystykę pesymistycznego prądu myśli ludzkiej téj ćwierci wieku a w trzeciej rozpatrzemy krytycznie podstawy filozofii Mainländera, jako ostatniego objawu tego prądu.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Filozofia wyzwolenia! ażaliż nie tentujące to hasło, ażaliż nie ponętnie to wezwanie?

Czytelniku, czyliż samo zestawienie słów tych, tak wzniosłych, tak pełnych uroku i tak związanych z życiem twojem nie pociągnie cię mimowoli do przeczytania tych stronnic w nadziei, że znajdziesz tu nową jaką wskazówkę dla życia i nowe marzeń twych pozaświatowych potwierdzenie? Prawda, że ujrzawszy, zamiast artykułu tego, samą książkę, przedmiotem niniejszego rozbioru będącą, książkę dużą i grubą, możebyś ochłonął w zapale, możebyś na przedmowie i ostatniej karcie dzieła poprzestał lub na inne czasy studyum takie odłożył. I nie dziwiłbym się: im pytanie ważniejsze, im więcej w duszy naszej znajduje oddźwięku, im bardziej wstrząsa naszym jestestwem, jedném słowem im żywotniejsze i bardziej z zadaniem i celem człowieka związane, tém żarliwiej i prędzej chwytamy nić snującą dane rozumowanie, tém skwapliwiej z gorączkową niemal ciekawością chcielibyśmy dobieść co prędzej do kwiatu myśli, do owego ogniska, dokąd dążą wszystkie rozumowania i wszystkie myśli kategorye. Jeżeli zaś takie ognisko dostępne nam dopiero po mozolnej pracy umysłu, jeżeli prawdziwie w pocie czoła, po szczeblach paragrafowych, przez najrozmaitsze mosty dyalektyczne i formalnej logiki krużganki, dążyć do niego mamy; to nic dziwnego, że opadają nam ręce, że wymęczona i znużona myśl nasza na połowie drogi ustawa i często nawet daje za wygraną bezowocnym usiłowaniom swoim.

To téż, czytelniku, nie wymagam od ciebie heroizmu; jeśli chcesz jednak zapoznać się z tém co autor filozofią zbawienia zowie, czytaj cierpliwie. Przez labirynt paragrafów przeprowadzę cię w krótkim czasie i staniemy razem u wrót nowej doktryny, takowe uchylą się przed nami i ujrzymy nowe myśli ludzkiej zwroty, nowe niepewności i walki człowieczeńj płody, nowe rezultaty nieubłaganéj logiki, nowe sumienia filozoficznego miotanie się, nowe widma cierpiącój duszy ludzkiej, słowem nowe.... a raczej zawsze też same, wieczne, jak gwiazdy stałe od lat tysięcy przyświecające ludzkości, ale.... nie pochodnie.... tylko wieczne znaki zapytania.

Przestwory świata, a wśród nich na zlepku gliny szybująca ludzkość, człowiek, milionowy ciała tego odłam, a w łonie jego cały świat nowy myśli i marzeń, dociekań i wiary;—przestrzeń bez granic, czas bez

rachuby, myśl pytająca o wszechbytu początek, szukająca przyczyn pierwotnych, poza wieków i wieczności krawędzie sięgająca, myśl z przyszłości zdzierająca tajemniczą czasów zasłonę:—oto obraz, jaki snuje się przed oczyma każdego, kto choć na chwilę wybieży myślą poza ziemię, po której stąpa, poza teraźniejszość, w której się obraca. Obraz taki, każdego myślącego człowieka pierwsze wewnętrzne widzenie, pierwsze przebudzenie się ducha jego, jest tłem dalszych jego w krainę pozaświatową wycieczek,—dociekań bez końca i marzeń bez ziszczenia. Porwany wirum podwójnym: migocących w oddali słońc i we własnym łonie jego krążących i jaśniejących naprzemian: to zwątpienia, to wiary; uderzony tajemniczą przyrody stałością i przemiennymi błyskami myśli i sumienia; ten świat wśród światów, ten idei wyrób i bożych praw głosiciel,—człowiek, jest z konieczności rzeczy myślicielem, *filozofem*. Dumaniom jego niema granic, uczucia jego nie znają zapory. Myślą ściga on światy po orbitach swych w bezgraniczną dal lecące, sercem przeczuwa wszechhistności przyczynę, a wtórując twórczej jej potędze, uderza dłoń w głuchą materję i odtwarza tu na ziemi boskiej idei promyki. W marmurze wykuwa piękno i arfę nastraja do hymnów, do owęj harmonii sfer niebiańskich, jaką słyszeli niegdy wieszczce-filozofy.

Mijają i giną w wieków pomroce religie i systemata filozoficzne; omszałe czasem, przeżyte dziejami usuwają się z widowni świata wiary i myśli pomniki; a na miejsce ich nowe, młodzieńczą siłą drgające zjawiają się myśli i serca ludzkiego zwroty. A gdzie im koniec, gdzie granica? Nieśmiertelne, jak nieśmiertelne duszy naszej porywy—religia i filozofia, to dwa bieguny jednej idei, dwie pochodnie drodze żywota naszego przyswiecejające; one wieczne jak wieczne nieskończoności bożej przejawy: jak wieczne myśli panowanie, jak wieczna do ideału tęsknota. I któryż z systematów będzie ostateczną myśli ludzkiej koroną i jakież serca drgnienie, jaki uczucia spotęgowanego głos będzie ostatnią, najwznioślejszą modlitwą?

Gdzie twórczość, tam swoboda; gdzie swoboda, tam bezgraniczność, tam wieczność. Nie od wczoraj myśl ludzka na światów spoczęła krawędzi i nie jutro zagadkę wszechbytu rozwiąże. Jeśli zaś wobec tej niepewności, tej nieświadomości, tej niemożebności przedarcia tajemniczej wiedzy zasłony, zdawałoby się, że próżnym jest wszelkie dociekanie, że wieczne w zakłętym kole krążenie jest bezpożytecznym i niepotrzebnym;—to jednak jest ono od nas niezależnym, jest *koniecznym*. Jesteśmy niewolnikami tego prądu, który nas opanowuje; w myśli i sercu naszym, złożone są pierwiastki, które dążą do swego środka ciężkości, a środkiem tym jest wszechbytu przyczyna—Bóg.

Po tym wszystkim, nie zdziwisz się czytelniku, że ktoś, nowy jakiś filozof, jeden z tysiąca, jeden z miliona myślicieli, z odwiecznie tychże samych danych, nowe chce snuć systemata. Ani też wymagać będziesz, by ci ostateczną prawdę przedstawił, by cię nauczył czegoś dotąd nie-

słyszanego. Być może nawet, że ci odebrać zechce własnego twego umysłu wyroby, mozolnej pracy twój owoce, tradycyi i wiary wyniki; być może, że wstrząśnie całą twą duszą, zwątpienie na jaw w niej wywoła i przerwie spokojne rozumowań twych pasmo, lub też z błęgiego stanu bezmyślnego wegetowania wyrwie. W każdym jednak razie, pobudzi on twą myśl do pracy, serce do bicia, a im więcej bojowania, im więcej dociekań, tém dusza bardziej się oczyszcza, tém człowiek bardziej zbliża się do idei przedwiecznej, do prawdy jedyniej, tém więcej z materyi się wyzwala, tém więcej staje się—*człowiekiem*.

* * *

Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate.

(Dante *L'Inferno. Canto 3*).

Prawdziwa filozofia, powiada Mainländer, jest zawsze immanentną, t. j. taką filozofią, która ogranicza się wyłącznie na badaniu otaczającego nas świata i praw, które nim rządzą. Myśl przenikająca ustrój świata i umysł człowieka—prawa zjawisk i prawa myślenia, oto wedle niego dwa źródła dla poznania zarówno początku jak i końca świata.

Zjawiska pozaświatowe, transcendentálne, dostępne nam są jedynie, o ile ślady ich przechowały się w otaczającym nas wszechświecie, o ile takowy jest niemi niepiętnowany. Jedynym więc źródłem naszego poznania jest zawsze natura w najobszerniejszém słowu tego znaczeniu, t. j. zarówno przyroda jak i własne nasze samopoznanie (*selbstbewusstsein*).

Opierając się tym sposobem na gruncie czysto pozytywnego badania i kierując się przytem wrodzonymi człowiekowi kategorjami myśli, filozofia immanentna wysnuwa z dostępnych badaniom naszym zjawisk świata, przeszłość jego i cel do którego takowy dąży.

Po mozolnych badaniach, po krwawej pracy wiekowej, ludzkość dochodzi nareszcie do jedynych prawdy wyników—wiedzy, a poznawszy z niej cel do którego świat cały dąży z konieczności, celu tego sama pragnąc zaczyna i odtąd skrócenie drogi, przyspieszenie dążenia staje się zadaniem wszystkich wyższych umysłów i wszystkich tych co Boga poznali, jeżeli nie w istocie jego (co niedostępne jest dla człowieka), to przynajmniej w jego objawach, w świecie zewnętrznym. A ztąd wola boża (*der individuelle Wille*), która w otaczającym nas wszechświecie i w nas samych przebija się, z ciemnej, ślepej (*blinde Wille*), jaką jest w świecie niższych stworzeń, staje się w nas samowiedną (*aufgeklärte, entzündete Wille*), celu swego świadomą i z zapalem do ziszczenia go dążącą.

Celem tym a ztąd pragnieniem zarówno człowieka jak i wszechświata jest wedle Mainländera *zbawienie* (*Erlösung*), *wyzwolenie*. Na czém ono polega, od czego zawisło, gdzie źródło i dowód, że do celu tego dążymy: oto treść nowiej tej immanentnej filozofii. Czy celu

tęgo my, ludzie, dopniemy, kiedy i jakim sposobem, a przytęm jaka rola człowieka świadomego swęgo przeznaczenia, jak powinien on zachować się w obec tego powszechnęgo ku wybawieniu dążenia;—oto najważniejsze praktyczne z teoryi Mainländera wynikające pytania.

I.

„Świat jest środkiem wiodącym do celu, celem tym zniszczenie.”

(*Mainländer l. c. 325*).

Niegdę, przed wiekami nie było świata, tylko *jedność przedświatowa* (*die einfache, vorweltliche Einheit*), idea panowała przestrzeni i czasom.

Oto wszystko co wiemy, oto wszystko czego filozofia nas naucza, jeśli danych swoich nie czerpie z wyobraźni ale ze świata nas otaczającego, z przyrody w najobszerniejszém słowa tego znaczeniu i z własnego naszego samopoznania. Bo to dwa jedyne, jak widzieliśmy, źródła immanentnej filozofii.

Jaką była ta jedność przedwieczna jest dla nas tajemnicą. Jeżeli zaś chcemy koniecznie choć przybliżenie przedstawić sobie to istnienie pierwotne, zmuszeni jesteśmy użyć do tego przeczących, negatywnych danych, bo innego sposobu nie mamy. I tak możemy powiedzieć, że istnienie to nie miało żadnego podobieństwa do innego jakiegokolwiek znanęgo nam istnienia, bo wszelkie istnienia jakie znamy przedstawiają się nam w stanie ruchu, są bardziej stawaniem się (*Werden*) aniżeli właściwém istnieniem, jakim było owo pierwotne istnienie, owa jedność istniejąca bez ruchu, w bezwzględny spoczywająca spokoju.

Ponieważ każde istnienie (*existentia*) musi mieć pewną istotę (*essentia*), ztąd i owa jedność pierwotna miała swą istotę, była istnością, jednęm słowem była Bogiem ¹⁾. I rzeczywiście bytoby niepoję-

¹⁾ Co do znaczenia wyrazów: *istnienie, istota, jestestwo, istność*, przyjmujemy następną terminologią, która wydaje się nam najodpowiedniejszą. I tak:

Istnieniem nazywamy akt, czyn, stan; np. człowiek istnieje, kamień istnieje, świat istnieje. Jest to *existentia, l'existence, das Sein*.

Istotą nazywamy naturę danęj rzeczy, jęj rdzeń, cechę charakterystyczną; to, co stanowi jęj właściwość, co ją warunkuje niezależnie od akcyi w jakiej się przejawia, od formy w jaką się przyobleka; to jest niezależnie od istnienia lub niestnienia. Jest to *natura, essentia rerum, l'essence, das Wesen*.

Jestestwem nazywamy wszystko co istnieje, co jest. I tak powiedzieć możemy: *człowiek jest jestestwem* (to jest istniejącym albo istnącym) *istnienia swęgo świadomęm, samowiedzłą obdarzonęm*. Tak samo Śniadecki dzieło swe szczęśliwie nazwał: *Teoryą jestestw organicznych*.

tém, by istniała owa jedność przedwieczna, niemając żadnej istoty (*Wesenlos*), to jest nie będąc niczem. O istocie jednak Boga równie jak i o jego istnieniu nie możemy wyrobić sobie żadnego pojęcia. Wszystko bowiem co nas otacza, wszelkie świata tego cząstkowe jestestwa mają odrębną istotę, bo istotę warunkującą się bezustannym ruchem, który jest nieodłącznym ich elementem, gdy Bóg tymczasem był pogrążony w wiecznym spokoju. Ztąd równie jak istnienie, tak i istotę owęj Jedności Przedświatowej określić możemy jedynie przecząco a mianowicie, że inną była niż istota wszystkich znanych nam stworzeń i że przeto jest nam niedostępna, jakkolwiek musiała być stanowczo określona, w samej sobie zamknięta.

Tyle transcendentalizmu dostępnego dla człowieka. Zobaczmy teraz jakim sposobem w myśli poznającego subiekta, to jest człowieka, transcendentalizm przenosi się w immanentyzm, Jedność Przedwieczna w wielość światową.

Istnienia korona (*Uebersein*), duch obdarzony wolą, jedném słowem Bóg, jako jedność przedwieczna istniał sam, nic go nie otaczało, niczego zewnątrz niego nie było, istniał zaś w spokoju, w bezruchu. Ale bezruch ten tylko do tej trwał chwili, dopóki Bóg woli swęj nie przejawiał. Wola jego była swobodną, bo czemuże mogła być ograniczoną, gdy nic prócz Boga nie istniało? Jako istność własną wypełniona treścią, Bóg w samowiedzy swęj odczuwał tylko istotę swą i istnienie. Istoty swęj zmienić nie mógł, bo do jakiejże istoty miałby dążyć gdy sam tylko istniał, gdy przeto i w myśli jego inna istota powstać nie mogła, prócz tej, jaką sam posiadał. Więc też nie mógł Bóg chcieć zmienić się w swęj istocie, jeżeli zaś mógł wolę swą w czém przejawiać, to tylko co do istnienia nadal lub przestania istnieć.

Hamletowskie być albo nie być, występuje tym sposobem nietylko w świecie ludzkich indywidualności, ale zawiera w sobie cały dramat przedświatowy, jest prologiem odegranym w transcendentalnej dobie wszechistnienia. Być albo nie być—oto dwie alternatywy, dwa kierunki dane Bogu do wyboru; innego przejawu woli jego nie mogło być, bo jeśli Bóg mógł także chcieć istnieć w inny niż przedtém sposób, to zawsze wola zostawała w pierwszej alternatywie, to jest zawsze skierowana była ku istnieniu.

Istnością zaś nazwiemy najwyższe z jestestw, a raczej przyczynę, pierwiastek istnienia, jedném słowem metafizyczne źródło świata,—Boga. Istność co do brzmienia swego a zarazem i znaczenia, jakie wyrazowi temu nadajemy,—to poniekąd jednoznaczne z wyrazem *wieczność*. I tak powiedzić możemy: *Bóg jest istnością, istniejącą wiecznie, a wszystkie jestestwa, obdarzona każde odpowiednią istotą, od Boga istnienie swe wywodzą.*

Tak więc istnieją zarówno Istność przedwieczna—Bóg, jak i jestestwa odeń pochodne: zarówno Bóg jak i jestestwa mają swą istotę, swoją naturę.

Tyle co co do przejawu woli Bożej. Ale wykonanie, czy leżało zupełnie w mocy jego? Czy jednem słowem Bóg był *wszechmocnym*? Otóż, zdaniem Mainländera, wszyscy teologowie błędzą w tym względzie; a mianowicie, przypisując Bogu wszechmoc, przesadzają jego potęgę, której bezwzględnie nie należy pojmować. Pozornie miał Bóg rzeczywiście wszechmoc, bo nic prócz niego nie istniało, nie zatem z zewnątrz nie ograniczało jego potęgi. Ale granica leżała wewnątrz, we własnej jego istocie. Wszechmoc Boża, powiada Mainländer, nie mogła być wyższą od samego Boga, inaczej mówiąc, Bóg nie miał siły działać przeciwko własnej swj naturze, nie miał mocy nad samym sobą, siły, któraby własną jego potęgę zniszczyć mogła. A ztąd też owa Jedność przedświatowa, jakkolwiek pragnęła istnieć, nie mogła woli téj urzeczywistnić odrazu, nie mogła bezpośrednio i nagle z istnienia przejść w nicestwo, z bytu pogrążyć się w niebyt absolutny (*das absolute Nichts*).

Słowem, Bóg miał swobodę istnieć w sposób, w jaki mu się podobano, ale nie miał jęj co do wyzwolenia się od własnej swj Istności, co do zniszczenia siebie; jedność pierwotna miała władzę przejawić swą wolę co do zmiany swego istnienia, a raczej jego sposobu, ale nie miała władzy przestać być Bogiem, przestać istnieć bezwzględnie.

Cóż więc pozostawało Bogu? Co miał czynić, raz powziąwszy zamiar zniszczenia siebie? Logiczna konieczność stwierdzona nadto, jak sądzi nasz filozof, dziejami całego świata, była następującej osnowy: Bóg, chcąc przejawić swą wolę, nie mógł inaczej postąpić, jak z transcendentalizmu przejść w immanentyzm. Jedność musiała rozpaść się w wielość. Otóż i początek, źródło świata. Śmierć boża staje się tym sposobem świata stworzeniem (str. 321). Bóg umiera, świat się rodzi (str. 108). Jedno warunkuje się drugim, jedno bez drugiego niepojęte.

Świat więc powstał z woli Boga, a fakt ten (t. j. powstanie świata) jest jedynym przejawem potęgi Jego, jedynym czynem, a ztąd i jedynem źródłem poznania woli Bożej. „Filozof immanentny“ ma więc księgę, w której czyta, ma przed sobą świat istniejący, ma nadto świadomość faktu „niezaprzeczonego“, fakt ten analizować może, a w księdze przed nim rozwartęj, t. j. w świecie, doczytywać się woli Bożej, przejawiającej się na każdym kroku, w każdym zjawisku.

Stworzenie więc świata, jak widzimy, było aktem *swobodnej* woli Bożej, woli pogrążenia się w nicość (*nihil negativum*). *Swobodnej*, bo nic nie zmuszało Boga do obrania tego a nie innego kierunku w przejawieniu swj woli. Mógł on równie chcieć istnieć, jak nieistnieć. O ile jednak wola Jego swobodną była w wyborze dalszego losu, o tyle znowu była ograniczoną w sposobie osiągnięcia celu, do którego dążyła, a ograniczenie to, jak widzieliśmy, leżało w samej istocie Boga, gdyż nie danem Mu było zniknąć absolutnie. Świat zatem zjawił się jako *jedyny możliwy środek osiągnięcia celu*, i to nie odrazu, ale sto-

pniowo, a rozpadnięcie się *jedności* w *wielość* było jedynem logicznem następstwem postanowienia Bożego.

„I rzeczywiście — zapytuje Mainländer — cóż nam przedstawia świat w całości swoich przejawów, jeżeli nie ciągłe dążenie do nicości, a pojedyncze zjawiska jego,—ciągłe przechodzenie od bytu do niebytu?”

To ciągłe dążenie świata do nicości, jest właśnie głównem źródłem naszego poznania woli Bożej, a zarazem i niezaprzeczonem, wedle Mainländera, dowodem, że wola ta była taką, jak on ją pojmuje, a nie inną. Jeżeli zaś istnienie świata naucza nas o woli Bożej, to jednak nie daje nam pojęcia o samym Bogu, gdyż owa jedność pierwotna, niedostępna dla naszego poznania, znikła zupełnie, rozsypując się w świat wolą jej stworzony.

Tak więc we wszechświecie, który nas otacza, istnieją tylko wole indywidualne, a prócz nich niema nic, podobnie jak przed stworzeniem świata, nie istniało nic prócz woli jedyniej, jedności przedświatowej. Świat ten jednakże tak jest bogatym w zjawiska, tak jasno myślą Bożą napiętnowany, że nic nie pozostaje prawdziwemu filozofowi, jak tylko cofnąć myśl swą z „bezbrzeżnego oceanu transcendentalizmu“ (str. 326), i z jasnym czotem a radością w sercu, całą siłę umysłu swego skierować na zbadanie tego aktu Bożego, rezultatem którego jest wiecznie przed nim rozwarta księga przyrody.

Zobaczmy teraz czego nas ta księga przyrody naucza.

I tak: świat nieorganiczny składa się z gazów, płynów i ciał stałych. Gazy jedną tylko mają dążność: na wszystkie strony rozszerzać się. I gdyby nie miały w dążności swęj przeszkód, stawałyby się w skutek tego coraz słabsze, zbliżałyby się coraz bardziej do zniszczenia. Słowem, gazy z natury swęj dążą do nicości, ale jej nie osiągną.

Podobnym, wedle opisu Mainländera, był pierwotny stan świata. Ciała niebieskie, w postaci ognistego gazowego obłoku krążąc po swych orbitach, rozszerzały coraz bardziej zakres biegu swego, zbliżając się do nicości bezwzględnej, a wzajemna walka żywiołów do tego stopnia siłę ich wyczerpała, że niemogąc gazowego swego pierwiastku nadal utrzymać, skraplały się powoli.

Płyn wszelki ma jedną tylko dążność: rozptywanie się w kierunku poziomym na wsze strony ku idealnemu jakiemuś punktowi, zewnątrz niego leżącemu. Otóż ta dążność do punktu idealnego jest niczem innem, jak dążeniem do nicości, do niebytu (*Nichtsein*); gdyż jeśliby płyn jaki mógł dosięgnąć do tego punktu idealnego, przestałby istnieć.

Indywidualna dążność każdego żywiołu, każdej siły przyrody do celu swego, to jest do nicości, sprawia ruch i przeciwruch, ciśnienie i odpór, a przez to siły jej równoważą się i słabną. Tak np. w pierwszych chwilach powstania ziemi naszej, gdy ta w kształcie kuli ognistej przebiegała przestrzeń świata, gazy wewnątrz niej zawarte cisnęły ciągle na płyną jej powierzchnią swą siłą rozprężliwości; mo-

rza znowu, ziemię oblekające, układały się do poziomu, a w dążności swój do zupełnego rozlania, cisnęły i krępowały owe gazy, usiłujące przedrzeć dno morskie, by wydostać się na zewnątrz, by także w przestrzeń się rozptynać. To ścieranie się żywiołów, ta walka wywoływana najróżnorodniejszymi dążeniami ich do nicości, spowodowała powolne słabnięcie sił indywidualnych, aż wreszcie stała skorupa utwierdziła się w około naszej planety.

Każde ciało stałe ma jedną dążność: i ono dąży do jakiegoś zewnątrz niego leżącego punktu idealnego. Dla kuli ziemskiej punktem tym jest jej środek, uważany jako punkt geometryczny. Gdyby ciało jakie mogło do środka tego dotrzeć, do punktu tego zbliżyć się, chwila ta zbliżenia byłaby dlań chwilą śmierci, jego zniszczeniem.

Tak więc trzymając się dla objaśnienia dziejów wszechświata hipotezy Kanta i Laplace'a, Mainländer teorią tę wyjaśnia jednak nie powolnym ochładzaniem się ciał i siłą skupienia, siłą koncentryczną, ale ciągłą utratą siły, ciągłym dążeniem świata do nicości.

I tak: cała masa pierwotna, świat w stanie chaotycznym, krążąc po najróżnorodniejszych orbitach, siłą obrotową oddzielał z siebie ciała kosmiczne. Ciała te przybierały postać kręgów, pierścieni, i stopniowo dopiero zamieniały się w planety. Cóż widzimy dalej? Ciała pośrodkowe, te, które inne z siebie oddzieliły, zaczynają stygnąć, ochładzają się stopniowo i skupiają się coraz bardziej. Pochodne znowu, te, które po różnych fazach rozwoju zamieniły się w bryły kuliste, w około słońce krążące, tracąc ustawicznie swą siłę, powoli drogi swe ścieśniają i zbliżają coraz więcej do słońca pierwotnych, nim zleją się z nimi w jedną masę.

Wszystko to objaśnia Mainländer dążeniem do nicości, a ztąd ciągłym spożywaniem sił indywidualnych, wzajemnym ich znoszeniem się.

Takim sposobem charakterystyką pierwotnego stanu świata jest, wedle teorii nowego filozofa, tęsknota indywidualuów, to jest żywiołów świata do bezwzględnej śmierci, tęsknota znajdująca tylko częściowe swe urzeczywistnienie, a to w ciągłym słabnięciu daniej sumy sił kosmicznych. W pierwotnym bowiem ustroju świata, równie jak i w gazach tegoczesnego świata, prócz tego dążenia do nicości, odbija się nadto i „przeszkoda transcendentálna“, owa przeszkoda, którą Bóg znalazł w swój istocie, czyli tak zwany moment opóźnienia (*das retardirende Moment*). To też dążenie indywidualuów do niebytu jużby się dawno urzeczywistniło, gdyby przeszkody tej nie spotykało. Z ciągłym jednak słabnięciem naprężenia sił indywidualnych, a ztąd z ciągłym wyczerpywaniem się ogólnej sumy sił, świat powoli, stopniowo do celu swego zbliża się, wola Boża do rezultatu swego dobiega.

Obecny zaś stan wszechświata, jako następstwo przeróżnych jego ewolucyi, przedstawia się Mainländerowi w następujący sposób. Jestto skończona, ale dla ducha naszego bezgraniczna kula; powierzchnia jej pokryta jest płynną lub nader lekką powłoką. Wewnątrz świata, pe-

ryferują taką okolonego, każda część jego składowa, każde indywiduum dąży do swego celu, który jest niczem inném, tylko najrozmaitszą formą jednego ogólnego celu: *zniszczenia*. Każde jednak indywiduum spotyka ciągłą przeszkodę w dotarciu do celu swych dążeń, co powoduje, że wszechświat cały znajduje się w ciągłym naprężeniu żywiołów (sił nieorganicznych), które to naprężenie stopniowo, powoli, wyczerpuje daną sumę zawartych w nim sił.

Cały więc świat fizyczny przedstawia się nam w ciągłym ruchu, ruch ten jest dążeniem do celu, dążenie zdradza wolę prawda ślepą, bez świadomości celu, ale zawsze wolę. Ruch, będący ślepą woli wyrazem, znamionuje całą masę zjawisk świata fizycznego, inaczej mówiąc: świat fizyczny jest zbiorową jednością (*Collectiv Einheit*), jednością nie organicznie związaną, ale zestawioną dynamicznie. Wspólnością tych pojedynczych cząstek świata fizycznego, pojedynczych przejawów woli, czyli tych *wól indywidualnych*, jest dążenie do śmierci, do nicości. Że zaś dążność ich nierówną jest siłą, ztąd też spotykamy i stopniowanie doniosłości ich w tém dążeniu.

Ta walka żywiołów jest właśnie środkiem wiodącym do zniszczenia całego obszaru świata fizycznego. W świecie chemicznym np. nie życie występuje jako cel, ale zniszczenie; życie zaś jest tylko objawem tej dążności, jest to tylko stadyum, przez które idea chemiczna stopniowo zbliża się do śmierci. Przeciwnie, jak zobaczymy, dzieje się w świecie organicznym; tam życie jest celem, a z drugiej strony i środkiem do zniszczenia, tu środkiem jest walka (str. 330).

Dopóki jednak w świecie istnieją idee w postaci gazu, dopóty, podług nowój tej kosmogonii, suma sił świata nie jest jeszcze dojrzałą do śmierci, do zniszczenia. Gazy bowiem są najsilniejszym elementem, w nich „moment opóźnienia“ najwybitniej się przejawia; gdy przeciwnie ciała stałe i płynne są już gotowym do zniszczenia materiałem. Te ostatnie nie mogą jednak spełnić swego zadania, dopóki gazy nie osłabną do tego stopnia, że zamienią się w ciała stałe lub płynne. A to dlatego, że wszechświat, jakkolwiek przejawiający się w wielości, jest zawsze nierozzerwalną całością, zbiorową jednością (*Collectiv-Einheit*), to jest zbiorem indywiduów do jednego dążących celu, i celem tym związanych solidarnie. Słowem, wszechświat nie może przemienić się w niebyt, dopóki cała suma zawartych w nim sił nie dojrzeje do śmierci.

Przejdźmy teraz do świata organicznego.

Tak jak idea świata nieorganicznego, np. idea chemiczna dąży do śmierci, może ją zaś osiągnąć jedynie przez walkę, i przeto żyje, zjawia się więc jako *wola śmierci*; tak znowu cały świat organiczny niczem inném nie jest, jak formą osłabiającą ogólną świata siłę, a przytém formą najpełniejszą dla wytepienia, wyczerpania, „zabicia“ tej siły.

I tak: rośliny są to typy indywidualne dążące do nicości, są to jestestwa obdarzone wolą unicestwienia się. Prawda, że nie należy tu, równie jak w świecie fizycznym, woli téj pojmować jako poczucie samychże jestestw, które nie mają indywidualności takiéj, jak organizmy zwierzęce albo ludzkie; wola w nich właściwie jest wolą Bożą; w nich zaś przejawia się ona jedynie jako dążenie konieczne, jako rozwijanie się naturze ich odpowiednio, jako bezwiedne zbliżanie się do celu. Wszelkie więc zjawiska zarówno w fizycznym jak i organicznym świecie, które Mainländer wola indywidualną nazywa, przedstawiają się jako takie tylko poznającemu subjektowi, tylko człowiekowi. Po takiém dopiero zastrzeżeniu, zrozumieć możemy dlaczego autor roślinę nazywa czystą wolą (*reiner Wille*), czystém dążeniem (*reiner Trieb*), popędem wynikającym z impulsu, jaki jéj nadają składające ją idee chemiczne, idee, których byt datuje od rozpadnięcia się jedności przedświatowej w wielość światową, to jest że wola rośliny, gdy ją do ostatniej odniesiemy instancyi, jest zawsze wynikiem woli Bożej. I na téj to zasadzie zapytuje Mainländer: czyliż roślina mogłaby umrzeć, gdyby w głębi istoty jéj nie było złożonej woli, dążenia do śmierci, gdyby jedném słowem umrzeć nie chciała?

Roślina wzrasta, wydaje podobne sobie jestestwa i wreszcie obumiera. To obumieranie jest pierwszym charakterystycznym objawem śmierci we wszechświecie. Pomimo to jednak, śmierć roślin nie daje jeszcze zupełnego pojęcia o zniszczeniu, jest to tylko *względna śmierć*, a dążenie rośliny do nicości znajduje częściowe tylko urzeczywistnienie, gdyż, wydając podobne sobie organizmy na świat, roślina żyje w nich nadal. W każdym razie jednak, różnica tu ogromna ze światem fizykalnym, nawet z najwyższym jego objawem, to jest ideą chemiczną. Gdy bowiem w téj ostatniej życie jest niczém inném, jak tylko przeszkodą, jaką wola elementu chemicznego spotyka w zniszczeniu, w unicestwieniu się, przeszkodą wywołaną warunkami zewnętrznymi; to w roślinach życie jest ich pierwszym, bezwzględnym celem i dlatego mają one wolę do życia.

Zdawałoby się, że to jest sprzeczne z tém, co się wyżej nieco powiedziało. Sprzeczność ta jest jednak pozorną tylko. Wedle téj teoryi bowiem, roślina rzeczywiście zdradza w sobie obok woli do życia i wolę śmierci, to jest, że nie mogąc osiągnąć śmierci absolutnej (*der absolute Tod*), do której dąży w głębi swéj istoty, wolę swą skierowuje do życia, jako do środka, za pomocą którego jedynie do bezwzględnej śmierci zbliżyć się może, a rezultatem tego życia zjawia się śmierć względna (*der relative Tod*). Dlatego to w dziele Mainländera spotykamy dwa określenia rośliny, raz jako *wolę życia z pewnym oznaczonym ruchem*, to jest rośnięciem (*Wachsthum*), drugi raz jako *wolę śmierci i życia zarazem*, rezultatem których jest śmierć względna czyli pozorna.

Toż samo rzec można o zwierzętach, będących bardziej skomplikowanymi organizmami. Zwierzę również jest wolą śmierci i wolą

życia a wypadkową tych dwu dążeń jest w świecie zwierzęcym śmierć względna. Zwierzę także pragnie życia jako środka wiodącego do nicości.

Zwierzę jest nadto połączeniem woli i ducha w pewnym stopniu. Wola w niém rozpada się na wiele części, wiele kierunków a każda jej cząstka ma właściwy sobie ruch. Oto czém zwierzę różni się zasadniczo od roślin: duch zwierzęcy ma własność poznawania przedmiotów i instynktowego odczuwania grożących mu niebezpieczeństw. Ztąd wobec pewnych sytuacji zwierzę ma instynktową bojaźń śmierci. Duch daje mu siłę poznającą, i o ile ono poznaje niebezpieczeństwo, obawia się takowego.

Jakkolwiek więc zwierzę ma w głębi swęj istoty złożoną wolę nicości, zniszczenia swego istnienia, jednakże z ducha swego czerpie obawę śmierci. Jak to objaśnić? Wedle Mainländera wszelkie indywiduum, wszelkie jestestwo jest ograniczonem, ma ono tylko połowiczną niezależność. Jakkolwiek bowiem każde indywiduum oddziaływa na wszystkie idee czyto bezpośrednio, czy pośrednio, to jednak na sobie samém wpływ ich odczuwa. Jest ono, jak widzieliśmy, częścią składową „zbiorowęj jedności” (*Collectiv-Einheit*) w silném dynamiczném zespoleniu istniejącej, a jako takie niema życia odrębnego, samodzielne ale posiada raczêj życie kosmiczne, z całością związane.

I tak w świecie nieorganicznym, jakkolwiek są, jak to wyżej widzieliśmy, indywidualności (*Individualitäten*) dojrzałe już do śmierci, np. ciała płynne i stałe, nie mogą one jednak zgasnąć, pograżyć się w nicosć, gdyż ulegają oddziaływaniu innych indywiduów. Sprawa całości przeważa i one istnieć muszą nadal, nadal przedłużać odrębne swe życie, t. j. wypełniać rolę środka w ogólném, wspólném dążeniu wszechświata. Podobnie i zwierzę jest tylko środkiem, mającym urzeczywistnić cel całości, równie jak w ogóle cały świat organiczny jest tylko środkiem dla nieorganicznego. A ztąd i cel, do którego cały świat nieorganiczny dąży, warunkuje się celem wszechświata a mianowicie, jakto widzieliśmy wyżej, świat nieorganiczny ma za zadanie niszczenie siły, niszczenie, które urzeczywistnia się w świecie organicznym jedynie obawą śmierci, t. j. silném pragnieniem życia. Gdyż życie, uważane z ogólnego stanowiska wszechświata, jest jedynym środkiem, wiodącym do celu pierwotnego, t. j. do śmierci absolutnej.

Wszystko to powinno nam objaśnić, dlaczego gdy w roślinach obok woli śmierci istnieje wola życia, to u zwierząt wola życia występuje przed tamtą i absorbuje ją, środek tu występuje bardziej jako cel niż sam cel. Tak więc powierzchownie zwierzę pragnie tylko życia, jest czystą wolą życia i obawia się śmierci, ale tém niemniej w tajnikach swęj istoty, w głębi swego jestestwa dąży ono także do śmierci. „Bo,” zapytuje Mainländer, „czyliżby zwierzę mogło umrzeć, gdyby tego nie chciało” (str. 333).

A człowiek? zapytamy teraz.

Człowiek jak i zwierzę odczuwa przedewszystki \acute{e} m wolę do życia, pragnie go a obawia się śmierci, równie jak zwierzę na mocy duchowej sw \acute{e} j natury. Jako w wyższym stworzeniu wola rozpada się w nim na więcj \acute{e} j jeszcze pierwiastków a ztąd i najróżnorodniejsze spotykamy kierunki w życiu jego. Prócz siły *poznającej*, skupiającej, zwi \acute{a} zującej w jedn \acute{e} całość przeróżne rezultaty duchowej jego działalnośc*ii*, jest w człowieku jeszcze *siła myślenia*. Rozum (*Vernunft*) wznosi się w nim do refleksyi, zastanawiania się. Ztąd t \acute{e} ż jakkolwiek w życiu ludzkim spotykamy t \acute{e} ż same co i u zwierząt kierunki, jednakże s \acute{a} one znacznie *zmodyfikowane*. A przedewszystki \acute{e} m spotęgowane s \acute{a} w nim zarówno obawa śmierci, jak i przywi \acute{a} zanie do życia.

Pierwsze dlatego, że człowiek rozumie co to jest śmierć i że mając świadomość przeszłości i sięgając przewidywaniem w daleką przyszłość, nierównie więcj \acute{e} j niebezpieczeństw obejmuje myśl \acute{a} niż zwierzę, które nie znając śmierci obawia się j \acute{e} y jedynie instynktownie, wobec grożącego ju \acute{z} niebezpieczeństwa, cho \acute{e} i to nie zawsze. Z drugiej strony, gdy zwierzę ulega jedynie popędowi zmysłowemu, żyjąc w ciasnym kole fizyologicznych tylko potrzeb, to człowiek, jako rozumem obdarzony, sam rozszerza zakres życiowych swych pobudek i potrzeb, a wysilając umysł nad sposobami uwolnienia się od tych ostatnich, najczęśc*ie*j sztucznie tworzonych, dochodzi do wyrafinowanej rokoszy. Nic więc dziwnego, „że człowiek z całej duszy nienawidzi śmierci, że serce jego ściska się boleśnie na samo j \acute{e} y wspomnienie, że wreszcie zbliżenie się śmierci do rozpacz*y* go doprowadza i że do życia z namiętności \acute{a} się przywi \acute{a} zuje.” Ztąd t \acute{e} ż w człowieku wola śmierci, ów popęd w tajnikach istoty jego ukryty a najistotniejsz \acute{a} dążność jego stanowiący, nie przygłusza się tylko jak u zwierząt za pośrednictwem życia, ale znika zupełnie i cofa się w najskrytsze tajnie duszy ludzk*ie*j, gdzie od czasu do czasu objawia się jako „głęboka za spokojem tęsknota.” Wola tym sposobem zupełnie traci z oczu ostateczny swój cel, będący zadaniem całego stworzenia i garnie się jedynie do środka, do celu tego wiodącego, w nim tego ostatniego upatrując. Tak objaśnia Mainländer spotęgowanie w człowieku zarówno obawy śmierci, jak i miłości do życia, gdyż jedno jest naturalnym następstwem drugiego.

Prócz wyżej wskazanej *modyfikacji życia zwierzęcego* w człowieku widnieje inna jeszcze, ważniejsza zmiana, siłą rozumu jego spowodowana. „Przed duchem myśliciela, z głębin serca jego, wznosi się promienny i świetlany, czysty cel bytu jego na ziemi (*der reine Zweck des Daseins*), a środek znika zupełnie z widowni jego ducha” (334). Ten pocieszający widok, jakby widzenie duszy, orzeźwia umysł i zapala wolę człowieka; i wnet tęsknota za śmierci \acute{a} jak płomień ogarnia ze wsz \acute{a} d dusz \acute{e} y jego a moralnie podniesiona wola bez zwłoki, bez namysłu chwyta za najlepszy środek do uznanego celu wiodący. Środkiem tym jest *dziewiczość* (*die Virginität*). A człowiek taki jest, zdaniem

Mainländera, jedyną ideą we wszechświecie, która gdy zechce może do-
sięgnąć śmierci bezwzględnej.

Streszczając wszystko cośmy dotąd z nowego tego na świat po-
glądu przedstawili, otrzymamy ostateczne wyniki, do jakich pozytywne
badanie świata miało jakoby doprowadzić myśliciela. Wyniki te są
następujące:

1. Bóg zapragnął nicości, niebytu;
2. we własnej swój istocie (*Wesen*) jednak znalazł przeszkodę
do urzeczywistnienia tego dążenia;
3. musiał więc rozpaść się w wielość, w świat, którego każda
cząstka do nicości dąży;
4. cząstki te dążąc do jednego celu, ścierają się wzajemnie
a wywołana tą ich kollizją walka, osłabia ich siłę;
5. Bóg rozplynął się we Wszechświecie, zniknął więc z wido-
wni bytu. Cała istota jego zrealizowała się w pewną oznaczoną sumę
sił świat przenikającą;
6. wszechświat wziął na swe barki cel Boży i dąży odtąd do ni-
cości, niebytu (*Nichtsein*), cel ten osiąga się ciągłym słabnięciem za-
wartych w nim sił;
7. wszelkie indywiduum ciągłym rozwojem wyczerpując stop-
niowo siłę swoją, zbliża się powoli do stadium, w którym osiągnięcie
ostatecznego celu jego, t. j. zniszczenie (*Vernichtung*) staje się moż-
liwem;
8. wszystko to stosuje się zarówno do świata nieorganicznego
jak i organicznego, a w tym ostatnim zarówno do roślin, zwierząt, jak
i do człowieka;
9. z tą różnicą jednak, że świat nieorganiczny dąży wprost do
nicości, organiczny zaś za pośrednictwem życia, które zjawia się jako
forma wyczerpująca ogólną świata siłę;
10. w człowieku tylko, dążenie wszechbytu dochodzi do samo-
wiedzy, bo on jeden ma samopoznanie, on jeden zdolny jest świadomie
myśli Bożej wtórować, ale dlatego musi się zdobyć, jak to zobaczymy
dalej, na odwagę i zrywając pęta, wiążące go do rozkoszy życia, śmiało
śmierci zajrzeć w oczy.

Cały więc świat, a w nim wszystko cokolwiek istnieje, dąży do
śmierci i wszystko do celu tego zbliża się. Dlatego to wszechświat
występuje często u Mainländera pod nazwą „Woli śmierci.” Wola Bo-
ża spoczęła na nicości. Bóg zapragnął zniknąć z widowni wieczności,
rozzucił się więc w przestrzeń w postaci ciał niebieskich, a takim
sposobem świat wolał Jego stworzony jest niczem inném jak środkiem
do celu tego doprowadzić mającym.

Dlatego też „prawdziwy filozof,” nic innego nie widzi we wszech-
świecie, jak tylko głęboką tęsknotę za zupełnym zniszczeniem i zdaje

się słyszeć wyraźny głos, przenikający wszystkie sfery niebieskie: Wyzwolenia! wyzwolenia! Śmierci dla naszego życia!

Wołanie to nie zostaje bez odpowiedzi, bo ów „prawdziwy filozof” wśród walki elementów świata, słyszy także radosną nowinę, tę *pełną pocięchy odpowiedź* (*die trostreiche Antwort*): „wszystko znajdzie spokój, wszystko w nicłość się pogrąży, wszyscy będziecie *wyzwoleni!*”

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

La guerre de cent ans: dramat wierszem pp. Franciszka Coppée i d'Artois.—*Historja Bertranda du Guesclin i jego czasów*, dzieło p. Luce.—*David z Angers* p. Jonin. Listy Stanleja z Afryki Środkowej (1874—1877 r.). *Balsamo*, dramat Aleksandra Dumasa.—*Brzegi Adryatyku i Czarnogórze* p. Iryarte.—Zmarły astronom Secchi.—Głowa wolności na wystawie, rzeźbiarza Bartholdego.—Panna Kamilla Morzkowska.

Wśród wszystkich dramatów, jakie się w ostatnich czasach pojawiły w Paryżu, jeden góruje nad innemi myślą wzniosłą i prawdziwie artystycznym wykonaniem. Mówimy tu o dramacie wierszem dwu młodych poetów pp. Coppée i d'Artois, pod tytułem: *La Guerre de cent ans* (*Wojna stuletnia*). Piękny ten utwór nie ukazał się na scenie: Francya spragniona pokoju, nie chce wybuchem uczuć patryotycznych rozdrażniać podejrzliwego nieprzyjaciela. Ten powód odgadujemy z przedmowy autorów, pomieszczonej na czele drukowanego poematu. Pod względem literackim utwór to wielkiej doniosłości: od niego też zaczynamy dzisiejsze sprawozdanie.

Rzecz toczy się w r. 1356. Prolog wprowadza nas do zamku Mauny, w pobliżu Poitiers. W wielkiej sali sklepionej, hrabina Hermengarda de Mauny przedzie kądziel na kołowrotku, przy płonącym łużywie. Czterech niedorośliwych jój synów, słucho pilnie opowieści siwego jak gołąb starca. Ten starzec, to Hugon, wierny domownik, który trzecie nianczy już pokolenie. Duch jego krzepki jeszcze, ale ramię omdlało. Zmuszony do bezczynności Hugon, zagrzewa serce pacholąt; opowiada im klęskę pod Crecy, w której towarzyszył młodemu podówczas ich ojcu. Ów hrabia Enguerrard de Mauny, nie porzucił dotąd oręża. Wczoraj właśnie, okuty zbroją wyruszył na Anglików, ze starszym synem Oliwierem i rycerską drużyną.

Wchodzi w progi stara Urgarda, znahorka słynna w okolicy. W powszechném mniemaniu, przeszłość niema dla niej tajemnic: wie wszystko co jest, co było i co będzie.

Hrabina rada z jój przybycia, pragnie wyciągnąć ją na słowo:

— Zbliź się do ogniska,

Co z tych węgli żarzących przed okiem twém błyska?

URGARDA (*patrzac w płomienie*).

Po jasnych dniach pogody, zapadł mrok ponury,
Z pnia dębu pięć konarów wyrosło do góry.

HRABINA.

Herb Maunych!...

URGARDA.

Od lat trzechset przetrwał zim nie

[mało...

Szerokie ma ramiona i korę stwardniałą;
Tam pod cieniem olbrzyma, drobne płonki rosną,
Wśród gałęzi ptaszyna ściele gniazdko wiosną.

HRABINA.

Pięć konarów!... ja synów mam pięciu... mój Boże!
Mów matko, twoja wróżba wnet spełnić się może,
Co jeszcze widzisz?... powiedz?

URGARDA.

Kłęb chmury się toczy,

Grom wzbiera... błyskawica oślepia mi oczy...

Nieba! piorun uderzył... głowa dębu spada!

HRABINA.

Mój mąż! nieba, co słyszę? oh! biadaż mi, biada!

URGARDA.

Burza pnem wściekle miota, padły dwa konary,
Jeszcze dzielnie się wichrom opiera dąb stary!

HRABINA.

Ach! dwaj synowie moi!

URGARDA.

W szalonej zamieci

Kto wytrwa? Cóżto? wichur strąca konar trzeci!

Ot i czwarty... lecz słońce błysło na błękiecie,

Jedna tylko latorośl, tam na dębu szczycie

Zieleni się cudownie i niebios dosięga!

Nie skruszy jój ni wichru, ni gromu potęga!

HRABINA (*przerażona*). Co? jeden tylko syn mój przy życiu zostanie?

Urgarda wybiega bezprzytomna z żalną piosenką na ustach. I oto, zadzwonił róg, w dziedzińcu wrzawa, Oliwier wpada bez hełmu, z wyrazem rozpaczny.

— Płaczcie!—woła—ojciec ranny śmiertelnie!

W téjże chwili rycerstwo wnosi na tragach Enguerrarda, idzie przy nim zakonnik. Synowie otaczają konającego, wszyscy oprócz Oliwiera, który zwołuje hufce do obrony przeciw nadciągającym już Anglikom. Hrabia głosem przerywanym oznajmia klęskę pod Poitiers; król Jan ujęty przez wrogów dźwiga ohydne pęta; Delfin zdołał ująć z garstką wiernych.

— Kapłanie—zawoła konający—odpuść mi winy w Imię Boże, jam grzesznik, ale umieram za Francją!

HRABINA (*rozpaczliwie*). Francya zagrzebana w hańbie i boleści!

HRABIA (*powstając*). Co słyszę? kto zwątpieniem ojczyznę bezcześci?

Przystąp tu, bliżej jeszcze, dziatwo ukochana,
 Chcę rzec ostatnie słowo... Do mnie!... na kolana!
 Młodym snadno przypomnieć, ale mam nadzieję
 Wam zostanie w pamięci, ta krew co się leje,
 Z rozdartej piersi ojca, i to kłątwe słowo,
 Z jego ust, gdy cień śmierci krąży mu nad głową!
 Wstyd z ojczyzny oblicza wam obmyć należy,
 Wzrastajcie na walecznych wodzów i szermierzy,
 Przyszłe z wrogiem zapasy niechaj was nie straszą.
 Aby te słowa lepiej wrazić w pamięć waszą,
 Ta krew z ojcowskiej rany, która pomsty woła,
 Niech czerwoną pieczęcią wrośnie wam do czoła!
 Błogostawię wam, dzieci, w ostatniej godzinie,
 Krwią moją naznaczonych śmierci i was nie minie!

Konający przykładą rękę do rany, kładzie ją z kolei na czole młodych synów.

Nagle rozlega się okrzyk: „Anglicy!“ Wybiega Oliwier. Hrabia zrywa się z pościeli śmiertelnej. „Monjoie!“ woła z wysileniem i martwy upada na wezglowie. Synowie otaczają zwłoki ojca; z nagim orężem w rękę poprzysięgają zemstę.

Między prologiem a pierwszym aktem upłynęło lat ośm. Ziemia nie ocieka z krwi; stopa angielskich najezdników depta normandzkie i bretońskie wybrzeża. Niedosyć na tém. Bandy rozbójników przebiegają kraj wzdłuż i wpoprzecz z nożem i głownią pożarną. Nieszczęśliwy lud odbiega pługa, chroni się w góry i lasy. Król Jan umarł na obcej ziemi. Syn jego Karol V, młodzian wytrawnego rozumu i krzepkiego ducha, lecz wątły ciałem, podjął twardą koronę i nazbyt ciężkie berko. Szczęściem znalazł on w Bertrandzie du Guesclin wielkiego szermierza, który jeśli nie mógł zażegnać klęsk trapiących Francją, godnym był niemniej poprzednikiem bohaterkiej Joanny. Du Guesclin młodzieńcem podjął miecz w sprawie księcia Bretanii, lennika korony francuzkiej; przez ćwierć wieku nie puścił z rąk oręża. Mały, krępy, szpetny, postrachem był Anglików; lud za to otaczał go najwyższą miłością, widział w nim jedyne obrońcę i opiekuna.

Akt pierwszy zastaje Du Guesclin'a w zamku Mauny. Związany bratnimi ślubami z Oliwierzem, odwiedził dom miłego druha, ugania z nim po kniejach wilki i niedźwiedzie, aby oszczep nie stępsiał w jego dłoni i ręka nie zmięknęła w spoczynku. Z pięciu synów dzielnego Enguerrarda, dwu już tylko zostało: Oliwier mąż dojrzały, dzielnego ramienia, i dwudziestoletni Alan, młodzieniec pełen wieszczego geniuszu. Trzej bracia legli na polu chwały. Z naznaczonych na śmierć krwią ojcowską jeden tylko pozostał. Oliwier strzeże brata niby żrenicy w głowie: Alan radby wyłamać się z ciężającej mu opieki. Młody orzeł rozbija skrzydła o twarde szczeble klatki. Co więcej, obaj bracia zakochani w téjże samej kobiécie: serca ich porwała piękna krewna Kło-

tylda. Ztąd Alan źle sobie tłómaczy troskliwą czujność Oliwiera; widzi w niej prostą chęć oderwania go z pola czynu. Zawisć szarpie mu serce.

Jesteśmy w zamku Mauny. Du Guesclin wraca z łowów otoczony ludem wieśniaczym. Z kilku słów bohatera, poznajemy tę gorącą miłość ludu, która imię jego uwieczniła pomiędzy Bretonami.

DU GUESCLIN (*do Oliwiera*).

Patrzmy, bracie, na zwiędłe lica tych nędzarzy:
 Ból głębokie im bruzdy wyorał na twarzy,
 Pot wytryska im z czoła, kamień pierś ich gniecie,
 Kto żyw drze ich ze skóry i chłoscze po grzbiecie;
 Biędacy żyją w wiecznej trwodze, w wiecznym znoju,
 Srodze cierpią w czas wojny, cierpią i w pokoju;
 W mece im bezustannej zbiega żywot całki.
 Rozbrojone żołdactwo w dłoń pochwyca pałki,
 Zabiera snopy z pola, plon z winnic, a za to
 Kłątwa i kij sękaty jedyną zapłatą.
 My obaj, bracie drogi, działamy inaczej:
 Na pień sieczem Anglików, ależ lud wieśniaczy
 Celem naszój opieki; toć w paśmie lat długiem,
 Szablica się zbratała z ich żelaznym pługiem,
 Zerdzewiona w krwi wrogów, niech wytchnąć pozwoli
 Tym, co nas szczerze karmią ziarnem swojój roli!

Goniec królewski przybywa z pismem; uderzyła godzina boju. Karol V powołuje du Guesclin'a, mianuje go naczelnym wodzem swój armii. Bohater odbiera pismo, lecz niestety, odczytać go nie umie; pole zapasów jedyną było jego szkołą. Pośpiesza do Paryża. Oliwier towarzyszy mu; Alan mimo oporu brata podąży razem z nimi.

Następny akt przenosi nas do Luwru, do komnaty Karola V, zwanego w dziejach mądrym. Przy ścianach rzędem porozstawiane szafy; pełno w nich zwojów pargaminowych; na stołach księgi i narzędzia astrologiczne. Panowie dworscy strojni w aksamit, złoto i pioropusze, utyskują na króla, mieniają go niedołężnym i gnuśnym dla tego, że roztrwania skarb na bezużyteczne szpargały, że pędzi czas w towarzystwie wstrętnych im astrologów. Król ma przyjść niebawem; poprzedza go lekarz nadworny: wnosi na tacy jakiś kojący napój. W téjże chwili zdrajca Mareuil, zaprzędany Anglikom, wsuwa się do sali, przebrany za benedyktyna z Kluniaku. Przygotowane przezeń skoczki, wyprawiają uliczne widowiska. Panowie garną się na krużganek, udany mnich tymczasem sypie proszek do czary.

Wchodzi król, rozsyła gawieź dworską; niespokojnie spogląda we drzwi sali: przybędzie-li du Guesclin, zechceż on działać wspólnie z tym, którego kraj przezwiał tchórzem i niedołęgą?

Bohater przybywa, niestety i on dzieli obłąd powszechny; wita króla z uszanowaniem, lecz słowa jego chłodne, splątane, czoło przyćmione chmurą. Król żąda, by wypowiedział otwarcie co mu cięży na sercu.

DU GUESCLIN.

Me serce nie zgasło!

Napróżno od lat ośmiu czekałem na hasło;
 Czas nam wygnać Anglika z téj nieszczęsnej ziemi,
 Którą niszczy, uprawnion zwycięztwy dawnemi;
 Odkąd ująłeś, królu, w dłoń twą rządu wodze,
 Gdzie twe czyny? odpowiedz!... kraj znękany srodze,
 By po klęskach zbyt długich wzrosł w otuchę nową,
 Usłyszał-że z ust twoich jedno wielkie słowo?
 Gdy mój pan a twój lennik w bojach siły trwoni,
 Pomógłżeś mu w wytrwałej za wrogiem pogoni?
 Nie!... nigdy!... W twój osobie my szanujem pana,
 Lecz krwawemi najazdy Francya zmordowana,
 O zbyt długą bezczynność żali się na ciebie.
 Nie do mnie sąd należy, lecz przez Boga w niebie,
 Jam prosty żołnierz, ufaj w swoją pięść nie czyją,
 Wołę być w tym obozie, gdzie Anglików biją!

KRÓL (*smutno sam do siebie*).

Więc i on mnie w stanowczej porzucą godzinie!
 Mamże się dziwić temu?... Żegnaj du Guesclinie!
 Jak druzdy, on mój duszy zrozumieć nie może,
 Ach! pod klątwy brzemieniem, pochyl grzbiet w pokorze
 Biędny królu! zgaś iskrę w twój piersi zbudzoną,
 Niech wśród nocy bezsennych ból szarpie twe łono.

Du Guesclin mógł sam jeden odegnać tę zmrę,
 Co dręczy moje serce do rozpaczny skore,
 Co wciąż nad mém wezgłowiec nocą pochylona,
 Woła głosem straszliwym: „Ojczyzna twa kona!
 Daj poinoc nieszczęśliwój!“ A więc ujrzę jeszcze,
 Wstrząsające dłoń krwawą to widmo złowieszcze.
 Ach! ten płyn dobroczynny oczy do snu zmusza,
 Ja spać chcę... spać...

DU GUESCLIN (*na stronie*).

Ku niemu rwie się moja dusza,

Biędny króll taki młody!

Król spełnił czarę.

— Co to jest—woła—płomień pożera pierś moję. I wylewa na
 ogień kilka kropel na dnie pozostałych. Błękitne światółko jasno zamigotało.

— Znam ja ten jad—rzecze spokojnie—raz już ręka zdrajcy zaprawiła nim czarę moję!

Przerażony du Guesclin chce wybiedz, wołać ratunku; król zatrzymuje go stanowczo.

— Mam ja —rzecze—słynny antydot Pedra z Awili.

I z zanadru wydobywa flaszczkę.

— Zażyj go, panie—błaga du Guesclin.

— Po co?—odpowie król z goryczą—jam nie godzien życia,
 niech Bóg uwolni was odemnie.

DU GUESCLIN. O panie! o mój królu! w imię serc tysiąca
Błagam cię!

KRÓL (*biorąc go za rękę*). Patrz żołnierzu, czy dłoń moja drżąca?

DU GUESCLIN (*padając na kolana*).

Błagam cię na kolanach, niech żal mój rozbroi
Słuszny twój gniew!

KRÓL.

Wszak życie trzymam w dłoni mojej.

Żyć będę, gdy dowiodę żem nie winien tyle

Jak sądzisz... śmierć tu, w żyłach, mam umrzeć za chwilę

A przecież się nie lękam!

DU GUESCLIN.

O królu, tyś wielki!

Król wypowiada spokojnie całą boleść, jaka od ośmiu lat udre-
cza szlachetne jego serce. Wróg trzyma część kraju pod stopą, wojna
niezbędna, stany odmawiają zasiłku. Lennicy podnoszą głowę, wy-
łamują się z posłuszeństwa, zbrojne tłumy przebiegają kraj z głownią
i mieczem.

Zdrada wiecznie czyha,

Zabójczy jad w puharze podsuwa mi z cicha,

Wciąż mierzy w serce moje, nóż wroga krwi chciwy:

Wszak nie mam lat trzydziestu...

(*zdejmuje kapelusz*)

Patrz na włos mój siwy!

DU GUESCLIN (*z uczuciem*). Pij królu... chwila droga!

KRÓL (*zimno*).

Mam jeszcze dość

[czasu.

I wylicza wszystko co uczynił dla kraju, co uczynić zamierza.
Opowiada jak zgarniał cierpliwie zasoby z myślą do jednego skierowa-
ną celu: tym celem oczyścić kraj z angielskich śmieci.

Złota mam dziś do woli, wszak złoto nie starczy;

Ręka moja nie dźwignie oręża ni tarczy;

Stalowa mi zbroica dech w piersi zapiera:

Trzebaż mi do pomocy ręki bohatera,

Coby w górę dźwignęła nasz proporzec sławny.

Ja cię znam! tyś od dziecka do bojów zaprawny;

Twoje ramię żelazne za tysiąc mi stanie!

Mogęż liczyć na ciebie?

DU GUESCLIN.

Lecz królu, mój panie!

KRÓL (*pije płyn z flaszeczki*).

Uściśnij mnie, twe słowo życie mi przywraca.

Od dziś więc nasza twarda zaczyna się praca:

Ja myślą, ty ramieniem, idźmy naprzód śmiało;

Ocalim kraj, wnet nową okryjem go chwałą!

I król wykrzyknął, znane hasło *Montjoie*; powtarza je rycerstwo
cisnąc się hurmem do sali.

Zwycięztwo lub śmierć!—woła du Guesclin— i podnosi miecz
w górę.

Akt trzeci w angielskim obozie pod oblężonym zamkiem Harcette. Drewniane wieże na kołach, przygotowane już do szturm. U stóp wzgórza widać dwie beczułki z prochem i działo kształtu pierwotnego. Żołnierze piją i gwarzą u ogniska. Straż przyprowadza dwu wędrownych kramarzy: to du Guesclin i Alan. Scena to pełna życia: ujęty wódz nie traci fantazyi, wybornie odgrywa rolę swoją; dziwi się wszystkiemu: dział i prochu nie widział, jak mówi na oczy, nie słyszał nawet o nich. Noc zapada, żołnierstwo wprowadzone w oblężenie zasypia snem twardym. Korzystając z ciszy i ciemności, du Guesclin z Alanem, przypełzali na czworakach pod wieżę, przytoczyli beczułki, potrząsają ziemię słomą; rzucają głownię. Znikli; płomień ogarnia przestrzeń, dostaje się do prochu, wysadza go z hukiem w powietrze; wieże płoną: w obozie zgiełk i popłoch.

Czwarty akt przenosi nas w głąb oblężonego zamku, pomijamy mnóstwo pełnych życia szczegółów, zaczerpniętych z kronik o du Guesclinie.

W piątym akcie nadzwyczaj rzewnym, wódz pasuje na rycerza Alana, podaje mu złote ostrogi. Ale młodzian, naznaczony krwią ojca, bądźco bądź musi umrzeć. Młody rycerz bieży do boju, po chwili przynoszą go na tragach, zbroczonego krwią: Alan kona w objęciach Oliwiera. Gdy zamknął oczy, zpoza oblężenia występują duchy Enguerrarda i trzech poległych synów.

DU GUESCLIN (*do Oliwiera*).

Wszyscy twoi polegli jak dzielni szermierze,
Tyś sam jeden pozostał! zapłacz Oliwierze!
Ale ziemia ojczysta wysycha bez rosy;
Użyźniona krwią synów, zrodzi nowe kłosa:
Trwajmy w służbie, w miłości, czyż nie dosyć na tém?
Ktoś zbierze złote plony, gdy dojrzeją latem!

Epilog godnie uwieńcza dzieło. Ubiegło znowu lat szesnaście. Du Guesclin nie wypuścił z rąk miecza. Kolczuga przyrosła mu do bark, hełm do czoła, nogi do strzemion. Piędz po piędzi, wydzierał z pod stop Anglikom, oczyścił kraj z rozpasanych tłuszczyk siejących gwałty i morderstwa. Nie dokonał jednak wszystkiego co zamierzył; zawiść możnych stała mu w poprzecz drogi.

Tron Karola Mądrego zajął syn uległy wpływowi przewrotnych panów dworskich. Oskarżony przed królem wódz, odsyła mu szpadę, godło hetmańskiej władzy; czeka, rychło na siwą głowę jego spadnie wyrok wygnania. Chce przecież ostatnim czynem przypieczętować godnie szereg czterdziestoletnich zwycięstw. Warowny zamek Raudon, pozostaje w mocy Anglików; potrzeba oczyścić to gniazdo. Opasuje gród z wiernym rycerstwem: towarzyszy mu stary druh Oliwier.

Epilog wprowadza nas do obozu Francuzów. Du Guesclin spობi się do szturm; lecz choroba powala go na łożo. Trawiony gorączką bohater, szamocze się ze śmiercią. Ulega w końcu, powołuje do namiotu wierne druhy. Wszystko co ma rozda je żołnierzom. Nieod-

stępny oręż składa w ręce Oliwiera. Żegna rycerski zastęp, przekazuje mu ostatnią wolę swoją:

Mym rękom nie dokonać zaczętego dzieła,
Śmierć twardą mi zaporą na drodze stanęła;
Jak on rolnik, co broną oczyszcza swe pole
Zaroste od pół wieku w chwasty i kąkole,
Tak ja, z bram naszych grodów, całe lat czterdzieści,
Odkąd stopa najeźdźcy tę ziemię bezcześci,
Zdzierałem obce znaki; piersią jak opoką
Wstrzymywałem wciąż powódź, co się tak szeroko
Rozlała po tej ziemi; wam, dzielni szermierze,
Dokonać com ja zaczął, w pracy wytrwać szczerze.
Niech żaden z was, co przy mnie stoicie tu kołem,
Nie zaśnie w ciepłym łożu, nie siędzie za stołem,
Póki wróg, więcej ziemi, niż na grób mu trzeba,
Posiada w kraju naszym.

RYCERSTWO.

Niech nam świadczą nieba.

Spełnim rozkaz twój, wodzu!

Żołnierze otaczają du Guesclin'a, całują mu ręce ze łzami. Wtém zabrzmiała pobudka. Brat królewski książę d'Anjou, wchodzi otoczony świetnym dworem. Jeden z panów niesie na poduszce szpadę w pochwie aksamitnej, tkanej złotem, godło hetmańskiej władzy. Książę składa ją konającemu imieniem króla, błaga przebaczenia za chwilową nieufność.

DU GUESCLIN (*dobytą szpadę z pochwy*).

Chodź tu, chodź, niech cię jeszcze na ustach położę.

Już cię ręka bezsilna udźwignąć nie może!

Jam wart ciebie, ów płomień co mi duszę pali,

Tak prawy tak przezysty jak ostrze twej stali!

Du Guesclin kona; obecni stoją nad nim w niemiej boleści, a oto z głębi sceny wchodzi angielski dowódzca obłożonego zamku. Straż niesie za nim klucze na srebrnej tacy.

OLIWIER. Kto śmie mieć tę chwilę?

DOWÓDZCA.

Ostatni kęs chleba

Spożyła już załoga: nam poddać się trzeba:

Kto tu wodzem?

OLIWIER.

Nikt! wielki du Guesclin nie żyje.

DOWÓDZCA.

Przychodzę zdać wam zamek, ależ w ręce czyje

Wypada klucze złożyć?

OLIWIER (*ukazując zmarłego*).

On ramieniem dzielnym

Słonił kraj...

DOWÓDZCA (*wskazując klucze*). Gdzież je złożyć?

OLIWIER.

Na łożu śmiertelném!

I Anglicy kładą klucze u nog martwego bohatera.

Piękny ten dramat ułożony był na scenę, pod gorącym wrażeniem klęsk ostatnich; gdy jednak dla ważnych względów nie mógł być

przedstawiony zaraz po ukończonej wojnie, dwaj poeci rozszerzyli znacznie jego ramy, i w miejsce scenicznego utworu, nadali mu swobodniejszą formę poematu dramatycznego. Pierwszy to raz Coppée podjął tak wielki przedmiot; dotąd kreślił tylko małe jedno lub dwu aktowe obrazki. Sądźmy że zapał z jakim publiczność francuzka przyjęła nowe dzieło, zachęci poetę do dalszych prac w tymże samym kierunku. Język jego odznacza się nadzwyczajną czystością, wiersz dźwiękiem melancholicznym; a co najwięcej jeszcze znaczy, umie poeta ożywić każdy utwór siłą prawdziwego uczucia, i owiać tchnieniem gorącego patryotyzmu.

Postać du Guesclin'a należy niewątpliwie do najpiękniejszych, jakimi pochłubić się mogą dzieje Francyi. Imię to przeszło od dawna do legendy a jednak poważnym historykom nie wpadło nigdy na myśl, zaprzeczać bohaterowi rzeczywistego bytu jak się to stało, ze słynnym szwajcarskim Tellem. Przed dwoma właśnie laty, znany badacz dziejów pan Luce, napisał obszernie dzieło pod tytułem: *Historja Bertranda du Guesclin i jego czasów*. Akademia francuzka przyznała autorowi dobrze zasłużoną nagrodę.

Wstrzymaliśmy dotąd zdanie sprawy z tego znakomitego dzieła, czekając na ukazanie się drugiego tomu; gdy ten jednak nie wyszedł z druku jeszcze, przebiegnijmy dziś tom pierwszy owęj znakomitej publikacji.

Autor maluje bohatera na tle czasów, w których żył i działał. Obok obrazu wojen zewnętrznych i wewnętrznych, jakie wstrząsły wtedy Francją, kreśli niemniej ciekawy zarys ówczesnych obyczajów; pokazuje stan narodu we wszystkich jego warstwach, popierając rzecz obszernymi notami i zbiorem dokumentów. Praca ta poważna i sumienna, a do tego wykonana z wielkiem życiem, zasługuje na szczególną uwagę.

Du Guesclin był synem szlacheckiej lecz ubogiej rodziny, osiadłej od wieków w Bretanii w pobliżu St. Malo. Chwałę swą i zasługę zawdzięcza tylko sobie. Postawiony od dziecka w najtrudniejszych warunkach, łamał się uporczywie z losem, hartował siły w ciągłej walce. Przypatrzmy się bliżej tej ciekawej osobistości.

Drewniany dworzec, w którym urodził się i wychował bohater, różnił się tylko od chat wieśniaczych dwoma małenkimi wieżyczkami; wąskie okienka bez szyb ledwie że przepuszczają światło. Stół dębowy i takież ławki, stanowią cały sprzęt wielkiej sali. Tu przebywa matka z rodziną; czeladź i włościanie snuje się bezustanku. W takim otoczeniu wzrasta przyszły hetman Francyi. Postać dziecka szpetna, niemal odrażająca; cerę ma śniadą, nos zakłęśły, oczy zielone, szyję grubą; porusza się niezgrabnie jak niedźwiadek. Do tej brzydoty fizycznej, dodajmy umysł szorstki, charakter popędliwy. Najstarszy z dziewięciorga dzieciak, celem jest wzgardy i niechęci powszechnej; rodzice sami odtrącają go ze wstrętem; za przykładem rodziców idzie

rodzeństwo, idą słudzy. Dorodna matka rumieni się za potwornego syna, odpędza go od boku swego. Chłopiec jada obiad i wieczerzę osobno, w kącie sali. Takie obejście rozjątrza go, doprowadza do szału, czyni dzikim i podejrziwym.

Współczesna, rymowana kronika opowiada, jak Bertrand niesłychaną energią wywalczył wreszcie prawa swoje. Było to w jakiś dzień świąteczny: podano na stół pierwszego kapłona, matka rozkroiła go, dała po skrzydełku dwum młodszym synom. Bertrand patrzy z zawiścią, krew kipi w sercu dziecka; zrywa się, przybiega do braci.

— Zkąd wam pierwszeństwo?—zawoła gniewnym głosem—wróćcie mi moje prawa, jam starszy!

Bracia struchleli, ustępują z miejsc; Bertrand siada przy stole, rzuca się na kapłona, porywa go cbciwie, pełną garścią. Matka rozkazuje mu precz ustąpić. Zrywa się chłopiec, jakby wściekły, jednym zamachem powala na ziemię stół, rozbija wszystkie misy i dzbany.

Na krzyk i łoskot wbiega do izby zakonnica lekarka, przywołała do chorych. Widzi rozgniewaną matkę nad obalonym stołem, pyta co zaszło. Wysłuchawszy skarg, zwraca się do winowajcy, przemawia doń z miłością. Bertrand nigdy w życiu nie słyszał tak łagodnej mowy; widzi w tém urąganie, porywa za kij.

— Milcz—woła—bo uderzę!

Matka przeklina chłopca; zakonnica przygląda się pilnie jego twarzy, patrzy na obie ręce.

— Pani—rzecze zwracając się do matki—przysięgam na Boga! to dziecko przejdzie chwałą wszystkich naddziadów swoich. Nie będzie mu równego; wieść o nim pójdzie daleko na świat, zabrzmi nawet w Jeruzolimie! Niech mnie spalą na popiół, jeśli to co mówię nie jest prawdą.

Zakonnica nie domówiła jeszcze tych słów, gdy kucharz przyniósł na stół pięknego pawia. Mały Bertrand uradowany wróżbą, wrywa misę z rąk sługi, podaje opiekunce, stawia przed nią pełną czaszę wina. Matka płacze z radości. Odtąd starszy syn odzyskał prawa swoje; miał zaledwie lat dziewięć. W rok potem oddano go do szkoły, lecz nauka nie szła mu jakoś w głowę; ledwie że się nauczył podpisać swe nazwisko i to krzywými literami: łatwiej mu było rąbać szablą niż piórem.

W chwilach wolnych zbierał ze wsi do pięćdziesięciu chłopców, dzielił gromadkę na dwie połowy: gdy wykrzyknął hasło, jedni uderzali na drugich. Z którejkądy strony walczył Bertrand, tam niechybny był tryumf. Zmordowanych towarzyszków prowadził do gospody, poił winem na kredyt; nieraz dla zapłacenia długu, sprzedał żrebca ze stajni ojcowskiej.

Powracał zwykle do domu w opłakanym stanie, z suknią podartą w szmaty i twarzą zakrwawioną. Rodzice łajali, zabraniali harców, naprzóno! takiego ptaka trudno utrzymać w klatce. Czasami ojciec zamykał go na kiucz. Razu jednego pokojówka przyniosła obiad

uwięzionemu; miał wtedy lat 16: chłopiec bez namysłu wydziera jég kluc z ręki, zamyka ją, a sam ucieka na gwałt z domu. Widzi w polu pracujących parobków, wyprzęga z brony najlepszego konia, pędzi w cwał do Rennes, gdzie mieszkał rodzony stryj, wzywa jego opieki.

Przygarnięty w dom krewnych, wilczek wdziewa baranią skórę. Jeździ konuo ze stryjem, pobożnej stryjence towarzyszy zwykle do kościoła. Przez trzy miesiące wszystko szło najlepiej, kiedy dnia jednego herold ogłosił na placu wiejskim przybycie jakiegoś sławnego szermierza. Krew zakipsiała w młodym Bretonie. Bądźcobądź nie opuści takiej gratki.

Nadeszła niedziela; na ten dzień zapowiedziano harce. Stryjenka czuwa pilnie nad chłopcem, prowadzi go na nabożeństwo. Podczas kazania, gdy obróciła wzrok do ambony, Bertrand wymyka się chytkiem; w kilku poskokach dobiega placu walki. Nizki, krępy, barczysty, siłę miał niestęchaną. Podobien był do tych bretońskich dębczaków, przysiadłych do ziemi, co to, acz nie sięgają wysoko, dzielnie opierają się wichrom. W tym dniu znalazł godnego siebie przeciwnika. Zawołany to rębacz, olbrzym wzrostem, wyćwiczony w szermierce, dumny z odniesionych tryumfów.

Bertrand idzie śmiało ku niemu, wzywa go niezwłocznie. Schwycili się obaj za bary, walczą z jednaką siłą; młodziarz wreszcie powala zapaśnika grzbietem ku ziemi, lecz pochwycony w olbrzymią garść, upada z nim razem, potrąca kolaniem w ostry kamień. Podnoszą go zbrogzonego krwią, ogłaszają zwyciężcę. Opatrzono mu nogę, zawieziono go do domu stryjostwa. Ci przebacząją wybryk z warunkiem, że nie będzie szukał zaczepki z pierwszym lepszym włóczęgą.

Tak minął rok cały w Rennes. Młodziarzec powrócił wreszcie do rodziców, odzyskał ich względy. Odtąd uczęszcza pilnie na turnieje, dosiada zwykle mierzynka ze stadniny ojcowskiej. Mieszek jego zazwyczaj chudy, a jednak nie żatuje grosza dla drugich, częstuje winem towarzyszów. Wszyscy mu też przychylni. Ubodzy błogosławią go; zdarza się nieraz, że w braku pieniędzy zdejmuje z siebie odzież, gdy spotka na drodze biedniejszego od siebie. Ojciec kocha go za to, wie, że wielka cześć spłynie z Bertranda na szlachetny dom du Guesclinów.

Wśród licznych walk turniejowych, w których młodziarzec brał udział, historia zapisała szczególniej rycerskie uczty, wyprawione z powodu małżeństwa Karola z Blois, z Joanną z Penthiewru, w r. 1317. Bertrand był w Rennes u stryja, miał wtedy lat 17. We wtorek—mówi kronika rymowana—puszcza się na szkapinie ojcowskiej, tylko co wyprężonej z brony. „Nie dałbyś za nią czterech złotych pieniążków.” Wstyd mu, jak się pokazać tak nędznie w pośród kwiatu rycerstwa. Gdy mija ulicę, słyszy jak ludzie gwarzą pomiędzy sobą:

Co? syn rycerza? on-że to ozłapie!

Tam, na młynarskiej wychudłój szkapio?

Raczej po błoniach pasać mu woły,
 Zwozić użęty snop do stodoły;
 Lub za kuchennym legać mu progiem,
 Węgłe wygarniać z pieca ożogiem,
 Niż na rycerskie śpieszyć turnieje!

Słowa te dobodły Bertranda: bardziej zarumienił się jeszcze, kiedy przybywszy na plac turniejów, zobaczył siedzące rzędem piękne panie w szatach kapiących od złota, „bieluchne jak lilie,” kiedy spostrzegł jak ścigały okiem dorodnych rycerzy, w przepysznych zbroicach, pod którymi bieguny rzały niecierpliwie, bijąc o ziemię nogą:

Bertrand zatoczy wokół oczyma,
 Żal w twardych kleszczach serce mu trzyma.
 „Biadaż mi—rzecze—nie dla mnie gody,
 Bóg mi poskąpił hożej urody:
 Mały a krępy, szpetne mam lica,
 Czyż mnie pokocha piękna dziewica?
 Pozwoliż w barwy stroić się swoje?
 Gdybym miał tylko błyszczącą zbroję,
 Konika z rzędem i oręż świetny
 Jakby wymagał ród mój szlachetny!
 Toć moja dola zmieni się przecie
 I o mnie wieści pójdą po świecie,
 Błysnę jak Roland, jak Artur dzielny,
 Będę u ludu w oczi nieśmiertelnój.
 Byle się taką uzacnić chwałą,
 Strwonię bez żalu chudobę całą.

Gdy tak Bertrand przemyślał, trąby zagrzmiały hasło, wnet zaczęła się turnieje. Rycerstwo podniosło lance do góry, bieguny rzą, tarcze błyskają w słońcu, piękne panie powiewają rąbkami na zachętę walecznym. W obec téj wrzawy, tego blasku, Bertrand uczuł całą gorączkę ubóstwa swego.

Rozmykają się wrota; zapaśnicy wjeżdżają w szranki; kłęb kurzawy przysłania wszystko; słyhać tylko poszczek lanc, łoskot kruszących się puklerzy i tentent kopyt końskich. Robert du Guesclin, ojciec młodziana, bierze udział w zapasach. Bertrand przygląda się ojcu, ale baczniej jeszcze ściga wzrokiem młodego krewnego, Oliwiera de Mauny. Błaga by mu dał konia swego i zbroję. Oliwier wystąpił już świetnie, pokonał zapaśnika; obsypan oklaskami przystaje na prośbę najchętniej. Szczęśliwy Bertrand pędzi na plac boju: w téj chwili odbiera wyzwanie.

Starli się przeciwnicy. Młody du Guesclin jednym zamachem lancy, zdziera hełm z głowy rycerza, powala go na ziemię. Rycerz z koniem potoczył się po piasku.

— „Dzielny szermierz!”—wołają heroldowie—„Któż on?—pytają setki głosów.—Nikt go nie zna! Bertrand spuścił na twarz przyłbicę.

Powalony rycerz przyszedł do siebie z omdlenia. Bada, pyta wszystkich wokoło:

„To gracz nielada! czy wy go znacie?

Kto mnie pokonał?” „Nie wiemy, bracie!”

Po wieść, zręcznego wysła dworzana;

Sługa powrócił z niczém do pana.

— „Pytać o imię, kto się poważy?

Potrzeba blachę zedrzyć mu z twarzy!”

— „Hejże! nowego dajciez bieguna,

Muszę się pomścić!”

Tajemnica, jaką otacza się Bertrand, témbardziej zapala umysł rycerskiej gawiedzi. Najdzielniejsi pragną zmierzyć się z takim zuchem. Młodzian wali ich z koni po jednemu. Przychodzi kolej na Roberta du Guesclin. Ten, nie poznając w tryumfatorze własnego syna, wyzywa go do walki. Ale Bertrand poznał ojca po herbie; spuszcza téż lancę ku ziemi, cofa się z poszanowaniem kilka kroków. Inny zapaśnik w mniemaniu, że się uląkł, wyzywa go do boju. Bertrand godzi nań śmiało, strąca mu szyszak z głowy.

— „Cześć nieznanomemu!”—wołają heroldowie.

Bertrand zmógł kolejno piętnasu zapaśników; zmordowany zmierzł się z szesnastym, szermierzem normandzkim, krzepkiego wzrostu i wielkiej siły. Normand nie powalił młodzieńca, tylko strącił mu lancę blachę z twarzy. Obecni wykrzyknęli tryumfalnie imię młodego du Guesclina.

Ojciec z promienném obliczem przybliżył się do niego.

— Panie synu! — rzecze — odtąd godzien jesteś łaski mojej; dam ci najpiękniejszego bieguna z całej stajni, sypnę złota i srebra ile zechcesz. Gotów jestem zastawić moje włości i ziemie, byleś ty mógł rozności po świecie chwałę naszego rodu i uczcić imię nasze, tak jak dziś je uczciłeś!

W lat cztery po owych turniejach, Bertrand du Guesclin miał rozpocząć szereg innych zapasów, w których unieśmiertelnił na wieki imię swoje. Umarł bezdzietnie Jan III książę Bretanii; o bogatą dzielnicę po nim wszczyna się spór między Janem z Montfort i ową Joanną z Penthiewru, której weselne gody obchodzono w Rennes z taką uroczystością. Król Francyi na mocy praw lennych wspiera Joannę; tymczasem Montfort przyzywa w pomoc Edwarda III, sprowadza na kraj obcy najazd. Rozpoczyna się wtedy owa zacięta wojna, która przez lat sto niała potokami krwi zalewać nieszczęśliwą Francją.

Guesclin podjął sztandar Joanny. Kiedy małżonek jój Karol z Blois, ujęty przez wrogów jęczy w wieży londyńskiej, a zmordowani stronnicy spoczywają bezwładnie, Bernard prowadzi przez lat pięć naj-

zaciętszą partyzantkę przeciw Anglikom. Zbiera 60 towarzyszków, z owych bretońskich chłopiąt, z którymi staczał niegdyś udane harce. Zna on każdą dróżynę w lesie, wytrwały na trudy nie lęka się chłodu ni głodu; pełen ognia zapala towarzyszków, spełnia z nimi cuda waleczności. Prowadzi wojnę własnym kosztem; zabiera matce klejnoty i srebro domowe. Zapłaci dług, przysięga uroczyście:

O złoty pieniądz wnet się postara,
Sto, za każdego wróci denara!

Wkrótce spełnił co przyrzekł. Dnia jednego cwałuje po lesie na klaczy ze stadniny ojcowskiej, ma na szyi zawieszony toporek, z prawego boku szpadę przytwierdzoną do pasa, w lewicy trzyma tarczę. Sługa Orris, wysoki drab bieży trop w trop za koniem.

— Panie!—błaga drab—już tchu w pierś nie pochwycę. Daj mi konia, bo inaczej kwita ze służby.

— Milcz!—szepnie Bertrand—ukazując ręką na prawo, tam w zaroślach słyhać tentent kopyt i głuchy poszczyk stali.

W mgnieniu oka pojawia się konny rycerz angielski, w przepysznej zbroicy, z nisiurką na głowie, z lancą i tarczą w rękę. Za nim sadowi koniuszy z drugim sługą. Bertrand zwierzył wroga, nim go zobaczył. Uderza nań śmiało, rąbie toporem: powalił na ziemię rycerza i sług obu. Przywdziewa pyszną zbroicę, dosiada bieguna; wierny Orris przebiera się za koniuszego, podejmuje skrzynkę ze złotem. Bertrand śpieszy do domu, zabraną ojcu klacz przywiązuje u żłoba, bieży do matki, pełną garścią sypie jój złoto: za każdego denara, jak przyrzekł oddaje sto denarów.

W dziwniejszy jeszcze sposób, Bertrand z drużyną zdobył zamek Fongeray. Od schwyczonego jeńca dowiedział się, że dowódzca fortecy wyruszył z wojskiem na jakąś tajemną wyprawę. Zamek pozostał prawie bez obrony. Powołuje czempredzję drużynę.

Patrzcie na gród ten z mocnemi ścianą,
W chmury strzeliste sięgają wieże;
Nim dzień przeminie, tłuste barany
Będziem spożywać tam na wiecezję.

Bertrand wyszedł, że załoga nakazała dostawić drzewa na opał, staje więc u bram zamku w trzydziestu dzielnych: wszyscy uginają się pod ciężarem drow i chróstu; niektórzy z nich przebrani za baby. Reszta drużyny stoi tu i owdzie na czatach, gotowa przybiedz skoro postąży hasło. Sam Bertrand z wielką naręczą drzewa idzie na czele. Trąbka dzwoni.

— Wpuścić!—wołają strażę z głębi zamku.

Rozwarto bramę. Mniemani włościanie wchodzą spokojnie, składają drwa w dziedzińcu.

— Naprzód wiara!—zawoła Bertrand piorunującym głosem—wnet im wyprawim ciepłą łaźnię!

W oka mgnieniu opanowali drzwi głównej sali. Wtém czeladź kuchenna i stajenna poczyna się tłoczyć zbrojna w różny, siekiery, obcegi i kamienie. Du Guesclin z garstką wiernych broni się rozpaczliwie, jak niedźwiedź zaskoczony obławą. Szpada pękła mu w rękę, drzewiec toporu roztrzaskał się na kęsy. Walczy pięścią; krew tryska mu z czoła, spływa na twarz i oczy; wali na oślep w lewo i w prawo: nie rozróżni druha od wroga. Nie ustępuje przecież na krok; tymczasem reszta drużyny przybywa mu z odsieczą. W końcu zdobywa zamek.

Niepodobna wyliczyć nam ani setnej części junaczych spraw du Guesclin'a; wspomnijmy jeszcze jedną. Widzimy tu już nie junaka zaprawiającego siły w partyzanckich podjazdach, ale wytrawnego szermierza, którego samo imię rzuca postrach na nieprzyjaciół. Bertrand, na czele wojsk francuzkich oblega warowny gród Melun. W zamku dowodzi zdrajca, Nawarczyk Mareul, sprzymierzeniec Anglików. On sam stoi na murach, zagrzewa obleżonych do obrony, wali kamienie na głowy wdzierającym się na wały Francuzom. Trup za trupem upada w fosę. Francuzi cofają się w popłochu.

— „Nikczemniku! — zawoła du Guesclin wytrząsając pięścią Nawarczykowi — poczekaj!... rozinówię się z tobą sam na sam!

I pochwyca długą drabinę, przypiera ją do muru; zasłaniając głowę tarczą, wdzierają się ze szczebla na szczebel.

— Zgnieśmy tę gadzinę! — woła Mareul. — Patrzenie tylko jaki gruby i krótki: gdy spadnie, już nie wytknie łba z wody!

To rzekłszy, przechyla pełną kamieni beczkę; rzuca ją na Bertranda, strąca go w rów głęboki. Druhy biegną, wyciągają z wody pół-omdlałego, kładą na garści siana.

Po chwili du Guesclin otworzył oczy.

— Cóż tam słyhać? — zagadnie — czy zdobyliście zamek?

— Jeszcze nie — odrzecz rycerstwo.

— A więc dalej do szturmu! Za mną, kto mnie kocha!

W kilka dni potém obleżeni podpisali kapitulację.

Bertrand du Guesclin zupełną stanowi sprzeczność z rycerstwem ówczesném, dziwnie rozmiłowaném w zbytkach. Froissard opisuje ze zgrozą te ogromne pęki piór, pod którymi gięły się głowy, te szaty z aksamitu bramowane złotem, owe pasy nasadzone klejnotami, w jakie stroili się wytworni panowie feudalni. Inaczéj przedstawiał się du Guesclin: szpetny, niezgrabny, z twarzą barwy miedzianéj, ogorzalą od słońca, w czarnym wytartym kaftanie, w żelaznej kolczudze, z przewieszonym przez ramię toporem. Mimo tak niepozorną postać, zjednał on sobie serce najpiękniejszej z ówczesnych dziewic bretońskich. Tiphaina Ragneuel słynęła niemniej z rozumu i nauki, jak i z niewieścich wdzięków. Oddawała się z upodobaniem astronomii, badała pilnie filozofią; przyznawano jéj niemniej dar proroczy. Serce jéj uderzyło dla du Guesclin'a; przepowiadała mu najświetniejszą przyszłość. Druh je-

den powtórzył mu tę wróżbę, ale du Guesclin przyjął wieść obojętnie, odpowiedział mu na nią w szorstki sposób:

Smalone duby język twój plecie,
Chyba szaleniec wierzy kobiecie;
Słaby jéj rozum, błaha nauka:
Niechże kto w owcy mądrości szuka.

Prorocze słowa Tiphainy sprawdziły się jednak: sława du Guesclin'a świeciła coraz jaśniej; z tą aureolą rosła miłość pięknej Bretonki. I Bertrand, jak widać, zrzekł się dawnych uprzedzeń, uwierzył kobiecie; w kilka lat potem zaślubił Tiphainę, znalazł w niej nie owcę bezmyślną, lecz rozumną i kochającą żonę. Sława męża upajała ją szczęściem. Zaślubiła ubogiego rycerza; wkrótce podniesiona z nim do najwyższych godności, została hrabiną de Longueville, potem księżną, wreszcie wielką marszałkową Francyi. Podczas gdy Bertrand walczył i zwyciężał, Tiphaina z wieży zamku Pontorson wyczytywała z gwiazd coraz nowe jego tryumfy. Du Guesclin nie wierzył w astrologią, lecz wierzył w miłość żony: gorące uczucie jednoczyło ich serca.

Niedawno jeszcze pokazywano nad morzem obserwatorium Tiphainy. Imię du Guesclina żyje po dziś dzień w pamięci ludu tak w Bretanii, jak i w Normandyi, słowem, gdziekolwiek bohater walczył przeciw zgrajom łupieżców, nasyłanych na kraj zza morza. Wdzięczny lud, nieświadomy dziejów, pamięta przecież imię obrońcy swego; jedne pokolenia przekazują je drugim. Znał du Guesclin tę miłość ludu, i polegał na niej z całą ufnością; mamy na to najpiękniejszy dowód. W czasie pierwszej wyprawy na Hiszpanią popadł w ręce Anglików; uwieziono go w Bordeaux. Książę Wali żądał, aby sam naznaczył okup na swoje głowę. Jeniec przyrzekł 100,000 franków, ogromną sumę na te czasy. Książę nie mógł ukryć zdziwienia.

— Wiédz panie o tém — zawołał Bertrand — że gdyby król nie chciał wyliczyć takiej sumy, inni zastąpią go niewątpliwie.

Dziwki francuzkie ujmą wrzeciona,
Przędza rękoma ich wyprzedzona
Snadno na okup mój głowy stanie:
One mnie wydrą z rąk twoich, panie!

Obszerny tom znakomitej pracy pana Luce obejmuje młodość du Guesclina; w drugim tomie ujrzymy bohatera w pełni rycerskiej chwały. Rzecz dziwna, czemu postać tak wielka w dziejach nie natchnęła poetów, ani dramaturgów francuzkich? Mówimy o późniejszych: wkrótce bowiem po śmierci Bertranda, truver francuzki Cuvelier, zmarły w lat dziewięćpo wielkim wodzu, opisał żywot jego w rymowanej kronice, złożonej z 23,000 wierszy, pod tyt.: *La chanson de du Guesclin*. Utwór ten oddrukowany został w kolekcji dokumentów w roku 1845, dotąd jednak nie doczekał się tłumacza na język dzisiejszy, ani uczonego komentatora, gdy tytu ich znalazł poemat Teroulda o Rolandzie. Przyj-

dzie jednak czas na du Guesclin'a, ani wąpiny o tém. Monografia p. Luce sama przez się jest pysznym pomnikiem historycznym. Panowie Coppée i d'Artois wprowadzając po raz pierwszy bohatera do dramatu, zadzwonili hasło, na które bądź co bądź musi odpowiedzieć Francya.

Wielki rzeźbiarz Dawid z Angers, zmarły od ćwierć wieku, do-czekał się wspaniałej monografii: wykonał ją wielbiciel zmarłego, pan Henryk Jonin, i wydał w dwóch obszernych tomach, pod tyt.: *David d'Angers, sa vie, son oeuvre, ses écrits et ses contemporains*. Najcel-niejsze utwory mistrza oddane tu w dwudziestu pięciu fotograficznych reprodukcjach.

Imię Dawida z Angers, drogie każdemu miłośnikowi sztuki, tém droższe jest dla nas z powodu przyjaźni, jaka łączyła go stale z Mickie-wiczem, od owego pierwszego poznania w Wejmarze, opisanego tak ży-wo w ślicznych listach A. E. Odyńca. Żywe uczucie wiązało go także z innymi rodakami naszymi, szczególnie z Antonim i Władysławem Oleszczyńskim.

Autor podzielił pracę swoją na dwie części. Pierwszy tom obej-muje właściwy życiorys, jak niemniej historią i ocenienie krytyczne celniejszych utworów artysty, jego sądy o sobie i współczesnych. Drugi tom jest zbiorem bardzo ciekawych dokumentów. Dawid pozostawił mnóstwo luźnych rozpraw o sztuce, o szkołach i artystach różnych cza-sów, o stylu, anatomii i t. d. Wszystkie te rozprawy i dorywcze no-taty wydał pan Jonin w dwunastu rozdziałach, pod ogólnym tytułem: *Estetyka i historia sztuki*.

Brak tu zapewne systematu: wydawca ogłosił bez wyboru wszyst-ko co znalazł pod ręką; z tych jednak pobieżnych świstków snadno po-znać w wielkim rzeźbiarzu biegłego teoretyka, głębokiego filozofa i moralistę.

Życiorys sam przez się bardzo ciekawy, pokazuje bowiem jak ge-niusz toruje sobie drogę wśród najtrudniejszych warunków, a co wię-ciej, daje nam poznać piękną duszę artysty. Dawid urodził się w An-gers w r. 1788. Ojciec jego, syn ogrodnika, strugał z drzewa małe statuetki. Gorący patriota, rzucił dom i rodzinę, zaciągnął się do wojsk Rzeczypospolitej, pośpieszył do Wandei. Troje dziatwy zostawił przy żonie, najstarszego zaś chłopczyka wziął z sobą do obozu: był nim nasz Dawid, podówczas pięcioletni. Krwawe przygody wojenne wryły się głęboko w umyśle dziecka; pamiętał szczególnie kłeskę re-publikanów pod Torphou: ojciec ranny ciężko, ujęty z licznym zastę-pem, uwięziony w klasztorze, ledwie że uszedł śmierci. Generał Bon-champ uchronił cały oddział przed zemstą zawziętych Wandejczyków.

Za powrotem do domu chłopczyk rzeźbił z ojcem figurki: okazy-wał do tego wielką zdolność, ale ubogi ojciec doznawszy w pracy swojej niejednego zawodu, chciał zapewnić synowi pewniejszą przyszłość. Mat-ka tymczasem przeczuwała geniusz dziecka; na usilne jój błaganie, pozwolił mu ojciec przejść kurs rysunku w Angers, a następnie popro-

bować szczęścia w Paryżu. Młodzian odbył podróż piechotą: pierwsze chwile nadzwyczaj były ciężkie; karmił się suchym chlebem, a i tego nieraz zabrakło. Znalazł wreszcie robotę przy rzeźbiarzu, któremu powierzono ozdobienie bramy Carousel; brał za to franka dziennie. Dostał się potem do pracowni Rolanda, rysował przy sławnym malarzu Dawidzie. Pod tymi to przewodnikami wykonał konkursowe dzieło, otrzymał wielką nagrodę i rzymskie stypendyum. Było to w r. 1811.

Prace nadsyłane z Rzymu: *Ulises*, *Młody pasterz* i inne, zjednały mu już niejaki rozgłos. Ale dopiero posąg Kondeusza, wystawiony za powrotem, pomieścił go w rzędzie oryginalnych mistrzów. Pracował zawzięcie: pomniki wykonane przezeń rozbiegły się po całej Francji. Każde miasto pragnęło ozdobić rynek lub kościół tworem jego dłuta; na każdej wystawie podziwiano te grupy, popiersia i nagrobki. W pośród licznych dzieł odznaczają się szczególniejsze posągi: Fenelona, Rasyńska, generała Foy, popiersia: Lamartina i Chateaubrianda.

Mnóstwo znakomitych prac pozostawił mistrz potomuności; sanych medalionów wykonał z górą siedmset. Wszystkie obok podobieństwa rysów, zalecają się genialnym pojęciem ducha oryginału. Dawid miał cześć dla wszelkiej zasługi: głęboka miłość kierowała jego dłutem, ztąd medaliony wszystkich znakomitości współczesnych niestychaną mają doniosłość. „Jeżeli przywiązałem się do dzieł moich—pisał Dawid na krótko przed skonem—to dlatego tylko, że przedstawiają wielkich ludzi.” Bez względu na polityczne stronnictwa, kochał tych wszystkich, którzy na jakimkolwiek polu przyczynili się do chwały Francji. Gorący patriota, pragnął utrwalić ich pamięć dłutem swoim.

Prawdziwem arcydziełem Dawida jest sławny fronton Pantenu: liczą go szuszuie do najpiękniejszych pomników rzeźby tegoczesnej. Ileż tu zapału, ile twórczego tchnienia! Jak wspaniałe te figury symboliczne: *Ojczyzna*, *Historja*, *Wotność*, umieszczone w pośrodku wielkiej kompozycji; jak genialna ta postać Bonapartego, z długim rozwianym włosem! jak cudowny ów *Dobosz z Arcole!* jak charakterystyczne oblicza tych wiarusów z miną marsową, w mundurach narodowych.

Marsylia posiada inne arcydzieło Dawida odpowiedniej wartości. Są to płaskorzeźby na bramie Aix, przedstawiające *wyjście ochotników*. Szalony zapał tych bohaterów, bosych, w nędznej odzieży, którzy mieli oswobodzić Francją, oddany z patryotyzmem godnym szlachetnych uczuć, co wyparły ich z gniazda i pchnęły na krwawe zapasy. Do najpiękniejszych figur w grupie należy znów tenże sam *Dobosz z Arcole*: matka, wieśniaczka prowansalska, żegna macierzyńskim uściskiem syna idącego na wojnę.

Walki wyzwalaających się Hellenów obudziły też gorący zapał w mistrzu. Jego pyszny *Filopemen* uważany powszechnie za arcydzieło. Słynie zarówno pomnik Botzarisa, przedstawiający grecką dziewczę na grobie bohatera Grecyi. Mistrz ukochał tę postać dziejową, wykonał tę pracę z niestychanym staraniem, wlał w nią cały zapał młodzieńczy. Jakaż była jego boleść, kiedy u schyłku dni dowie-

dział się, że w czasach wewnętrznych zawichrzeń w kraju, potomkowie Fidyasza obesli się z arcydziełem jak barbarzyńskie Scyty.

Dawid z Angers należy do słynnej plejady, która podniosła we Francyi sztandar romantyzmu. Spotkanie jego z Mickiewiczem w Wejmarze nastąpiło właśnie w czasach pamiętnej walki: z radością zapewne tryumfator z nad Sekwany ścisnął rękę nadniemeńskiego tryumfatora. Szkoda, że pan Jonin tak mało wie o przyjaznym stosunku, co połączył wtedy dwa wielkie serca, tak godne siebie, i miał przetrwać do śmierci. Popiersie naszego genialnego poety, wykonane z miłością dłutem Dawida z Angers, pozostało na wieki świadectwem tej przyjaźni. Jakżebyśmy pragnęli, aby to piękne dzieło rozpowszechnić się mogło w kraju naszym w niezliczonych reprodukcjach. Oryginał posiada syn wieszca naszego w Paryżu.

Sławny podróżnik Stanley, który był niedawno przedmiotem gorących owacy tak w Marsylii, jak w Paryżu i Londynie, pracuje pilnie nad wykończeniem wielkiego dzieła o Afryce środkowej. Przekład francuzki posuwa się w miarę jak postępuje oryginalna praca; dzieło zatem ukaże się równocześnie w Londynie i w Paryżu. Hachette przysposabia już pyszną tę publikacją, ozdobioną wytwornemi rycinami. Tak jednak Stanley zainteresował publiczność tutejszą, że aby uczynić zadosyć powszechnej ciekawości, *Biblioteka podróży* uprzedzając pomnikowe dzieło, wydała w tłumaczeniu francuzkiem jego listy, pisane do redakcyi *Daily Telegraph* w ciągu lat trzech: 1874—1877. Te listy, kreślone dorywczo, pod pierwszym wrażeniem, obejmują mnóstwo zajmujących szczegółów i żywo malują sympatyczną osobistość amerykańskiego podróżnika.

Pierwsza wyprawa Stanleja, odbyta przed ośmiu laty, w celu odnalezienia Liwingstona, obudziła nieufność powszechną. Większość uczonych europejskich widziała w niej poprostu wielką amerykańską blagę. Dziennik jednakże Liwingstona, przywieziony do Europy, jak niemniej własnoręczne jego listy, złożone przez Stanleja w ręce krewnych, wykazały jasno całą prawdę, i otoczyły młodego Yankesa niepospolitym urokiem. Powtórna jego wyprawa do Afryki środkowej w celu czysto naukowym, pomieściła go w rzędzie najstynniejszych eksploratorów tego czasu.

Imię Stanleja dziś już należy do legendy. Siedm miast greckich spierało się niegdyś o kolébkę Homera; o Stanleja tymczasem spierają się dwa światy. Najsprzeczniesze zarysy biograficzne, głoszone po dziennikach, tworzą prawdziwy chaos, trudny do rozplątania.

Jedni utrzymują, że Stanley urodził się w Nowym Yorku, inni mieszczą kolébkę jego w Missouri, inni w Luizjannie. Szczegóły o latach jego dziecinnych, o pierwszym wychowaniu, równie sprzeczne jak i data urodzenia. Podczas gdy północne i południowe Stany Ameryki, prowadziły zacięty spór pomiędzy sobą, książka wydana w Anglii p. t.: *Henryk Stanley, historia jego życia*, większy jeszcze spowodowała za-

męt. Według niej był już nie Stanleyem lecz Rowlandsem; nie urodził się w Ameryce, lecz w angielskiej Walii w r. 1841. Ojciec odumarkł go młodo, matka weszła w powtórne związki i zaniedbała chłopca. Ukończywszy nauki został nauczycielem w szkółce elementarnej, pod kierunkiem krewnego; ale ten krewny zawistnym okiem patrzył na młodzieńca wyższego od siebie zdolnością i kształceniem, obchodził się z nim jak ze sługą. Zniecierpliwiony Rowlands rzucił mu na głowę parę butów, poczem uciekł do Ameryki. Sądzymy, że Stanley sam rozwiąże zagadkę rodu swego w zapowiedzianém dziele; dotąd jednak milczy, zostawiając szerokie pole najdziwaczniejszym domysłom.

To jedno niezaprzeczoną jest prawdą, że ów Rowlands czy Stanley odnalazł w r. 1871 Liwingstona, o którym świat nie miał od dawna wieści; że w ostatnich trzech latach przedarł się przez całą Afrykę środkową, torując sobie nowe drogi wśród ludów i krajów nieznanych całkiem Europie: że pierwszy oznaczył bieg rzeki Kongo, jednej z największych na kuli ziemskiej.

Książka, którą mamy pod ręką, p. t.: *Listy Stanleya*, daje wierny obraz walki i trudów trzyletnich. Co dnia nowe przygody: głód, choroba, strzały zatrute, dziesiątkują garstkę odważnych podróżników; ludożercy tropią ich niby zwierza w lesie. Trzej towarzysze, Anglicy, giną jeden po drugim; Stanley tylko nie upada, prowadzi sam do końca olbrzymie przedsięwzięcie. Droga przed nim zawalona trupami, idzie przecież wytrwale, nie ogląda się na nic. Wreszcie po nadludzkich wysileniach, chory, złamany, z włosem białym, pomimo lat trzydziestu, dociera do zachodnich brzegów Afryki.

Nie będziemy iść w ślady za podróżnikiem który zdziwił świat niesłychaną rzutnością i odwagą. Chcemy tylko podnieść piękną stronę jego serca, w stosunkach z czarnymi przewodnikami. Zaciągając ich do służby w Zanzibarze, zobowiązał się najuroczyściej, że dostawi ich sam do kraju rodzinnego. Skoro więc w ciągu dwu lat przedarł się z nimi przez całą Afrykę Środkową od zachodu do wschodu, pamiętny danego słowa, zabrał ich w Saint Paul na statek odpływający do Przylądku Dobrej Nadziei, po drodze w Cape Town, wysiadał na ląd; Murzyni zostali na okręcie. Trzy dni przebył w mieście podróżnik; Anglicy wydzierali go jedni drugim, wyprawiali mu najgorętsze owacye.

Wraca wreszcie na okręt, zostaje zrozpaczonych murzynów; pewni byli że ich całkiem opuścił.

— Znalazł tu przyjaciół i braci białych, mówili biedni między sobą, zostanie pewno z nimi! Już go nie zobaczymy!

Widok Stanleya napełnił ich radością; łzy płynęły po czarném ich licu.

— Któż wam mówić, że mogę was opuścić—zapytał ich łagodnie.

— *Serca nasze*—odrzekli sinutno—*ciężko im było*, alboż nie jesteście naszym ojcem?

— A więc czemuż nie ufacie ojcu waszemu?—powtarzałem wam sto razy—że odprowadzę was na miejsce. Służyliście mi wiernie, i ja

będę też wiernym dla was. Jeżeli nie znajdziemy statku, pójdę z wami piechotą, i nie opuszczę przedź jak w Zanzibarze, gdy ujrzę was wśród przyjaciół i braci.

Okrzyk radości odpowiedzią był na te słowa.

Z Cape Town, powiózł ich Stanley drogą żelazną do pobliskiego miasta. Murzyni nie mogli nadziwić się dosyć, patrząc na *wóz ognisty*. „Toż to dzielny *pagazi* (tragarz), mówili z uniesieniem. Nie potrzeba go karmić, nogi mu nie pomdleją, plecy się nie zegną pod ciężarem, ręce nie wypuszczą ładunku. Gorączka ani ospa nie powali go trupem, zatrute strzały odskoczą od żelaznego czoła, kula go nawet nie przewierci. Ostre badyle nie pokrwawią mu nóg, błoto ich nie rozrani. Sześć dni drogi przemknie w godzinę; żartuje sobie z odległości. Jak powrócisz, ojcie, na ziemię naszą, pamiętaj wzięść z sobą *wóz ognisty*: w mgnieniu oka przebiegniem w szerz Afrykę!

— „Czegoż to ci biali nie dokażą!—powtarzali murzyni z uwielbieniem. Potrzeba jeszcze aby się nauczyli jak włożyć nowe serce w ciało umarłego człowieka!

Stanley dotrzymał obietnicy: przybył z murzynami do Zanzibaru. Całe miasto wyległo na spotkanie z okrzykiem niewymownej radości.

Oprócz listów kreślonych dorywczo do *Dayly Telegrafu*, Stanley w ciągu trzyletniej podróży, zapisywał codzienne zdarzenia, w książeczce którą zawsze nosił przy sobie. Te notaty o mało nie przepadły; ocalił je zręcznym podstępem. Zobaczmy jak opisuje tę przygodę.

„Tubylcy znad Congo, zarzucali mi straszliwą zbrodnię; było nią spisywanie notatek. Sześć czy siedem pokoleń spiknęło się na zgubę moją, utrzymując że jestem złym, bardzo złym człowiekiem. Widzieli jak robię *medycynę* na papierze. Najstarsi ludzie nie słyszeli o podobnej zdrożności. Musiały to być czary, a czarowników należy karać śmiercią. Naczelnik biały powinien oddać im *medycynę* swoją, to jest książkę, oni ją rzucą w ogień, inaczey wojna nieuchronna. Owóż moje notatki zanadto były mi drogie, abym miał oddać je na łup dzikich. Co czynić? Miałem przy sobie mały tomik Szekspira; czytałem go ze dwanaście razy, przebiegając w poprzecz Afrykę, ostodził mi chwilę nie jedną. Musiałem go poświęcić!

Wydobyłem książkę z kieszeni, pokazałem ją dziکیéj tłuszczy.

— Tegoż wy żądacie odemnie?

— Tak!—zawołają z gniewem.

— Więc ta *medycyna* tak bardzo was przestrasza?

— Wrzucić w ogień! spalić! to rzecz niegodziwa! spalić czempredź!—wołają wszyscy jak szaleni.

Biédny Szekspirze!—pomyślałem w duchu—żegnaj mię! I biédny Szekspir spłonął. Dziwna zmiana zaszła w téj chwili. Twarze zapalone gniewem złagodniały odrazu. Radość była powszechna. Kraj ocalony, choroba nie dotkuie żon i dzieci!

„Naczelnik biały dobry człowiek! najlepszy ze wszystkich!—wołali dżicy z uniesieniem.“

Szekspir okupił drogocenne notaty, z których podróżnik układa właśnie wielkie dzieło. Wkrótce zdamy sprawę z téj publikacyi, skoro tylko ogłoszoną zostanie.

Najgłośniejszym wypadkiem w dziedzinie teatralnej jest ukazanie się na scenie Odeonu, dawno zapowiedzianego dramatu pod tytułem *Balsamo*. Od kilku miesięcy dzienniki biły w bęben, głosząc widowisko jakiego dotąd świat nie widział. Imiona dwu Dumasów dawały rękojmię wartości nowej sztuce. Wprawdzie kto, jak my czytaliśmy powieść Dumasa ojca, słynną przed dwudziestu laty, mógł się obawiać scen gorszących; sądziliśmy jednak że syn biorąc na warsztat utwór ojca, obstruże go, wygładzi i uszlachetni rękę akademicką. Inaczej widzimy rzecz, niestety! Skandale mniej więcej osłonięte w powieści, uwydatniły się na scenie w jaskrawy sposób. Z odrazą bierzemy się do sprawozdania, zapowiadając z góry, że połowę tych bezeństw pokryjemy milczeniem.

Rzecz dzieje się w 1770 r., w czasach kiedy arcyksiężniczka Marya Antonina, małżonka Delfina, postawiła raz pierwszy stopę na ziemi francuzkiej. Akt pierwszy przenosi nas do spustoszonego zamku Taverney, niedalego Strassburga. Właściciel zamku Taverney, przywiedziony do ostatecznej nędzy, żyje w ukryciu, trawiony goryczą i gniewem. Żał na ciężki do króla, że przepomniał długoletnich jego zasług. Trawa zarosła dziedziniec, rdza przegryzła zawiasy sklepionej bramy.

Przybywa tu jednak niespodziewany gość, zasiada z gospodarzem do ubogiego stołu. Tym gościem sławny książę Richelieu, dawny towarzysz broni Taverneya. Jakież cel tych odwiedzin? Stary intrygant, skłócony z panią Dubarry, postanowił wyrugować ją z łask królewskich; pomyślał o córce barona pięknej i dumnej Andrei. Baron zrozumiał odrazu o co idzie; ohydna propozycja Richelieugo, nie przestrasza spodlonego arystokraty.

Andrea nie wie o niczem. Ściga ją miłością młody Gilbert, syn mamki, wychowany z nią razem. Ona odrzuca tę miłość z najwyższą pogardą. Gorycz przepętnia serce wieśniaka; nie wiadomo co przemaga w owém przewrotném sercu, czy gwałtowne uczucie dla Andrei, czy téż nienawiść do arystokratów. Wychowany przy dworze Gilbert czytał z zapałem filozoficzne dzieła; przesiąkł na wskroś pojęciem o bezwzględnej równości między ludźmi. Jest on przedstawicielem krańcowych zasad rewolucyjnych, żywym wyrazem nowych idei, rodzących się w społeczeństwie francuzkiém.

Książę Richelieu, dla tém pewniejszego osiągnięcia celu, żądał od Delfinowej, aby powołała na dwór pierwszego szlachcica francuzkiego, którego spotka w nowej ojczyźnie swojej. Stary dworak tak ukartował rzeczy, iż będzie z nim Filip z Taverney, rodzony brat An-

drei, poczem Delfinowa zatrzyma się w zamku, uwiezie z sobą młodzieńca z ojcem i piękną siostrą.

Podczas gdy dwaj przyjaciele siedzą u skromnej uczty z Andreą, nadciąga straszna burza. Przy huku piorunów i świetle błyskawic, nadjeżdża Balsamo, inaczej zwany Cagliostrem. Konie jego przy wściekłym wicherze, uciągnąć nie mogą powozu; prosi więc o gościnność. Dziwny to jakiś powóz: na pudle sterczy komin, czerwony płomień wybucha z niego słupem.

— Co to jest—pytają wszyscy zadziwieni.

— To mój przyjaciel, mój towarzysz,—odpowie Balsamo—od lat trzysta bawi się wyrabianiem złota.

Obecni patrzą na siebie, uśmiech zwątpienia przebiega im na ustach.

Zagadniony Balsamo odpowiada, że urodził się nim potop zalał ziemię.

Księżę Richelieu nie dowierza tym bredniom, ale Balsamo przenikliwym wzrokiem, w dziwny sposób oddziaływa na Andreę. Ledwie że siadła do klawikordu, i uderzyła parę taktów, wpada w sen magnetyczny.

— Tyś człowiek straszny!—rzecze do czarodzieja, zostawszy z nim sam na sam—osłaniaasz się krotocwilnym pozorem, a zniszczyć chcesz monarchią francuską.

— Ażaliż czynię to w osobistych widokach?—spyta Balsamo.

— Bynajmniej, celem twym wolność święta, nauka zaś najdzielniejszym bodźcem do osiągnięcia celu!

I Andrea widzi we śnie, zebranie Franc-Masonów, których Balsamo głównym naczelnikiem, odkrywa ich tajemnicze zamachy.

Burza ustała, teatr przedstawia ogród. Balsamo oznajmia przybycie Delfinowej. Jakoż wchodzi młodzieńca Marya Antonina, prosi o mleko. Przynoszą je na złotej tacy, z podziwieniem barona. Balsamo wy dobył tacę z tajemniczego powozu. Delfinowa postanawia zabrać siostrę, jak zabrała już brata. Ojciec pospieszy wnet za dziećmi.

Wieść o człowieku, który żył przed potopem, dobiega do ucha księżniczki; pragnie zobaczyć czarodzieja, zapytać go o swoją przyszłość. Balsamo milczy z razu. Na usilne naleganie, odpowiada grobowym głosem. Widzi jak mówi tron zdruzgotany, i królowę tonącą we łzach: biedna opłakuje śmierć jednego z synów, żali się nad drugim czemu nie umarł lepij!

— A ja, w jakiż sposób zakończę życie?—zapytała przerażona.

— Spójrzj pani w tę karafkę zaklętą.

Księżniczka patrzy i upada bez zmysłów.

Następny obraz ukazuje nam galerią pałacu wersalskiego. Wstrząśnięta w posadach monarchia, pojawia się w całym przepychu, w całym błyszczącym rozstroju, który tak żywo przypomina ostatnie chwile konającej w szalonych zbytkach Romy. Wzrok ślepnie od złota i dyamentów. Królową tu, nie ona piętnastoletnia Delfinowa, dla

której urządzony festyn; obok tego nierozkwitłego pączka, widzimy pyszną stolistną różę: to bezczelna Dubarry, ostatnia z ulubienic Ludwika XV. Słowa jej tchną cynizmem, tak obrzydliwym, że wywołały szmer oburzenia w pośród widzów.

Owe skandaliczne wystąpienie Dubarry, w obec młodej Delfinowej, należy do historii tych czasów. W liście Maryi Teresy do Maryi Antoniny, czytamy macierzyńskie zlecenie, aby córka okazała względy swoje faworycie królewskiej, *interes* bowiem matki, wymaga podobnego ustępstwa; inaczej, obrażony król mógłby stanąć w poprzec *jej widokom*. Było to w r. 1770. Wielki zamach, który miał zmienić mapę świata, podsunęty przez Fryderyka II, sławiony przez Woltera, dojrzewał już na widnokregu politycznym. Obłudne łyż cesarzowej, podnoszone tylokrotnie przez jej apologistów, ażaliż zmyły plamę z pamięci tej matki, która z całym cynizmem uczy młodzieuchną córkę jak ma pobłażać wyuzdanym bezwstydom w interesie jej polityki?

Wśród tej uczy baltazarowej, spostrzegamy straszliwe *Mane, Teke, Fares* już nie ognistemi nakreślone zgłoskami, lecz zbiegłe proroczo przez usta córki królewskiej. Błyszczący dwór opuścił salę balową, pozostały tylko cztery córki Maryi Leszczyńskiej; jedna z nich Ludwika, przystępuje do króla z uszanowaniem. Oblicze jej smutne, strój poważny; wkrótce przywdzieje poważniejszy jeszcze habit karmelitan-ki bosój.

— Panie!—rzecze natchnionym głosem—tron twój zachwiany, monarchia upada. Zażegnaj niebezpieczeństwo jeżeli pora jeszcze!

Następny obraz niemniej efektowy, ukazuje nam smutnej pamięci fajerwerk na placu Ludwika XV, wyprawiony na przyjazd Delfinowej, ów złowieszczy fajerwerk, okupiony krwią tyłu ofiar. Tłumy za-legły przestrzeń. Podwójny szpaler wojska, nie powstrzyma niesfor-nych. Nagle raca wpada pomiędzy cizbę; wybucha płomień, szalony krzyk zbiega z tysiąca piersi, postrach ogarnia serca; jedni drugich pchają, depczą, powalają na ziemię.

I oto widzimy znów tenże plac pusty, zasłany trupami: padło tej nocy sto trzydzieści dwie ofiar. Księżyc w pełni oświeca straszny obraz. Wśród trupów i rannych snuje się postać dziwna, w odzie-ży czarnej, z twarzą bladą złowrogą. „Dość żyli, dość używali! mówi, patrząc na magnatów w aksamitach i złotogłowi; niech dziś obliczą się ze śmiercią!

— Kto jesteś?—zapyta głos jakiś.

— Jam Marat!—rzecze złowroga postać.

Tę katastrofę przygotował Balsamo, by zohydzić królewskość w oczach ludu.

Po tych obrazach, obliczonych na efekt, rozpoczyna się właściwy dramat. Smutną jego bohaterką Andrea. Pióro wypada wobec be-zeczeństw, w których autor grzebie z upodobaniem. Znieważona przez prostaka Gilberta, Andrea jest niejako mytem Francyi, znieważonej gwałtami wścickłych demagogów. To też kiedy nikczemnik, obsypany

złotem przez Cagliostro, zaszczycony szlacheckim pargaminem, błaga na kolanach o rękę swój ofiary, arystokratka rzuca mu w twarz zabójcze słowo: „Precz lokaju!”

Pocisk ugodził nikkzemnika. Zrywa się z ziemi jak szalony.

— Jam zrodzon w prostym gminie—woła piorunującym głosem, pozostanę czém byłem! I rzuca na ziemię złote świecidła, w które przystroił go Balsamo, depcze je nogami, ucieka, przeklinając arystokratów, rzucając w oczy rękawicę, skazanemu na zgubę społeczeństwu.

Andrea kryje wstyd za kratą klasztorną; na tém kończy się dramat.

Ów dramat, mimo niesłychanego blasku, mimo kilku scen obmyślanych z talentem, wywołał ogólne oburzenie. Dzienniki wszystkich barw i odcieni, hurmem powstały przeciw niemu. Autor obraził wszystkie stronnictwa polityczne. Legitymiści zarzucają mu, że sponiewierał ideę królewskości, pokazując ją w wyuzdanym rozpustniku Ludwiku XV; arystokracja nie przebacza, że w bezecnym kusicielu Richelieu'm i w nikkzemniku Tavernym, który za garść złota gotów zaprzedać własne dziecko, uosobił magnateryą XVIII wieku, dumną z pradziadowskich krucyat. Demokraci niemniej zagniewani, widząc rewolucyą przedstawioną w takich typach jak szarlatan Balsamo, jak podły Gilbert albo krwiożerczy Marat.

Jeżeli dramat nie upadł odrazu, zawdzięcza to tylko przepyszną wystawie, łudzącą oko bezmyślnych tłumów. Poważniejsza za to krytyka surowo gromi ów popęd do wystawności, tak zabójczy dla sztuki, a tak zgubnie działający na zatracenie estetycznego smaku w wysoko artystycznym niegdyś społeczeństwie.

Dramat Balsamo miał być prologiem do całej seryi sztuk, obejmujących przedrewolucyjne czasy Ludwika XVI, które Dumas ojciec przedstawił w szeregu pseudo-historycznych powieści. Sprawa o naszyjnik królowej, stanowi w nich jeden z najważniejszych i najskandalicznych epizodów. Wątpimy, aby po nieszczęśliwej próbie, Dumas chciał iść wbrew opinii powszechnej i narażać się na surową a zasłużoną chłostę.

Od lat kilku, księgarnia Hachette wydaje w bardzo ozdobnych tomach opisy różnych miast i krajów; mówiliśmy już w w swoim czasie o Hiszpanii, o Londynie z drzeworytami Dorego, równie jak o Rzymie p. Fransis Wey; dziś w dalszym ciągu tej pięknej publikacji, ukazało się dzieło Karola Yryarte p. t.: *Brzegi Adryatyku i Czarnogórze*. Autor zaczyna od Wenecyi. Tu zatrzymuje się krótko; w kilku ledwie zarysach kreśli charakterystykę znanego wszystkim grodu. Ztąd prowadzi czytelnika do Tryestu i zamku Miramar, dawniej rezydencyi nieszczęśliwego Maksymiliana, następnie na wybrzeża Dalmackie. Widzimy tu już nowych ludzi i nowe stroje, skreślone przez Waleryo, słynnego rysownika typów słowiańskich. W Spalatro uderza nas pałac

Dyoklecjana; w opisie Raguzy czytamy ciekawe szczegóły z dziejów tej republiki, ojczyzny sławnego Gundulicza.

Przez dziwnie piękną zatokę Catarro, p. Yryarte wprowadza nas do Czarnogóry. Liczne ryciny przedstawiają miasto Cetynią, typy i sceny z życia mieszkańców, portrety księcia i księżnej. W tekście znajdujemy streszczoną historią tego kraju, tylokrotnie krwią zalanego.

Z powrotem autor ukazuje wybrzeża włoskie; daje widzieć po kolei Rawennę, jej gmachy bizantyjskie i prześlizne mozaiki, Urbino ze słynnym pałacem dawnych książąt, Loretto ze wspaniałą bazyliką i domkiem N. Panny, nareszcie Otrant i Ankonę. Dwieście pięćdziesiąt drzeworytów, rozrzuconych wśród dzieła i siedm map geograficznych wzbogacają piękną publikacją.

Niedawno umarł w Rzymie uczony astronom Secchi jezuita, którego imię zasłynęło w świecie całym. Wykształcenie matematyczne i astronomiczne odebrał on w kolegium *Illirico-Laurentino*, pod Loretto; następnie udał się do Ameryki. Tu w *Georgen-Town College*, pod Washingtonem, wykładał jako profesor fizykę i matematykę. Za powrotem do ojczyzny otrzymał katedrę fizyki w *Collegium Romanum* w Rzymie. Po roku 1848 puścił się na kilkoletnią podróż, zwiedził Francją, Anglią i po drugi raz Amerykę, poczem wrócił znowu do Rzymu, gdzie urządził obserwatorium astronomiczne, przy kościele Ś-go Ignacego. Zakład ten pod jego kierunkiem sławnym się stał na całą Europę. Papież Pius IX wyprawił po dwakroć Ojca Secchi (w roku 1870 i 1872), jako delegata komisji międzynarodowej, dla ujednostajnienia miar i wag, do Paryża i do Genewy. Najważniejszą pracą astronoma jest dzieło o słońcu p. t.: *Le Soleil*, wydane w Paryżu r. 1870, w języku francuzkim. Dzieło to powstało z prelekcji, które Ojciec Secchi miewał w szkole paryzkiej Ś-tój Genowefy, o plamach na słońcu i zaćmieniach. Było to w r. 1867, podczas międzynarodowej wystawy: prelekcye te miały podówczas wielki rozgłos.

Rzeźbiarz Bertholdi jak wiadomo, pracuje od lat trzech nad olbrzymim posągim Wolności, który Francya przeznaczyła w darze dla Ameryki, a który ma z przystani Nowojorskiej, błysnąć pochodnią na dwie półkule ziemi. Olbrzymi ten posąg, wysoki na metrów przeszło trzydzieści, przechodzi rozmiarem wszystkie znane dotąd kolosy, niewyłączając nawet Rodoskiego. Dwa lata temu ręka po ramię z pochodnią, ukazała się już w Filadelfii. Zapowiadano wtedy, że owa ręka przepłynie znów ocean i połączona z korpusem wystąpi na paryzkiej wystawie. Pokazało się jednak, że z wolnością nie tak łatwa sprawa: aby doprowadzić ją do zupełnej całości i harmonii, lat kilka wystarczyć nie mogło. Otóż więc na Polu Marsowem wystawioną będzie sama głowa posągu. Umyślnym czy też przypadkowym zbiegiem, Francya której geniusz tak długo przewodził ludom, wystawić ma głowę wolności, gdy tymczasem przedsiębiorcza ojczyzna Jankesów ukazała

światu jój ramię. Nikt nie wie dotąd, jak prędko stanie olbrzym w całej okazałości.

Z radością przychodzi nam tu poświadczyć prawdziwy tryumf młodej i utalentowanej śpiewaczki naszej, panny Kamilli Morzkowskiej, uczennicy p. Muzio, dyrektora orkiestry w Operze włoskiej. Przed dwoma tygodniami artystka nasza dała się po raz pierwszy słyszeć publicznie na koncercie pana Angelini. Wykonała świetnie kawatynę z Ernaniego, ślicznego mazura Szopena, arya z XVII wieku, jak niemiętej duet z Don-Juana z koncertantem. Licznie zebrana publiczność obsypała ją grzmiącymi oklaskami. Śmiało powiedzieć możemy, że panna Morzkowska główną była ozdobą koncertu i zachwycała słuchaczy pięknym głosem sopranowym, którym prześlicznie władać umie. Opuszczając salę chwytałyśmy w przelocie słowa szczerego zadowolenia. „Co za głos! jaka czystość tonów! jaki wdzięk!” — powtarzali jedni do drugich. Nazajutrz dzienniki odezwały się w najpochlebniejszy sposób; przytaczamy dosłownie ustęp z *France*:

„Witamy w panie Kamilli Morzkowskiej, uczennicy *maestra* Muzio, nową gwiazdę i zapowiadamy jój najświetniejszą przyszłość. Kawatynę z Ernaniego wykonała prawdziwie po mistrzowsku. Głos pełny, brzmiący, kryształowy, da jój wkrótce rozgłos, jakiego ma prawo się spodziewać.”

W kilka dni potem, słyszeliśmy znów śpiewaczkę naszą, na poranku muzycznym u p. Sowińskiego, gdzie zachwycała obecnych ślicznym wykonaniem dwu najświeższych utworów naszego zasłużonego kompozytora.

Zachęcona takim powodzeniem, panna Morzkowska zamierza dać wkrótce własny koncert ze współudziałem słynnego tenora Tamberlika.

W Akademii francuskiej, w ciągu kilku miesięcy zawakowały trzy krzesła, po trzech zmarłych członkach: Thiersie, Klaudyuszu Bernardzie i profesorze de Lomenie. Wybory mają wkrótce nastąpić.

Głos powszechny mianuje dziś już w miejsce Thiersa, znanego historyka Henri Martin.

W marcowym numerze kroniki naszej zaszyły dwie pomyłki: najprzód pominięto przypadkiem cały ustęp o dwunastu literatkach francuskich, powtóre wsunięto wyrazy, których przyjąć za swoje niemożemy. Znany powszechnie szyderczy pocisk Trentowskiego, rzucony na uczone kobiety, nie mógł wcale tyczyć się Daniela Stern, z prostej przyczyny, że Trentowski wydał Chowaną w r. 1842, kiedy imię Daniela Stern nieznane było jeszcze w literaturze.

DROGI ŻELAZNE W KRÓLESTWIE POLSKIM.

RÓWNOWAGA MIĘDZY INTERESEM TOWARZYSTW PRYWATNYCH
A INTERESEM OGÓLU.

PRZEZ

Antoniego Wrotnowskiego.

Każdemu, kto dla zadań z dziedziny ekonomii politycznej lub społecznej obojętnym nie jest, a nawet tym, którzy o tychże zadaniach chociażby ogólnikowe lub tylko pobieżne mieli pojęcia, nie są obcemi ekonomiczne prawa *podziału pracy* i *zamiany*. Prawa te bowiem, jako jedne z głównych podstaw ustroju społecznego, a zarazem jako najbliższy tegoż ustroju wyraz, oddziałują bez przestanku i *widocznie* na wszystkie stosunki między ludźmi, tak dalece, iż bez istnienia tych praw, sam byt społeczeństw pojąłby się nawet nie dał. Podział pracy i zamiana jej owoców, nie mogą być dla nikogo obcemi i dla tego jeszcze powodu, iż są prawami wyższemi nad wolę człowieka, opatrnościowemi, a więc nie wytworzonymi przez ten lub inny naukowy systemat, ale *preegzystującemi*. Jakoż nauce przypadł jedynie zaszczyt, istnienie tych praw tylko poświadczyc.

Głównym znowu przyrządem, za pomocą którego prawa tak wielkiej doniosłości i tak przeważnego na stosunki społeczne wpływu też stosunki urządzają, jest *ruch* wyrobów i osób. Jak podział pracy bez zamiany istnieć, tak znowu zamiana bez *przenoszenia* tych wyrobów z jednego miejsca na drugie, uskutecznićby się nie mogła. *Drogi, komunikacje* i *środkie przewozu*, są więc przedmiotem i w teorii i w rzeczywistości mającym z owemi prawami ścisły związek, skoro warunkują samą pracę, trzymają w zawisłości każdy przemysł, a nawet same przez się wytwarzają jedną z ważnych jego gałęzi. Jakoż, większa lub mniejsza łatwość i taniaść komunikacji dopomaga lub utrudnia, a w pewnych razach nawet uniemożliwia spożytkowanie owoców działalności pojedynczej i zbiorowej, i w teorii przeto i w rzeczywistości staje się warunkiem bytu lub rozwoju, a więc podstawą przemysłu krajowego.

Środki komunikacji i warunki przewozu, ilekroć przewożenie osób i rzeczy przeistacza się w oddzielną i samoistną gałąź tegoż przemysłu, oddziałując na bardzo liczne stosunki między ludźmi, właśnie

w skutek owych praw podziału pracy i zamiany, zajmują w nauce miejsce wydatne.

Środkami komunikacji, koniecznymi dla tegoczesnych społeczeństw, są *drogi żelazne*, i właśnie dla tej konieczności każde społeczeństwo pragnie ich mieć jak można najwięcej, by pod tym względem za innymi nie pozostać w tyle. Jest to dowodem niewątpliwiej użyteczności dróg żelaznych, która w *zasadzie* nie może już być zaprzeczoną ¹⁾.

W zastosowaniu przecież, użyteczność dróg żelaznych w znacznej części zależną jest od *taryf*, które bierzemy za przedmiot tego studium. Taryfy w stosunku tychże dróg z publicznością, są treścią i wyrazem ich działalności ekonomicznej. Ilekroć taryfy są niesprawiedliwymi lub uciążliwymi, społeczeństwo zamiast pożytku ze zbudowanej przez siebie drogi, ze znacznymi w całość swęj ekonomii spotkać się musi stratami ²⁾. Mając bowiem w rękę *przyrząd przewożenia*, z którym poprzednie przyrządy nie mogą znieść porównania, zarządy dróg żelaznych dominują nad wszelką pracą kraju, przez który też drogi przechodzą i świadomie lub bezwiednie trzymają w zawisłości całą jego ekonomiczną działalność, a nawet pod pewnym względem rozwój samego społeczeństwa ³⁾. A chociaż każda z cyfr taryfy pojedynczo wzięta, nie jest bez znaczenia dla gałęzi przemysłu, która w tej właśnie cyfrze opłaca koszt przewozu, i chociaż każda z tych cyfr staje się jednym z czynników produkcji przewożonego wyrobu; cyfry te przecież niemogłyby zainteresować ogółu, tak samo jak nie budzi ogólniejszego zajęcia cyfra podatku, jaki każdy z nas pojedynczo opłaca. Ogól-

¹⁾ „La vapeur a fait pour la matière, ce que l'imprimerie a fait pour la pensée; elle l'a multipliée et rendue accessible à tous.” *Traité des dépenses d'exploitation aux chemins de fer*, par Alphonse Belpaire, ingénieur des ponts et chaussées, attaché à l'exploitation des chemins de fer Belges. Bruxelles, 1847, str. 10.

²⁾ W pracy zamieszczonej w zeszycie październikowym z 1877 roku *Wiestnika Europy* (str. 753), pod tytułem: *Ekonomiczeskoje Sostojanije Rosii w proszłom i nastojaszczem*, autor (Jan Bloch) czyni uwagę, iż drogi żelazne przynoszą interesowi ogólnemu szkodę, ilekroć publiczność opłaca koszt przewozu drożej (*srawnitelno dorozhe*), niż posługując się innymi środkami komunikacji. Ocenienie taryf nie mieściło się w ramach rzezonęj pracy; powyższa uwaga, rzucona tylko mimochodem, podniosła przeto tylko jeden z warunków determinujących sprawiedliwość lub niesprawiedliwość tychże taryf. Nie stoi więc w przeciwieństwie z wnioskami, do jakich dochodzimy w niniejszém studium.

³⁾ „Dominant par l'exploitation de cet instrument incomparable tout le travail circulatoire, les compagnies deviennent les arbitres de l'échange, de la finance, du crédit, de l'industrie, de l'agriculture, de l'extraction forestière et minérale,—en un mot, de toute l'économie sociale, y compris même le gouvernement.” P. J. Proudhon: *Des reformes à operer dans l'exploitation des chemins de fer*, str. 389 (Paris, 1855, libr. Garnier frères).

ny przecież na cyfry taryfowe pogląd, uwydatnienie *zasad*, których one są wyrazem, i zbadanie, czy między interesem towarzystw prywatnych a interesem społeczeństwa jest zachowaną równowagą, powinnyby znaleźć szersze koło czytających, tak samo jak są ogólniejszego interesu zasady, wedle których każdy podatek jest ustanawianym i rozkładanym na wszystkich. *Zasady taryf* mają zresztą związek z pytaniami niewątpliwiej żywotności z dziedziny ekonomicznej.

I.

Do chwili pobudowania dróg żelaznych, przewóz ładem osób i rzeczy odbywał się głównie po drogach bitych (*chaussées*), urządzanych wszędzie przez rządy z funduszków budżetowych. Każda z tych dróg stawała się własnością ogółu (*dominium publicum*), a będąc dla każdego otwartą i jednakowo dostępną, słusznie poczytywaną była za dzieło i *użyteczności publicznej* i *publicznego użytku* zarazem. Jakoż żadna społeczność i żaden rząd nie miały nigdy na celu, z kieszeni przejeżdżających lub przewożących drogą ściągać procent i fundusz na umorzenie kosztu jej zbudowania, acz stosunkowo bardzo znacznego. Równoważności tego kosztu, społeczeństwa i rządy szukały wyłącznie w ułatwieniu komunikacji, dobrze pojmując, iż wszelkie w celu zwrotu tego kosztu na kieszeń prywatną nakładane opłaty, musiałyby pociągnąć za sobą zubożenie całego kraju, powstrzymując rozwój jego przemysłu i handlu. Ustanawiane dawniej prawie wszędzie *myta*, czyli opłaty od przejeżdżających drogą, a z którymi wyjątkowo i dziś spotkać się można, pobierane były na *konserwacyą*, czyli koszt utrzymania drogi, nie zaś na zwrot kosztu jej zbudowania.

Rządy poczytywały za obowiązek wytwarzać *taniość* przewozu, nawet za pomocą znacznych ofiar z grosza publicznego; taniość bowiem przewozu ułatwia zbyt owoców pracy pojedynczej i zbiorowej, zapewnia każdemu wyrobowi cenę przedaźną, dozwala uprawiać z korzyścią grunta nawet mniej rodzajne, podnosi ogólną zamożność i odwraca klęskę głodu w miejscowościach dotkniętych nieurodzajem ¹⁾. Po drogach bitych jeździ kto zechce i przewozi, co przewieźć potrzebuje, albo środkami własnymi, albo posiłkując się oddzielną gałęzią przemysłu przewozowego: pocztami, dylżansami i furmanami wszelkiej nazwy.

Inna jest przecież właściwość dróg żelaznych. Nie są one i nie staną się nigdy własnością ogółu (*dominium publicum*) dla następujących przyczyn:

1. Pobudowanie dróg żelaznych na samym kontynencie pochłonęło miliardy, które z funduszków budżetowych zaczerpnąć się nie dały.

¹⁾ „Afin d'accroître la division du travail chez un peuple, il faut avant tout donner plus d'extension au marché, resultat qui s'obtient surtout par l'amélioration des voies de communication.” Guillaume Roscher: *Principes d'économie politique* (traduction de Louis Wolowski, tom I, str. 53).

Wszędzie więc odwołano się do kapitałów prywatnych, którym musiano zapewnić procenta i amortyzacją, właśnie za pośrednictwem opłat mających się pobierać za przewóz osób i rzeczy. Istnieją wprawdzie drogi żelazne zbudowane a nawet eksploatowane przez same rządy; drogi te przecież poczytywać można za wyjątek od ogólnej reguły. I w tych przecież wyjątkowych razach, rządy pragną otrzymać zwrot procentów i kapitału, wydatkowanego na koszt zbudowania dróg żelaznych; nigdzie więc nie zostały one oddane do bezpłatnego publicznego użytku.

2. Konserwacja czyli utrzymanie dróg żelaznych w takim stanie, by ruch mógł się odbywać z bezpieczeństwem i bez przerwy, wymaga znowu bardzo znacznych corocznie wydatków. Temi wydatkami niepodobna także obciążać budżetów krajowych, istnieje przeto niustająca potrzeba utrzymania sprawiedliwej zresztą zasady płatności usług, z jakich korzysta każdy przejeżdżający lub przewożący drogą, czyli pobierania opłat przewozowych. I pokolenia, które żyć będą w chwili spłacenia przez amortyzacją kosztów wyłożonych na budowę dróg żelaznych, nie będą bez wątpienia korzystać z bezpłatnego po tychże drogach przewozu, i wtedy bowiem, fundusz na konserwację dróg będzie zbierany za pomocą rzeczonych opłat. Godzi się wszakże spodziewać, że opłaty przewozowe będą wtedy znacznie niższymi, skoro społeczeństwa nie będą już w konieczności, szukania w wysokich taryfach procentów od kosztu budowy dróg i funduszu na umorzenie tegoż kosztu, i będą mogły poprzestać na zapewnieniu, iż opłaty przewozowe pokryją koszt konserwacji tychże dróg.

3. Eksploatacja każdej drogi żelaznej nie da się ani wykonywać ani nawet pojąć bez przywileju czyli monopolu, ustanowionego na rzecz zarządu téjże drogi. Monopol ten, wywołany troską o bezpieczeństwo jazdy, wyłączający wszelki od zarządu drogi niezależny ruch i przejazd po jej szynach, istnieje i nieprzestanie istnieć tak na drogach zbudowanych kapitałami prywatnymi, jak i na drogach zbudowanych przez rząd z funduszków budżetowych; wynika bowiem z samej natury rzeczy. Za pomocą tego właśnie monopolu, będącego niezaprzeczoną koniecznością, zarządy dróg żelaznych zawładnęły wszędzie przewozem osób i rzeczy, i wszelki inny rodzaj przemysłu przewozowego na dalekim za sobą zostawiły planie. Każdy zaś przywilej i monopol jest właśnie przeciwstawieniem zasady prawa jednostki w społeczeństwie z zasadą prawa służącego ogółowi.

Nie w bezpłatności przewozu, nie w usługach darmych, jak to ma miejsce na drogach bitych, a więc nie w pojęciu własności ogółu (*dominii publici*), za którym idzie idea publicznego użytku, ale w szybkości, w regularności i w *taniości* przewozu, szukać należy wyrazu użyteczności dróg żelaznych dla społeczeństwa; są one dziełami *użyteczności publicznej*, (nie zaś użytku publicznego, bo ten ostatni inne wyraża pojęcie), skoro każdy może, acz za opłatą, korzystać z przewozu tak samo na drogach stanowiących własność prywatną, jak i na dro-

gach które na równi z dobrami ziemskimi, będącemi własnością rządową, wchodzi w skład majątku państwa. To, co dotąd powiedziano, niepodpadało wątpliwości w chwili rozpoczynania budowy dróg żelaznych w Europie. Urządzanie jednak tychże dróg kapitałami prywatnemi, i oddawanie w ręce prywatne tak budowy jak i eksploatacyi, musiało zrodzić pytanie: czy też budowa i też eksploatacyja należą do dziedziny przemysłu prywatnego i są przedsiębiorstwem prywatnem, czy też powinny być zaliczonemi do zadań obchodzących ogół, do spraw publicznych należących do atrybucyi rządu. Pytanie ważne w teorii, jeszcze zaś ważniejsze w praktycznych swych wynikłościach, padających na samą zasadę tariff. Jakoż, gdyby budowa i eksploatacyja dróg żelaznych należała wyłącznie do dziedziny działalności prywatnej i tworzyła jedynie jedną z gałęzi przemysłu prywatnego, nie miałyby społeczeństwo ani obowiązku brać udział w kosztach budowy, ani prawa wglądać w zasady tariff i wpływów na wysokość opłat przewozowych. Pytanie to jednak uszło uwagi statystów, patrzących z niedowierzaniem na rozpoczynane dzieło, wymagające kosztu przewyższającego zasoby ówczesnych budżetów krajowych, mniej przecież obdłużonych, niż budżety dzisiejsze. Dziwić się temu nie należy, skoro w pierwszych drogach żelaznych widziano jedynie przyrząd zbliżający pokłady węgla z fabrykami i mający wewnątrz kopalni połączyć z miejscowością potrzebującą opału i skoro nieprzewidywano, iż też drogi zajmą w ekonomii narodów stanowisko przeważne i staną się istotnie dziełami użyteczności publicznej.

Jakoż, trzy najdawniejsze drogi żelazne w Europie przeznaczone były wyłącznie do przewozu węgla. Drogami temi są:

a) pomiędzy Stongton i Darlington (40,²⁵⁵ kilometrów), zbudowana w r. 1820.

b) pomiędzy St. Etienne i Loarą (19 kilometrów), zbudowana w r. 1823.

c) pomiędzy St. Etienne i miejscowością la Mulatière zwaną (56 kilometrów), zbudowana w r. 1826.

Pierwszą drogę żelazną z wyraźnem zadaniem przewożenia nią osób i towarów zbudowano dopiero w r. 1830 pomiędzy Liwripool i Manchester (50 kil.) i ona dopiero dała początek gęstej sieci szyn, jaką się posługuje pokolenie dzisiejsze. Do r. 1830 drogi żelazne były więc budowanemi wyłącznie dla użytku prywatnego, a nawet i później powszechnie mniemano, iż one dziełami użyteczności publicznej nie są. I jak się dziać zwykło w sprawach i rzeczach ludzkich, dopiero rozpowszechnienie dróg żelaznych, a więc szereg idących po sobie faktów, przeistoczył pierwiastkowe w tym przedmiocie pojęcia, które dziś mogą się zdawać dziwaczniemi.

Kolebką więc dróg żelaznych, majacych znaczenie środków komunikacyi, była Anglia; studjum przeto, nauczające w jaki sposób statyści tego narodu zapatrywali się na stawione wyżej pytanie, byłoby niewątpliwie pracą interesującą. Naukowe źródła w języku angielskim

skim pisane, są dla nas niedostępni, nie mogliśmy więc wyrobić sobie jasnego o tym przedmiocie pojęcia. I jedynie książka niemiecka nauczyła nas, że aczkolwiek wedle pierwiastkowych nad Tamizą pojęć, drogi żelazne miały być drogami *wolnemi*, (a więc publicznemi), pojęcia te jednak, nie przekraczając dziedziny fikcyi, na rzeczywisty stan rzeczy nie oddziaływały bynajmniej ¹⁾).

Jakiegokolwiek zresztą istniały wówczas w Anglii pojęcia, nie mogły one przecież znaleźć na kontynencie ani zupełniejszego zastosowania, ani przeważniejszego wpływu, skoro rząd Wielkiej Brytanii jest w Europie jedynym rządem, który budowę dróg żelaznych, pozostawiając wyłącznie spekulacyi prywatnej, ani pożyczkami, ani poręczeniem dochodu, ani wzięciem na swój koszt pewnej kategorii robót, żadnego w tém dziele nie brał udziału. Rząd ograniczał się w Anglii, na udzielaniu Towarzystwom prywatnym nadań, czyli koncesyi wieczystych, nie zaś długoletnich, jak to uczyniono później na kontynencie ²⁾).

Nie mogły również znaleźć zastosowania pojęcia formujące się w Stanach Zjednoczonych Ameryki, usiłujących podążać za przykładem Anglii wówczas, kiedy do budowania dróg żelaznych na stałym lądzie Europy jeszcze nie przystępowano; skoro jeszcze i dziś towarzystwa prywatne są poczytywane w Ameryce za mające prawo zupełnej własności dróg żelaznych, skutkiem zaś tego, za władne eksploatacyą swych linii urządzać wedle swego uznania, tak dalece, iż do niedawnych jeszcze czasów zarządy dróg żelaznych, same, bez udziału lub kontroli ze strony rządu, ustanawiały dla siebie taryfy przewozowe. Towarzystwa prywatne potrzebowały wprawdzie koncesyi od rządu każdego z osobna stanu, przez który drogę żelazną prowadzić zamierzały; koncesye te przecież miały jedynie na celu wyjednanie prawa wywłaszczenia gruntów, zajmowanych pod drogę. Rząd Stanów Zjednoczonych zaczął udzielać niektórym Towarzystwom pomocy w pieniądzech lub w gruntach publicznych, dopiero od czasu wojny cywilnej, wynikłej między Stanami Południowemi i Północnemi i w dzisiejszych dopiero czasach, sąd najwyższy wprowadził zasadę, iż zarządy dróg żelaznych nie są władnemi

¹⁾ „Für jede englische Bahn sind concessionsmässig besondere Maximalsätze festgestellt, und zwar entsprechend der ursprünglichen Auffassung der Eisenbahn als freien Strasse zunächst getrennt für die Benutzung des Schienenwegs und für die Hergabe der Locomotivkraft, daneben besondere Sätze für den Fall, dass die Eisenbahn selbst als Frachtführer auftritt. Practische Bedeutung haben nur diese letzteren, da die Fiction der Eisenbahn als freien Strasse wie überall so auch in England sich als unhaltbar erwiesen hat.“ *Ueber einige Verwaltungseinrichtungen und das Tarifwesen auf den Eisenbahnen Englands* von Eduard Reitzenstein Regierungsassessor und Mitglied der Königlichen Eisenbahndirection in Frankfurt a. M. (Berlin. Franz Vahlen, 1876 str. 23).

²⁾ P. J. Proudhon (*loco citato*, str. 272).

podwyższać dowolnie taryf, jakie już istnieją. Bez względu przecież na oba te fakta, opinia publiczna w Ameryce nie upatruje żadnej różnicy między drogami żelaznemi a innemi przedsięwzięciami prywatnemi: przemysłem węglowym, hutnicznym, lub każdym innym ¹⁾.

Na stałym lądzie Europy przystąpiono do budowania dróg żelaznych po roku 1840 i z każdym dziesiątkiem lat mnożono linie szyn z widoczną nawet gorączkowością. Zaszczyt pierwszeństwa należy się Belgii. Przy rozpoczynaniu wszakże dzieła, nie zdawano sobie jasno sprawy, w czym mianowicie towarzystwa prywatne działać mają w zastępstwie rządu, jako wykonawcy jego zadań; co zaś w tém olbrzymim przedsięwzięciu zaliczonym być winno do dziedziny przemysłu prywatnego. Widziano jedynie, że wobec monopolu, mającego służyć towarzystwom prywatnym, wobec pomocy budżetowych, jakie im były przez rząd udzielane; cyfry maksymalne opłat przewozowych muszą być oznaczone w samych koncesyach, czyli w umowach, określających wzajemne prawa i obowiązki rzeczonych towarzystw i rządu. W tych przeto aktach (*cahiers des charges*), obok przepisów policyjnych, mających na celu bezpieczeństwo osób drogami żelaznemi podróżujących, istnieją także zasady, poddające zarządy tychże dróg pod kontrolę rządu, w rzeczy opłat taryfowych.

Żałować wypada, że na takiem określeniu stosunku rządu z towarzystwami prywatnemi poprzestano we Francyi przy rozpoczynaniu budowy głównych linii dróg żelaznych w r. 1842; logiczny bowiem aż do krańcowości (*d'outrance*) umysł Francuzów, niejednokrotnie szkodliwy dla tego narodu w sprawach polityki, ma bez zaprzeczenia tę właściwość, iż stosunki cywilne i ekonomiczne urządzać zwykł zawsze na jasnych i sprawiedliwych zasadach i pod względem dokładności orzeczeń w dziedzinie prawodawstwa cywilnego, żadnemu innemu narodowi dotąd prześcignąć się nie dał.

Rozbierane przez nas w tém miejscu pytanie zajęło uwagę mężów stanu i statystów we Francyi dopiero wtedy, gdy główne linie dróg żelaznych były już zbudowanemi i gdy z *prawami nabytymi* towarzystw prywatnych na każdym kroku rachować się musiano; mianowicie zaś po wypadkach z r. 1848. W innych zaś krajach Europy, przy udzielaniu koncesyi na budowę dróg żelaznych, brano przedtém za wzór albo Belgią, albo rząd Ludwika Filipa. Wkrótce po upadku tego rządu podnoszono we Francyi kwestyą, czy dla dobra ogółu nie należałoby przeprowadzić skupu dróg żelaznych na rzecz rządu, w przyszłości zaś wyłączyć przemysł prywatny od ich budowy, a zwłaszcza od ich eksploatacyi. W braku bowiem jasno stawionych zasad, rozróżniających to, co w rzeczy budowania i eksploatacyi dróg żelaznych publiczny, a co prywatny ma charakter, łatwo przerzucano się w drugą ostateczność i jak w początkach zaliczano do dziedziny prywatnej wszystko, co z rzeczoną bu-

¹⁾ Cucheval-Clarigny. *La grève des chemins de fer aux Etats Unis* (*Revue des deux mondes*, 15 octobre 1877).

dową i eksploatacją miało związek, tak znowu po roku 1848 dopatrywano się wszędzie dziedziny społecznej, publicznej, oczekującej na wyłączną działalność rządu.

Samo zaś podniesienie powyższej kwestyi, wywołaném było przedewszystkiém, właśnie wysokością i niesprawiedliwością opłat przewozowych, czyli taryfami dróg żelaznych. A jakkolwiek od owój epoki i w téj dziedzinie wielkie nastąpiły zmiany i same taryfy dróg żelaznych, różnym już uległy modyfikacyom, powracamy jednak do stawionego wyżej pytania; ono bowiem wyświeci rzecz ze strony naukowej i zarazem doprowadzi do zasad, wedle których należałoby postępować przy ustanowieniu taryf, chcąc utrzymać równowagę między interesem prywatnym i interesem ogólnym.

Zadanie rządu pragnącego ożywić przemysł i handel za pomocą nowój drogi żelaznej, nie różni się w *teoryi* od zadań, jakie skłaniały dawniej do budowania dróg bitych. Jak dawniej kosztem budżetu krajowego nabywano grunta pod drogę, wykonywano roboty ziemne, kładziono na drodze bruki lub szaber i budowano mosty, tak samo z tegoż budżetu wypadałoby uskutecznić nabycie gruntów pod drogę żelazną, wykonywać roboty ziemne (przekopy, nasypy), budować mosty, wiadukty i tunele, czyli przygotować plant pod szyny. Jak dawniej rząd nie miał na celu zwrotu kosztów zbudowania drogi bitéj i otwierał ją bezpłatnie lub pobierał myto drogowe, mające wytwarzać fundusz jedynie na koszta konserwacji téjże drogi; tak samo nie powinienby szukać zwrotu kosztów przygotowania plantu pod szyny; chcąc zaś wytworzyć dochód na koszta konserwacji tegoż plantu, miałby tytuł ustanawiać myto (*peage*) od parowozów i wagonów, lub toż myto poczytując za jeden z czynników taryfy, oddać je zarządowi drogi żelaznej na koszta rzeczonéj konserwacji.

W powyższych téż ramach zamyka się zadanie rządu, wkładające nań obowiązek wytwarzania dróg komunikacyjnych, a więc i udział budżetu krajowego w kosztach projektowanój drogi żelaznej. Jak bowiem dawniej obsługa publiczności w przewozie osób i rzeczy po drogach bitych, była już rzeczą przemysłu prywatnego i stanowiła oddzielną jego gałąź (poczty i furmani wszelkiéj nazwy); tak samo i dziś wytworzenie przyrządu dla komunikacji kolejowój, a więc ułożenie podkładów i szyn na przygotowanym plancie drogi, wszystkie tak zwane roboty wierzchnie, zaopatrzenie drogi w tabór i cała odpowiedzialność za należyłą obsługę publiczności, powinnyby wytwarzać oddzielną gałąź przemysłu prywatnego i należeć do działalności prywatnéj ¹⁾.

Nakreślona w powyższy sposób linia demarkacyjna, pomiędzy daniami rządu, czyli stroną publiczną komunikacji relsowój, a dziedziną przemysłu prywatnego, czyli stroną prywatną téjże komunikacji, nie mogłaby ani zmniejszyć, ani osłabić atrybucyi rządu w stosunku

¹⁾ P. J. Proudhon (loco citato, str. 369).

do towarzystw prywatnych; on bowiem, jako władza państwowa ma zawsze prawo czuwać nad bezpieczeństwem osób i w interesie ogółu wkładać na też towarzystwa obowiązki, równoważące korzyść wynikającą z przywileju i z monopolu, jaki im przysługuje. W każdym więc razie miałby prawo oznaczać *maximum* opłat przewozowych. Wprawdzie, owa teoretyczna linia demarkacyjna, wobec uznanj konieczności prędkiego pobudowania dróg żelaznych na kontynencie, przyjścia prywatnym z pomocami budżetowemi daleko za tąz linią idącemi i zapewnienia zwrotu *wszystkich* kosztów z procentami przez pobór opłat przewozowych, nie mogła nigdzie znaleźć praktycznego zastosowania; przynosi przecież odpowiedź na pytanie, które nas w tém miejscu zajmuje.

Mianowicie zaś, drogi żelazne, poczytywane w r. 1823 za rzeczy użytku prywatnego, przeistoczyły się wkrótce, na kontynencie, na *działa użyteczności publicznej*, nie tracąc wszakże charakteru prywatnego, jaki pierwotnie nosiły. Mają więc jednocześnie i publiczny i prywatny charakter. Publiczny, ze względu, iż są arterjami miejscowj i między-narodowj zamiany, arterjami, których wytwarzanie jest obowiązkiem całego społeczeństwa i jedném z głównych zadań jego rządu; że czynią zadość ogólnym i publicznym potrzebom, właśnie z rządu tych, na pokrycie których ustanawiają się podatki i zbiera się grosz publiczny, że wreszcie też drogi żelazne nie mogą się nigdzie obejść bez przywilejów i monopolu. Jednocześnie przecież, mają one charakter prywatny, skoro są przedsiębiorstwem przewożenia osób i rzeczy, a więc najmem usług tak samo jak na drogach bitych, należącym do dziedziny prywatnej i tak samo tworzącym oddzielną gałąź przemysłu prywatnego.

Jakoż, eksploatacy drogi żelaznej nosi na sobie wszystkie cechy interesu prywatnego i z natury rzeczy, z konieczności, ma zawsze charakter działalności prywatnej, nie zaś publicznej, rządowej. Eksploatacy ta nie da się nawet pojąć bez nieustającej zamiany wielolicznego rodzaju usług i przedmiotów, bez codziennego wchodzenia w rozliczne umowy i czynności, z których żadna charakteru publicznego i rządowego nie nosi, ale przeciwnie, każda należy do dziedziny prywatnej. Wyłączając przeto zbudowanie plantu pod szyny i wykonanie dzieł ziemnych i wodnych, czyli ogarniając myślą to, co już wchodzi w zakres samejże eksploatacy, a więc mając na oku kupno i ułożenie podkładów i szyn, roboty wierzchnie, zaopatrzenie drogi w tabór, konserwacyą téjże drogi i tegoż taboru, urządzenie służby, słowem wszystkie ogniwa téjże eksploatacy, trudno zaprzeczyć, iż trzeba dla niej użyć bardzo wiele różnorodnej pracy, wykonać bardzo wiele rozmaitych operacy i handlowych i przemysłowych, wejść w bardzo wiele różnej nazwy umów cywilnych i że te wszystkie działania z atrybucjami rządu nie są nawet zgodnemi, tak dalece, iż nie mógłby on ich podjąć bez radykalnego pogorszenia politycznego i społecznego ustroju, rządzonego przez siebie kraju, lub bez uczynienia tegoż ustroju niemożliwym. Jakoż, idea podjęcia przez państwo (*Eld!*) pracy potrzebnej przy urządzeniu,

utrzymywaniu i eksploatacyi drogi żelaznej, musiałyby płynąć z tej znowu idei, jakoby rząd będący tylko częścią społeczeństwa, którego jest organem i wyrazem, był czémś więcej niż owa całość i jakoby nie on dla owęj całości, lecz przeciwnie ona istniała dla niego; że wreszcie ta część całości zamiast pozostać przy zadaniach wyższego rzędu dla jakich właśnie istnieje, może się przerzucić w dziedzinę przemysłu, wynajmować swe usługi i zastąpić inicjatywę i działalność prywatną¹⁾. Ktokolwiek zresztą zajdzie na jeden z głównych dworców drogi żelaznej i zechce się przyjrzyć tysiącom rąk, pracującym tam w tyłu różnorodnych kierunkach, ten bezwątpienia nie będzie już powyższej zasady podawać w wątpliwość.

Pogląd przeciwny ma przecież licznych zwolenników, od chwili zwłaszcza wydanego w Prusach prawa o skupie wszystkich dróg żelaznych i o ich eksploataowaniu przez rząd. Właśnie przy rozbiórce zasad taryfowych, spodziewamy się odsonić przynajmniej jeden z pomiędzy celów, które mogły skłonić rząd pruski do przeprowadzenia w sprawie dróg żelaznych tak doniosłej reformy. Niejednokrotnie zresztą zasady i pojęcia w materyach ekonomicznych i społecznych, które i w teorii i w zastosowaniu oddawna używają na Zachodzie pełnego obywatelstwa, spotykają w Prusach energiczną negacyą. Istnienie oddzielnej szkoły tak zwanych *Kateder-socialisten* jest tego dostatecznym dowodem. Czy wszakże rząd przejmuje na siebie eksploatacyę dróg żelaznych, w skutek rozwijanych przez tę szkołę poglądów, czy dla tych lub innych państwowych celów, czyni to przecież nieinaczej, jak wkraczając w dziedzinę działalności prywatnej²⁾. I w istocie wykonywa on właśnie czyn prywatny, spekulacyą przemysłową i handlową, mającą zawsze charakter prywatny, uwydatniający się właśnie ogromem pracy i wielością tranzakcyi, a więc czynnościami prywatnemi, bez których też eksploatacyą obejść się nie potrafi.

U nas, w Królestwie, utrzymuje się bez zmiany zasada przyjęta we Francyi; drogi żelazne są uważane za dzieła użyteczności publicznej³⁾, ale jednocześnie ich budowa i eksploatacyą poczytywaną jest słusznie za należącą do dziedziny przemysłu prywatnego. Gdy zaś

¹⁾ „Le travail des chemins de fer peut d'autant moins appartenir à l'État que les chemins de fer prennent eux mêmes plus d'extension, en sorte qu'autant l'utilité publique grandit, autant l'incapacité de l'État se déclare: ces deux termes croissent en raison égale et inverse l'un de l'autre.” P. J. Proudhon (*loco citato*, str. 272).

²⁾ „Eisenbahnen sind zunächst ebenfalls nach dem *privatwirthschaftlichen Princip* zu verwalten, so lange das grosse in ihnen steckende Kapital zu verzinsen und zu amortisiren ist,” przynajmniej jeden właściciel ze zwolenników eksploataowania dróg żelaznych przez rząd. *Das Eisenbahnwesen als Glied des Verkehrswesens insbesondere die Staatsbahnen* von Adolph Wagner (Leipzig 1877).

³⁾ Art. 1 postanowienia Rady administracyjnej z d. 9 maja 1859 r.

rząd, budując sam drogę Warszawsko-Wiedeńską, a następnie przez lat kilka sam ją eksploatując, o niedogodnościach administracyjnego prowadzenia téj gałęzi przemysłu przekonać się dostateczną miał sposobność, można przeto wnosić, iż nauczony własném doświadczeniem, zasady powyższej zmieniać i eksploatacyi dróg żelaznych na siebie przejmować nie łatwo będzie skłonny.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Sprawozdanie z obchodu jubileuszowego czterystoletniej rocznicy założenia wszechnicy Upsalskiej, dnia 4, 5, 6 i 7 września 1877 r., Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Poznaniu, złożył w ofierze Wawrzeniec hr. Engeström. (Poznań 1877 r.).

Upsala nie wielkie to, prawie całe drewniane ale schludne miasteczko, przystrojone olbrzymim średniowiecznym zamkiem, który na szczycie wysokiej góry imponujące robi wrażenie, przystrojone jedną z najpiękniejszych katedr gotyckich Europy i wspaniałemi gmachami uniwersyteckimi, jest rzeczywistą stolicą, historycznym grodem duchowym *Svei*, stolicą światła i gwiazdą przewodnią ducha skandynawskiej idei.

Śniąc prastare swoje dzieje,
Duchom ojców wieniec splata,
I serdecznym ogniem tleje,
Którym w przyszłość myśl ulata:

W te rodowych snów wyżyny,
Do ojczystej téj idei,
Że po ojcach znowu syny,
Utrzymują ducha *Svei*.

Odbył się teraz tam i dodał nowéj pamiątki obchód czterystoletniej rocznicy założenia wszechnicy uniwersyteckiej przez Jakóba Olfson arcybiskupa i prymasa Szwecyi, który tutaj spoczywa, a w roku 1477 pierwsze tu posiedzenie zagaik.

Stara katedra upsalska dawno, bardzo dawno już pewnie tak zapełnioną nie była. Dwa tysiące osób w urzędowym pochodzie procesyi wpłynęło pod wielką nawę, prócz tego sześć tysięcy osób wpusz-

czono za biletami, o które zawczasu starać się było trzeba. Kilkadziesiąt tysięcy otaczało na zewnątrz katedrę, punkt zborny wielkiego święta Upsali, wielkiego duchownego święta Szwecyi, Skandynawii, Europy całej, których oczy, myśli i serdeczne życzenia w chwili obchodu ku Północy zwrócone.

Ku bramie wchodowej zwróciły się wszystkich oczy, bo ztąd rozpoczął się wspaniały obchód. Rektor uniwersytetu profesor Sahlin, dziekani czterech fakultetów, profesorowie Cornelius, Landtmanson, Holmgien i Nyblom oraz profesor Hidenius, przewodniczący komitetowi jubileuszowemu, udali się do proga katedry na przyjęcie króla Oskara II i księcia następcy Gustawa.

Po modlitwie i pieśni, arcybiskup upsalski Sundberg wypowiedział kazanie. Po niém nastąpiły różne mowy przeplatane śpiewami chóralnymi i dźwiękami doborowej orkiestry. Zbyteczne byłoby powtarzanie wszystkich różnorodnych orędzi, jakie mniej więcej w jednym sensie swoje uczucia wyrażały. Najprzód Szwedzi składali życzenia kanclerzowi uniwersytetu hr. Hening Hamiltonowi, jako reprezentantowi instytucji. Professor König przemawiał w imieniu swojej wolnej ojczyzny, w imieniu Uniwersytetu berneńskiego i wszech uczonych Szwajcaryi; za nim reprezentant Utrechtu i towarzystw naukowych Amsterdamu. Później głos zabrał wysłannik Bononii i Rzymu, profesor Pollicioni w imieniu włoskich swych towarzyszy. Z Rosyi ośmiu reprezentantów towarzystw naukowych carstwa wystąpiło. Na czele radzca stanu Grot, który w imieniu Uniwersytetu petersburskiego przemawiał. Z kolei wystąpił cały szereg uczonych albiońskich w różnorodnego kroju i różnorodnych odcieni togi szkarłatne przybrany. Anglia, Szkocya, Irlandya, we wspólnej zebrana drużynie szła, w której imieniu odezwał się Balfour prof. wszechnicy edyburgskiej. Reprezentanci Francyi członkowie Akademii francuzkiej Boissier i Geffroy, długą, potoczystą a bardzo serdeczną mową miłe na Szwedach zrobili wrażenie. Profesor Laveleye z Belgii reprezentował Uniwersytet Liège. Z Austrii przemawiał profesor Heischl z Uniwersytetu wiedeńskiego. Na czele wysłanników niemieckich stanął reprezentant uniwersytetu Greiswald professor Pütter. Na czele Norwegów z Uniwersytetu krystyańskiego profesor Aubert. Za Norwemią oddzielnie, wystąpiła Finlandya, w której imieniu przemówił słynny profesor Topelius poeta, jedna z najwybitniejszych znakomitości dzisiejszej literatury szwedzkiej, jako deputowany Uniwersytetu z Helsingfors. Później nadszedł telegram od stóp Araratu przesłany przez doktorów finlandzkich w służbie rosyjskiej zostających. Z Danii profesor Uniwersytetu kopenhagskiego Panum. Oddzielnie stanęli reprezentanci Islandyi, owę „ziemi lodową“ kędy pod biegunami już niemal żyje i rozwija się duch człowieczy, i pochodnią światła umysłowego rozświeca zmrok natury senniej i zimy północnej. W imieniu tej zatraconej cnoty ludzkości przemawiało dwu wysłanników prof. Gislason i dr. Wigfusson. Wystąpiło też kilku pełnomocników niektórych towarzystw naukowych. Składano krótkie zy-

czenia, listy, nadchodzące wczas telegramy. Pomiedzy ostatnimi „złożyłem (mówi hr. Engeström), skromny telegram łaciński naszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk z Poznania.”

Na zakończenie aktu uroczystego odezwały się chóry głosów młodzieży upsalskiej. Słynni śpiewacy akademicy pod przewodnictwem pana Hedenblad dopełniając kantaty jubileuszowej Josensohna, zaśpiewali chór męzki Wirseną:

W wiekach które tu przeżyły,
Dzielne serca, dzielne były!
Bo w żywotnej dnia godzinie
Myśl do słońca zawsze płynie.

Złotą lirą pieśni grały,
Tysiąc zadań rozwiązały,
Wazów głosy, Carlów cienia,
Zdobią stary wiek wspomnienia;
A w zaciszu laury zbiera
Myśl Linnea i Gejera.

Boże! tarczo naszój Svei,
Coś w północnej nas zawiei,
Na ostatnim stawil kresie,
Kędy światło blaski niesie;

Boże wspieraj nas ubogich,
Na tych naszych kresach drogich,
Niech nie słabnie z Twojój woli,
Mały zastęp w twardój doli:
Osłoń nasze łany, skały,
Osłoń wiedzy ideały.

W imię światła, w imię prawa,
Niechaj idzie nasza sprawa;
Niechaj zmoże wszelki trud,
W Imie Boże, szwedzki ród!

Po skończonej uroczystości w katedrze o godzinie 2, znów zaczęto się gromadzić na godzinę obiadową. Dwa główne punkta zwracają ogólną uwagę. Władze uniwersyteckie w botanicznym ogrodzie, ozdobnej Linneusza stolicy podejmują króla, gości swych zagranicznych, reprezentacją narodową, uczonych i nieuczonych rodaków. Młodzież akademicka w ogrodzie Gilet przyjmuje deputacje studentów, dawnych swoich kolegów i przyjaciół z kraju i zagranicy.

Do wspaniałego gmachu oranżeryi uniwersyteckiej, w której jest statua Linneusza, dobudowano gustownie i bardzo ozdobnie olbrzymią salę, gdzie był tron królewski, różne godła, sztandary, nad arkadami

herby wszystkich prowincyi Szwecyi. Ściany były okryte wieńcami i wypisanemi nazwiskami najzasłużeńszych ludzi narodu, nazwiskami tych książąt ducha, którzy wieńcem swój sławy dumną Sveonów ziemię w oczach Europy dziś otaczają. Cały szereg napisów chronologicznie jest ułożony, najmłodszy w szeregu tym historycznym jest Haefner, rozpoczyna go Sture swém nazwiskiem. „Jakżeby pięknie takim pomysłem przystroić można gród Jagiellonów, gdyby naprzykład w naszym starym Krakowie, wieńcem świetlanych imion narodu ubrano nam Sukiennice, on pomnik stary, który z czcią należną dziś odnawiamy.“

Po skończonym obiedzie przy którym były mowy, wiwaty, rozdawano drukowane wiersze, improwizacye, przybyła deputacya studentów z ogrodu Gilet, mając na czele docenta Afselius. Student upsalski specjalnego nie nosi ubioru, mundurem i oznaką jego jest czapeczka biała z czarną obwódką, na której złoto-niebieska kokarda narodowa jest oznaką korporacyi, do której należy. Następca tronu w nią téż był przybrany. W takim przybraniu i teraz wystąpili, a po przywitaniu ruszyła cała młodzież, goście i gospodarze procesyą uroczystą przez całe miasto. Za sztandarami korporacyi studenckich, które w Szwecyi narodami (Nation) są zwane, ze śpiewakami ruszono w miasto. Gorzało niemal iluminacyą całe miasto, nie było zaułka ubogiej chaty, okna nawet zapomnianego; świeciły się mieszkania nie zajęte obecnie przez gospodarzy. W każdym oknie co kto miał najświetniejszego stawiał. Zbytek światła i kwiatów okazywał serdeczną i prawdziwą miłość.

Po nasyceniu się tym widokiem, którego krasę podwyższył obraz przyjęcia króla i następcy przez lud w czasie objazdu uiluminowanej Upsali, autor wraca myślą do swojej przybraney ojczyzny. Widok oświeconego zamku Wazów w Upsali przypomina mu Wawel, jego zamek, w którego każdym (rzekomo) oknie po 25 świec żarzących się pali, i zagasłe cienie Jagiełłów, Zygmunatów się snują...

„Marzylibyście taki sen na jawie,
Jaki ja widzę w tój światel wystawie.“

Nastąpił upragniony spoczynek. Każda rodzina dla cudzoziemców pocziwém sercem gościnne wrota pootwierala, wszędzie bezpłatne zamówiono kwatery, dano przyjęcie serdeczne i braterską opiekę. Komitet uniwersytecki zawczasu pomyślał o wszystkiém, nietylko w Upsali, ale na granicy Szwecyi poroższyłał wszędzie komisarzy, aby na progach ojczyzny, witając cudzoziemców zapewnić im wygodę i usługę w podróży. Teraz spojeli, po wcześniej zamówionych kwaterach.

Zbudziły mię dzwony (mówi autor), ustały sny i widzenia. Zagrzmiały działa i rozpoczął się dzień drugi.

Za głosem dzwonu pospieszylismy do gmachu Carolińskiego, do biblioteki, gdzie równie jak wczoraj poważnie i strojnie z całą uroczystością, wszyscy w wielkiej auli uniwersyteckiej zgromadzili się. Zmienionym tylko porządkiem jak wczoraj ustawiają się i porządkują

do pochodu przez miasto do kościoła katedralnego, gdzie jako dalszy ciąg jubileuszu i następstwo jego obchodzić mamy uroczystość promocyjną doktoryzacji czyli uroczystość nominacji doktorów jubilatów, doktorów honorowych, i młodych wyzwolonych w skutek złożenia egzaminów doktorów wszystkich czterech fakultetów razem. Na czele pochodu za przewodniczącym orszakiem młodzieży akademickiej, która długą wstęgą swych białych czapek zalała ulicę Królowej, postępują cztery oddzielne grupy, bohaterowie dnia dzisiejszego doktoryzanci czyli promowenci. Przoduje pochodowi najliczniejszy fakultet filozofii, dalej idzie prawniczy, fakultet medyczny, a na ostatku orszak teologiczny. Oznaką doktorską trzech ostatnich fakultetów nie wieniec laurowy, ale kapelusz jedwabny w fałdy wzdłuż ułożone. Godziwym niemal pochodem ciągnie się ta uroczysta procesya, przy dźwięku dzwonów odgłosie, w otwarte nawy kościoła wstępnie, pieśniami psalmy witaną. Po chwili oczekiwania, król Oskar z księciem Gustawem przybywa. Król-filozof w cywilnym doktorskim fraku, na którym miasto wczorajszych orderów i wstęgi, jest zawieszony wieniec laurowy. Skoro król zasiadł na tronie, wśród ciszy uroczystej odezwały się chóry nowej kantaty. Po odśpiewaniu pieśni wstępnych kantaty, rozpoczęły się mowy stosowne do nastąpić mającej ceremonii doktoryzacyjnej. Po jej odbyciu nastąpiły chóry; z udziałem publiczności odśpiewano kilka nabożnych psalmów i ulubioną pieśń narodową *Lat dina porta rupp* (Otwieraj wrota swoje). W ogrodzie botanicznym miasto Upsala swoim kosztem podejmuje wszystkich niemal zebranych; po obiedzie uroczystość ludowa i fajerwerki. Trzeciego dnia odbył się obiad w ogrodzie botanicznym: zastawiono stołów czterdzieści, zasiadło do nich osób tysiąc trzysta. Król z następcą tronu w cywilnym ubraniu; Oskar II, równie jak wszyscy filozofowie, z wieńcem laurowym na piersi. Muzyka, śpiewy, toasty: wszystko jak dni poprzednich, tylko wystawniej, huczniej, i liczniej odbywało się. Ogród był przepełniony; sprzedano biletów 10,000 po 1 koronie bilet. Wspaniała iluminacja, fajerwerki, kończą obchód. Wśród dymu i blasku różnokolorowych płomieni zaświeciła olbrzymia cyfra **O**, nad którą ze złotych i błękitnych gwiazd korona się unosiła, potem niewidziany dotąd w Szwecji fajerwerk i olbrzymi obraz ognisty, którego wykonanie 10,000 koron kosztować miało. Wrodzaju portyku o trzech arkadach zabłysnęły postacie Gustawa Adolfa Starego i Ornefeta pod cyframi 1477—1877. Z botanicznego ogrodu akademicy z tysiącem pochodni uroczystą postępując procesyą, skierowali się na górę zamkową, aby cześć złożyć i podziękować królowi.

A jak wszystko w świecie ginie,
Zgasły światła, pieśń przebrzmiała,
I powieścią tylko płynie,
Jak ją pamięć zapisała.

Dzień trzeci snują się od rana cudzoziemców drużyny, odbywając pośpieszne historyczne i naukowe pielgrzymki, zwiedzając ciekawości

Upsali. Pociągi kolei w dziesięć minut przewożą licznych gości do Gamla, Upsala, do stariej rzeczywiście Odynowej Upsali, pod stopnie trzech wielkich kurhanów i do najstarszej świątyni szwedzkiej, w której pierwszy krzyż Chrystusowy na bałwochwalczej modlnicy Odyna był postawiony. W sali uniwersyteckiej odbył się wspaniały koncert na wielką skalę. Sala trzeciej części gości pomieścić nie mogła; koncert rozpoczął się świetną uwerturą z *Dziewicy Orleańskiej*, pod dyrekcją znanego Josephsona. Punkt kulminacyjny tej uroczystości muzycznej stanowiła sławna stara pieśń: *Du gamla du friska du fêlhôga Nord* (O stara, o świeża wysokoskalna Północy!).

Dzień trzeci zakończyła biesiada na 4,000 osób. Król Oskar II opuszczając Upsalę, zaprosił wszystkich gości i władze upsalskie, gro-no akademików, marszałków, na wieczór pożegnalny, który na sobotę dnia 9 września na zamku Drottningholm uroczystie przygotowano. Osób zaproszono 700. Gdy nadchodziła chwila monarszego przyjęcia, pod Ridderholmem w Sztokholmie, uwieńczone i strojne oczekiwały parowce. Na przyjęcie gości wchodzących w otwarte zamku podwoje odezwała się orkiestra, do wielkiej sali monarchów nas wprowadzając. Sala monarchów, największa sala przyjęcia, jest ubrana z czasów Gustawa III portretami naturalnej wielkości wszystkich ówczesnie panujących w Europie. Król uprzejmie i gościnnie podejmuje zaproszonych; władając płynnie wszystkimi niemal językami, do wszystkich przemawiał, ujmując serca i pozostawiając po sobie miłe i niezatarte wspomnienie. Po ucztach, o 11 wieczorem zabłysła iluminacja i fajerwerki, i parowce odwiozły nas na spoczynek do Sztokholmu,

Kędy marząc, śniąc na jawie,
Każdy myśli o wyprawie;
Każdy śpieszy w swoje progi
I gotuje się do drogi.

Ja, wróciwszy z progów tronu
Do méj chaty, do zagonu,
Dziś wysyłam sprawozdanie,
A przeproszam szczerze za nie,
Jeśli moja powieść cała
Nie do serca wam przypada,
Na co stało—to wam szczerze
Z pozdrowieniem ślę w ofierze.

Z.

Encyklopedia kościelna podług teologicznej Encyklopedyi Wettera i Weltego, z licznemi jęj dopełnieniami, przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób, wydana przez księdza Michała Nowodworskiego. Tom I, w Warszawie 1873 r., Tom XI, 1878 r. w 8-ce.

Od dawna u nas poczuwano potrzebę Encyklopedyj, jakie już obce literatury posiadały.

Pierwszy Ignacy Krasicki, pragnął ten brak zapełnić, pierwszą Encyklopedyą wszystkich nauk przygotował i wydał w r. 1781 pod napisem: *Zbiór potrzebniejszych wiadomości, porządkiem alfabety ułożonych.* (Nakładem Michała Grölla w Warszawie). Wyszło to dzieło w dwu obszernych tomach w wielkiej ósemce, drogą prenumeraty, po dwa dukaty za egzemplarz. Na czele jest przypis: „*Najjaśniejszemu Stanisławowi Augustowi królowi polskiemu, wskrzesicielowi nauk, Ignacy Krasicki książę biskup warmiński, zdrowia i długiego panowania.*“

Zebrane drogą przedpłaty 444 dukaty za 222 egzemplarze, nie tylko pokryły wszystkie koszta wydawnictwa, ale dały nawet piękny zarobek, gdyż autor żadnego *honorarium* za swą pracę nie otrzymał. Dzieło to, jakkolwiek w swoim czasie chlubnego doznało przyjęcia i wprędce wyczerpane z obiegu handlu księgarskiego zostało, niemogło bynajmniej, potrzebom umysłowym naszego stulecia wystarczyć, i dziś tylko w spisie bibliograficznym wielkiego pisarza zajmuje drobne wspomnienie.

W pół wieku blisko, bo w r. 1830, Waleryan Krasiński po założeniu w Warszawie drukarni stereotypowej, zaczął w niej, na wzór *Conversations Lexikonów* Encyklopedyą powszechną drukować. Ponieważ co szło pod prasę było prostém tłumaczeniem z niemieckiego, dawało to sposób zarobkowania nie jednemu ze zdatniejszych uczniów Uniwersytetu warszawskiego.

Zasze wypadki w końcu tegoż roku, przerwały wszystkie publikacje, jakie rozpoczął czynny Krasiński: jemu więc pierwszą myśl wydawnictwa *Encyklopedyi Powszechnej* zawdzięczamy.

W następnym okresie pomimo świetnego rozwoju literatury naszej, i publikacji dzieł nietylko wysokiej wartości ale i szerokich rozmiarów, żaden z nakładców nie śmiał się pokusić, na wydawnictwo *Encyklopedyi Powszechnej*.

Dopiero bracia Glücksbergowie księgarze warszawscy i wileńscy podjęli na nowo myśl tej publikacji pod redakcją Leona Rogalskiego.

Zaczęła więc w Warszawie wychodzić *Encyklopedia Powszechna* zeszytami i w ciągu lat od 1835—1839 r. wyszło jęj cztery tomy od *A* do *C*, i kilka zeszytów głoski *P*.

Nieregularność wydawnictwa stosownie do przyrzeczenia prospektu, sprawiła, że publiczność gorąco z początku popierająca to przedsięwzięcie, z wolna ochłodziła i zniechęcona opuściła. Zawód zrobiony, na długie lata zwichnął nowe przedsiębiorstwa w tym rodzaju.

Znalazł się w końcu energiczny księgarz i nakładca, który znając dobrze potrzeby czasu, literatury krajowej i usposobienie czytającej publiczności, we 20 lat później, śmiało stanął do tej publikacji, obmyśliwszy należycie wszystkie środki, ażeby spełnić swoje zadanie.

Zrozumiał, że do tak różnolitego dzieła, redaktor jeden wystarczyć nie potrafi, w tym więc celu wybrał czterech literatów, znanych pracowników w rozmaitych gałęziach nauki i tym powierzył główniejsze działy. Każdy z nich dobrał sobie grono pomocnicze, któremu powierzył redagowanie artykułów, wedle abecedowego porządku. Tak więc dorazu, stanął poważny zastęp pisarzy zdolnych do poparcia tego wydawnictwa. W r. 1858 zaczęła się praca redakcyjna: w październiku 1859 r. ukazał się pierwszy zeszyt *Encyklopedyi Powszechnej* S. Orgelbranda.

Przewidujący na wszelkie wypadki wydawca, miał już wydrukowanych w zapasie 12 zeszytów, zanim pierwszy ogłosił, a ta jego oględność sprawiła, że w ciągu całym wydawnictwo, pomimo najnieprzychylniejszych okoliczności dla tej publikacji, przerwanem nie zostało, i zeszyty regularnie, wedle zapowiedzi prospektu wychodziły z pod prasy.

Dzieło to, nad zamiar, rozrosło się potężnie w swoich rozmiarach, gdyż z XV, jak zamierzano tomów pierwiaskowo doszło do XXVIII, i w ciągu lat dziesięciu wydrukowanem w całości zostało, tom ostatni nosi bowiem datę 1868 r.

Jakkolwiek w tak olbrzymich rozmiarach praca wykonana została, wkrótce okazała się potrzeba *Encyklopedyj specjalnych*, dla zaspokojenia, w coraz większém kole, pożądanej wiedzy. Ztąd powstała *Encyklopedia Rolnictwa*, wydawana pod redakcją J. T. Lubomirskiego, Ed. Stawiskiego, St. Przysiańskiego przy współudziale L. Krasieńskiego, L. Kronenberga, I. Zamojskiego, której tom I ukazał się w r. 1873. Pomnikowe to wydawnictwo dobiega już kresu swego.

Równocześnie ukazała się *Encyklopedia Kościelna*, gdyż jój tom pierwszy ukazał się także w r. 1873.

Na tytule, wydawca podał znaną w tym kierunku Encyklopedyę: *Kirchen lexikon oder Encyklopädie der Katholischen Theologie*, wydaną w XIV dużych tomach 1847 r. (Freiburg in Breisgau), która może być uważana za skarbiec wszystkich uniejętności teologicznych, owoc sumiennej pracy, najznakomitszych katolickich uczonych w Niemczech, i powiększj części specjalistów w swoim przedmiocie.

Takie dzieło postanowił pierwotnie przyswoić literaturze polskiej ks. Michał Nowodworski, ale gdy przyszło do wykonania, spostrzegł, że dzieło to, nie tylko potrzebuje sprostowań, ale pisane po niemiecku

i przez Niemców, przedewszystkiem uwzględniało rzeczy i stosunki kościelne niemieckie; przeniesione na grunt nasz, musiało być uzupełnione nietylko bogatemi przedmiotami dotyczącemi kościoła katolickiego, ale zwyczajem i obyczajem krajowym, równie jak jego historycznym pochodem. Praca taka pokazała się dopiero mozolna, wymagająca nietylko żelaznej wytrwałości, ale nauki, i umiejętnej a sumiennej ręki, co do badań nad historją kościoła polskiego, która dotąd jest prawie w kolebce.

Główny redaktor, wezwawszy do pomocy znanych z nauki kapłanów jak: ks. Stanisława Jamiołkowskiego, W. Knapińskiego, Stanisława i Zenona Chodyńskich, rozpoczął swą publikacyą, która znalazła poparcie w szerokiem kole prenumeratorów i czytelników; dał bowiem literaturze naszej dzieło, nietylko pożyteczne dla osób duchownych, ale dla miłośników przeszłości polskiej i dla poważnych nawet jej badaczy.

Znajdujemy w *Encyklopedyi Kościelnej* obszernie monografie dawnych zakonów, które tyle oddały usług oświacie publicznej, i rozwojowi sztuki krajowej: dzieje mniej znane biskupstw, które oddawna zniknęły jak bakowskie na Wołoszczyźnie, kijowskie. Życiorysy dokładne znakomitości duchownych: papieży, biskupów i teologów obok innowierców i sekciarzy rozmaitych; wiadomości o bractwach tak rozlicznych: o agendach polskich wraz ze spisem ich bibliograficznym i podaną treścią. Niepominięto i biografii królów polskich pod właściwemi literami. Nieobojętne też są obszernie rozprawy o dysydentach i dziesięcinach w Polsce. Obszerny ustęp poświęcony opisowi cmentarzy w Polsce (lubo pominięto dzieła im poświęcone). Mają tu miejsce obszernie monografie Ameryki, ze stanowiska kościelnego, równie jak Austrii i Irlandyi. Biblii, towarzystwom biblijnym jak Bożym Sądom, poświęcono odpowiednie artykuły. Równie idąc od apostołów, powstającym zakonom, ich założycielom i dziejom, w pochodzie historycznym przez upłynione wieki. Mamy dzieje Hugonotów, Hussytów jak Jezuitów w Polsce, a wszystko oparte na poważnych źródłach, niepomijając najnowszych badań krytycznych ostatnich badaczy.

Nawet w drobniejszych artykułach znajdujemy tę skrzętność redakcyi *Encyklopedyi Kościelnej*, że nie pomija nawet szczegółów mniejszej wagi, ani nas razić może, że w dziele tak wyczerpującem, obok Bakona filozofa znajdujemy księdza Bakę autora wierszy o *Niechybnej śmierci*. Niezapomniano uczcić należnem wspomnieniem księdza Teodora Kilińskiego synowca sławnego Jana, autora *Pamiętników z przeszłego stulecia*.

Przywodzimy te szczegóły z mnóstwa innych, w które tak ubogacona jest *Encyklopedia Kościelna*, dla pokazania z jaką sumienną akuratnością jest redagowana.

W wielkiej *Encyklopedyi Powszechniej* S. Orgelbranda, dział religijny i kościelny był obszernie traktowany przez zmarłego niedawno

Leona Rogalskiego i jego współpracowników: ale jakże zmała w obec ogromu wiadomości w *Encyklopedyi Kościelnej*.

Nie naszym zadaniem wdawać się w rozbiór krytyczny szczegółowych artykułów, znalazłyby się niewątpliwie tu i owdzie usterki, bo błędy mniejsze lub większe są nieodstępne od tego rodzaju dzieł; chcieliśmy tylko podać krótkie sprawozdanie o znaczeniu tak ważnej publikacji, która doprowadzoną jest do litery *K*. Połowę więc niemal alfabetu ukończono; ufać należy że i druga połowa dzieła wypracowaną zostanie témbardziej, że znajduje należne poparcie w liczniem kole swoich czytelników. Wydawca i redaktor uwieńczy pięknem a wdzięcznym wspomnieniem, dostojne imie swoje. R.

Fotografie społeczne, zebrane przez autora Kłopotów starego komendanta. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta (tomów 3, w 8-ce). Tom I str. 248: *Kapryś panny Julii*. — *Sąd polubowny*. Tom II: *Przegrana sprawa*. — *Pan komornik*. — *Pani inspektorowa*. Tom III str. 224: *Mania Curaciosa*. — *Intromisia lekarza*. — *Zęby Warszawianki*. — *Naiwności szlachekkie*.

Pamflet, dowcip złośliwy, jadowity, ironia zabarwiająca całe pismo, są to bezwątpienia zjawiska smutno wróżące, jak o samym nastroju duszy autora, tak o społeczności, która im przyklaskuje. Tego rodzaju sprężyny, rzadko kiedy zbudować coś mogły, wywracają zaś wiele, bardzo wiele. Talent pożądaný na każdej innej niwie, na tém polu prawdziwą plagą społeczną nazwaćby można. Szyderstwo jest to choroba, którą przejść musiało, najprzód samo serce piszącego, a którą następnie z kolei rzeczy oddziaływa na czytelników, jakby zaraźliwym oddechem. I dlatego objawy tego rodzaju występują zwykle w epokach zachwiania się zdrowych pojęć, upadku czci społeczeństwa, w epokach sofizmatów i zepsucia smaku. Smutne to, powtarzamy, objawy; tém smutniejsze, z im zdolniejszej pochodzą ręki; szczęście jednak, że ich blask tak szybko gaśnie, jak wszystkie fenomena okolicznościowe, jak panegiryki, epitalamnia i t. p. W obec dopiero co wzmiankowanych zbroczeń talentu, jakże świetnie występuje humorystyka i ów szlachetny, przejrzysty dowcip, którego nikt dobitniej nie scharakteryzował jak nasz Krasicki. Jako geniusz prawdziwy, ogarniający, Krasicki miał jasno przed oczyma ideał człowieka, obywatela; a że ukochał społeczność w obydwu tych charakterach, przeto i jęj wady nie pokrapiał zólcją jak Naruszewicz, ale braterskim uśmiechem ostrzegał, do wejżenia w siebie zniewalał.

Wielbił urząd, czcił króla, lecz sądził człowieka.

Krasicki był humorystą. Dlaczego jednak humorystyczne skierowanie dowcipu z Krasickim ustało? dlaczego dowcip uległ zwicnięciu po postawieniu tak dojrzałego kroku w *Doświadczyńskim*? Są to zapytania nasuwające się każdemu, kto baczniej tę kwestyą rozpatrywać zamierza. Rzeczywiście, komu wiadome są dzieje nowoczesnej literatury naszej, ten bezwątpienia przyznać musi, że do najrzadszych objawów literackiej twórczości u nas, należał i należy jeszcze objaw humorystyki w właściwem jej pojęciu i znaczeniu. Żaden może dział piśmiennictwa naszego tak ubogim nie został! żadna gałąź literatury tak mało nie wydała owocu! Dziwny zaiste fakt w obec ogromu innych kierunków twórczości, tém dziwniejszy może, że o ile nam się zdaje, to grunt, na którym wyrasta prawdziwy humor, mieliśmy od dawna już gotowy.

Badając wszakże głębiej to zjawisko, łatwo możemy sobie zdać sprawę, dlaczego ten grunt stał się nieplenny tak rychło, że ani kwiatu pełnego woni i barwy, ani owocu pożywnego nie wydał.

Po Krasickim, atmosfera naciskająca całą społeczność, nie była przyjazną dla odżywienia się humoru i rozrostu w utworach literackich. Trzeba było ożywczego tchnienia w swobodnej myśli i wolnym oddechu serca;—a tych nie było.

Rodzimy nasz dowcip, którego najwybitniejszymi reprezentantami, jak Rej, Kochanowski, Kłonowicz, nasza jowialność i żartobliwość co jedno, czyliż nie były w samej rzeczy wybornym materyałem do budowy szczytnego nawet gmachu humorystyki? Dowcip nasz jeżeli był wesołością, śmiałością, otwartą, niekiedy zbyt może swobodną i rubaszną, płynął nam zawsze z serca, a nie z głowy, splatał się więc z uczuciem. Kochał tych, z których śmiał się, gardził zawsze głupstwem i złem, a uwielbiał szlachetność i piękno, był szczerym, serdecznym, i w tym ważnym punkcie trafiał na właściwy kierunek humoru. Lecz dowcip nasz miał jeszcze jedną, a sobie tylko właściwą cechę, umiał zawsze znaleźć pewne granice dla żartu. Były rzeczy święte, nienaruszone, w obec których swobodny polot jego zniżał się i pochylał. Kiedy więc raz przechodził w żart niewinny, to znowu krył w sobie gorzką prawdę, zawsze jeszcze był pełen słodyczy i wesela ze spokoju serca pochodzącego, ukazywał rzecz z jednej strony, dobrej, pięknej, a biegnąc ze źródła niby srebrzysty potok z gór, zbliżać się musiał do wyżyn humoru. Taki dowcip był i jest nam wrodzony, taki dowcip myśmy kiedyś mieli; czémże się stało, że z podobnemi zasobami, szczyty humoru są dziś dla nas jeszcze niedostępne. Bośmy porzucili, oprócz powodów wyżej wzmiankowanych, swój własny, a pokochali się w obcym; stało się, że i własną rękę przyłożyli do wyjałowienia gruntu, do uprawy nam danego. Od końca XVII wieku zaciera się dowcip polski, zuchwasty, błyskotny, a zimny francuzki przybysz w jego miejscu władać poczyna. W XVIII-tym rozlewa się on już szeroko, sam nawet ksiądz

biskup warmiński, choć w bardzo małej części, nie uniknął jego wpływu; o Węgierskim można powiedzieć, że w swoim dowcipie to Francuz, inni przez pół, a inni potrosze. Pomimo reakcyi, która elementa narodowe wprowadziła w literaturę XIX wieku, ślady dowcipu francuzkiego, jak niezatarte piętna pozostają we wszystkich niemal utworach aż do dni dzisiejszych. Na zamianie takiej utraciliśmy bardzo wiele, Nie mówiąc już, że tradycyjalna, szlachecka jowialność, jedna z wielu cech narodowych, obumarała; co ważniejsza, że wraz z dowcipem francuzkim przyjęliśmy fałszywe znaczenie humoru, i dziś dalecy od humoru, już nawet własnego dowcipu (chyba tylko w nader rzadkich wyjątkach) nie posiadamy. Wiadomo bowiem, jak Francuzi humor pojmują. Jest on dla nich tém samém, czém jest zwykły dowcip, żart, kalembur, a często nawet bodaj i głupstwo. Cała téż belletrystyczna literatura francuzka, pomimo dowcipu, wykwinętnéj nieraz gry słów, nie jest nigdy humorystyczną. Dostyc nam spojrzeć w téj mierze na humorystykę pism czasowych, chwilowego może, lecz silnego reprezentanta tego kierunku. Tam humor zeszedł do téj samej roli, jaką zwykła odgrywać niższa komika w farsie. Co stało się we Francyi, w naturalnym porządku rzeczy, stać się musiało i u nas. Zamiast humoru mamy téż po większej części nie choćby nawet rubaszny żart Reja, swobodny i serdeczny Kochanowskiego, misterny Krasickiego, ale ironiczny, szyderyczy dowcip francuzki. Pisma, wyłącznie niby sferę humorystyki obejmujące, wzorem może pism francuzkich, niekoniecznie zdrowym śmiechem darzą swych czytelników. Jeżeli niema rzeczy zdrowszój nad komiczność i jój śmiech wesoły, pod wpływem którego (jak powiada Lemcke) dusza ludzka obmywa się z czarnéj troski jak z plam bielizna pod strugą czystéj wody; kiedy ta komiczność wyższéj miary humoru dosięga, tak niema znów gorszéj, jeżeli bez téj miary użytą będzie. Cóż się wtedy stanie ze zdolnością odczucia wzniosłych i pięknych wpływów? Skarłowacieją w nas, a skłonność ku brzydocie tak się spotęguje, że nie będziemy już czuli odrazy nawet w obec nieprzyzwoitości.

U nas, jak słusznie zauważono, popłacają dziś tylko *wolne i dowolne żarty*. Złe rozumiemy humor, jeżeli powiadamy, że on jest. Sama tylko angielska literatura posiada dzisiaj humorystykę w pełném tego słowa znaczeniu, bo tam ją rozumieją. *Humor* téż angielski to nie francuzki *dowcip*. Anglik nigdy nie śmieje się trywialnie, śmiech jego jest poważny, głęboki, filozoficzny, myślą pełny, bo dla niego humor, to najwyższa moralistyka. Tak téż zapewne pojmowali go wielcy humorysty, jak Szekspir, Rychter, Hoffman, Thakerey, Dickens i im podobni; takim téż on był w ich utworach, że wymienimy tylko *Snoby*, *Blumen Frucht und Dornenstücke*. Humor niemoże być rzeczą dowolną, jak sądzą niektórzy; przeciwnie, jest darem wrodzonym, jest to piętno na duszy naszéj wraz z jój poczęciem stworzone: jak dar poezyi trzeba go przynieść z sobą na świat, urodzić się z nim. Nie można w żadnym razie chcieć być humorystą, jak nie można chcieć

być poetą; humor podrobionym być nie może, jak się nie podrabia uczucia i prawdy. Prawda i szczerść, oto są cechy nieudanego humoru, cechy wspólne zresztą wszystkim utworom wynikającym z duszy, z natchnienia. Dowcip zaś, nie ten nasz dawny, lecz ten jaki przyswoiliśmy sobie, nie ma nic wspólnego z humorem; taki dowcip zabija humor, zamiast go ożywiać i potęgować. Bo jeżeli częścią prawdziwego humoru jest zawsze dowcip, to tylko taki, jaki nam był właściwym.

Z owój złotej rudy kopiąc mogliśmy zostać bogaczami, gdy porzuciwszy ją, bardzo ubogiemu zostaliśmy. W naszym dowcipie bowiem, jak w onej rudzie złoto, był grunt stokroć razy urodzajny, była szczerść, uczucie, bez których, jak wiadomo, humor w żadnym razie obejść się nie może. Humor też mając pozór jedynie wesołego usposobienia umysłu naszego, w gruncie jest zawsze pełen serdecznej rzewności a często i łez. Jestto następstwo pewnej odrazy moralnej, wynik bolesnych i gorzkich uczuć, na widok znieważonych norm obyczajowości i piękna. Nie objawia się on w zwykłej formie smutku, we łzach, lecz najczęściej w śmiechu, w tym śmiechu serdecznym, który bywa częstokroć tłumaczem najwyższych cierpień. Dla humorysty śmiech, to tylko kunsztowna maska, którą osłania serce swoje, aby mógł zniżyć wysoki polot ducha i zamienić poważną dramę życia na komiczną epopeę. Śmiechem on, jak przezroczą zastoną, przykrywa ranę moralną społeczności, jak się przykrywa oczy śpiącego od blasku słońca. Śmiech jednak nie jest nigdy, jedynym celem humoru i jedynym jego następstwem. Słusznie też zauważano, że czytelnicy prawdziwie humorystycznej powieści sami częstokroć nie pojmują, dlaczego skończywszy najweselszą powieść, długo potem zostają w zadumaniu. Owóż to nie co innego, jak tylko wynik humoru, który w misterniej szacie śmiechu, skrył żyz i cierpienia, myśl pełną powagi, przyodział wesołością. Humor bowiem, podobnym jest niejako do tych niemieckich walców, Webera, Straussa, Lannera, w których według spostrzeżenia G. Sand'a, radość i smutek w miłośnym krążą objęciu, ukazując twarz naprzemian, to uśmiechem szczęścia jaśniejąca, to łzami boleści omroczoną. Humor też nigdy nie działa w jednym kierunku, na jedno uczucie: kiedy prawdziwy, zdolnym jest poruszyć całą gamę uczuć naszych i jak kalejdoskop za każdym skłła obrotem nową ich stronę okazać. Lecz żeby je poruszyć i uderzyć w nie, bądź potężnymi akordami boleści, łagodnymi smutku, bądź dźwięczny, serdeczny ton śmiechu z duszy wydobyć, potrzebuje sam w istocie swojej mieć bardzo wiele uczucia, a z nim i bardzo wiele poezji. Ztąd to idzie owa, tak subtelna różnica dowcipu i humoru. Jeżeli więc przyjdzie nam teraz mówić że taki to utwór, taka powiastka, obrazek lub szkic jest dowcipnym, albo humorystycznym, to zawsze tylko mieć będziemy na uwadze takie pojęcie o tych dwu objawach twórczości, jakie z powyższego zestawienia słów naszych wypaść może.

Przechodzimy wprost do najnowszej pracy autora *Kłopotów starego komendanta*, do tak nazwanych przez niego *Fotografii społecznych*. O ile taka nazwa może być stosowaną do utworów podobnej treści i czy się ona słusznie im należy, rzecz to późniejszego sądu. W zamian też nasuwa się tu pytanie, czém to właściwie być powinna treść takim wielce obiecującym, chociaż i niemniej zobowiązującym tytułem reprezentowana? Czy takie *Fotografie społeczne* mogą być jedynie zbiorem powiastek, szkiców, obrazków, o formie wdzięcznej, treści lekkiej lub zabawnej, którychby całą wartość stanowić miała, ta chwila wesołości, jaką z sobą przynieść zdołają, czy też głębszego w nich poszukiwać należy znaczenia? Jak my rozumiemy, *Fotografie społeczne* powinny być wiernym odbiciem rysów danego społeczeństwa, w danej chwili: stanowić niejako różnobarwną galerję jego postaci, charakterów, a jeżeli można, i co lepiej, typów. Być niejako zwierciadłem, które jużto g'woli autorskiego uznania, same tylko wady, ułomności, śmieszności społeczne na gładkiej swęj powierzchni zatrzymując, odtwarza; czy i szerszy widnokrąg obejmie i na strony dodatnie zwrócić się zechce. Czy jednak w ten lub ów sposób autor postąpi sobie, tę lub ową stronę z pomocą dowcipu lub humoru, a nawet wprost poważnie uwydatni, zawsze i przedewszystkiem prawdę tylko powinien mieć na uwadze. Bez niej taka fotografia, chociażby nawet światłem dowcipu zabarwiona, będzie szwankować na podobieństwie i stanie się nieodpowiadającą celowi.

W dziele, o którym mówić mamy, znajdujemy dziesięć szkiców czy obrazków, dosyć obszerną, bo trzytomową całość stanowiących. Trudnoby nam zatem było o każdej, po szczególe mówiąc, szczegółową treść przytaczać. Wybierzemy też te tylko, które z pomiędzy wielu dobrych, wydały się nam najlepszemi; że jednak i wśród tych najlepszych *Sąd polubowny* tak co do rozmiarów, treści swęj jak i obrobienia, pierwsze zajmuje miejsce, od niego też zacząć nam wypada.

„Dla gospodarza wiejskiego (tak autor rozpoczyna opowiadanie swoje), każda niedziela jest prawdziwym dniem sądnym. Wszyscy może na świecie, w ten dzień zażywają spoczynku, my przeciwnie doświadczamy najwięcej kłopotów, przykrości i umęczenia, że doprawdy grzech wyznać, ale każdy z nas życzyłby sobie, ażeby ta niedziela, przynajmniej raz na cztery tygodnie wypadła.” Otóż to samo „kubek w kubek” działo się i téj niedzieli. Ledwie że mogłem odziać się jakotako i połknąć szklankę herbaty, a już drzwi od kancelaryi ani się zamykają. Wyjdzie jeden parobek, już drugi na jego miejscu, a za nim „mitosiernie” przez drzwi spogląda pasterz, „oknem zaziera propinator, a obdarty majster rymarski kaszle tak głośnie, że ten kaszel każdego więcej nerwowego człowieka odemnie, gotówby przywieść do rozpacz.” Gdybyż to jeszcze chodziło o gadanie samo, byłoby pół biędzy, ale przy tych niedzielnych gawędkach, wszystko się musi kończyć na wyplatach, o które zwykle biednemu szlachcicowi niełatwo. Bo i dajmynato, że się wymłóciło trochę pszenicy lub żyta. Finkielsztein

zajechał z furmankami zabierać to zboże, a tu jak na złość spodobało się Maćkowi, Piotrowi, Wojciechowi i tym podobnym, żądać ordynaryi.

— „Niémam, wielmożny panie, ani żdźbła mąki; baba niéma co do garnka włożyć“ i trudna rada, należy się, trzeba dać.” Z pieniędzmi jeszcze gorzej. Cały tydzień zbierasz zkąd możesz, rachujesz że Finkelsztein da tyle, propinator tyle; że wreszcie można od żony, która ma swoje fundusze z indyków, pożyczyć i zdaje się że wystarczy. Licha tam wystarczy, gdy jeżeli ci, o których zapłaceniu najmniej się myślało, przychodzą pierwsi i wołają: „daj!” Dasz temu, tamten woła; tamtego zaspokoisz, a tu trzeci i czwarty i dziesiąty, jakby z pod ziemi wyrastali, staje przed tobą. Spojrzę w okno, gromada najemników zwiększa się coraz bardziej; poobiadali sztachety, śmieją się i hałasują: dobrze im swawolić, kiedy mają brać pieniądze; ale gdyby im przyszło płacić, tak jak mnie, toby lepiej kręcili się niż ja w tej chwili.

— Józef!—krzyknę na usługującego chłopaka—gdzie Kiełbiński?

— A w śpichlerzu—proszę pana—mierzy pszenicę Finkielszteinowi.

— Biegnij! niech zdaje rachunek robocizny: kupiec poczeka trochę.

Tu dopiero rozpoczyna się zamieszanie i hałas. Finkielsztein nie chce brać pszenicy, dowodząc, że mokra; ja utrzymuję przeciwnie; Kiełbiński mnie popiera: żyd krzyczy, ja również.

— Antosiu!—odzywa się żona pokazując głowę z poza drzwi jadalnego pokoju—pójdźno tu, duszko.

Pośpieszyłem na wezwanie.

— Mój drogi, proszę cię, nie krzyczcie tak: ciotka i Marynia jeszcze śpią.

— Wszak już dziesiąta!

— One przywykły w mieście spać długo, a przez ścianę wszystko tam słyhać... jakoś to niedelikatnie z naszej strony!

— Dobrze, dobrze!—odpowiadam wracając do kancelaryi, jeszcze bardziej zirytowany, że nawet we własnym domu, krzyzcć nie mogę kiedy chcę!

Na takichto i tym podobnych przyjemnościach czas schodzi; jeschcem się zupełnie nie załatwił, a już żona przysyła, że trzeba jechać do kościoła. Trudno zastaniać się niepokojącymi rachunkami, tém więcej, że na prośby żony musiałem *nolens, volens*, Imć pana Czerwińskiego na obiad zawezwać.

Korzystając z podróży do kościoła, autor opowiada o ciotce swojej żony i jej dwudziestoletniej córeczce Maryni. Pani referendarzowa ma lat blisko czterdzieści, dziś jeszcze widać ślady piękności „na jej mitęj i delikatnej twarzy.” Na przekór wszystkim ciotkom jest ona dobra, łagodna i gniewać się nie umieć, a kiedy już przyjdzie do tego, rozplacze się i dostanie bicia serca. Jedną córkę wydała za mąż za urzędnika w Warszawie, lecz została jeszcze Marynia; o nią to kłopot może, jaki w ciągu dwudziesto-sześcioletniego pożycia małżeńskiego

doznała. Marynia doszła lat dwudziestu, i nikt, literalnie nikt jeszcze na seryo nie myślał, o pozyskaniu względów i serca dosyć posażnej nawet panienki.

Z latami gorączkowa niespokojność pani referendarzowej o przyszłość córki, rosła w postępie geometrycznym. Na tym punkcie dostała jakby małej manii. Pod pozorem odpoczynku i użycia świeżego powietrza, a w rzeczy samej dla powyższych względów, przybyła w gościnę.

Między uczęszczającymi do autora domu, był młody Czerwiński, dzierżawca właśnie tego majątku, gdzie jechano do kościoła.

Czerwiński pełen zarozumiałości o sobie, od pierwszego poznania się z panią referendarzową, roztoczył przed niemi cały zasób swych podbojowych zdolności i tak nadskakiwał mamie, zabawiał Marynię, że odrazu uznała go ciotka za urzędowego konkurenta do ręki Maryni. Darmo starał się gospodarz perswadować, darmo mówił, że „to pusta głowa,” żaden obywatel: wszystko napróżno. Ciotka i żona wzięły go w opiekę, a *nec Hercules contra plures*.

Honorowe miejsce w opisie sąsiadów (pisze autor) należy się proboszczowi. „Jako typ księdza dawniej daty, który osobiście widział Napoleona I, a księcia Józefa przyjmował na probostwie w Radzyminie, nasz proboszcz zasługuje na bliższe zapoznanie.” Zkąd pochodził, z jakiej rodziny, ile miał lat, trudno było się dowiedzieć. Czasami tylko przy pogadance, przytaczając rozmaite przygody i zdarzenia życia swego, „wygadał się od niechcienia, że za młodu służywał po domach wielkich panów na Litwie, że w 1812 roku bawił się wojaczką” i że po śmierci proboszcza w Radzyminie, przy którym odbywał jeszcze za czasów austriackich swój wikaryat, otrzymał w darze 6,000 złotych, które oddał ojcu dzisiejszego kolatora na lokacyą bez procentu, z warunkiem, aby ten na św. Michał wyprawiał odpust we dworze.

Od lat czterdziestu pięciu siedział na jednym probostwie uprawiając trzydzieści morgów piaszczystego gruntu. Jak żył i z czego, Bóg jeden raczy wiedzieć. Wysoki i barczysty ksiądz Sosnowski, trzymał się jeszcze prosto, chodził śmiało i zamasyście, „a łagodna twarz jego z białą jak mléko czupryną,” trochę figlarnie przymrużone oczy, wyrażała łagodną dobroduszość i pozorną jakby łatwościerność. Zapomniany przez konsystorz, zato uwielbiany przez włościan, ksiądz Sosnowski zakopał się w swęj parafii. Potrzeby swoje doprowadził do *minimum*. W lecie tylko do kościoła przywdziewał sutannę, zwykle bowiem chodził w szarej płóciennj rewerendzie i słomianym kapeluszu prostj roboty. W zimie tołub barani, pokryty czarnem suknem i czapka rogatywka niezmiernj wysokości. Raz na rok jeździł do miasteczka z indykami na sprzedaż, za które kupował baryłkę wina i zaraz tego samego dnia powracał do domu. Inno potrzeby zafatwiał na miejscu z arendarzem, nawet przemycaną tabakę, którą „pasyami lubił,” dostarczał mu pod wielkim sekretem Berko.

Sąsiedzi księży nie lubili bardzo Sosnowskiego, a i on téż nie wdawał się z nimi, i kiedy już uproszony, pojechał na odpust lub na pogrzeb jaki, to zawsze musiał powiedzieć albo zrobić coś takiego, że to nie zachęcało do dalszych zaproszeń. „Umarła żona wójta gminy... Biédak, chciał jéj wyprawić o ile możności suty pogrzeb, zaprosił kilku księży, a między tymi był i Sosnowski. Przy pożegnaniu wsunął do rąk proboszcza trzyrublowy papierek. Ksiądz poczuwszy coś w ręku skoczył jak oparzony, wyrzucając na stół pieniądze.

— „Cóż to ty sobie myślisz, że my swoje modlitwy tak drogo sprzedajemy? Jak żyję, jeszcze takiej sumy nie brał od nikogo. Ty biédaku niedość że straciłeś cnotliwą małżonkę, niedość że nas nakarmiłeś i napoiłeś po hrabsku, to jeszcze miałbyś płacić... Schowaj na butynki dla dzieci. Trzebaby na to żyda a nie kapłana Jezusowego, ażeby brać coś od ciebie... Schowaj, mówię, i bądź zdrow: nie martw się robaku o to...“

Rzeczywiście trudno było znaleźć człowieka, więcej bezinteresownego. Chrzcziny kosztowały trzy grosze, ślub dziesięć, pogrzeb dziesięć, a mowa pogrzebowa pięć groszy. Obowiązki swoje wypełniał z największą skrupulatnością: żadnego pośpiechu, żadnych opuszczeń. Znane było na całą okolicę, *Ite missa est*, że wszystkimi długimi modulacyami. Konserwatysta zakamieniały nie mógł się zgodzić na zmianę nuty śpiewanych pieśni w kościele.

— Hej, hej... ty nowy panie organisto—wołał z kościoła podnosząc rękę ku chórowi—co to asan wygrywasz, jakieś tańce, czy co, w domu Bożym? U nas tak się śpiewa!“ I po dawnemu zaczynał pieśń nabożną a cała ludność powtarzała za nim. Po odczytaniu kazania, robił swoje uwagi i karcił obyczaje parafian, w tym guście:

— „A coście to tam za chałupą Szymka Pardyki postawili jakąś szubienicę, he? (była to mowa o huśtawce). Nie boicie wy się kary Pana Boga, żeby takie bezeceństwa stawiać? Zamiast jeden i drugi i trzeci, próżniaku iść na nieszpory, odśpiewać różaniec, to ty będziesz grzeszne ciało kołysał? A słyszę i kobiety łażą; czy to nie wstyd, obraza Boska: zburzyć to zaraz.“

Tak zaś słuchano, że ową szubienicę tego samego dnia rozwalono.

Na rok przed tym, nowy dziekan nieznający jeszcze oryginalności księdza Sosnowskiego, zjechał na odpust, z zamiarem urządzenia Towarzystwa wstrzemięźliwości. Wszedł na ambonę i w tym duchu jął przemawiać. Pewny dobrego skutku, bo ludziska bardzo płakali, zeszedł; aż patrzy a ksiądz Sosnowski wchodzi i w te się słowa odzywa: „Moje dziateczki, nie frasujcie się bardzo kazaniem wielmożnego księdza dziekana; wy nie jesteście pijakami, ja was lepiej znam: nie wyrzekajcie się wódki, bo byście nie dotrzymali przysięgi, i jeszcze potem gorzej grzeszyli. Pijcie, moje dziateczki, tylko się nie upijajcie. Dla was kieliszek jeden lub dwa jest posiłkiem, a czasem i lekarstwem... Pijcie więc jakeście pijali, tylko mało i skromnie, bo wódka biédne-

mu chłopu potrzebna do zdrowia: tylko się nie upijajcie. Tyle wam miałem powiedzieć, moje dziateczki.“

Dziewkan strasznie się zirytował i obraził tą protestacją, a ksiądz Sosnowski pomimo tego powtarzał: „wielmożny dziekanie, chłop się bez wódki nie obejdzie.“ Wypadek ten zrobił pewną sensację, powtarzano go podczas obiadu. Po spełnieniu pierwszego toastu rozwiązały się usta, a ksiądz Sosnowski, częstując swego zwierzchnika tabaką: —Za moich czasów—rzecze—takich zapisywań nie było, a ludzie żyli po Bogu... w dwunastym roku, kiedy Francuzi plądrowali po wsiach, trzeba było uciekać do lasów...

— A fe, proboszczu; kto mówi o uciekaniu—odezwała się gospodyni.—Ja jestem kobietą, ale nie rozumiem...

— Oj! zrozumiałabyś jaśnie wielmożna pani kolatorko, zrozumiałabyś—odpowiada z uśmiechem politowania proboszcz—gdyby jaśnie pani, tak jak mnie, kozaki skórę obili: uciekałabyś jeszcze lepiej odemnie.

Śmiech powstał ogólny. Pani Michałowa długo nie mogła strawić owego przyrównania, i postanowiła oddać piękne za nadobne. Na drugi raz też ksiądz Sosnowski nie był przypuszczony do ogólnego stołu. Pod pozorem ciasnoty, w drugim pokoju nakryto, i sama tylko do towarzystwa proboszczowi zasiadła. Przeszedł obiad, skończył się dzień cały, ubiegł i tydzień, a ksiądz Sosnowski ani słowem nie dał poznać żeby mu przykrém być miało. W następną jednak niedzielę, kiedy jak zwykle uformowała się gromadka obywateli, na cmentarzu kościelnym, dla gawędki, a w gronie kilku kobiet znalazła się i kolatorka, nadszedł proboszcz.

— Jakże zdrowie—pyta ten i ów.—Dziękuję—odpowiada proboszcz—po tak sutym odpuszczeniu, nie prędko człowiek zachoruje.

— Zadowolony więc proboszcz?—pyta pani Michałowa.

— Ale jak! Nie warto jednak tyle ekspensować, aby ludzie zjedli a potem obgadali.

— Mówią co, proboszczu?—pyta żywo.

— Et niewarto powtarzać... proszę jejmości.—Jak, co?—pyta pani Michałowa z niecierpliwością.—Ksiądz Sosnowski się wzdraga, niby nie chce powiedzieć, kolatorka nalega, od słowa do słowa:

— No, kiedy jaśnie pani chce, to powiem: mówią że ta Wietrzycka, ale to nie ja mówię, broń Boże...

— Cóż pani Wietrzycka?

— Że ta pani Wietrzycka, musi być bez żadnego wychowania.

Ale to jeszcze gorzej mówili, kiedy mogła starego swego proboszcza, nie wpuścić do sali jadalnej, a posadziła go z sobą w jakimś karmniku. Otóż widzi jaśnie wielmożna kolatorka, co to złe języki: warto ich prosić, warto karmić?

Takim to był ten ksiądz Sosnowski, pierwsza postać w szeregu fotografii społecznych w sądzie polubownym.

Spojrzyjmy tylko na zaspaną i obrzękłą twarz niemłodego już człowieka, w rudę, źle założonej peruce, z potężnym brzuszkiem na

cienkich nóżkach: otóż to ma być kolator i dziedzic *Wielkich Wietrzyce, Małych Wietrzyce i Wiatereków* z przyległościami i przynależnościami.

Pocziwy on jest z kośćciami, a dumnym ze swego pochodzenia pan Michał, liczący obecnie lat sześćdziesiąt, istny obywatelski niedołęga. Jak się pan Michał ożenił, w jaki sposób pozyskał serce, znacznie, bo ćwierć wieku młodziej od siebie, panny Heleny, rzecz to mniejszej wagi; dosyć na tém, że po roku nowicyatu pan Michał wzięty został w karby, był uniżonym służką swęj pani, która sama tylko poczęła rządzić domem...

Rozpoczęło się życie wystawne, huczne; nie mogły nastarczyć dochody ze wsi: padały pod siekierą dębowe i sosnowe lasy, pani bowiem lubiła się bawić. W trzy lata przybyły dwie kolonie po wyciętym lesie, które od imienia dwojga dzieci nazwano Józefin i Magdusin. Pani Michałowa wyemancypowała się zupełnie, jeździła konno, paliła papierosy, grała w karty, a pan Michał drzemiał nad kołyską dzieci, śpiewał im różne mazurskie piosenki. Nareszcie i zazdrość małżeńska zajrzała do jego duszy, spostrzegł że jego Helenka zanadto się przyjaźni z młodymi paniczami; począł tedy idąc za przysłowiem „strzeżonego Pan Bóg strzeże,“ otaczać ją czujną strażą, wcale nie argusowych swych oczy.

Takim był pan kolator w chwili opowiadania: nie mogąc dać sobie rady z majątkiem, wypuścił go cały w dzierżawę Czerwińskiemu. Gdyby nie życzliwość i delikatne względy pani, biędny dzierżawca nie mógłby z nim wytrzymać nawet tygodnia. Jeżeli dawniej ani zajrzał, teraz łąził, gderał i krytykował na każdym kroku złe gospodarstwo i złe rządy dzierżawcy. Niechno tylko urwała się zawiasa u drzwi, pan Michał zirytowany, siadał przy biurku, i wielkimi literami pisał odezwę do dzierżawcy, że mu rujnuje budynki; wiatr zdarł czuprynę strzechy ze stodoły, zabrakło żerdzi w ogrodzeniu, posyłał reklamacyą. Takie czyścowe męki przechodził młody dzierżawca, a pani czy z interesu, czy z prostej litości wzięta go w opiekę. Snadź dobrze mu z nią było, bo pan Czerwiński całe dni przesiadywał we dworze, czytywał książki, rysował desenie do haftu, jeździł z nimi na wizyty i zaniedbywał te domy w których państwo Wietrzyccy nie bywali.

Trzecią postacią jest pan sędzia Ołowiński.

Tytuł swój zawdzięcza wypełnieniu raz jeden posługi obywatelskiej na sądzie polubownym. Pan Michał tytułował się *postowiczem*, a zatém i sąsiad Ołowiński z Czarnej, musiał mieć jakiś tytuł, którego sobie pani Amelia życzyła koniecznie. Pierwszy ksiądz Sosnowski, za tytułował go *sędzią* i honor ten wszedł w powszechne użycie.

Państwo Ołowińscy na wszystko co swoje patrzyli przez różowe okulary: szczęśliwi ludzie, nie mogli już nikomu niczego zazdrościć. Sam sędzia mógł mieć około lat czterdziestu, nosił przyszyrzoną brodę, wąsy jak wiecha, mówił wolno i z precyzyą. Pani Amelia jest sobie młodą jeszcze, lat trzydzieści nie więcej mającą brunetką, peł-

nych kształtów, które o ile możności sukniami z przejrzystej materyi przykrywa jako czystej krwi Warszawianka. W domu ich jest po trosze pretensyi do wielkiego tonu, do znajomości świata, do ostatniej mody, a wszystko pokryte wyrafinowaną ze stanu funduszów pochodzącą oszczędnością.

Otóż i wszystkie charaktery jakie w działanie wprowadzonymi zostały.

Idziemy dalej za ciągiem opowiadania.

Skończyło się tedy nabożeństwo. Zmyśliwszy chorobę żrebacka, autor poprosił Czerwińskiego, o jego obejrzenie, a ponieważ weterynaryja była jego najstarszą stroną, mógł liczyć na pewno że nie odmówi i przyjedzie. Jakoż nie dał się tak bardzo prosić, a nawet razem z kościoła przybył. „Moje kobiety zobaczywszy Czerwińskiego w wyłącznym swoim posiadaniu, nie wiedziały co z nim zrobić. Ciozia dostała rumieńców, moja żona zacierała rączki z radości, a biedna ofiara Marynia wzruszała tylko ramionami, spoglądając na mnie znacząco. Przy obiedzie obok niej zasiadł Czerwiński, i siląc się na dowcipy, chciał uprzyjemnić czas leniwie jakoś idący.

Nie będziemy tu przytaczać całej rozmowy, jaką młody konkurent prowadził. Z każdego słowa, z każdego zdania, wychodzi jasno, że tam u niego i pusto w głowie i czczo w sercu. Marynia też traci ku niemu, nawet tę trochę sympatyj, którą też bez dokładniejszego poznania, na pierwsze wejście, *udzielić* mu była w stanie. Ciozia się gniewa, staje po stronie biednej dziewczyny: nic nie pomaga. Pani referendarzowa pragnie koniecznie wydać ją za Czerwińskiego, mówiąc że to „ostatnia jej stawka, i gdyby się nie udała, ona ten cios życiem przypłaci.“

Nie widząc innej, autor umyślił podstępem wyratować ofiarę.

W następną niedzielę miały się odbyć imieniny pani domu w Czarnej, sędziny Ołowińskiej. „Na trzy dni przed ową niedzielą nie mogłem znaleźć sposobnej chwili, aby trzy minuty pomówić z żoną. Wszystkie pokoje, a szczególniej stoły, założone były poprótami sukniami, nad którymi radziły moje panie, głuche na wszystko, co się około nich dzieje. Stangret Franciszek nie zsiadł z konia, przywożąc i odwożąc z miasteczka rozmaite sprawunki. Cały dom był w zamieszaniu: zapomniano nawet o obiedzie, ja sam musiałem być w tym razie gospodynią, wyręczając żonę, zajętą tak ważnymi rzeczami. Gdérano na mnie od rana do wieczora: a to że niedbam o żonę, że mi wszystko jedno jak ona wygląda, że wtenczas dopiero zwróciłbym na to uwagę, gdyby przyszła zupełnie bez ubrania. Ot, krzyż Pański i nic więcej. Nareszcie (za co niech będą dzięki Najwyższemu!) ukończono toalety, mnie kazano przywdziać frak, który na ślubie miałem, kazano ostrzyżć brodę, wypomadować wąsy; dano białą krawatkę i białą kamizelkę: znalazł się jakiś składany kapeluszek, jakieś rękawiczki, a w kieszeni fraka umieściła żona batystową chustkę, mocno naperfumowaną.“
Jedziemy... i przybywamy. Liczne zebranie. Prócz znajomych da-

wniej „pojawił się pan Chyłkowski z żoną, pocziwy, tłuściutki szlachetka, odgrywający rolę dowcipnisia w okolicy. Miał szczególniejszy dar naśladowania głosu zwierząt i ptaków, piał jak prawdziwy kogut.“ Przyjechał pomocnik naczelnika powiatu z żoną i siostrą, kuzynek gospodyni z Warszawy, autor dramatyczny, „wielce dystygowana figura,“ wreszcie uczony sąsiad Tadeusz, młody członek-korrespondent wielu pism rolniczych.

Kiedy już zdawało się, że sala napełniona, zaczęła się zabawa. Do kolacyi wszystko było w porządku: ciocia nadzwyczaj była zadowolona, Czerwiński nie odstępował Maryni, „Emilkę trzęśli wszyscy po kolei“, i kolacya również przeszła jako tako; znowu tańce, aż ognisty mazur z figurami, pomysłu Czerwińskiego, zachwiał całą zabawę. „Zachciało mu się tańczyć z Marynią w pierwszą parę, a tymczasem „sąsiad *korrespondent*, jako tańczący z mężatką, panią Michałową, również do dyrekcyi mazurem rościł sobie prawo.“—Nie ustępuj pan!—szepnęła mu pani Michałowa.—I ja nie ustąpię!—krzyknął Czerwiński, ciągnąc za sobą Marynię. Tańczą razem: ten inną a ten inną figurę. Powstaje zamieszanie. Pan Michał, acz już niepewnym krokiem, wchodzi do sali, wołając: „kto tu ubliża mojej żonie!“ Sąsiad *korrespondent* wyjaśnia rzecz całą, gniew pana Michała staje się głośniejszym. Słowa za słowami jak gromy wypadają z ust jego i trafiają w Czerwińskiego. Przyszło do tego, że pan Michał nazwał Czerwińskiego ekonomem, i zagroził że go wypędzi. Widząc na co się zanosi, goście wynoszą się czempredzej. Na drugi dzień jeszcze gdy kobiety spały, autor zobaczył przez okno zataczającą się żółtą bombę p. Michała, ciągnioną przez dwie ostrokościste szkapę.

Po wczorajszej awanturze, p. Michał chce „wykurzyć dzierżawcę“ i do autora przybywa po radę. Po rozmaitych groźbach pana Michała, że Czerwińskiego „zdusi i wypuści tylko z torbami,“ po różnych ze strony gospodarza persfazyach, ten musiał, przejrawszy kontrakt, zaopiniować, że tylko sąd polubowny, według brzmienia kontraktu, mocen jest tę sprawę rozstrzygnąć. Wyściskany i wycalowany, już po raz setny zaproszony został na arbitra.

Zaledwie „żółta bomba“ wioząca pana Michała, wytoczyła się z dziedzińca, pokazuje się bryczka pana Czerwińskiego przed gankiem, i znów te same odgrazania się, te same perswazyje ze strony autora, a wreszcie zgoda na *sąd polubowny*.

W niedzielę następną agitacya sąsiedzka już wyraźnie odbiła się na posiedzeniu cmentarném. Panie oddały sobie ceremonialne ukłony, w rozmowie znać było przymus.

Całe trzy dni następne zaproszony rejent spisywał pretensye obydwu przeciwników. Czwartego dnia odbywały się zatargi o honorarium: pan Michał się zżynał, Czerwiński kłął swoją dzierżawę na czém świat stoi. Nareszcie odjechał rejent i niedługo rozpoczęło się posiedzenie. Trudno sobie wyobrazić chaosu i zamieszania, gdy już sprawa na stół wniesioną została. Żadna ze stron powaśnionych nie

chciała nic ze swych pretensyi ustąpić, każda jeszcze tylko chciała coś do nich dodać. Nie mogąc się pogodzić, musiano księdza Sosnowskiego na superarbitra przywołać. Takim było pierwsze posiedzenie. Drugie też niewiele więcej przyniosło korzyści. Badanie świadków, chodzenie po polach dla zbadania stanu zasiewów i t. p. urzędowe czynności, tak autora zmęczyły, że chociaż jeszcze wieczór nie zapadł, i choć to było w gościnie, nie u siebie w domu, „leżałem na sofie, rozmyślając nad dziwactwem charakterów ludzkich. Nie mogłem jednak zasnąć, widocznie sute przyjęcie wpłynęło na bezsenność. Wkrótce jednak przekonałem się, że to nie była jedyna przeszkoda. Zegar staroświecki, stojący w kącie pokoju, spać mi nie dawał. Wstałem żeby go zatrzymać, zbliżam się, szafka zamknięta. Szukam klucza u góry, niema, u boku, niema. Kładę się zirytowany na sofie, lecz o spaniu ani marzyć. Wstaję na nowo i wynoszę pościel do drugiego pokoju. Tu nowe zdarzenie. Słyszę wyraźnie, że ktoś chodzi w ogrodzie pod moją ścianą. Przystępuję do okna i widzę, jakaś postać kobięca leciutko stąpa tam i napowrót. Nie ubiegł kwadrans, mój duch miał drugiego ducha w szarém ubraniu.—I cóż?—pyta duch biały—dokąd pan myślisz doprowadzić tę komedię?—To głos Wietrzykiój, o mało nie klasnąłem w ręce z radości.

— Czyż ja ją prowadzę—odpowiada duch szary—kto ją wydał? —Wybornie, to głos Czerwińskiego.“

Następują wyrzuty wzajemne, miłośne skargi pani Michałowej, tysiące zakłęk, wreszcie zgoda. Na drugi dzień sprawa zupełnie inny obrót wzięła. Sami przeciwnicy jakoś łagodniej poczęli przemawiać, ustępując z pretensyi, godząc się na ich zmodyfikowanie. Zajechał wreszcie ksiądz Sosnowski, na radzie wypadło, że Czerwiński p. Michałowi dopłaci tytułem wynagrodzenia szkód 800 złp. I, o dziwo! chociaż pan Michał widocznie nie był zadowolony, słowa nie wyrzekł, a tylko podpisał, toż samo i Czerwiński. „Otóż w ten sposób zakończył się wielki spór dziedzica z dzierzawcą;“ zawiązała go rączka kobięca, i ona go też jedna rozplątać potrafiła tak misternie. Wszyscy wyszli zdrowi i cali, tylko ciotka, dowiedziawszy się o tajemnych stosunkach Czerwińskiego, naprawdę się rozchorowała, i w trzy dni wyjechała do Warszawy.

Innym zupełnie obrazkiem jest *Kaprys panny Julii*. Pan pułkownik Osiński, jeden z owych wielu, co to wzdłuż i w szerz Europe w bojowym pochodzie rozmierzyli, ma na wychowaniu siostrzenicę, pannę Julię. Sierota to bez ojca i matki, śliczne dziewczę o drobnych, figlarnych rysach, różowych usteczkach, z blond włosami i ciemnymi oczyma. Istny kwiatek pól naszych. Stary pułkownik pieści i dogadza, niema rzeczy, którejby jój odmówił; to też dziewczęciu dziwne czasami przychodzą fantazyje i marzenia. Panna Julia ma już narzeczonego. Człowiek to rozumny, zacny, chociaż może na swój wiek za poważny trochę. Czy go kocha trzpiot dziewczę? pono kocha, bo nikt ją nie zmuszał, by mu oddała swą „białą, śliczną rączkę.“ Z chwilą

kiedy zaczyna się opowiadanie, zastaje pannę Julię w Warszawie, w wykwińnię urządzonym apartamencie. Stary pułkownik, stęrawszy siły na wojaczkę, musiał teraz szukać ich u wód w Karlsbadzie. Zostawił więc dziewczę na opiece ciotki. Panna Julia nudzi się w Warszawie, nawet w towarzystwie pana Seweryna, swego narzeczonego. Bo i jakże się tu nie nudzić. Ten p. Seweryn dziwnie dba o przyjemności przyszłej swojej żony. Wczoraj np. wyciągnął powietrze z pod jakiegoś dzwonu, a ptaszyna pod nim umieszczona zginęła; onegdaj cały dzień wykładał botanikę: dziś... Wszystko to są bardzo mądre rzeczy, ale panna Julia wolałaby pójść lub przejechać się po parku Łazienkowskim, pokazać się w Saskim Ogrodzie, słowem, widzieć ludzi, i być widzianą przez nich; nudzi się więc bardzo. Dzień dzisiejszy źle się jakoś zaczął, pan Seweryn spóźnił się i coś zadługo nie przychodzi. Wreszcie zjawia się. Panna Julia już zaraz na samym wstępie zapowiada, „że będąc roznerwowaną, czy rozdrażnioną, potrzebuje innej rozrywki, jak te, które do tej pory z łaski p. Seweryna mieć mogła. Chce się zabawić.“ Na taki temat rozpoczęta rozmowa, rozwija się dalej poważnie. P. Seweryn usiłuje zwrócić uwagę na dalsze koleje życia bezmyślnego, chce dowieść, że częściej w niem kolców i cierni jak róż. —A ja nie chcę kolców!—woła rozpieszczona dziewczę;—jeżeli niemiłą być różę, „to niech będą lewkonie, fijołki, gwoździki, a nawet zielenka rezeda.“—Ależ obowiązki—wtrąca Seweryn—praca.—Czyż ludzie tacy jak my bogaci potrzebują pracować? Dziwne teorie, mój panie!

Tak słowo za słowem, coraz to goręcej wyrzuca panna Julia swemu narzeczonemu ten brak wyrozumienia dla młodości i chęci poznania przyjemności światowych. Każde z nich obstaje przy swoim, drażliwa przychodzi sytuacja. W obronie pojęć i zasad swoich Seweryn poczyną używać silnej argumentacji.—„Jestem człowiekiem prawym—mówi—jeżeli cię kocham i dlatego że kocham cię szczerze, chciałbym abyś pojęła życie jako „surowe...“

— A ja trochę „podgotowane“—wtrąca panienka, chowając ręce, które chciał uścisnąć Seweryn.—Tobie przystoi więcej toga profesorska lub biret kaznodziei, niż żona, wesola, jak iskra żywa, roztrzępana.

Dłużej niepodobnym było przeciągać zbytnio i tak naprężonej rozmowy. Seweryn odchodzi, mówiąc że pewno jest w tej chwili zbyt ciężkim. Zanim jednak wyszedł, staje z sąsiednich drzwi wesola postać rumianej i dobrodusznjej staruszki. To dawna niańka p. Julii, dzisiaj jej towarzyszką i ochmistryni, daleka krewna po ojcu, ciotką z tego pokrewieństwa nazywana.—Co tu się dzieje!—woła, załamując ręce.—Młodzi ludzie nie zważają na ten wykrzyknik, sprzeczka przybiera groźne rozmiary. Zobopólne wyrzuty doprowadzają do zerwania.

Panna Julia postanawia się zemścić. Ponieważ Seweryn utrzymywał, że takiego, jak ona życzy sobie męża, niedostanie płoche, choć w gruncie dobre dziewczę, napozór dostać go usiłuje. Wyczytuje w kuryerze ogłoszenie, „że mężczyzna młody jeszcze, przyjemnej po-

wierzchowności, zamożny i dobrze wychowany, życzy sobie znaleźć towarzyszkę podobnego stanu z pewnym majątkiem.”

— Wyborniel!—wykrzykuje panna Julia— otóż i jest mój mąż. Naradza się więc ze służącą Maryanną, dziewczyną w tym wieku co i ona, a tajemnica grobowa ma pokryć zobopólną naradę.

Wysłała tedy przez nią list do owego pana, poszukującego żony; prosi go o przysłanie fotografii, jeżeli zaś téj niema, o osobiste stawienie się. Jakkolwiek panna Julia zdecydowała się na ten krok nierozwagi, niechce jednak wystąpić w własnej roli i postanawia przebrać się za pokojówkę. Nieznajomy przychodzi, następuje zabawna scena, wzajemnego prezentowania się i poznania. Lecz nie jest to sam ogłosiciel, ale tylko jego reprezentant. Z całą wymową, na jaką stać właściciela „kantoru wpisowego” zachwala swego protegowanego, a pewny skutku, obiecuje go przyprowadzić. Jakoż niedługo zjawia się „młody blondynek, z miny i czupryny czysty syn Albionu, zdaje się żywcem zdjęty z humorystycznych winiet *Journal Amusant* wraz ze swą matką.” Mała kobieta o pretensjonalnych manierach i dziwnym stroju, zamawia się, że przybyła obejrzyć mieszkanie, które ma być odnajętym. Ujrawszy jednak ciocię panny Julii, rzuca się z krzykiem radości w jej objęcia.—Sędzina Osełkowska!—woła ciocia duszona w uściskach—dawna znajomość. Julii nie było, poszła się przebrać, zanim téż powróciła, już sędzina Osełkowska wraz z ciocią ułożyły małutki planik, połączenia gagatka swego z siostrzenicą pułkownika. Wchodzi panna Julia, wzajemne przedstawienie, przypomnienia, grzeczności, rozmowa między młodymi i t. d. Jan uprzedzony przez Hipolita (tak się nazywał ów pan stręczyciel) o dobrém przyjęciu, chce czempredżej dość do celu i wprost wyjawia powód odwiedzin swoich. Julia jest obrażoną, czuje całą lekkomyślność postępku, oburza się na zuchwałego.

Zmieszany jedynaczek żegna się i chce odchodzić, kiedy niezwykle hałas daje się słyszeć w przedpokoju: otwierają się drzwi z łoskotem i stary, posiwiwały, z marsową twarzą mężczyzna wchodzi rumiany od gniewu z pałającym wzrokiem, a zawieszona przez ramię torba podróżna przy jego gwałtownych ruchach, przeskakuje z jednej strony na drugą.—Pan pułkownik!—krzyknęła jednym głosem zebrana gromadka.—Wychodźcie, wychodźcie czempredżej—woła ciocia.—Stać ani krok dalej!—piorunującym głosem woła pułkownik.—Następuje indagacya, wyjaśnienie; niemili goście wyproszeni. Pułkownik składa sąd na winnych i głównych sprawców. Sąd ma się odbyć według regulaminu wojskowego.

Potrzeba jednak kompletu, wzywają kapitana Sokolnickiego, a chociaż to, według pułkownika, „rekrut i nie tradycyi służby,” to na bezrybiu i rak ryba. Następuje tedy sąd. Służąca Maryanna i ciocia idą pod zamknięcie do aresztu, a kiedy Julia wyznała, że to jój pomysł jedynie, zerwał się stary pułkownik i jak lew gotowy do walki stanął przed kapitanem.

— Kapitanie!

— Jestem na rozkazy—rzeczce salutując ręką starego.—Co robi komenda, gdy pułk zagrożony?—Idzie na przebój, półkowniku.—Ta dziewczyna, to mój pułk zagrożony, ratuj mój honor!

— Jestem na rozkazy.— Bierz ją za żonę. Twym nieskażonym honorem, czystém imieniem, pokryj winę zepsutego dziecka. Czy zgoda?—Zgoda! Naturalnie że chociaż panna Julia płakała, nie myślała nigdy brać na seryo, w takiej zapalczywości wydanego wyroku. Jednak obrażona duma nie pozwalała powołać się na przyrzeczenie dane Sewerynowi. Lecz Walenty, wierny sługa, sam daje znać, że pan Seweryn od trzech dni, jakby stracił przytomność, po całych nocach nie śpiał, a tylko patrzy i patrzy na fotografią narzeczoną.

Zawiadomiony o całym zdarzeniu Seweryn przybywa, rzecz się wyjaśnia; z wielkiej chmury mały deszcz: pułkownik chodzi wszedź i wzdłuż gabinetu, a radość świeci mu z oczu.—Kapitanie—rzeczce.— Jestem na rozkazy.—Rozkaz dzienny zmieniony. Nieprzyjaciel zmienił front, jutro o 6 poprowadzisz do ślubu moją siostrzenicę Julię. Przedstawiam ci narzeczonego, przyszłego męża Julii: pan Seweryn.—Ale miałem być....—odzywa się zakłopotany kapitan.—Powtarzam, nieprzyjaciel w osobie oto tego pana zaatakował z lewego flanku.

Wśród powszechniej radości przejednani narzeczeni ukłękli przed pułkownikiem, a stary całował ich i błogosławił, błogosławił i całował, gdy gęste łzy spadały na narzeczonego.

— Kapitanie! głupia sprawa!—zawołał spojrzawszy na niego i Piotra.—Płaczemy, co? Do milion kartaczów jużemy zbabieli, co? —Tak, pułkowniku, zbabieliśmy... prawda? Wypuścić delikwentki, a całą sprawę umorzyć.

Taką w treściwém zebraniu jest całość dwu, według nas, najlepszych obrazków z szeregu „*Fotografii Społecznych*.” Na tych dwu porzostajemy, nie dlatego, żeby pozostałe nie warte już były bliższego poznamienia się z niemi, lecz że dla nas stanowią one już inny rodzaj utworów, którym miana *Fotografii Społecznych* w żadnym razie dać nie możemy. Na takie bowiem w pojęciu naszym w całości zastępuje tylko *Sąd Polubowny*, a w części i *Kaprys panny Julii*. Dwa te obrazki, chociaż w nierówniej mierze wypełniają jednak te warunki, o których wyżej powiedzieliśmy. Ponieważ *Sąd Polubowny*, najwięcej ich zdołał utrzymać, on też jeden stanął najwyżej. Prawdziwa to galeria różnobarwnych charakterów, postaci, a niekiedy—rzec można bez wahania—i typów. Dosić nam spojrzeć na wybraną postać księdza Sosnowskiego, jak trafnie pochwycona i oddana w tych napozór tylko śmiesznych, drobnych, a przecie najczęstszych i najzwyczajniejszych sprawach ludzkiego żywota.

Do tych kilku rysów, zdaje się, że nic już dodać ani ująć nie można, taka ich wyrazistość i plastyka. W tej jednej postaci znać, że wzięta została wprost z natury, tak niema nic w nich sztucznego, sama tylko prawda. Dla nas ksiądz Sosnowski jest więcej niż charakterem

lub postacią. Jestto już typ, tém może cenniejszy, że jak owe dawne a dobre zabytki przeszłości, coraz to rzadszy, a tém samém i trudniejszy do odtworzenia, z taką prawdą w szczegółach. Góruje téż on ponad wszystkiemi postaciami w *Sądzie Polubownym*, chociaż i tym pewnych rysów podobieństwa odmówić nie można. Są to już jednak tylko postacie, więcej z ujemnej przedstawione strony, śmieszne chociaż pocziwe, dla których miana *typów* nie służą. *Sąd Polubowny* ma jeszcze jedną wyższość nad innemi obrazkami, całość *Fotografii Społecznych* składającą. Jest on prawdziwie obrazkiem humorystycznym, w całym tego słowa znaczeniu, godnym stanąć na równi z *Kłopotami Starego Komendanta*. „*X*za śmiechu na oczach” ten symbol humoru, jak powiedział Jean-Paul, tu w zupełności zastosowanym być może. Śmiejemy się całą duszą z zabawnych wydarzeń księdza Sosnowskiego, z jego nawyknień, słabostek, a przecież on sam śmiesznym, przez to nie jest. Przeciwnie piękną jest dla nas ta postać zacnością serca i pojęć, lgniemy téż do niej.

Nie możemy tego powiedzieć o fotografiach, w *Kaprysie panny Julii*, chociaż autor widocznie starał go się w tym samym utrzymać tonie. Postacie w tym obrazku wprowadzone w działanie, w połowie tylko posiadają zalety wyżej wymienionych. Sama główna bohaterka panna Julia cokolwiek w zajaskrawém przedstawioną została świetle. rysy jej wprawdzie *wyszły* wyrazisto; lecz czy podobne, o tém wątpić należy. Płochosć jest w naturze młodego dziewczęcia wychowanego pod strażą *człowieka, jednego z owych*, którym honor bywał najdroższym klejnotem życia, to może trochę za wiele. Takich kobiet w sferze przedstawionój przez autora nie znamy. Już to prawie wszystkie postacie męskie lepiej z pod pióra autora wychodzą. Mamy na to dowód i w *Sądzie polubownym* i w *Kaprysie panny Julii*. Kobięce postacie szwankują na podobieństwie, przechodzą w nienaturalność i przesadę. To téż pułkownik Owiński, stary żołnierz wielkiej armii Napoleona I-go, człowiek który nawet sprawy serca pod regulamin wojskowy, tę według niego alfę i omegę rozumu ludzkiego podciągając chce koniecznie, jest bardzo dobrą i charakterystyczną postacią, lepszą bez porównania od swój wychowawcy panny Julii. Pomimo jednak tych pewnych niedostatków, *Kapryś panny Julii* zaliczamy jeszcze do *Fotografii Społecznych*.

Pozostałe siedem obrazków, pomiędzy któremi zasługuje na wyróżnienie *Pan Komornik* i *Pani Inspektorowa*, już bez wahania odnosimy do rzędu tych utworów, *których* jak wyżej powiedzieliśmy całą wartość stanowi ta chwila wesołości, jaką z sobą przynieść zdołają. Fotografiami społecznymi nazywać ich się nie godzi, są to bowiem raczej owe dawne dagerotypy, zblakłe już dziś pod światłem promieni słonecznych, w których podobieństwo może z pewnych tylko punktów widzenia zachowane zostało. Wszystkie one są dowcipnemi, humorystyczną tylko jeden *Sąd Polubowny*. Lecz nie jest to *żadna* ujma dla autora *Kłopotów starego komendanta*, właśnie ten dowcip nasz

rodzimy, o którym sądzono że zamarł wraz z niezapomnianym Augustem Wilkońskim, odżył w tych najnowszych utworach I. Wilczyńskiego. Mamy go takim, jakim był dawniej szczerym, serdecznym z serca płynącym. To też wszystko co byśmy mogli powiedzieć przeciw, niknie wobec tego, i *Fotografie Społeczne* tak jak są, zaliczać musimy do tych utworów, które nosząc na sobie cechy prawdziwego talentu połączonego z dowcipem, sięgającego niekiedy wyżyn humoru; są zawsze rzadkiem zjawiskiem na niwie belletrystyki naszej, a tém samym bardzo pożądaném. Dodajemy że forma i styl niepozostawiają nic do życzenia i mogą przypomnieć twórcę *Kłopotów Starego Komendanta*, wybitne w literaturze naszej humorystyki zajmujące miejsce.

Tadeusz Wójcicki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Kwiecień 1878.—Wyszedł tom X i ostatni *Dzieł Karola Szajnochy*, nakładem i drukiem Józefa Ungra. Zawiera dokończenie *Dwa lata naszych dziejów* i obszerny życiorys autora przez Klemensa Kandeckiego, obejmujący prawie pół tomu wydanego (od str. 281—426). Biografia ta maluje nam dokładnie wizerunek zgasłego historyka i podaje główne rysy charakterystyki autora *Bolesława Chrobrego*. Życiorys ten jest równie cennym przyczynkiem do dziejów literatury polskiej w Galicyi, ostatniego już okresu, w którym występują znakomitszych pisarzy postaci, jak: A. Bielowskiego, L. Siemińskiego, W. Pola, J. Dzierzkowskiego, K. Ujejskiego, Wagilewicza, L. Borkowskiego i wielu innych.

—Gazeta świąteczna *Nowiny*, z dniem 1 czerwca r. b., na mocy otrzymanego zezwolenia ministra Spraw Wewnętrznych, zamienioną zostaje na gazetę codzienną.

—Ogłoszony prospekt na *Książkę Jubileuszową*, dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej Józefa Ignacego Kraszewskiego, dnia 26 lipca 1879 roku, w całości podajemy.

„We wszystkich niemal dziedzinach ducha ludzkiego, siła epoki skupiać się zwykła w niewielkiej stosunkowo liczbie jednostek, i kto dokładnie je poznał, ten pochłubić się może, iż zna czas, który służył im za podstawę, oraz współzawodników, którzy wraz z nimi do jednego dążyli celu. W historii bowiem życia umysłowego ludzkości, rzeczy

dzieją się zupełnie tak samo, jak w historii politycznej, zewnętrznej; na jedną i na drugiej wykazać możemy wzajemne względem siebie oddziaływanie ich bohaterów, a biorąc za punkt wyjścia ten pewnik, przekonywamy się, że dokładne o ile możliwości zgłębianie wielkich przedstawicieli literatury współczesnej, bardziej niż jakiegobądź inne usiłowanie, pozwala nam zapuszczać wzrok w siebie samych, i w okres, wśród którego żyjemy.

Jeżeli kto z dziś żyjących, tedy niezawodnie Józef Ignacy Kraszewski, którego w roku przyszłym dano nam będzie obchodzić peryod półwiekowy pełnych owocu i chwały trudów na polu literatury ojczyściej, wyobraża sobą tę rozmaitość zarazem i spójność społeczeństwa naszego w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Okres-to w samej rzeczy, który w życiu umysłowym narodu spełnił bezprzykładowy może przewrót i odrodzenie. Już w początkach tego okresu, albo nawet na krótko przed nim, wielcy u nas apostołowie poezji, wielcy mistrze nauki, dokonali olbrzymiego zadania: przełamania ostatnich zapór, krępujących jeszcze tu i owdzie przesądem, albo źle pojmowaną tradycją, a usamowalniając słowo pisane z pod obowiązku służenia okolicznościom, z pod kierunków płochęj igraszki, uczynili dla nas piśmiennictwo sprawą istic sercową, podnieśli wiedzę o świecie i życiu. Na gruncie tym, użyzniejszym ożywcem tchnieniem geniuszu, twórczością talentu, znojną pracą sumiennęj zdolności, stanął przed pięćdziesięciu laty szlachetny tych wysiłków rówieśnik, Józef Ignacy Kraszewski; jakie zaś sobie na um wywalczył pole, jak skutecznie do głównego przykładał się celu, od którego samowiednie nie zbaczał ani na chwilę, o tém wie cała nasza powszechność. I dodać należy, że jeżeli cokolwiek pozwala nam dobrze tuszyć o tej powszechności, o rozwoju, którego jest godną, i który do wyższych ją sposobi przeznaczeń, tedy bezwątpienia te hołdy, jakie od dawna wielkiemu swojemu pisarzowi już składać przywykła, a które, podbudzone témbardziej wieścią o zbliżającym się Jego jubileuszu, we wszystkich zgoła jęj sferach niemal bezprzykładowym się objawiają zapalem.

Jednostki i korporacje, grupy ludzi łącznych zawodów i pojedynczy ich przedstawiciele, okręgi wiejskie i miasta, wszyscy we wspólnęj zbiegają się myśli uczczenia niespożytej Jubilata zasługi, poniesienia Mu w dani świadectw niewygastęj wdzięczności. Projekta tego uczczenia sypią się jedne po drugich; niektóre z nich nawet w udatne weszły już wykonanie, i przewidzieć nie trudno, że dzień projektowany na obchód Jubileuszu, dzień dwudziesty i szósty lipca roku przyszłego, jako dzień zarazem Kraszewskiego urodzin, rozpoczynający tém samęm rok ostatni jego pięćdziesięciolecia, w całym ogóle naszym upamiętni się tymże radosnym ustrojem, którego dziś już tak gorące widzimy objawy.

Samo się przez się rozumie, że w obec tylolicznych dowodów współuczucia i uwielbienia, literaci polscy, współ z pracownikami innych powołań, z piśmiennictwem ściślej złączonych, nie ostatni zabrali się do ciężącego ich obowiązku. Już w połowie roku zeszłego zgroma-

dzeni w tym celu pisarze i przedstawiciele prasy peryodycznej w Warszawie, uchwalili wydawnictwo *Książki Jubileuszowej*, której na zebraniu następnem, obok wyboru złożonej z jedenastu osób Redakcyi, nadano zakres pracy, wyłącznie mającej się zająć Kraszewskim: Jego rysem biograficznym, i wyczerpującym, ile możności, a skreślonym przez siły zbiorowe obrazem działalności Jego literackiej, artystycznej i obywatelskiej. Rzeczoną Redakcyą, ułożywszy dokładny program téj książki, pojedyncze jego działy po części rozebrała pomiędzy siebie, po części do uczestnictwa w niej zaprosiła innych pisarzy, tutejszych i zamiejscowych, z których kilku już chętny swój współdziałanie przyrzekło: od drugich, w czasie niedługim, odpowiedzi nadejdą zapewne przyzwalające.

Oto spis Osób, na współpracownictwo których, w przyjętym przez nie zakresie, *Książka Jubileuszowa* dziś już liczyć może z pewnością:

Bądkiewicz: Podróże po kraju; Bogustawski: Dramata; Chmielowski: Pierwszy okres ogólnej działalności Kraszewskiego; Gerson: Ikonoteka, Sztuka u Stowian, Kartki z podróży; Gloger: Czasy szkolne w Białej; Henkiel: Powieści obyczajowe; Jarochoński: Powieści historyczne; Karłowicz: Historia Litwy; Kaszewski: Powieści ludowe; Kirkor: Historia Wilna; Korotyński: Epika i Liryka; Korzon: Powieści historyczne; Kraushar: Poglądy Kraszewskiego na kwestyą żydów w Polsce; Lewestam: Studya i krytyki literackie; Lubowski: Powieści obyczajowe; Morzkowska (Marrené): Powieści obyczajowe; Nehring: Powieści historyczne; Orzeszkowa: Powieści obyczajowe; Pawiński: Powieści historyczne; Pietkiewicz (Ad. Pług): Życiorys; Plebański: Pamiętniki historyczne wydane przez Kraszewskiego; Prusinowski: Pobyt Kraszewskiego w Żytomierzu; Skimborowicz: Bibliografia pism Kraszewskiego; Spasowicz: Redakcyja *Atheneum* w Wilnie; Struve: Pisma i poglądy filozoficzne Kraszewskiego; Sulicki: Redakcyja Gazety Codziennéj i Polskiej; Wójcicki: Projekt Starożytności polskich.

Oprócz tego, pomieszczoną już w pismach publicznych odezwą zwróciła się Redakcyja do osób, w zaproszeniu jéj może być pominiętych, a mogących i chcących szczegółowemi jakimi o życiu lub pismach Kraszewskiego pracami, między innymi także Jego listami, przyczynić się do z bogacenia *Książki Jubileuszowej*, z prośbą, iżby pomocy swojej na cel ten nie odmówiły; jakoż prośbę takową usilnie niniejszym prospektem ponawia.

Spodziewać się godzi, że dzieło poświęcone działalności olbrzymiej wyjątkowo Męza, na wizerunek którego, od początków aż do pełni rozwoju, pojedyncze w niém, w sposób wskazany, składać się mają rysy; że dzieło takie, oparte na pracach ludzi dobrej woli i gorącego przedmiotem swoim przejęcia się, nie będzie również dla historyi i naszej literatury pozbawioném należnej mu doniosłości. Spodziewać się godzi, że odpowie ono w téj mierze stanowisku, dotkniętemu we wstępie niniejszego prospektu; że w pamięci Czytelników odświeży skutecznie lub uprzytomni na nowo cały obraz tego bogatego w wypadki okresu, któ-

rego Kraszewski jednym z najdzielniejszych był przedstawicieli. Rekojmia ziszczenia się téj nadziei, jak z jednej strony powinny zapewne być znane w piśmiennictwie naszóm, i poważne po części imiona, które do pracy téj przykładają talentu i ręki, tak z drugiej usilność Redakcyi która z włożonego na nią zadania postanowiła wywiązać się najsumiennie i szczerze.

Ozdobą wydawnictwa nie mała, oprócz facsimiliów pisma Kraszewskiego, będą ryciny, których z tą samą co pisarze bezinteresownością podjęli się nasi artyści; będą to mianowicie portrety samego Jubilatą w kilku epokach Jego życia, oraz Rodziców Jego i Babki, jako téż widoki główniejszych miejscowości, w których znaczną część wieku swego przepędził.

Niezmiernie ważnym także jest udział, jaki przyjęli na siebie w tym hołdzie ogólnym Wydawcy pism czasowych, Nakładzcy i Właściciele księgarń i drukarń, warszawscy i zamiejscowi. W urzeczywistnieniu bowiem pomysłu, żeby cały bezwarunkowo dochód, z *Książki Jubileuszowej* wypłynąć mogący, okazał się *czystym*, i jako taki, żadnemi kosztami nieuszczuplony, mógł być przedstawionym dostojnemu Jubilatowi, postanowili oni własnemi siłami pokryć wszelkie wydatki na druk, papier i inne jakiegokolwiek potrzeby, tak całej *Książki Jubileuszowej*. Że koszta te dojdą cyfry wcale poważnej, każdy łatwo zrozumie, skoro uwzględni, że *Książka Jubileuszowa* obejmować ma od 30 do 35 arkuszy druku, a liczba projektowana jej egzemplarzy, w przewidywaniu najwyższego zapewne współczucia całego naszego ogółu, musi być bardzo znaczną. Nazwiska tych istotnych Wydawców *Książki Jubileuszowej*, których zacna ofiarność, jedynym może w dziejach naszego przykładem, ponosząc wydatki, nie tylko nie domaga się z nich żadnej korzyści, ale zrzeka się nawet ich zwrotu, zaznaczone będą w słówku przedwstępném do dzieła, przy końcu którego zamierza się również pomieścić dokładną listę przedpłaćcicieli. Podobna lista, w miarę nadsyłania prenumeraty, które jaknajśpieszniejsze, z powodu niezbędnej potrzeby dokładnego zawczasu oznaczenia drukować się mającego nakładu książki, wielce jest pożądaném, podaną będzie również w tutejszych pismach czasowych.

Przedpłata, z uwagi na spodziewaną pokupność książki, której treść sama, nawet niezawisłe od celu, stanie się zapewne zachętą dla wszystkich miłośników literatury ojczyźstój, oznaczoną została po cenie tak niskiej, że umożliwiała ją, co do pierwotnie postanowionej liczby egzemplarzy, tylko brak wszelkich kosztów, których cena ta, gdyby się one pokrywać miały z prenumeraty, podobnoby wcale nie przewyższała.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rsr. 3. Na prowincyi i zagranicą, z kosztami przesyłki rsr. 3 kop. 50.

Egzemplarze będą broszurowane; toby jednak pragnął otrzymać takowe w oprawie, mającej się umyślnie na ten cel przygotować, zechce na takową dołączyć do powyższej kwoty prenumeracyjujéj kop.

75 za czarną, a rsr. 1 za kolorową. Przedpłatę przyjmują wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i zagranicą, redakcyje wszystkich pism peryodycznych, oraz osoby uproszone.

Warszawa, w marcu 1878 roku.

Redakcyja: *Chmielowski, Kaszewski, Korotyński, Korzon, Lewestam, Oskierko, Pawiński, Pietkiewicz (Ad. Plug), Skimborowicz, Struce, Wójcicki.*

— Mówiliśmy już w jednym z poprzednich zeszytów naszego pisma, o zamierzonym wydawnictwie *Encyklopedyi Wychowawczej* pod kierunkiem redakcyi *Encyklopedyi Rolniczej*. Obecnie już wyszedł z pod prasy *Spis wyrazów, mających wejść w skład Encyklopedyi Wychowawczej*, z obszernym na czele objaśnieniem od redakcyi téj publikacyi (w 8-ce, druk J. Bergera, str. VIII, 15). Nie powątpiewamy o życzliwem przyjęciu i poparciu tak pożytecznego i na czasie będącego dzieła.

— Wyszedł z pod prasy trzeci tom *Zbioru praw*, który jest dalszym ciągiem dawniejszego wydawnictwa *Dziennika Praw Królestwa Polskiego*. Tom ten obejmuje postanowienia i rozporządzenia rządu za rok 1873, dotyczące dziesięciu gubernii Królestwa Polskiego, a zebrane z urzędowego wydawnictwa senatu rządzącego p. t.: *Sobranie uzakonienij i rasporiazenij prawitelstwa*.

Zbiór Praw obok tekstu rossyjskiego ustaw, obejmuje przekład ich na język polski, oraz odpowiednie spisy i skorowidze. Przeznaczony jest do podręcznego użytku nietylko wszystkich władz i urzędników, ale nadto i dla ogółu publiczności, która, ulegając powszechnej zasadzie „nieznajomością praw nikt zastaniać się nie może,” na zapoznaniu się z obowiązującymi ją przepisami, wiele zyskać jest w stanie.

Zbiór Praw nabywać i prenumerować można w redakcyi *Niw*y (Marszałkowska nr. 54), oraz we wszystkich księgarniach.

Następny, t. j. tom IV *Zbioru Praw* wyjdzie w miesiącu czerwcu i obejmować będzie prawodawstwo za rok 1874.

— Wyszło z druku: *Siódme zwyczajne ogólne zebranie akcyonaryuszów Warszawskiego Towarzystwa Ubezpieczeń od ognia*, wraz ze *Sprawozdaniem Dyrekcyi Warszawskiej* tegoż Towarzystwa za rok siódmy działalności od d. 20 grudnia (1 stycznia) 1876/7 r. do włącznie d. 19 (31) grudnia 1877 r. Czysty dochód po opędzeniu wszelkich wydatków wyniósł rs. 98,407 kop. 32 $\frac{1}{2}$.

Z mowy, przy zagajeniu posiedzenia prezesa Tomasza hr. Zamoyckiego, dowiadujemy się, że pogorzele najwięcej dotknęły gubernie: Kielecką i Radomską i mamy w niej jasny obraz stanu i działalności tego Towarzystwa. Odczytany zarazem został projekt w przedmiocie zatwierdzenia przepisów dla kasy przezorności i pomocy urzędników Towarzystwa.

— W Lublinie, z drukarni J. Herszenherna i M. Sznajdermesse-
ra, wyszła *Monografia Lublina* przez Władysława Zielińskiego, w oz-

dobnym wydaniu, przynoszącym zaszczyt prowincjonalnej drukarni. Od dawna pożądanym był opis tak starożytnego grodu, który w upłynionych wiekach poważnie na kartach dziejów naszych zajmuje wspomnienie. Mieliliśmy wprawdzie opis tego miasta przez J. Z. Sierpińskiego, drukowany w r. 1839, ale to był szkic tylko słaby i niedostateczny, w szczupłych niezmiernie rozmiarach. P. Wł. K. Zieliński, od wielu lat, na obszerniejszą skalę rozpoczął pracę swoją, którą podzielił na trzy części: z tych mamy pierwszą. Ostatnia stanowić będzie bardzo ważny dyplomatarysz miasta Lublina, zawierający oprócz dyplomatów i przywilejów nadanych samemu miastu Lublinowi, także dyplomata i nadania, dane klasztorowi, kościołom i osobom prywatnym, mającymi styczność z dziejami krajowemi miasta Lublina.

Autor znalazł znakomitą pomoc w materyałach historycznych, zachowanych w pięknej bibliotece J. E. biskupa Baranowskiego, a oraz w wielu prywatnych zbiorach.

Będzie to więc pierwsza u nas monografia starożytnego miasta, nietylko pomyślana w tak obszernych ramach, ale wzbogacona nadto cennym dyplomataryszem, który niewątpliwie dorzuci niemały materyał do dziejów krajowych.

— Towarzystwo Lekarskie Warszawskie podaje do wiadomości publicznej, że na zasadzie ustawy o nagrodach konkursowych z funduszu stałego imienia Tytusa Chałubińskiego, doktora medycyny i chirurgii, byłego profesora kliniki terapeutycznej w Uniwersytecie Warszawskim i członka czynnego Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, przyznana będzie z procentów od rzeczzonego funduszu jedna nagroda konkursowa w kwocie rs. 240. Do konkursu przyjmowane będą prace oryginalne, najmniej pięć arkuszy druku zawierające, wydane w ciągu lat czterech, licząc od 1-go kwietnia 1876 r., w przedmiotach odnoszących się do nauk lekarskich, lub pomocniczych, z wyłączeniem rękopismów i pism peryodycznych. Dzieła nadsyłane być mają pod adresem Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (ulica Niecała Nr. 7), lub też składane być mogą na posiedzeniach Towarzystwa za pośrednictwem jednego z jego członków. Termin prekluzyjny do nadsyłania dzieł na konkurs oznacza się do dnia 1 kwietnia 1880 r. Komitet konkursowy przez Towarzystwo Lekarskie wyznaczyć się mający, z pomiędzy dzieł nadsyłanych, większością głosów, przy ballotowaniu tajnym, wybierze najlepsze; o uwieńczeniu tegoż dzieła nagrodą, ostatecznie w ciągu roku jednego orzecze i wymotywowane sprawozdanie w tym względzie złoży Towarzystwu Lekarskiemu do wiadomości na ogólnym posiedzeniu.

Toż samo Towarzystwo Lekarskie podaje do wiadomości, że z funduszu pozostałego po wzniesieniu nagrobka ś. p. Bronisławowi Chojnowskiemu, doktorowi medycyny, członkowi czynnemu Towarzystwa Lekarskiego i profesorowi kliniki terapeutycznej w Uniwersytecie Warszawskim, przyznana ma być przez Towarzystwo Lekarskie jedna nagroda w kwocie rubli srebrem sto pięćdziesiąt, za najlepszą pracę kon-

kursową na dowolnie obrany temat z dziedziny higieny publicznej miasta Warszawy lub innego miasta polskiego. Na konkurs ten wyznacza się jednoroczny termin, licząc od dnia 1 kwietnia 1878 r., do dnia 1 kwietnia 1879 r. pod adresem Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego (ulica Niecała Nr. 7) przy zachowaniu zwykłych form konkursowych, t. j. z nazwiskami autorów w kopertach zapieczętowanych i zaopatrzonych stosownymi dewizami. Pierwsze prawo do własności rozprawy zastrzega sobie Towarzystwo Lekarskie.

— Jak sztuki piękne są u nas cenione, stawiają dowód pozostałe spisy i katalogi obrazów, rzeźby i rycin, po zamożniejszych domach polskich. Taką właśnie mamy przed oczyma *Specyfikację* obrazów po ś. p. J.W. Ogińskim Hetmanie W. W. X. Lit: pozostałych, w której mieszczą się i dzieła rzeźby, a przechowaną w zbiorze rękopismów Konstantego hr. Przezdzieckiego. Specyfikacja ta ukończona d. 22 Julii 1808 r. wskazuje, że galerya hetmana Ogińskiego, kosztowała talarów 12,352, wraz z dziełami rzeźby i porcelany: każda bowiem sztuka ma obok zapisaną cenę, za jaką kupioną została.

— J. I. Kraszewski w albumie jednego z przyjaciół taki wiersz piękny napisał.

„I świat i walka i boleść nie straszą,
Gdy na tarczę wpiszę naszą
Słowa uroczę, co spokojem wieją:
Z modlitwą, pracą, nadzieją!“

— Komitet lwowski zawiązany w celu uczczenia 50 letniego jubileuszu J. I. Kraszewskiego, uchwalił kształt i treść napisów odbić się mających na medalu dla tego pisarza. Na jednej stronie będzie wizerunek jubilatą okolony napisem „Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu 1878 r.“ po drugiej wieniec laurowy w otoku, z symboliczną gwiazdą, w pośrodku zaś napis „*Za pół wieku trudów i zasług wdzięczni rodacy.*“

— Nie zubożyła nasza społeczność na utwory poezyi, ale ceni tylko takie, które zalecają się wyższą myślą, płyną z prawdziwego natchnienia i oddane w formie artystycznej. Do takich zaliczamy Leonarda Sowińskiego wiersz następujący p. n. *Widmo Ruiny*, w *Kuryerze Warszawskim* drukowany.

„Druhu zagłady! gruzów demonie!
Jakże oblicze twe zmienne:
W norach, w uczelniach, w bóstw panteonie!...
To jak otchłanie zbrodni bezdenne,
Czarne i wstrętne, to znów płomiennie,
Jak klejnot w czarta koronie!
O! ten jedynie rozpoznać może
Twarz twą kameleonową,
Wszędzie i zawsze, kto słowo Boże
W życiu wyznaje sercem i głową,
Pieśnią, nauką, czynów osnową:

Stale, cierpliwie, w pokorze.
 Czasem przywdziawszy łachman nędzarza
 Bluzgasz ohydne szyderstwa:
 Tłuszcza za tobą one powtarza,
 Łupu spragniona, morderstwa....
 Widmo zniszczenia i przენiewierstwa
 U najświętszego ołtarza!

Znam cię!... słyssałem ryk twój złowrogi...
 Śmierć i zagłada twe imię:
 Siła twém prawem, w pożodze i dymie
 Kain cię spłodził, straszny olbrzymie;
 Ciemny, tchórzowski a srogi!
 Często kochanki przybierasz postać,
 Wzrok jój lubieżnie uroczy,
 Zgraja szaleńców w okrąg się tłoczy
 Żądna do czary twojej się dostać!...
 Aż tu wróg wpada, depcze ją, troczy,
 Siłą czyż zdolna mu sprostać?
 Poznam i wówczas twoje oblicze
 Duchu złowieszoczy ruiny!
 Fatum śmiertelne i tajemnicze!
 Stopa twa wstrząsa państw podwaliny,
 Usta spijają łyzy niewolnicze,
 Skroń krwawe wieńczę wawrzyny.

Nieraz nauki stroi cię toga
 Minłkiej, bezdusznój, pozornój...
 W mózgi bezmyślna wkrada się trwoga,
 Masz więc gawiedzi orszak pokorny
 Z uczuć wyzutój, z wiary i Boga.
 Na znicz idei wszelkiej opornój
 Spływa natenczas czelnie i hojnie,
 Z ust twych obelga bluźniercza....
 Z każdą powagą stawiając się w wojnie,
 Z grobami nawet myśl twa szydercza
 Walczy zajadle, choć niespokojnie;
 Czcł ojców już przენiewiercza!

W każdój czeladźce, w każdym narodzie
 Szerzysz niepokój i swary,
 Rozmiłowany w duchów niezgodzie,
 W piekle rozpaczy, niewiary,
 Wiecznie ku światu młodego azkodzię
 Jadem zięjący Demonie stary!...
 Anioł ludzkości niech się wysiła
 Szczęście na dziejów siać roli,

Z poza twych skrzydeł czarnych, co chwila,
 Jak niepozbyta troska niewoli,
 Blade oblicze swoje wychyla,
 Widmo wieczystej niedoli.”

— W Krakowie wyszły: *Listy z Peruwii i Boliwii* skreślił Władysław Kluger inżynier rządowy i profesor Szkoły inżynierów w Limie, członek korespondent Akademii Umiejętności w Krakowie. Wydanie drugie pomnożone listami z Boliwii i nowemi z Peruwii. Kraków 1878 r. (w 12-ce, str. 112). O pierwszém wydaniu mówiliśmy obszernie w dziale piśmiennictwa; drugie obecne, niemniej jest zajmujące.

— Program wykładów w c. k. uniwersytecie lwowskim na lato-
 we półroczcie 1878. I. *Wydział teologiczny*. (I. rok) Dr. Sembratowicz: Dogmatyka ogólna, 5 godz. Dr. Sarnicki: Historia objawienia, 4 godz. Tenże: Wykład Pisma św. Starego Zakonu, podług tekstu hebrajskiego, prorocstwa Hozeasa, 3 godz. Tenże: Wykład Pisma Św. podług Wulgaty prorocstwa Samuela, 2 godz. Tenże: gramatyka języka arabskiego z ćwiczeniami praktycznemi, 2 godz. (II. rok) Dr. Sembratowicz: Dogmatyka specjalna, 9 godz. Dr. Watzka: Wykład Pisma Św. N. Z. według Wulgaty, łąc. dzieje apost. od rozdz. XVI etc., 5 godz. Tenże: Wykład Pisma Św. N. Z. z greckiego tekstu, list św. Pawła apost. do Efezów, 3 godz. Tenże: Wyjaśnienie perikop niedzielnych, 1 godz. Tenże: Wyższa egzegeza N. Z. List św. Pawła apost. do żydów, 2 godz. (III. rok) Dr. Filarski: Teologia moralna, 9 godz. Dr. Delkiewicz: Historia kościelna, 9 godz. (IV. rok) Dr. Kostek: Teologia pasterska (po rusku), 9 godz. Dr. Kłoss: Teologia pasterska (po polsku), 9 godz. Dr. Paliwoda: Prawo kanoniczne, 5 godz. Tenże: O sądach kościelnych 1 godz. Katecheta obrz. łąc. Ollender: Katechetyka i metodyka (po polsku), 5 godz. Katecheta obrz. grec. Wieliczko: Katechetyka i metodyka (po rusku), 5 godz.

II. *Wydział prawniczy*. Dr. Buhl: Historia państwa i prawa niemieckiego, 6 godz. Dr. Piętał: Pandekta (o zobowiązaniach), 5 godz. Dr. Źródłowski: Pandekta (część ogólna, prawo rzeczowe i familijne), 10 godz. Dr. Buhl: Filozofia prawa, 5 godz. Dr. Rittner: Prawo kościelne, 5 godz. Dr. Piętał: Historia rzymskiego procesu cywilnego, 3 godz. Dr. Fangor: Prawo cywilne powszechne austriackie, 6 godzin. Dr. Rittner: Austriackie prawo małżeńskie osobowe i majątkowe, 3 godz. Dr. Ogonowski: Austriackie prawo powszechne cywilne, 6 godz. Dr. Gryziecki: Austriackie postępowanie karne, 6 godz. Dr. Dobrzański: Austriackie postępowanie karne, 5 godz. Dr. Biliński: Wykład nauki skarbowej, 6 godz. Dr. Till: Powszechne prawo prywatne austr., w szczególności nauka o zobowiązaniach, 3 godz. Tenże: Materyalne prawo konkursowe austriackie, 1 godz. Dr. Rabat: Ordynacya sądowa, 5 godz. Dr. Balasits: O egzekucyi sądowej i postępowaniu w upadłościach, 4 godz. Dr. Pilat: Statystyka monarchii austr. węg. ze wstępem teoretycznym, 6 godz. Dr. Piętał: Austriackie prawo wekslowe, 3 godz. Dr. Buhl: Repetytoryum z niemieckiej historii prawa, 3 godz. Tenże: Skarbowość austriacka 3 godz. Dr. Fangor: Prawo polskie, 4 godz. Tenże: Prawo górnicze au-

stryackie, 4 godz. Dr. Biliński: Nauka o stowarzyszeniach, 1 godz. Tenże: Historia ekonomii społecznej, 2 godz. Dr. Weigel: Medycyna sądowa 2 godz. P. Kozma: Zasady rachunkowości rządowej, 6 godz. Tenże: Repetytoryum z dziedziny rachunkowej, 3 godz. P. Kulczycki: Rachunkowość państwowa austro-węgierskiej monarchii, 7½ godz. Dr. Szachowski: O poręce według prawa rzymskiego. *Cwiczenia seminaryjne*. Dr. Buhl: Konwersatoryum o ważnych pytaniach z prawa międzynarodowego. Dr. Fangor: Ćwiczenia w prawie cywilnym austr. Dr. Rittner: Ćwiczenia z prawa kościelnego 1 godz. Dr. Ogonowski: Ćwiczenia w prawie cywilnym austr. Dr. Gryziecki: Ćwiczenia w prawie i procesie karnym, 2 godz. Dr. Kabat: Ćwiczenia w postępowaniu sądowym spraw spornych i niespornych. Dr. Biliński: Seminaryum ekonomiczne. Dr. Pilat: Seminaryum administracyjne, 2 godz.

Wydział filozoficzny. Dr. Czerkawski: Historia filozofii w Polsce, 5 godz. Tenże: Zasady nowoczesnej metafizyki, 3 godz. Dr. Ochorowicz: Dzieje nowszej filozofii przyrody, 2 godz. Tenże: O współczesnej psychologii w Anglii i Francji, 2 godz. Dr. Liske: Historia grecka II część, 4 godz. Tenże: Historia francuzka od r. 1848, 2 godz. Tenże: Ćwiczenia dyplomatyczne, 1 godz. Dr. Szaraniewicz: Historia austro-węgiei przy schyłku XVIII i XIX w., 4 godz. Tenże: Repetytoryum z historii austro-węgr. monarchii, 1 godz. Dr. Hirschberg: Dzieje Polski za panowania królów wolnoobranych, 3 godz. Dr. Węclewski: Gramatyka języka łacińskiego, 3 godz. Tenże: Horacyusza listy, 2 godz. Tenże: Ćwiczenia stylistyczne, 1 godz. Dr. Ćwikliński: Metryka grecko-rzymska wraz ze starożytnościami scenicznymi, 3 godz. Tenże: Sofoklesa Ajax, 4 godz. Dr. Pilat: Historia literatury polskiej w drugiej połowie XVII i w pierwszej połowie XVIII w., 2 godz. Tenże: Rozbiór lingwistyczny tak zwanéj książeczki do nabożeństwa, 2 godz. Tenże: Ćwiczenia stylistyczne połączone z konwersatoryum o materyach literackich i lingwistycznych, 1 godz. Dr. Ogonowski: Nowsza epoka literatury ruskiej, 2 g. Tenże: Krytyczno-estetyczna analiza niektórych ważniejszych pism Grzegorza Kwitka Osnowianenki, 1 godz. Tenże: Objasnienia wybranych ustępów wołyńsko-salickiej kroniki, 2 godz. Dr. Janota: Życie i pisma Schillera, 3 godz. Tenże: Teorya dramatu, 2 godz. Prof. Żmurko: Rachunek różniczkowy i całkowity, 3 godz. Tenże: Geometrya analityczna 2 g. Dr. Stanecki: O interferencyi i uginaniu się światła, 5 godz. Tenże: Repetytoryum z fizyki dla farmaceutów 1½ godz. Dr. Fabian: Równania algebraiczne, 3 godz. Tenże: Polaryzacja światła, 3 godz. Tenże: Mechanika analityczna, 3 godz. Dr. Syrski: Zoologia, 5 godz. Tenże: Wprawa w poszukiwaniach zoologicznych. Tenże: Organizm człowieka w stanie zdrowia i chorób, 2 godz. Tenże: Teorya mikroskopu, 1 godz. Dr. Kreutz: O formacyach drugorzędnych, 1 godz. Tenże: Krzemiany, 4 godz. Tenże: Ćwiczenia mineralogiczne, 1 godz. Dr. Ciesielski: O ważniejszych rodzajach roślin, zwłaszcza pod względem oficynalnym i technicznym, 3 godz. Tenże: Konwersatoryum botaniczne, 2 godz. Ćwiczenia w oznaczaniu roślin, 1 godz. Tenże: Wycieczki botaniczne. Dr. Radziszewski: Chemia ogólna organiczna, 6 godz. Tenże: Chemia ogólna nieorganiczna, 3 godz.

Tenże: Repetytoryum z chemii ogólnej i farmaceutycznej, 2 godz. Tenże: Ćwiczenia praktyczne z pracowni chemicznej. Dr. Godlewski: Organografia roślin jawnopłciowych, 2 godz. Tenże: Fiziologia eksperymentalna roślin (o wzroście i ruchach roślinnych, 3 godz. Dr. Kamiński: Porównawcza morfologia roślin osiowych, w połączeniu z ekskursyami, 3 godz. Tenże: Paleontologia roślin, 2 godz. P. Olewiński: Stenografia polska i ruska, 3 godz. P. Kropiwnicki: Nauka języka angielskiego, 2 g. P. Amborski: Nauka języka francuzkiego, kurs niższy, wykład metodyczny, 2 godz.

Cwiczenia seminaryjne. Dr. Węclewski: W sem. filolog. Objasnienia Quintiliana Inst. Orat. ks. X, tudzież będą oceniane rozprawy, 2 godz. Dr. Cwikliński: W sem. filolog. Niektóre mowy Lisyasza, ocena wypracowań i dysputy, 2 godz. Dr. Liske: W sem. hist. Ćwiczenia z dziejów powszechnych, 2 godz. Dr. Szaraniewicz: W sem. hist. Ćwiczenia w oddziale dla hist. austr., 2 godz. Dr. Janota: W sem. germanistycznym: Gottfried z Strasburga Tristan.



Dnia 23 marca r. b. umarł w Petersburgu ś. p. **Juliusz Ksawery Eukasz hr. Strutyński**, znany w literaturze naszej pod pseudonimem *Berlicza-Sasa*. Służył wojskowo, brał udział w wyprawach na Kaukaz, gdzie dosłużył się stopnia majora. Majątek wielki rodzinny straciwszy, żył w sędziwych latach głównie z pióra, gdyż utwory jego były poszukiwane skwapliwie przez wydawców. Pisał wiele, wierszem i prozą. Opowiadania jego mają wysoką wartość, jako malujące wiernie pierwsze lata naszego stulecia, dotykając i ostatnich zgasłego wieku. Oddzielnie drukował we Lwowie, Wilnie i Warszawie: 1. *Starościna Horodelska, Kasztelanowa Trocka, Miscelanea, Gawędy, Dwie Babki, Kaukaz, Ukraina, Wołyń i Podole, Sceny Mysliwskie, Kalejdoskop, Mozaika, Dwaj Biskupi*. Pracował nad swemi pamiętnikami, które mnóstwo obejmowały ciekawych szczegółów, ale te, jak nam donoszą, spalił przed śmiercią, aby wiele żyjących osób nie kompromitować. Talent pisarski byłto niepośledni i dzielnie umięjący władać ojczystym językiem. Pod pseudonimem *Berlicza-Sasa*, dał się poznać najprzód we Lwowie, następnie w Krakowie, w którym ostatnie lata swoje przemieszkiwał.

— Dnia 31 marca r. b. umarł w Paryżu ś. p. doktor **Seweryn Galezowski**. Po ukończeniu nauki lekarskiej w Wilnie, wysłany za granicę dla wykształcenia się w chirurgii, w roku 1824 uzyskał miejsce przy profesorze chirurgii Pelikanie w Wilnie. W siedem lat opuścił kraj rodzinny i gdy nie mógł pozyskać katedry profesorskiej w Uniwersytecie berlińskim wyjechał w r. 1834 do Francji, a ztąd do Meksyku. Po powrocie z Ameryki osiadł w Paryżu, gdzie wstawił się nie tylko jako znakomity lekarz-chirurg, ale jako filantrop i troskliwy opiekun swoich rodaków.

— Dnia 5 kwietnia r. b. zmarł w Nicei ś. p. **Leopold Kronenberg**, współredaktor naszego pisma, obywatel i starszy zgromadzenia kupców miasta Warszawy w 66 roku życia. Zwłoki zgasłego przywiezione do ojczystego kraju pochowane zostały d. 14 t. m. na cmentarzu wyznania ewangelicko-reformowanego. Była to osobistość wydatna w kole naszój społeczności. Przez lat 30 z górą wywierał on wpływ przeważny nietylko na ogół stosunków handlowych naszego miasta, ale i na stosunki ekonomiczne całego kraju. W tym kierunku po ś. p. Piotrze Steinkellerze, L. Kronenberg zajął jeszcze podnioślejsze stanowisko. Bank handlowy, Towarzystwo kredytowe miasta Warszawy, Kasa przemysłowców warszawskich, Towarzystwo warszawskie fabryk cukru, Towarzystwo ubezpieczeń od ognia, wszystko to łączy się z imieniem L. Kronenberga. Przy ogromie zajęć swoich w dziedzinie finansowej, troszczył się o rozwój literatury krajowój.

W r. 1849 po przejściach smutnych lat 1846 i 1848, jedyny wówczas poważny organ prasy naszój, *Biblioteka Warszawska* potrzebował pomocy; ś. p. L. Kronenberg pożądaný fundusz bez zastrzeżenia zwrotu złożył natychmiast i zapewnił temu pismu dalsze jego istnienie. Wszedłszy w grono współredaktorów, nieraz zdrową radą w następnych latach pomagał. Jego zarówno dziełem jest podtrzymanie i reforma dawniejszój *Gazety Codziennój*, którą nabywszy i oddawszy pod redakcją J. I. Kraszewskiego, zapewnił jój jako *Gazecie Polskiej* powodzenie w owym czasie niepospolite. Kiedy powzięto piękny zamiar wydawnictwa pomnikowego *Encyklopedyi Rolniczój* i zawezwano L. Kronenberga do udziału w tój prawdziwie obywatelskiej sprawie, chętnie ofiarował swą pomoc, a musiała ona być pożyteczną, skoro na karcie tytułowój, obok trzech imion dostojnych redaktorów J. T. Lubomirskiego Ed. Stawiskiego i St. Przysiańskiego wyczytujemy, że wielka ta publikacja podjętą została: „przy współdziale L. Krasieńskiego, L. Kronenberga i J. Zamoyskiego.” Zmarły założył i utrzymywał własnym funduszem Szkołę handlową i wiele czynił dla Szkoły Technicznój przy warsztatach kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej oraz Terespołskiej. Kraj i koło obywatelskie poniosły stratę przez śmierć L. Kronenberga, bo szczerbę tak wydatną w drużynie społecznej niełatwo i nie tak prędko zastąpić kto inny potrafi.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.